

16 map
35 fotografii

Był tam, skąd nie wrócił
żaden człowiek

SHECK EXLEY

AUTOBIOGRAFIA POD CIŚNIENIEM

Podwodne życie
legandy nurkowania
jaskiniowego

360°

człowiek
na krawędzi

Sheck Exley odkrywa świat podwodnych jaskiń, jak kiedyś podbijano Dzikie Zachód. Z kowbojskim sprytem radzi sobie z problemami, z kamienną twarzą szeryfa mierzy się z niebezpieczeństwem, z odwagą wyznacza nowe granice. Na chwilę możemy zostać jego towarzyszami podróży, a podróż to przednia. Jakież to dreszcz emocji odkrywać, co nieodkryte i przekraczać granice, nigdy nie przekroczone!

MAŁGORZATA **P**OPIENIA

Wielki Błękit

Nurkowanie jaskiniowe jest niczym podróż w czasie, niczym cofnięcie się nawet do czasów prehistorycznych. Dzięki fascynującej opowieści Shecka Exley'a możemy razem z nim przenieść się w głębinę i wspólnie na nowo odkrywać podwodne tajemnice.

MARTA **G**IERSZEWSKA

Magazyn Nurkowanie

Sheck Exley

Autobiografia
pod
ciśnieniem

W PRZEKŁADZIE
JANUSZA OCHABA

Mayfly
WARSZAWA 2009

Tytuł oryginału:

CAVERNS MEASURELESS TO MAN

Copyright © 1994 by Cave Books

This Translation published by arrangement with Cave Books.

Zdjęcie na okładce:

ANN KRISTOVICH

Fotografie:

PAUL HEINERTH, FRANZJORG KRIEG, NED DELOACH,

MARY ELLEN ECKHOFF, CINDY BUTTLER,

BOB GATLING, EDWARD EXLEY, JOHN HARPER,

COURT SMITH, ROB POWER, YOLANDA ILIFFE,

GLEN THOMPSON, LEE GILMAN, KARAN PRIBBLE,

CARL COWART, HENRY NICHOLSON, LEWIS HOLTZENDORFF,

DAN LENIHAN, DALE SWEET, SERGIO ZAMBRANO,

BARBARA HASENMAYER. NUNO GOMES

Grafika serii i łamanie:

WOJTEK WILK

Redakcja techniczna:

MARCIN CHOCHOROWSKI i OŁO SAWA

Korekta:

JOLANTA KUCHARSKA

ISBN 978-83-929483-1-5

Wydawca:

Mayfly sp. z o.o.

02-093 Warszawa, ul. Pasteura 4/6/54

*W Xanadu kazał Kubla Khan
Rozkoszy dumny pałac wznieść,
Gdzie święta rzeka zwana Alph
przez jaskiń otchłań niezmierzoną
ku mrocznemu zmierza morzu.*

SAMUEL TAYLOR COLERIDGE

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym wyrazić wdzięczność osobom, które przyczyniły się do powstania tej książki. Ned DeLoach, Beth Exley Paulsen, Paul DeLoach, Mary Ellen Eckhoff oraz wielu innych służyli mi nieocenioną pomocą przy jej pisaniu. Doskonałą ilustracją tego tekstu są zdjęcia takich fotografów, jak Ned DeLoach, Paul Heinerth, John Harper, Henry Nicholson, Dave Sweet, Rob Power, Joe Prosser, Bob Gatling, Franzjorg Krieg, Paul Smith, Court Smith, Edward Exley, Yolanda Iliffe, Glenn Thompson, Lee Gilman, Karan Pribble, Carl Cowart, Lewis Holtzendorff, Mary Ellen Eckhoff, Dan Lenihan oraz Barbara Hasenmayer.

Szczególne podziękowania należą się również mojemu nieocenionemu i bardzo cierpliwemu redaktorowi, Richardowi A. Watsonowi.

SPIS TREŚCI:

Podziękowania

Przedmowy

1. Koszmar zwykłego człowieka

2. Skała się topi

3. Na granicy życia i śmierci

4. Bezdenne dziury

5. Coraz głębiej

6. Mózg sprzed dziesięciu tysięcy lat

7. Tajemnicze błękitne dziury

8. Błękitne dziury na świecie

9. Pałac króla gór

10. Manatee Springs Cave

11. Odwieczne wyzwanie

12. Mante

Aneksy

Posłowie

ANEKSY:

[Aneks 1: Ann Kristovich: Zacaton. Historia](#)

[Aneks 2: Krótka historia zorganizowanego nurkowania jaskiniowego w USA](#)

[Aneks 3: Najdłuższe zalane jaskinie](#)

[Aneks 4: Run-time nurkowania Shecka Exleya w Nacimiento del Rio Mante 28.03.1989 r.](#)

[Aneks 5: Najgłębsze studnie krasowe świata](#)

[Aneks 6: Najgłębsze nurkowania jaskiniowe](#)

[Aneks 7: Nurkowania poniżej 200 m](#)

MAPY:

[Giant Cave, Belize](#)

[Little River Spring, Floryda, USA](#)

[Morrison Springs, Floryda, USA](#)

[Eagle's Nest, Floryda, USA](#)

[Little Salt Spring, Floryda, USA](#)

[Boiling Hole, Bahamy](#)

[Lake Tarpon Sink Cave, Floryda, USA](#)

[Atlantida Tunnel, Wyspy Kanaryjskie](#)

[Hughes Spring Cave, Alabama, USA](#)

[Last Hope Syphon, Wirginia, USA](#)

[Manatee Springs Cave System, Floryda, USA – plan ogólny](#)

[Manatee Springs Cave System, Floryda, USA – przekrój](#)

[Suwanacoochee Spring Cave System, Floryda, USA](#)

[Cathedral Canyon Cave System, Floryda, USA – plan ogólny](#)

[Cathedral-Falmouth System, Floryda, USA – przekrój](#)

[Nacimiento del Rio Mante, Meksyk](#)

PRZEDMOWY

Nuno Gomes

Krzysztof Starnawski

Leszek Czarnecki

Nurkowanie jaskiniowe jest uznawane za jeden z najniebezpieczniejszych sportów na świecie. Większość ludzi odczuwa strach na samą myśl o nurkowaniu w jaskiniach. Dotychczas zginęło już wielu nurków, którzy z pasją oddawali się temu wymagającemu, lecz ekscytującemu sportowi, domenie prawdziwych badaczy. Choć techniki nurkowania jaskiniowego wciąż się rozwijają, liczba śmiertelnych wypadków nadal jest bardzo wysoka: tu nie ma miejsca na błędy, każde niedopatrzenie może być ostatnim.

Wśród nurków jaskiniowych jest elitarna grupa tych, którzy schodzą na głębokości przekraczające 200 metrów. Takie nurkowanie wymaga doskonałego wyszkolenia, ogromnego doświadczenia, niezwykłych umiejętności i sprawności oraz przede wszystkim stalowych nerwów.

Sheck Exley był „arcymistrzem” nurkowania głębinowego w jaskiniach. Żaden inny nurek nie przyczynił się do rozwoju nurkowania jaskiniowego w takim stopniu jak on. Sheck uczył się na błędach innych. Ilekroć wydobywał ciało towarzysza nurkowań z jaskiń na Florydzie, tylekroć badał uważnie okoliczności jego śmierci. W ciągu ponad trzydziestu lat jego kariery wiele razy dochodziło do takiej smutnej konieczności. Tylko w 1976 roku w jaskiniach Florydy zginęło 26 osób. Statystyki wypadków w innych częściach świata nie wyglądały lepiej.

Sheck ustanowił wiele rekordów w nurkowaniu jaskiniowym, jednak każdy, kto podejmuje próby bicia rekordów, musi liczyć się z ogromnym ryzykiem. W końcu i on stracił życie, w Zacaton w Meksyku, na głębokości 276 metrów, gdy próbował dotrzeć do dna tej słodkowodnej jaskini, mierzącej aż 319 metrów.

Miałem zaszczyt nurkować z Shekiem Exleyem i uczyć się od niego. W roku 1993, rok przed śmiercią, odwiedził jaskinię Boesmansgat w Afryce Południowej. Należałem wówczas do jego zespołu. Moje najgłębsze nurkowanie podczas tej ekspedycji wyniosło 177 metrów. Shek bez trudu poprawił ten wynik, osiągając 263 metry, w czym pomagałem mu jako nurek wsparcia na głębokości 90 metrów. Afrykańskie nurkowanie Shecka było tylko o metr płytsze od rekordu świata, który ustalił w marcu 1989 roku, w Nacimiento del Rio Mante.

Shek był prawdziwym sportsmenem. Dlatego też gotów był pożyczyć mi swój sprzęt, bym i ja osiągnął 263 metry. Wiedziałem, że wymaga to czegoś więcej niż tylko sprzętu – ogromnego doświadczenia i przygotowania psychologicznego, którymi na tym etapie swojej kariery nie dysponowałem. Podziękowałem uprzejmie i... przeżyłem, by zanurkować kiedy indziej.

Tylko bardzo nielicznym udało się zejście poniżej 240 metrów i przeżycie tego wydarzenia. Być może jest ich mniej więcej tylu, ilu kosmonautów, którzy stanęli

na Księżycu. Sheck Exley pozostaje nadal jednym z tych wybrańców, nawet dziś, piętnaście lat po 7 kwietnia 1994 roku, kiedy zginął w wieku zaledwie 45 lat.

NUNO GOMES

Nuno Gomes (ur. 1951) – rekordzista świata w nurkowaniu z aparatem oddechowym 318,25 m i jaskiniowym 282,6 m.

* * *

Nigdy nie spotkałem Shecka Exleya, nie mamy też żadnych wspólnych znajomych. Nawet jaskinie, które ukochaliśmy i w których nauczyliśmy się nurkowania, mają skrajnie odmienny charakter i leżą na przeciwnych krańcach świata. Czuję jednak instynktownie, że gdyby kiedyś nasze drogi się skrzyżowały, nie przeszedł-bym koło Shecka obojętnie. Myślę, że to, co ja czułem, odkrywając swój podziemny świat, On czuł dużo wcześniej, ale w podobny sposób. Wiedział, że eksploracja – odkrywanie nieznanych i niezbadanych części jaskiń – to cel, dla którego można poświęcić bardzo dużo, zyskując satysfakcję wspólną wszystkim zdobywcom. To uczucie daje olbrzymi zastrzyk energii pozwalającej przełamywać wszystkie napotymane bariery, a takich Sheck na pewno miał do pokonania sporo. Był prekursorem nurkowania jaskiniowego. Poszukując rozwiązań problemów nie mógł liczyć na Internet, podręczniki lub doświadczonych kolegów. Jego nurkowania były swoistym eksperymentem na samym sobie. To była niebezpieczna droga i niejeden nurek zapłacił za taki eksperyment życiem. Ale pamiętajmy, że wtedy to była jedyna droga do celu, a satysfakcja była największą nagrodą.

Łączyła nas potrzeba eksploracji i przełamywania barier. Dzieliły czas i miejsca, w których działaliśmy. Jedyne, czego mu zazdroścę, to szansa robienia do ostatniej chwili tego, co kochał.

KRZYSZTOF STARNAWSKI

Krzysztof Starnawski (ur. 1968) – płetwonurek, speleolog, taternik. Zdobywca Kolosa w kategorii „Wyczyn roku” (1999) za najgłębsze polskie nurkowanie swobodne (131 m) w jaskini Hranická Propast w Czechach oraz wyróżnienia w 2000 roku za pobicie tego rekordu o 50 m. Organizator i uczestnik wyprawy, która w 2003 odnalazła wrak zatopionego w 1945 roku na Bałtyku niemieckiego statku MS Goya.

* * *

Był początek roku 2001. W tym czasie miałem za sobą już ponad 20 lat nurkowania, kilka lat pracy w charakterze zawodowego nurka klasycznego,

uprawnienia instruktorskie CMAS i IANTD oraz tysiące godzin spędzonych pod wodą. Szukałem nowych wyzwań i nowych pasji podwodnych. Był to okres, gdy dynamicznie zaczęło rozwijać się nurkowanie techniczne, a nurkowania z użyciem mieszanek helowych zaczęły być relatywnie dostępne. Nurkowania jaskiniowe zawsze znajdowały się najbliższym kręgu moich zainteresowań, ale ze względu na ogromną liczbę śmiertelnych wypadków podchodziłem do tego sportu z dużą dozą ostrożności. Z pasją śledziłem wszystkie informacje związane z jaskiniami. Trudno było nie odnotować znakomitych osiągnięć Nuno Gomesa oraz jego wspaniałego nauczyciela i przyjaciela Shecka Exleya (już wówczas nieżyjącego). Nie mogłem uwierzyć swemu szczęściu, gdy dzięki pomocy Witka Smiłowskiego udało mi się namówić Nuna, aby uczył mnie i trenował w zakresie głębokiego nurkowania jaskiniowego. Był to początek wspaniałej przyjaźni, która trwa do dzisiaj. Muszę jednak przyznać, że początki były bardzo trudne, a uświadomiwszy sobie skalę ryzyka i problemów, z jakimi należy się mierzyć, nurkując w jaskiniach poniżej 150 metrów, wiele razy byłem bliski rezygnacji. O ile wcześniej sądziłem, że jestem naprawdę doświadczonym nurkiem, o tyle po zmierzeniu się z jaskinią Boesmansgat w RPA pozbyłem się całkowicie tych złudzeń. Dzięki Nuno zrozumiałem, że o powodzeniu nurkowania głębinowego w jaskiniach decyduje połączenie trzech czynników: logistyki, treningu i kosztów. Dopiero po perfekcyjnym dopracowaniu i zgraniu tych determinantów można mówić o zminimalizowaniu ryzyka, co nie znaczy, że da się je wyeliminować. Przeważnie nurkowie skupiają się na treningu osobistym i doborze sprzętu, który zabierają pod wodę – nie uświadamiają sobie przy tym, że jest to ogromne uproszczenie, dające złudne poczucie pewności siebie. W istocie nurkowanie jaskiniowe można porównać do wspinaczki wysokogórskiej, gdzie logistyka i zespołowa praca na rzecz lidera mają co najmniej takie znaczenie jak osobiste przygotowanie wspinacza. To duże przedsięwzięcie logistyczne: trzeba wyznaczyć liderów, nurków wsparcia, lekarzy, mechaników itp. Nurkowanie poniżej 200 metrów jest poprzedzone wieloma tygodniami przygotowań i treningu całej grupy, a nie tylko lidera. Każdy musi znać swoją rolę i wielokrotnie przećwiczyć przyznane zadania. Tolerancja błędu, na jaką mogą liczyć nurkowie w jaskini, jest zerowa. To nie przypadek, że spośród kilkunastu nurków, którzy przed dziesięciu laty zajmowali się poważnie nurkowaniem jaskiniowym w Polsce, do dnia dzisiejszego blisko połowa zginęła pod wodą. Kompleksowość zagadnienia, jakim jest nurkowanie w jaskiniach, przywodzi mi na myśl zasadę KISS (keep it short & simple); zasada ta wymaga, by brać pod wodę tylko niezbędny sprzęt (przedsięwzięcie i tak jest wystarczająco skomplikowane), a zarazem zachować prostą elegancję dekompresji (choć dekompresji bardzo konserwatywnej). Nuno Gomes jest wspaniałym i

wymagającym nauczycielem, a jego rekord świata potwierdza, że pasję, jaką jest nurkowanie w jaskiniach, można realizować bezpiecznie, jeżeli tylko prawidłowo kalkuluje się ryzyko. To najbardziej ryzykowny rodzaj nurkowania, potrafi jednak dostarczyć wrażeń, jakich nie da się porównać z niczym innym.

DR LESZEK CZARNECKI

Leszek Czarnecki (ur.1962) – przedsiębiorca, od 2004 twórca i właściciel grupy spółek Getin Holding S.A., w 2008 r. wymieniany w mediach jako najbogatszy Polak. Z zamiłowania nurek, w latach 80. zdobył uprawnienia nurka zawodowego, rekordzista Polski w głębokich nurkowaniach i przepłynięciach jaskiniowych wspólnie z Nuno Gomesem i Krzysztofem Starnawskim.



Zdjęcie lotnicze Hart Springs, wptywającego do rzeki Suwannee



Suwanacoochee Spring u zbiegu rzek Suwannee i Withlacoochee



Little River Spring, zasilający rzekę Suwannee



Połączenie rzek Suwannee i Santa Fe



Zdjęcie zrobione z samolotu Shecka nad Peacock Spring



Rock Bluff Springs nad rzeką Suwannee



Zdjęcie McCallister Sink w systemie jaskiń Katedry

ROZDZIAŁ 1

Koszmar zwykłego człowieka



Niewidzialne dłonie chwyciły mnie mocno i pociągnęły nieubłagane w dół, w morską głębinę. Potężny wir wsysał mnie w trzewia Ziemi, wraz z miriadami meduz, krewetek i lucjanów. Ryby przewracały wielkimi, ciemnymi oczami i rozglądały się gorączkowo na boki, szukając drogi ucieczki. Chrapliwy zgrzyt automatu wypełniał metalicznym echem moje uszy za każdym razem, gdy wciągałem powietrze. Pęcherzyki wydychanego powietrza wpływały wraz ze mną do wąskiej, czarnej jak smoła szczeliny zamiast unosić się swobodnie ku powierzchni.

Wirujący prąd wepchnął mnie prosto w skalne imadło. Utknąłem w szczelinie tak wąskiej, że z trudem rozdymałem płuca, by zaczerpnąć powietrza. Rozpędzony strumień wody zalał moją maskę, gdy wysuwałem się z kamiennego zacisku. Potem opadła na mnie chmura płynnego błota, pozbawiając mnie resztek widoczności.

Roześmiałem się na myśl, że dla większości ludzi taka sytuacja byłaby koszmarem. Wydostawszy się z wąskiej szczeliny, przedmuchałem maskę z wody, rozluźniłem się i pozwoliłem, by naturalna winda – wstępujący prąd wody – niosła mnie w dół. Kilka sekund później wypłynąłem z wąskiego, błotnistego przejścia i znalazłem się w podziemnej komnacie o szerokości ponad 30 metrów i wysokości 7,5 metra. Woda zrobiła się nagle przejrzysta jak powietrze, a latarki moich towarzyszy wypełniały jaskinię jasnym blaskiem. Wyglądaliśmy niczym olbrzymie świetliki, unoszące się między setkami kryształowych stalaktytów, które zwisały z sufitu jak olbrzymie, kamienne sople.

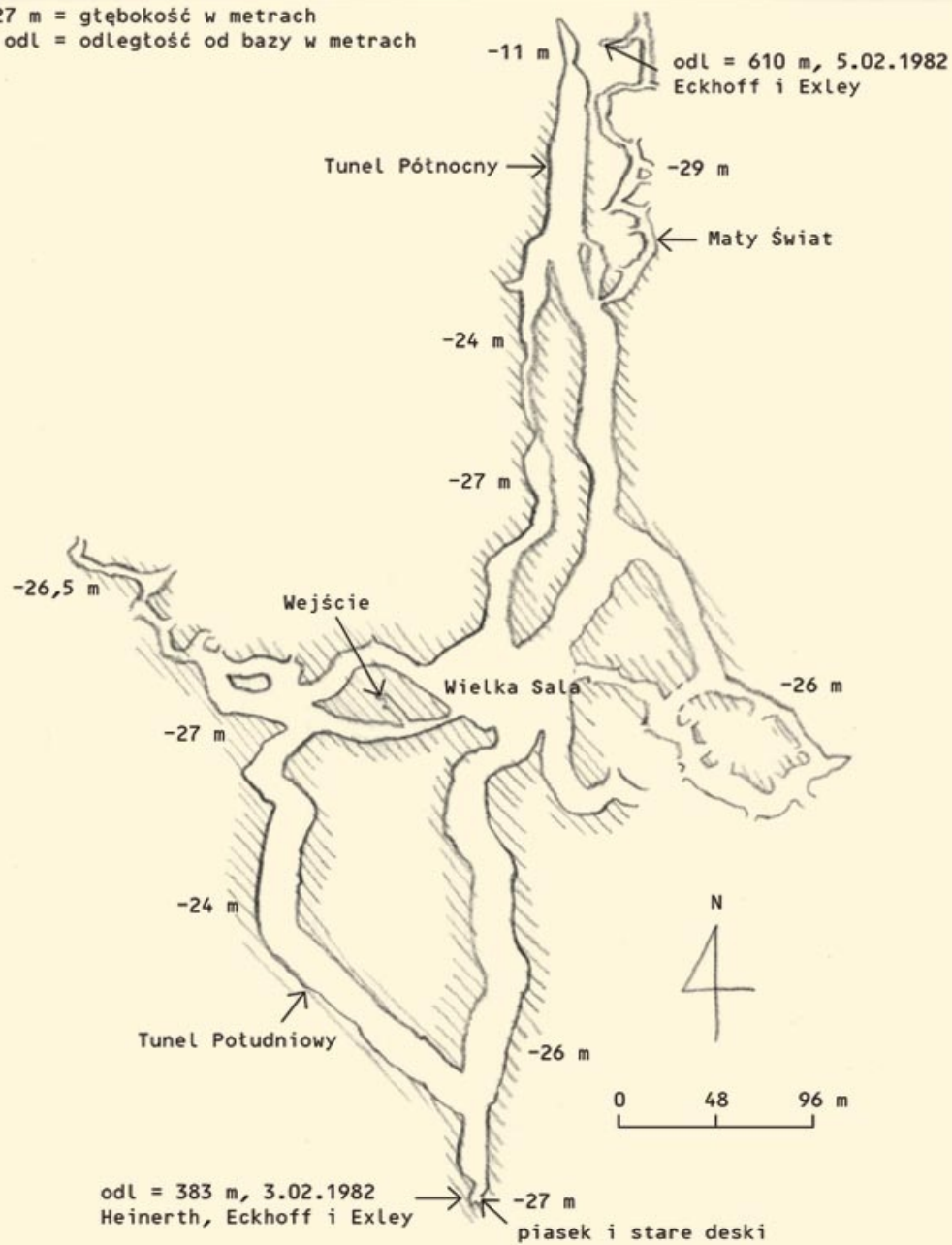
Byliśmy bardzo dziwnymi świetlikami, odzianymi w pianki i obciążonymi skomplikowanym sprzętem o wadze około 70 kilogramów. Każdy nurek na plecach taszczył dwa wielkie stalowe pojemniki z powietrzem; dwie butle połączone z dwoma zaworami. Na jednym z zaworów znajdował się automat z małym gumowym węzem¹ prowadzącym do ustnika, który dostarczał nurkowi powietrze przy każdym wdechu. Podobny automat był zamocowany na drugim zaworze, przy czym ustnik wisiał swobodnie na gumce; nurek mógł korzystać z niego w razie wypadku. Do pierwszego automatu przymocowane były również dwa dodatkowe węże. Jeden z nich połączony z manometrem (wskaźnikiem ciśnienia) pokazywał, ile powietrza zostało jeszcze w twinsecie (zestawie dwubutlowym). Drugi służył do nadmuchiwania kamizelki wypornościowej nurka, zwanej też jacket²; mechanizm inflacji był uruchamiany po naciśnięciu przycisku. Kamizelka ta zwana B.C. (buoyancy compensator, kompensator pływalności) była noszona na szyi i piersiach (ten typ jest określany mianem

chomąta) lub na plecach, wciśnięta między butle a ciało nurka. Nurek napełniał kamizelkę powietrzem, by zrównoważyć ciężar sprzętu, co umożliwiała mu unoszenie się bez wysiłku nad dnem. Ponadto każdy nurek miał przy sobie kilka podwodnych latarek, dwa kołowrotki z liną (poręczówką), nóż, zegarek i głębokościomierz. Elementy te były tak umocowane, by można je było bez trudu zdjąć i wykorzystać.

Wysoki stopień niezawodności sprzętu do nurkowania z akwalungiem nie zwalniał nas z obowiązku noszenia wyposażenia zapasowego – w razie potrzeby każdy mógł ratować się sam. Wszyscy też wiedzieliśmy, jak pomagać sobie nawzajem. Uczyliśmy się tego bowiem na różnych kursach organizowanych przez Sekcję Nurkowania Jaskiniowego Krajowego Towarzystwa Speleologicznego (Cave Diving Section of National Speleological Society, NSS CDS), sponsora wyprawy do Giant Cave (Jaskinia Olbrzymia) w Belize, w 1982 roku. Do zespołu instruktorów i członków NSS CDS uczestniczących w tej ekspedycji należeli Paul Heinerth i Shannon Heinerth, odkrywcy Jaskini Olbrzymiej, Bill Fehring, Sandy Fehring, Mary Ellen Eckhoff i ja.

Dołączyłem do moich towarzyszy w wielkiej sali, ułożyłem dłoni w świetle latarki, by wszyscy dobrze ją widzieli, i dałem znak: „Nic mi nie jest”. W jaskini panowała całkowita cisza, przerywana jedynie przytłumionym bulgotem pęcherzyków powietrza, które wypuszczaliśmy przy oddechu. Spojrzałem na Mary Ellen, by sprawdzić, czy i ona czuje się dobrze. Jej błękitne oczy lśniły z podniecenia. Obróciła się w miejscu i poprowadziła nas w głąb jaskini. Powoli poruszaliśmy płetwami, sunąc przez las olbrzymich stalagnatów. Swoboda ruchów, którą zawdzięczaliśmy brakowi grawitacji, była upajająca, wszyscy jednak czuliśmy lekki niepokój wywołany świadomością, że znajdujemy się w zupełnie obcym nam środowisku, gdzie w każdej chwili możemy zginąć. Co kilka sekund musieliśmy odrywać się od cudownych widoków, by wykonywać rutynowe i nużące procedury decydujące o naszym przetrwaniu: sprawdzić, ile jeszcze zostało powietrza, sprawdzić, czy nasi partnerzy nie potrzebują pomocy, sprawdzić liny, by mieć pewność, że nie oddaliliśmy się od poręczówki prowadzącej do wyjścia z jaskini.

-27 m = głębokość w metrach
odl = odległość od bazy w metrach



GIANT CAVE BELIZE

Odkryta przez Paula Heinertha, Shannona Heinertha. Zbadana przez zespół w składzie:
Mary Ellen Eckhoff, Sheck Exley, Bill Fehring, Sandy Fehring,
Paul Heinerth, Shannon Heinerth.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami Mary Ellen i ja skręciliśmy w boczną odnogę, pozostali zaś popłynęli dalej wzdłuż jaskini, by zbadać następny tunel. Nasza odnoga była znacznie węższa niż mierzący ponad 30 metrów szerokości główny korytarz. Niemniej był to imponujący tunel o średnicy 4,5 metra usiany tysiącami stalaktytów. Wkrótce rozwinęliśmy do końca starą poręczówkę i Mary Ellen wyjęła nowy kołowrotek z nylonową linką o grubości półtora milimetra. Przywiązała ją do końca starej liny, unosząc się mniej więcej trzy metry nad dnem jaskini, po czym ruszyła dalej, by stawić czoło nieznanemu.

Płynęliśmy teraz w miejsce, gdzie nie dotarł jeszcze żaden człowiek, co było przywilejem danym tylko nielicznym badaczom podmorskich głębin i kosmicznej otchłani. W pewnym sensie emocje przeżywane przez grotolaza są większe od tych, których doświadczają astronauta lub badacze morza. W erze teleskopów, sond kosmicznych i akustycznych oraz zdalnie sterowanych robotów z kamerami odkrywcy ci mogą wcześniej ujrzeć miejsce, do którego zmierzają, grotolazi natomiast wędrują w nieznanne. Co więcej, w odróżnieniu od grotolazów badających jaskinie wypełnione powietrzem nurkowie jaskiniowi nie muszą zadręczać się przypuszczeniami, że być może w odkrytym przez nich miejscu był już kiedyś jakiś prehistoryczny Indianin z pochodnią w ręku – technologia umożliwiająca badanie zatopionych jaskiń liczy sobie zaledwie trzydzieści lat.

Mary Ellen prowadziła nas w głąb nowego tunelu, mocując jednocześnie poręczówkę. Lina wskazywała nam drogę powrotną do wejścia do jaskini na wypadek, gdyby zepsuły się latarki albo woda nagle zmętniała (płynąc zbyt blisko dna, moglibyśmy poruszyć zalegający na nim muł). Kiedy sunęliśmy powoli wzdłuż ciemnego tunelu, zastanawiałem się, dokąd w końcu trafimy. Czy przepłyniemy kilkaset metrów na wschód, aż pod pobliską wyspę, czy też za następnym rogiem znajdziemy kolejną olbrzymią jaskinię. Nagle Mary Ellen odwróciła się i pomachała latarką, by przyciągnąć moją uwagę. Wskazała na przytłumione światło z przodu. Czyżbyśmy znaleźli nowe wejście do jaskini?

Zagadka wyjaśniła się po chwili, gdy przytłumiony blask przybrał na sile i zamienił się w światła latarek naszych pozostałych towarzyszy. Tunel, którym płynęli, i nasze przejście łączyły się ponownie, tworząc pętlę o długości kilkuset metrów. Po powitaniach i uściskach dłoni sprawdziłem wskazanie manometru i przekonałem się, że zostały mi jeszcze dwie trzecie początkowego zapasu, co – jak ustaliłem już wiele lat wcześniej – w przypadku nurka jaskiniowego stanowiło sygnał do powrotu. Pokazałem wszystkim podniesione kciuki, dając im sygnał do powrotu, po czym całą szóstką ruszyliśmy w drogę powrotną, w głąb korytarza, którym dotarliśmy tutaj z Mary Ellen. Płynąc do wyjścia, mierzyłem długość, głębokość zanurzenia oraz kierunek poręczówki i

zapisywałem te dane na podwodnej tabliczce, by potem nanieść je na naszą mapę Jaskini Olbrzymiej.

Nim wróciliśmy do wąskiego przejścia, kierunek ruchu podwodnej windy się zmienił. Teraz prąd pchał nas w górę, ku powierzchni morza. Taka zmiana, wywołana regularnymi pływami, zachodzi w większości jaskiń otwartych na morze. Nie mogliśmy jednak pozwolić, by prąd wyniósł nas na samą górę. Choć nurkowanie trwało tylko godzinę, dotarliśmy w pewnym momencie na głębokość 27 metrów, musieliśmy więc zatrzymać się na kilka minut na głębokości trzech metrów, żeby wyrównać gradient ciśnień między azotem rozpuszczonym we krwi a ciśnieniem otoczenia. Gdybyśmy wypłynęli zbyt szybko, azot zamieniłby się w pęcherzyki i wywołał chorobę dekompresyjną grożącą kalectwem. Korzystamy z wodoodpornych tabel dekompresyjnych, wyliczając na ich podstawie czas, który musimy spędzić pod wodą przed wynurzeniem. Dłuższe i głębsze nurkowanie wymusza zwiększenie tego okresu.

Kilka godzin później dojadłem resztki pysznego homara z kolacji i przebierałem palcami u nóg w miękkim piasku, którym wysypana była podłoga krytej strzechą chaty na Caye Walker. Jednocześnie nanosiłem najnowsze dane na naszą mapę jaskini. Paul pacnął komara brzęczącego w ciepłym wieczornym powietrzu, po czym pochylił się nad mapą.

– Wygląda jak ośmiornica! – rzucił z charakterystycznym akcentem mieszkańca Quebecu.

Tunele odbiegające od jaskini rozciągały się we wszystkich kierunkach niczym macki ośmiornicy.

– Największa ośmiornica, jaką w życiu widziałem – zauważył Bill, oceanolog.

– A do tego największa jaskinia morska – dodałem, kończąc obliczenia.

– Co? – Cała szóstka pochyliła się nad moimi notatkami, by sprawdzić prawidłowość obliczeń. Tak, Jaskinia Olbrzymia z Belize była dłuższa niż licząca ponad półtora kilometra Green Bay Cave z Bermudów uznawana dotychczas za najdłuższą słonowodną jaskinię świata. Co więcej, całkowita długość wszystkich macek Jaskini Olbrzymiej wynosiła ponad trzy tysiące metrów, a więc prawie dwa razy więcej niż system jaskini Green Bay.

– Wiecie co, taka wielka ośmiornica bez trudu pożarłaby nas wszystkich – stwierdziła Mary Ellen, wskazując na mapę.

– Albo kościół – dodał Paul, otwierając nożem nurkowym puszkę piwa.

– Co masz na myśli?

– Podobno wiele lat temu, podczas huraganu, zniknął kościół stojący na tej plaży.

– Pewnie zwiało go do morza.

– Nie, bo zniknęły też fundamenty. Znaleźli tylko dziurę w ziemi, o tutaj –

wyjaśnił Paul, sięgając nożem do mapy i wskazując punkt tuż obok pętli, którą przepłynęliśmy tego dnia.

– Ale nie widzieliśmy tam żadnych dodatkowych tuneli – zaprotestowałem. – Pewnie wpadł do jakiegoś leja, który nie łączy się z jaskinią.

Następnego dnia podzieliliśmy się na dwa trzyosobowe zespoły. Paul, Mary Ellen i ja badaliśmy południową część jaskini, w pobliżu pętli, którą znaleźliśmy poprzedniego dnia. Kilka minut po tym, jak zeskoczyliśmy z zodiaka (pontonu) Paula, trafiliśmy ponownie do jaskini i gapiliśmy się w niemym podziwieniu na olbrzymi stalaktyt o średnicy ponad trzech metrów, największy naciek jaskiniowy znaleziony do tej pory pod wodą. Chwilę później dostrzegłem ciemniejszy obszar na ścianie jaskini tuż za stalagnatem. Czyżby jednak był tam boczny korytarz?

Podpłynęliśmy bliżej i przekonaliśmy się ze zdumieniem, że otwiera się tam szeroki, niski tunel prowadzący dalej na południe. Paul przywiązał nową linę do pobliskiej skały i popłynęliśmy w głąb szerokiego na 6 metrów przejścia. Tunel miał tylko metr wysokości, odpychaliśmy się więc płetwami od sufitu, by nie wzburzyć zalegającego na dnie mułu. Pokonawszy kilkaset metrów, wypłynęliśmy za róg korytarza. W blasku latarki Paula ukazała się wielka hałda lśniącego białego piasku sięgająca sufitu. Szukając dalszej drogi, Paul popłynął najpierw na prawą stronę hałdy, potem zwinął linę i spróbował z lewej strony, jednak bez powodzenia.

Kiedy Paul odcinał linę od kołowrotka i przywiązywał ją do skały, dostrzegłem coś w piasku. Sięgnąłem do wnętrza lśniącej sterty, wyciągnąłem stamtąd tajemniczy przedmiot i pokazałem go Paulowi. Był to kawałek starej deski. Spojrzeliśmy na siebie i skinęliśmy głowami. Znaleźliśmy zaginiony kościół.

W Jaskini Olbrzymiej wciąż jednak kryją się inne tajemnice. Podczas ostatniego nurkowania popłynąłem wraz z Mary Ellen daleko w głąb wąskiego tunelu, który Mary nazwała Małym Światem. Wkrótce przekonaliśmy się, że Mały Świat ma tylko małą średnicę; nawet gdybyśmy zabrali ze sobą po cztery butle, nie byliśmy w stanie zbadać wszystkich małych grot, które ciągnęły się, jedna za drugą, na długości ponad sześciuset metrów od wejścia do jaskini. Jak daleko prowadzi ten korytarz? Dopóki nie zbada tego kolejna ekspedycja badawcza, nie będziemy wiedzieli, jaką właściwie długość ma najdłuższa jaskinia na świecie.

¹ Wąż niskiego ciśnienia, inaczej wąż LP (low pressure). Wąż łączący I stopień z manometrem to wąż wysokiego ciśnienia, czyli wąż HP (high pressure).

² Nurkowie jaskiniowi/techniczni używają również skrzydeł, których elementami są skrzydło, uprząż i

plyta.



Sheck



Sheck



Mary Ellen i Sheck w pobliżu Lime Sink w systemie jaskiń Katedry

ROZDZIAŁ 2

Skala się topi



urkowałem w jaskiniach, zanim jeszcze się urodziłem. W 1948 roku, kiedy moja matka była w ciąży, wybrała się na wycieczkę do jaskini Carlsbad w Nowym Meksyku. Czy jakiś ukryty wpływ tej wspaniałej jaskini odcisnął się na moim embrionalnym umyśle i sprawił, że zostałem badaczem jaskiń? Czy też moja fascynacja sportem uważanym przez wielu za najniebezpieczniejszy na świecie ma coś wspólnego z datą moich narodzin, *prima aprilis*?

Odpowiedź na oba pytania brzmi prawdopodobnie przecząco. Ponownie znalazłem się w jaskini dopiero po dziesięciu latach, gdy przyjechałem do Carlsbad na rodzinne wakacje. Nie wynikało to z braku zainteresowania z mojej strony, gdyż wraz z towarzyszami zabaw często wykopywałem jaskinie w miękkiej ziemi, w pobliżu mojego domu na Florydzie, by potem toczyć w nich udawane bitwy. Z niezrozumiałych przyczyn nabrałem wówczas przekonania, że jaskinie można znaleźć tylko w terenach górskich, takich jak Nowy Meksyk i Tennessee. Wyglądało na to, że na Florydzie mogę bawić się jedynie w Tarzana buszującego po niezliczonych bagnach tego stanu.

Wciąż tkwiąc w tym mylnym przekonaniu, w roku 1959 odwiedziłem po raz pierwszy, wraz z moją drużyną skautowską, słynne uzdrowisko Silver Springs na Florydzie. Zaopatrzony w tanią maskę i płetwy supermarketu zanurkowałem w krystalicznie czystych wodach i zachwyciłem się cudownym światem roślin i ryb, choć ze względu na narastający ból w uszach nie mogłem popłynąć głębiej niż na trzy metry. Jeden ze starszych skautów, Drew Conrad, wiedział, jak zrównoważyć ciśnienie w uszach, by uśmierzyć ból. Wskoczył pomiędzy ciasno stłoczone łodzie turystyczne o szklanych dnach i zniknął w błękitnej otchłani, gdzie miała początek rzeka Silver River przenosząca dziennie 95 000 metrów sześciennych wody. Chwilę później wynurzył się, zdyszany, i krzyknął:

– Tam na dole jest jaskinia!

Byłem zdumiony. Jaskinie pod wodą? I to w pozbawionej gór Florydzie? Niemożliwe! Nie mogłem też zrozumieć, skąd w samym środku podzwrotnikowego bagna pojawia się nagle prawdziwa rzeka.

– Skąd wypływa ta woda? – spytałem, gdy Drew złapał już oddech.

– Z jaskini, oczywiście.

– Rozumiem, ale skąd w takim razie bierze się w jaskini? – wypytywałem.

– Wypływa ze skały – oświadczył stanowczo i odwrócił się, jakby chciał już odpłynąć.

Wciąż nieusatysfakcjonowany tą odpowiedzią chwyciłem go za nogę i przytrzymałem w miejscu.

– Jasne, ale jak to się dzieje?

Mój starszy przyjaciel spojrzał na mnie z irytacją i lekceważeniem zarazem.

– Skąła się topi, to oczywiste.

Dopiero znacznie później dowiedziałem się o tym, co Frank DenBlykker i Charles McNabb odkryli w Silver Springs zaledwie sześć lat przed moją wizytą: źródłisko powstało w wyniku działania deszczówki, wsiąkającej w ziemię i niosącej ze sobą słabe kwasy, które w końcu rozpuściły wapień i wydrążyły ogromne jaskinie oraz długie tunele. To właśnie tymi tunelami woda wracała na powierzchnię i tworzyła kryształowo czyste stawy, takie jak Silver Springs. Podczas nurkowania w styczniu 1953 roku odkryli, że Silver Springs to wejście do wielkiej jaskini, podobnej pod wieloma względami do jaskini, którą podziwiałem w Carlsbad. Jaskinia w Silver ma 18 metrów wysokości i 30 metrów średnicy, choć jest znacznie mniejsza od tej z Carlsbad i pozbawiona pięknych stalaktytów.

W bladym świetle latarek nurkowie dostrzegli olbrzymie głazy wielkości domów, pokryte czymś, co wyglądało jak wielkie kości. Kiedy rozradowani wrócili już na powierzchnię, namówili Billa Raya, właściciela kurortu, by popłynął tam z nimi, i wkrótce przekonali się, że skamieniałe szczątki to rzeczywiście kości olbrzymich mastodontów.

Wyprawa Franka i Charlesa była jednym z pierwszych nurkowań jaskiniowych z wykorzystaniem akwalungów przeprowadzonych w Stanach Zjednoczonych. O ile wiadomo uprzedził ich tylko nurek NSS (National Speleological Society, Krajowe Towarzystwo Speleologiczne), który rok wcześniej zanurkował w pobliskiej jaskini Jugg Hole. Nie znalazł tam wprawdzie mastodontów, ale przyniósł ze sobą dwie czaszki prehistorycznych aligatorów, które przekazał doktorowi Auffenbergowi z uniwersytetu Florydy. Amerykańscy nurkowie zapuszczali się już wcześniej do podwodnych jaskiń; dwa lata przed moimi narodzinami, w 1947 roku, Walter S. Chamberlain nurkował w jaskini Devil's Hole w Nevadzie, korzystając z hełmu nurkowego połączonego ze sprężarką na powierzchni, a jeszcze przed rokiem 1860 Abe Davis wykonywał mrozące krew w żylach nurkowania bezdechowe w Little River Springs na Florydzie. Jednak zarówno Chamberlain, połączony ze sprężarką sztywnymi przewodami powietrznymi, jak i Davis, dysponujący ograniczonym zapasem powietrza, nie mogli dokładnie zbadać podwodnych jaskiń.

Dopiero na początku lat 50., gdy do Stanów Zjednoczonych trafił akwalung wynaleziony przez Jacques'a-Yves'a Cousteau, amerykańscy nurkowie mogli na poważnie myśleć o prawdziwych wyprawach w głąb Ziemi. Ta dość późna data narodzin nurkowania jaskiniowego w USA może budzić pewne zdziwienie, gdy

weźmie się pod uwagę fakt, że Cave Diving Group (Grupa Nurkowania Jaskiniowego), brytyjski odpowiednik amerykańskiej NSS Cave Diving Section (Sekcja Nurkowania Jaskiniowego NSS), nurkowała już dziesięć lat wcześniej, korzystając z tlenowych automatów, podobnych do późniejszego wynalazku Cousteau. Artykuł opisujący działania brytyjskiej grupy opublikowano w „NSS Bulletin” już w 1947 roku. Tlenowy aparat oddechowy nigdy nie był szczególnie popularny wśród Amerykanów prawdopodobnie ze względu na opowieści o nurkach, którzy oddychając czystym tlenem, dostawali konwulsji i tonęli.

W czasie gdy DenBlykker, McNabb i inni nurkowie NSS dokonywali pionierskich nurkowań w znanych jaskiniach Kalifornii, Georgii, New Jersey, Teksasu, Wirginii i Florydy, ja dorastałem. Byłem zapatrzony we wszystkich najważniejszych bohaterów i sportowców, takich jak Frank Tarkenton, Lou Gehrig i Lawrence z Arabii, którymi zachwycali się wtedy amerykańscy chłopcy. Nie byłem jednak ani dość duży, ani dość szybki, by pójść śladem Tarkentona lub Gehriga, a urodziłem się za późno, by podróżować wraz z Lawrence’em przez pustynię. Dzięki temu oraz faktowi, że nauka nie sprawiała mi większych trudności, jako nastolatek miałem sporo wolnego czasu.

Zawsze uwielbiałem wodę. Podobnie jak wielu rodowitych mieszkańców Florydy nauczyłem się pływać tak wcześnie, że nawet tego nie pamiętam. Jednym z najpopularniejszych programów telewizyjnych w owym czasie był „Sea Hunt”, serial przygodowy o nurkowaniu z akwalungiem. Większość podwodnych scen wykorzystywanych w tym serialu kręcono w moim ukochanym Silver Springs. Tak się złożyło, że w miejscowym YMCA rozpoczynał się kurs nurkowania z akwalungiem prowadzony przez Kena Brocka, jednego z pierwszych certyfikowanych instruktorów w kraju. Postanowiłem się zapisać.

Nurkowanie egzaminacyjne, kończące kurs, odbywało się w Crystal River, olbrzymim źródłisku przy Zatoce Meksykańskiej na Florydzie. Był zimny, deszczowy dzień w lutym 1966 roku, nie oczekiwałem więc szczególnie przyjemnych doświadczeń, gdy wypływaliśmy z przystani. Zmagając się z gorączką i katarem, pomyślałem, że nurkowanie z akwalungiem w rzeczywistości nie jest wcale tak przyjemne, jak opisują je telewizyjne seriale. Przez moment zastanawiałem się, czy nie dać sobie z tym od razu spokoju, ale postanowiłem poczekać do ostatniego nurkowania, by odebrać chociaż świadectwo ukończenia kursu.

– Sheck, to jest Joe Prosser – powiedział Ken, kiedy zakotwiczyliśmy przy źródłisku. – Może zanurkujecie razem?

Odwróciłem się do Prossera i zrozumiałem, że spełniły się moje najgorsze obawy; moim partnerem był potężnie zbudowany facet o wielkich ciemnych

oczach, którymi patrzył groźnie na świat spod czarnych, krzaczastych brwi. Przez cały sześciotygodniowy kurs nie widziałem, by choć raz się uśmiechnął! Ponura pogoda nie zachęcała do rozmów, szybko więc zakładaliśmy sprzęt, nie zamieniając ze sobą ani słowa, podczas gdy ja przez cały czas zastanawiałem się, dlaczego Prosser jest tak wrogo nastawiony do świata. W końcu włożyłem maskę, skinąłem na niego głową i wskoczyłem do wody.

Ułamek sekundy później zanurzyłem się w innym świecie. Pierwszym doznaniem było zaskakujące ciepło. Woda w źródłisku ma zawsze temperaturę 22 stopni Celsjusza, więc bez względu na porę roku, czułem się w niej jak w ciepłej kąpieli, zważywszy na lodowaty chłód panujący na powierzchni. Jednak jeszcze większe wrażenie zrobiły na mnie doznania wizualne. Woda była równie przezroczysta jak powietrze, a skok pod jej powierzchnię przeniósł mnie w fascynujący świat wydętych żółto-zielonych wodorostów. Wśród okrytych gęstym listowiem gałęzi pływała masa jaskrawo ubarwionych, czerwonych, pomarańczowych i złotych ryb z pobliskiej Zatoki Meksykańskiej. Po prawej las wodorostów ustępował miejsca falującej równinie ciemnozielonej walisnerii, nad którą krążyły wielkie ławice pręgowanych pstrągów, lucjanów i leszczy. Żerujący nieopodal żółtawy małowany puścił do mnie oko, po czym schował się w trawie, pokazując mi na moment swój jaskrawożółty brzuch. W oddali grupa wielkich sumów przemknęła wśród traw nad krawędzią urwiska i zniknęła w błękitnej otchłani. W górze kołysały się zakotwiczone łodzie, które z tej perspektywy wyglądały jak olbrzymie balony.

Wkrótce wszyscy popłynęliśmy w stronę podwodnego urwiska i ukrytej za jej krawędzią tajemniczej otchłani. Po drodze przepłynąłem celowo przez sam środek wielkiej ławicy leszczy, które rozstały się przede mną niczym zasłona; szkarłatne ryby przyglądały mi się spokojnie, nie okazując cienia strachu. Wyciągnąłem rękę, by pogłaskać jedną z nich, jednak ryba obdarzona refleksem cztery razy szybszym od mojego bez trudu umknęła na bezpieczną odległość. Gdy wypłynęliśmy w końcu zza krawędzi urwiska, naszym oczom ukazała się rozległa panorama, głębokie, kremowe kaniony i wysokie skalne szczyty. Na moment ogarnęła mnie panika wywołana instynktownym lękiem wysokości, strach jednak szybko ustąpił miejsca odprężającemu poczuciu swobody i lekkości. Tutaj na dole byłem wolny jak ptak, mogłem unosić się bez wysiłku nad największą nawet przepaścią.

Przechyliłem się mocniej do przodu i ruszyłem w głąb podwodnego kanionu, pędząc śladem sumów ku kaskadzie białego piachu, położonej dziesięć metrów głębiej. Piaszczyste zbocze prowadziło jeszcze niżej, pod olbrzymią wapienną skałą, gdzie kryła się tonąca w mroku jaskinia. To właśnie zobaczył Drew w Silver Springs! W cienistym wejściu dojrzałem kilkanaście metrowych

węgorzy, które na mój widok szybko skryły się w skalnych szczelinach. Nie miałem światła, musiałem więc poczekać chwilę, aż mój wzrok przywyknie do ciemności. Pięć metrów wyżej pęcherzyki powietrza z mojego automatu uderzały w poszarpany skalny sufit, przesuwając się po jego powierzchni lśniącym niczym rtęć strumieniem i, wydostawszy się z jaskini, pędziły w szalonym tempie ku górze. Zastanawiałem się przez moment, czy ruch pęcherzyków powietrza nie naruszy równowagi podwodnego środowiska i czy nie zostaną pogrzebany pod lawiną skalnych odłamków. Szybko jednak pozbyłem się tego rodzaju obaw, ten niezwykle labirynt trwa przecież w niezmienionym stanie od tysięcy lat.

Bardziej niepokoił mnie fakt, że zostałem sam (rozstałem się z Joem, kiedy miałem kłopoty z przedmuchaniem uszu, czyli wyrównaniem ciśnienia w uszach). Po raz pierwszy w moim krótkim życiu zdany byłem wyłącznie na siebie, a świadomość ta napełniała mnie zarówno radością, jak i trwogą. Gdy oczy przywykły w końcu do ciemności, ruszyłem dalej w głąb jaskini i zatrzymałem się dopiero przy szarej skalnej ścianie, gdy głębokościomierz wskazał 18 metrów. W tym momencie oddałbym wszystko za latarkę, która pozwoliłaby mi dojrzeć, dokąd dalej prowadzi tunel. Czy sięgał jeszcze głębiej? Czy po drodze kryły się wielkie sale? A może rozgałęział się na mnóstwo mniejszych korytarzy, tworząc podwodny labirynt, którego dno zaścielały skamieniałe szczątki olbrzymich prehistorycznych zwierząt?

Z tych rozmyślań wyrwało mnie przybycie Kena zaniepokojonego faktem, że nie ma mnie wśród pozostałych uczestników kursu, którzy bawili się lesie wodorostów z dwoma przyjacielsko nastawionymi manatami (duże ssaki morskie spokrewnione z morświnami). Ken jednoznacznym, kategorycznym gestem wskazał najpierw na mnie, a potem na wyjście z jaskini, z ociąganiem ruszyłem więc w drogę powrotną, oglądając się raz po raz na olbrzymi, tajemniczy korytarz.

Gdy wróciliśmy do łodzi, Ken miał mnie już zbesztać za samotne oddalenie się od grupy, gdy dostrzegł w mym oku wymowny błysk.

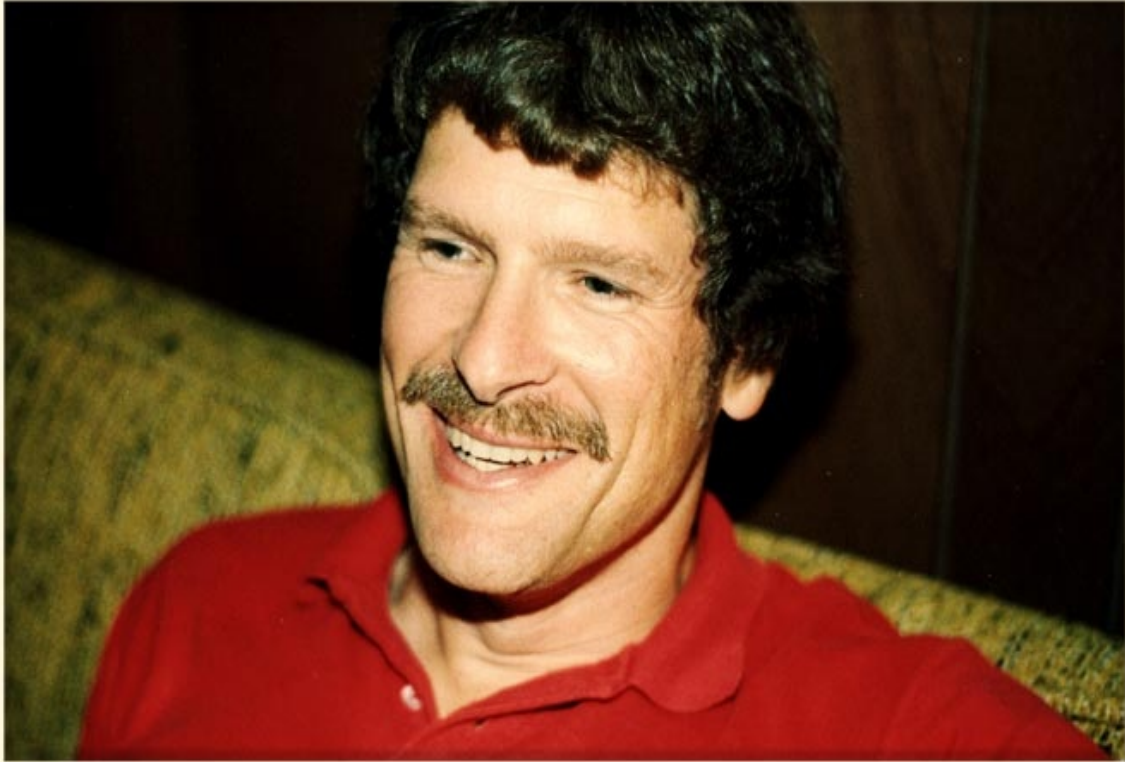
– Wzięło cię – stwierdził krótko.



Mary Ellen w jaskini Five Hole, obecnie części parku stanowego rzeki Suwannee



Drzemka Shecka w pobliżu rzeki Suwannee



Sheck

ROZDZIAŁ 3

Na granicy życia i śmierci



iskie wapienne wzgórze wyrastało kolistymi półkami z gęstej podzwrotnikowej dżungli zdominowanej przez majestatyczne, strzeliste dęby i cyprysy, okryte zielenią własnych liści i gęstych pnączy. Gęstwinę tę przecinała jasnoniebieska wstęga wody, która wytryskiwała spienioną fontanną ze źródłiska u podstawy wzgórza. Barwnie upierzone ptaki przelatywały z gałęzi na gałąź, nawołując się głośno i nurkując od czasu do czasu ku wodzie, w której chwytaly ryby. Wyobrażałem sobie, jak czuli się hiszpańscy żeglarze w XVI wieku, kiedy odkryli tę malowniczą rzekę Ichetucknee.

Było to pierwsze klubowe nurkowanie „Aquacks”, grupy zorganizowanej przez Kena Brocka, do której należało kilku spośród młodych absolwentów jego kursu, łącznie ze mną i Joem Prosserem. Do tej pory zdążyłem już lepiej poznać Joego, z którym nurkowałem i ucinalem pogawędki. Szybko zrozumiałem, że pod szorstką powłoką kryje się bratnia dusza, pełna młodzieńczego entuzjazmu i radości, spragniona nowych wrażeń, szczególnie nurkowania w jaskiniach. Kiedy już udało się nakłonić Joego do rozmowy i uśmiechu, trudno go było powstrzymać. Szczególnie bawiły mnie pojedynki na dowcipy i żartobliwe obelgi, którymi obrzucaliśmy się nawzajem, choć nigdy nie udało mi się wygrać z Joem słownej potyczki.

– Przy tym nurkowaniu z dna podnosiły się chmury mułu – prowokowałem go żartobliwym tonem.

– Tak, dzięki temu było widać, którędy płyniesz – odpowiadał bez chwili wahania.

Nad Ichetucknee zdążyliśmy zamienić tylko kilka podobnych zdań, nim wszyscy włożyliśmy sprzęt i zsunęliśmy się ze zbocza prosto do zimnej wody o temperaturze 22 stopni Celsjusza. Tak, woda miała tę samą temperaturę co w Crystal River podczas nurkowania, które wykonaliśmy kilka miesięcy wcześniej. Różnica polegała na tym, że nadeszła wiosna, a temperatura powietrza wzrosła do 27 stopni Celsjusza, teraz woda więc wydawała się nam zdecydowanie chłodniejsza. Płynąc gęsiego, przesuwaliliśmy się z prądem wzdłuż wąskiej wstęgi wody. Co jakiś czas zatrzymywaliśmy się na moment, by sprawdzić, czy na dnie nie leżą skamieniałości, i cieszyć oczy jaskrawą czerwienią wiosennych roślin porastających brzegi rzeki pod wodą.

Czterysta metrów od źródłiska natrafiliśmy nagle na znacznie większy strumień wpadający do rzeki z lewej strony. Po krótkiej, lecz męczącej wspinaczce na porośnięty walisnerią brzeg uczepiliśmy się powykręcanych korzeni cyprysu, by podziwiać w spokoju niezwykle spektakl: niemal 3 metry

sześcienną wodę na sekundę wypływały z otworu na dnie rzeki o średnicy półtora metra, tworząc na powierzchni gwałtowną kipieli uniemożliwiającą kotwiczenie łodzi w tym miejscu. Było to Jugg Hole, to samo źródło, w którym 15 lat wcześniej nurek NSS jako pierwszy Amerykanin dokonał nurkowania jaskiniowego przy użyciu akwalungu. Niewiele zmieniło się od tamtego czasu w kwestii sprzętu i procedur. Używaliśmy wprowadzanie automatów z jednym węzłem zamiast nietrwałych i zawodnych węży podwójnych, na tym jednak kończyły się wszelkie ulepszenia. Butla, pianka, bas balastowy, nóż mocowany do uda, głębokościomierz, latarka, maska, fajka i płetwy uzupełniały moje nurkowe wyposażenie podczas czwartego w moim życiu nurkowania jaskiniowego.

Jugg Hole, jak sama nazwa wskazuje³, ma kształt wielkiego dzbana, którego najwęższa część, czyli „szyjka”, zakończona jest otworem w dnie rzeki. Strumień kryształowo czystej wody wpływa na dno dzbana przez otwór prowadzący do serii ułożonych poziomo, niewielkich jaskiń połączonych wąskimi korytarzami, potem zaś kieruje się ku górze i wpływa do rzeki przez szyjkę.

Podpłynąłem nad dnem rzeki do szyjki dzbana, a potem przesunąłem się nieco ku górze, by opaść w środek otworu stopami w dół. Pomyślałem, że przecież nikt nie zeskakuje z drzewa na główkę, a skoro chciałem opaść na dno dzbana, położone 11 metrów niżej, powinienem wylądować tam na stopach, a nie na głowie. Niestety, po raz kolejny przekonałem się, że pod wodą rządzą inne prawa, gdy potężny strumień wody wyrzucił mnie w górę niczym pocisk rakietowy. Na szczęście pamiętałem o tym, by podczas wynurzania wypuścić powietrze z płuc, dzięki czemu uniknąłem choroby nurków zwanej zatorom powietrzny lub barotraumą płuc (chorobę tę wywołuje powietrze, które zwiększa gwałtownie swoją objętość w miarę, jak maleje ciśnienie wody oddziałujące na ciało nurka).

Następna próba, którą wykonałem już głową w dół, bym mógł przesunąć się do przodu za pomocą płetw, była nieco bardziej udana, zdołałem bowiem przez chwilę dojrzeć kuszącą biel piasku na dnie dzbana. Nim jednak przedostałem się na drugą stronę szyjki, opadłem z sił, a potężny prąd znów wyrzucił mnie na zewnątrz. Kiedy odpoczywałem na dnie, próbując uspokoić oddech, zobaczyłem, jak inny nurek wykonuje prawidłowe wejście do jaskini: głową w dół, z ręką wyciągniętą do przodu, którą podciągał się po skalnej ścianie niczym alpinista odwrócony do góry nogami.

Nie było to łatwe, w końcu jednak udało mi się dotrzeć do zaskakująco spokojnego obszaru na dnie dzbana. Tutaj woda prawie się nie poruszała, a kilkunastu nurków pływało dookoła ze swobodą, która kontrastowała z

gwałtownością prądu sunącego przez szyjkę dzbana. Szeroki, roziskrzony strumień słonecznego blasku wpływający do wnętrza jaskini przez otwór szyjki, zapewniał dość światła, by każdy z nas mógł bez problemów penetrować różne zakamarki jaskini w poszukiwaniu prehistorycznych szczątków na jej dnie (dopiero wtedy odkryłem, że dno dzbana wcale nie jest pokryte piaskiem, lecz milionami maleńkich, białych muszelek pozostałych po niezliczonych pokoleniach ślimaków, które żyły w źródliku). Zanim zdążyłem na dobre się rozejrzeć, poczułem, że oddycha mi się coraz trudniej. To znak, że kończą się zapasy powietrza w mojej butli. Szybko sięgnąłem do przełącznika, który uruchamiał niewielką rezerwę powietrza, i przygotowałem się do wynurzenia.

Nagle przyszedł mi do głowy świetny pomysł – przynajmniej wtedy wydawał mi się świetny. Popłynę do otworu prowadzącego do serii poziomych jaskiń i pozwolę, by wypływający z nich prąd uniósł mnie ku szyjce dzbana i wypchnął na powierzchnię. Głębokość i czas zanurzenia nie wymagały, bym robił po drodze przystanki dekompresyjne, czemu więc nie miałbym wykorzystać wody jako naturalnej windy?

Niestety, woda rzadko przepływa przez jaskinie w linii prostej. Strumień, który miał mnie spokojnie ponieść ku wyjściu, raz po raz rzucał mną o ściany jaskini, a każde zderzenie zostawiało na moim ciele ślad w postaci guza lub siniaka. Za którymś razem zaczepiłem fajkę o skalny występ, a maska częściowo zsunęła się z mojej twarzy, oślepiając mnie i zalewając nozdrza wodą. W końcu wyleciałem bezwładnie z otworu jaskini, co dla Joego i pozostałych nurków stanowiło zapewne komiczny widok.

Mnie jednak wcale nie było do śmiechu, bo gdy woda zalała mi maskę, omal nie wpadłem w panikę. Nowicjusz, który dopiero po raz czwarty nurkuje w jaskini, a ma za sobą zaledwie osiem nurkowań z akwalungiem, nie jest psychicznie przygotowany do sytuacji, gdy mocny strumień rzuca nim o skalne ściany, a woda zalewa mu maskę i wpycha się do nozdrzy. Właściwie nie groziło mi żadne niebezpieczeństwo, lecz przez kilka sekund wyobrażałem sobie, że jest inaczej, a to wystarczyło, bym znalazł się niebezpiecznie blisko granicy ślepego, obezwładniającego strachu, który może zabić w każdej sytuacji, bez względu na realne zagrożenie.

Przed przyjściem lata Joe i ja nurkowaliśmy już co weekend i opuszczaliśmy obiady w szkole, by zdobyć pieniądze na benzynę do naszego „garbusa”, który woził nas na wspólne wyprawy. Kupiliśmy przewodnik nurkowy, opisujący kilkadziesiąt najbardziej znanych podwodnych jaskiń, i jeździliśmy od jednej do drugiej, skreślając te, w których już byliśmy. Zdarzały się dni, kiedy nurkowaliśmy w sześciu, a nawet ośmiu jaskiniach, co nie było szczególnie trudnym osiągnięciem, gdyż nurkowania te nie trwały długo. Odległość

pokonywana podczas typowego nurkowania jaskiniowego w 1966 roku ograniczała się do 60 metrów, podczas nurkowania długiego była ona dwukrotnie większa, a rekord świata, ustanowiony cztery lata wcześniej przez Johna Harpera w Hornby Springs, wynosił niewiele ponad 300 metrów. Gdzieś po drodze niezauważalnie zamieniliśmy się z nowicjuszy w weteranów. O takiej przemianie może mówić nurek, który potrafi odprężyć się w wodzie i przyzwyczaiał się do swojego sprzętu do tego stopnia, iż ten wydaje mu się przedłużeniem jego ciała. Wiele razy w kryształowych wodach poszczególnych źródeł czułem się tak swobodnie, że byłem niemal całkiem przekonany, iż mógłbym wyjąć z ust automat i oddychać wodą.

W pewien lipcowy weekend szukałem Peacock Spring, gdyż opis tego miejsca zamieszczony w przewodniku wydał mi się szczególnie intrygujący. Towarzyszył mi mój brat Edward, który później został jednym z najaktywniejszych członków Aquacks. Wtedy jednak wcale nie palił się do nurkowania.

– Czy myśmy już tędy nie jechali? – marudził, gdy nasz „garbus” telepał się po dziurawej jak sito gruntowej drodze.

– Może, ale nie z tej strony. Nie przypominam sobie takich głębokich kolein.

Bach! Nasz mały, wysłużony samochód nagle jęknął żałośnie, a atmosfera w jego wnętrzu zauważalnie zgęstniała.

– Och, świetnie, po prostu cudownie, Slick. – Edward zawsze mówił do mnie „Slick”, jakby imię „Sheck” parzyło mu język. Choć był ode mnie młodszy o ponad trzy lata, miał już ponad 180 cm wzrostu, nie próbowałem więc nawet uciszać go, używając fizycznych środków przymusu.

– Nie martw się, znajdziemy to. W książce było przecież wyraźnie napisane, że mamy jechać najbardziej uczęszczaną drogą gruntową do wysypiska śmieci i skrócić w prawo – mówiłem, zaciskając zęby, gdy samochód wjeżdżał w kolejne dziury – ...a musisz przyznać, że ta droga wygląda na bardzo uczęszczaną. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego nie znaleźliśmy jeszcze wysypiska śmieci.

– Jeśli wjedziesz w jeszcze jedną taką dziurę, nasz samochód zamieni się w wielki śmieć.

Zahamowałem gwałtownie, gdy droga niespodziewanie skończyła się na skraju wysokiego, piaszczystego brzegu, który opadał stromo ku brązowym wodom rzeki Suwannee.

– Cholera. Znów ślepy zaulek.

– Tak, ale co tam jest po prawej?

Na pagórku po naszej prawej stronie znajdował się owalny staw wypełniony czystą, błękitną wodą, która spływała do odległej o niecałe 30 metrów rzeki.

– Co o tym myślisz, Slick?

– Cóż... – mruknąłem, ocierając pot z czoła. – Na pewno nie jest to Peacock, ale jest chłodne i mokre...

Kilka minut później byłem już pod wodą. Źródłisko było czyste, ale pozbawione podwodnej roślinności, wymywanej zapewne co pewien czas przez wodę wracającą z rzeki. Kilka wielkich sumów przemknęło przez staw i zerkąło na mnie zza podwodnych głazów. Nie chcąc niepokoić moich płetwiastych przyjaciół, przepłynąłem obok głazów do wąskiego korytarza ukrytego pod korzeniami wielkiego dębu. Hm, oczekiwałem chyba zbyt wiele, sądząc, że właśnie odkryłem nową jaskinię. Większość źródeł i jaskiń na Florydzie jest zasypana piachem i żwirem albo ma wejścia tak wąskie, że nie da się przez nie przecisnąć. Ja jednak podpłynąłem do dębu, by się o tym naocznie przekonać. Pod korzeniami znajdował się wielki blok czystego białego wapienia, a poniżej... jaskinia!

Szczelina prowadząca do jaskini miała półtora metra długości, ale tylko 60 centymetrów szerokości, dokładnie tyle, ile trzeba, bym zmieścił się tam wraz z jedną butlą. Była zaskakująco płytka, przy wejściu miała bowiem tylko dwa metry głębokości, wkrótce jednak ześliznąłem się w dół kamienistego zbocza do małej groty położonej na głębokości ośmiu metrów. To było zupełnie nowe przeżycie – nurkowanie w źródłisku, które nie zostało opisane w żadnym przewodniku ani zbadane przez żadnego z moich przyjaciół – nie wiedziałem więc, czego mam się spodziewać.

Przez chwilę badałem otoczenie, oświetlając je latarką, aż wreszcie znalazłem źródło wody, szeroką szczelinę o wysokości zaledwie 30 centymetrów, ułożoną poziomo na głębokości sześciu metrów. Po raz pierwszy dotarłem tam, gdzie wcześniej nie pojawił się żaden człowiek. Czułem dziwną mieszankę podniecenia i strachu przed nieznanym. Wahałem się przez chwilę, lecz w końcu ciekawość wzięła górę, jak zawsze w moim przypadku. Spróbowałem wcisnąć się do wnętrza zacisku (tak nurkowie jaskiniowi nazywają ciasne, wąskie przejścia), obracając ciało raz w jedną, raz w drugą stronę. Za ciasno. Zacząłem zdejmować butlę, żeby jeszcze bardziej zmniejszyć swoje rozmiary, wtedy jednak odezwał się w mojej głowie trzeci głos – głos rozważli. Podpowiadał mi, że jeśli przecisnę się dalej, mogę utknąć na dobre i stracić butlę porwaną przez prąd albo też zabłądzić, bo miałem tylko jedną latarkę, a przy tym nie zabrałem ze sobą liny. Zawróciłem więc do wyjścia, choć na odchodnym spojrzałem raz jeszcze na kuszącą, nieznaną ciemność ukrytą w głębiach szczeliny.

Dopiero rok później mogłem stwierdzić z całą pewnością, że ta jaskinia, znana jako Running Springs, rzeczywiście nie była nigdy badana przed moim nurkowaniem. Ta świadomość nappełniła mnie ogromnie satysfakcjonującą i dziwną dumą. Satysfakcjonującą, bo czułem tajemniczą bliskość, więź z tym

miejszem, jakbym był jego posiadaczem. Dziwną, bo jaskinia istniała tysiące lat, nim się w niej pojawiłem, i miała jeszcze istnieć przez następne tysiąclecia po moim odejściu, a cały ten incydent, choć dla mnie szalenie doniosły, dla niej nie miał najmniejszego znaczenia.

Dwa tygodnie później dotarłem w końcu do Peacock Spring w towarzystwie Tommy'ego Hawkinsa. Tommy, chudy okularnik, był najmniejszym i najtwardszym nurkiem w naszym klubie. Tę pozorną sprzeczność wyjaśniała znajomość karate shotokan, którym w końcu zainteresował także Joego i mnie. Wkrótce wszyscy trzej zaczęliśmy uczęszczać na treningi karate. Robiliśmy to z entuzjazmem, który ustępował tylko naszemu zamiłowaniu do nurkowania. W czasach studenckich zdobyliśmy czarne pasy. Karate okazało się wielce przydatne w naszej karierze nurkowej, znacznie poprawiło bowiem naszą kondycję fizyczną, zwiększyło siłę woli i umiejętność koncentracji.

Wcześniej tego samego dnia Tommy i ja dokonaliśmy najgłębszego do tej pory nurkowania w naszej karierze – zeszliśmy w pobliskim Orange Grove Sink na głębokość 40 metrów. Podczas tej eskapady nasza poręczówka o długości 60 metrów ześliznęła się z puszki po kawie, która służyła nam za kołowrotek, i poplątała się pod wodą, tworząc niebezpieczną, pajęczą sieć. Udało nam się jednak nie zaplątać w tę pułapkę i po wynurzeniu zebrać splątaną linkę. Nauczeni doświadczeniem postanowiliśmy więc nie używać liny w Peacock Spring. Przed drugim nurkowaniem wymieniałem butlę na nową, a Tommy miał tylko tyle powietrza, ile zostało mu po zanurzeniu w Orange Grove Sink.

Woda w Peacock Spring była równie błękitna i przejrzysta jak woda w Jugg Hole, tyle że pozbawiona mocnego prądu, który dominował w tamtym źródle. Staw obwiedziony liśćmi lilii wodnej wyglądał jak spokojna, parkowa sadzawka. Sączył się z niej powoli niewielki strumień wody, który spływał po łagodnym zboczu długości półtora kilometra i wpadał do rzeki Suwannee. Tylko ciemnoniebieska szczelina, ciągnąca się pod wapienną półką wzdłuż jednego z brzegów, świadczyła o tym, że ten niepozorny zbiornik kryje coś więcej.

Zanurkowawszy do szczeliny o głębokości 4,5 metra, zobaczyliśmy kolejną, tym razem poziomą szczelinę o długości sześciu metrów i wysokości zaledwie metra. Pokryte mułem dno szczeliny opadało ku jaskini w kształcie nerki, mierzącej 18 metrów szerokości i 3 metry wysokości, która na głębokości około 15 metrów zamieniała się w pionową studnię. Całą grootę wypełniał przytłumiony blask słońca odbity od skał przy wejściu, który nadawał jej szafirowy odcień. Nazwaliśmy ją Błękitną Komnatą. Opuściliśmy się w dół studni, na głębokość 20 metrów, gdzie znaleźliśmy imponujący, poziomy korytarz o średnicy około trzech metrów. Tutaj nie docierały już promienie słońca, musieliśmy więc polegać wyłącznie na świetle naszych latarek.

W tym momencie Tommy'emu zaczęło kończyć się powietrze, uruchomił więc rezerwowy zapas i z ociąganiem ruszył w drogę powrotną. Towarzyszyłem mu do wyjścia, asekurując go, po czym wróciłem samotnie do labiryntu na głębokości 20 metrów. Jedynym źródłem światła, jakim dysponowałem, była latarka z trzywattową żarówką, której używałem już od kilku miesięcy i od tego też czasu nie zmieniałem w niej baterii. Choć światło nie było mocne, rozpraszało nieco ciemności i pozwalało zajrzeć w głąb kremowego tunelu, w którym nie dostrzegałem żadnych śladów ludzkiej obecności. Płaskie dno pokryte było miękkim, brunatnym szlamem, który wzbijał się, gdy zbytnio się do niego zbliżyłem, tworząc gęstą, nieprzeniknioną chmurę błota. W tym czasie jeszcze nikomu nie śniło się o kamizelce wypornościowej (wynaleziono ją wiele lat później), aby więc utrzymać się nad dnem, musiałem bardzo szybko płynąć, trzymając głowę wyżej niż stopy.

Pokonawszy w ten sposób 30 metrów, zmęczyłem się i opadłem na dno, by odpocząć. Po mojej prawej stronie otwierał się równie szeroki korytarz prowadzący w przeciwnym kierunku, podczas gdy mój tunel zakręcał w lewo i rozdzielał się na trzy identyczne przejścia. Orientację utrudniały też kolejne korytarze, które przecinały trzy główne przejścia w równych odległościach, tworząc prawdziwy labirynt. Podekscytowany uświadomiłem sobie nagle, że ta jaskinia jest całkiem inna niż Crystal River, Jugg Hole, Running Springs i wszystkie jaskinie, w których nurkowałem do tej pory, i zawsze kończyły się one zbyt szybko lub były zbyt małe, by zasługiwały na poważną eksplorację. Nie przejmując się oczywistym zagrożeniem, ruszyłem naprzód, w głąb środkowego korytarza pchany pragnieniem ujrzania tego, co kryło się za następnym zakrętem. Przy każdym rozgałęzieniu tuneli przystawałem na moment i oglądałem się za siebie, próbując zapamiętać drogę powrotną. Wkrótce znalazłem się 120 metrów od wejścia do jaskini, która to odległość w tamtych czasach wydawała się znacznie większa niż teraz. Właściwie było to najdłuższe nurkowanie, jakiego dokonałem do tej pory.

Zwalczywszy pokusę, która ciągnęła mnie dalej w głąb tuneli, zawróciłem i ruszyłem w drogę powrotną. Wkrótce dotarłem do pierwszego rozgałęzienia i przystanąłem, zastanawiając się, którym z tuneli tu dotarłem. W bladym świetle mojej latarki oba wyglądały identycznie. Uświadomiłem sobie nagle ze strachem, że podniecony odkrywaniem coraz to nowych przestrzeni zapomniałem, którędy prowadzi droga do wyjścia. Jakby tego było mało, nie miałem pojęcia, ile jeszcze zostało mi powietrza i energii w bateriach latarki.

Wybrałem tunel po prawej i dopłynąłem do następnego skrzyżowania, potem do jeszcze jednego. Czy ten labirynt nie miał końca? Dotarłem do tunelu zamkniętego kamienną ścianą i spojrzałem w górę przekonany, że zobaczę tam

rynnę prowadzącą do Błękitnej Komnaty. Tymczasem moim pełnym niedowierzania oczom ukazał się szary, skalny sufit. Dopiero teraz dotarła do mnie przerażająca prawda: zabłądziłem.

Wróciłem do pierwszego rozgałęzienia i skręciłem w lewo, potem raz jeszcze i... kolejny ślepy zaułek. Kiedy spojrzałem w górę, znów zobaczyłem tylko płaską, szarą powierzchnię kamienia, przeciętą wąską szczeliną. Gdy ponownie zawróciłem, powietrze w automacie zaczęło przepływać z coraz większym trudem, co oznaczało, że zostało mi jeszcze tylko kilka minut życia, i to przy założeniu, że wciąż dysponuję rezerwą powietrza, której nie uruchomiłem wcześniej przez przypadek, błądząc w podwodnym labiryncie. Ogarnięty paniką kręciłem się niezdecydowanie po tunelu, wzbijając tumany szlamu. Modliłem się w duchu „Proszę, nie pozwól mi umrzeć” i złożyłem nawet jakąś obietnicę, o której później skwapliwie zapomniałem.

Po chwili ochłonąłem nieco, być może za sprawą determinacji i chęci przetrwania, być może – co bardziej prawdopodobne – dzięki wyciszeniu, jakie daje pogodzenie się ze śmiercią. Postanowiłem, że zamiast kontynuować rozpaczliwie poszukiwania drogi powrotnej, spróbuję popłynąć w górę wąskiej szczeliny w suficie korytarza.

Kiedy przeciskałem się w górę, stwierdziłem z nadzieją, że zacisk rzeczywiście prowadzi dalej, poza zasięg mojego wzroku. Wkrótce jednak zrobił się jeszcze węższy, a ja musiałem więc się niczym robak i wbijać palce w skałę, by brnąć dalej w górę. Byłem tak ściśnięty, że nie mogłem nawet wypiąć w pełni piersi i zaczerpnąć powietrza. Ręka, w której trzymałem latarkę, tkwiła uwięziona przy moim boku, nie pozwalając nawet oświetlić drogi. Kiedy spojrzałem w górę, wydawało mi się, że dostrzegam w oddali jakiś blask. Natchniony nadzieją ruszyłem w górę ze zdwojoną energią i po chwili wpłynąłem do Błękitnej Komnaty zupełnie inną drogą, niż ją opuściłem.

Podczas następnego weekendu postanowiliśmy wraz z Tommym wybrać się do Ginnie Springs, kolejnej jaskini opisanej w naszym przewodniku. Piaszczysta droga zaprowadziła nas na tereny zalewowe rzeki Santa Fe, głównego dopływu Suwannee. Teren zalewowy był w rzeczywistości bagnem, porośniętym gęsto cyprysami, i piaszczysta droga zamieniła się w grzęzawisko. „Garbus” to auto, którym niełatwo się zakopać, przystanąłem jednak, by sprawdzić głębokość kolein. Tommy, jak zawsze poważny, wykorzystał tę okazję, by przypomnieć mi o nauczce, którą otrzymałem poprzedniego tygodnia.

– Przypuszczam, że tym razem zabierzemy poręczówkę, nawet jeśli może się zaplątać – oświadczył.

– Dobrze przypuszczasz – odparłem. Za nic w świecie nie chciałem zgubić się ponownie w podwodnym labiryncie.

Wkrótce zatrzymaliśmy się ponownie, gdyż nasz samochód utknął po osie w błocie. Na szczęście przed nami w Ginnie Springs bawili jacyś inni nurkowie, którzy pomogli nam wydobyć „garbusa” z bagna i przepchnąć go na twardszy grunt.

Szybko włożyliśmy skafandry i wskoczyliśmy do wody, by się ochłodzić. Podczas dotychczasowych wizyt w różnych źródłiskach i jaskiniach przywykliśmy do czystej wody, jednak woda w Ginnie Springs wydawała się bardziej krystaliczna, równie przejrzysta, jak powietrze. Co więcej, ściany jaskini były śnieżnobiałe i odbijały światło naszych latarek, posyłając je na znaczną odległość w głąb tunelu. Mogliśmy cieszyć się widocznością lepszą niż podczas któregośkolwiek z dotychczasowych nurkowań. Tommy prowadził nas od poziomego wejścia, położonego na głębokości 4,5 metra, w dół pochyłego korytarza, który łączył się z kopulastą jaskinią o średnicy około 12 metrów, zwaną Salą Balową. Nawet stąd, z głębokości 20 metrów, widziałem wyraźnie każdy liść walisnerii przy wejściu odległym o ponad 30 metrów.

Po drugiej stronie Sali Balowej biały piach i kamienne dno opadały niżej, do nieregularnego korytarza, który na głębokości 23 metrów wracał do poziomu. Tunel rozgałęział się i zamieniał w labirynt wąskich korytarzy o wysokości metra, w który z pewnością nie odważyłbym się zapuścić, gdyby nie linka Tommy’ego. Niestety, lina skończyła się w momencie, gdy jaskinia zaczęła nas naprawdę intrygować. Na dnie ciągnących się przed nami tuneli nie było widać żadnych śladów płetw, a ściany nie nosiły śladów zadrapań, co oznaczało, że dotąd nie zapuścił się tu jeszcze żaden nurek.

Oczarowany pięknem tego miejsca pokazałem Tommy’emu, żeby został przy poręczówce i pozwolił mi popłynąć trochę dalej. Tommy nie wyglądał na zachwyconego tym pomysłem. Przystał jednak na tę propozycję, ponieważ i on ciekaw był, co kryje się przed nami. Przykre doświadczenie z Peacock nauczyło mnie przynajmniej tyle, że postanowiłem nie zapuszczać się w boczne korytarze. Od czasu do czasu oglądałem się za siebie, by sprawdzić, czy moje płetwy nie podnoszą szlamu z dna korytarza. Przewodnik ostrzegał, że w jaskini zalega gruba warstwa mułu, zacząłem się więc martwić o widoczność, choć wydawało się, że woda wciąż jest przejrzysta. W końcu, oddalwszy się zaledwie o 60 metrów od miejsca, w którym został Tommy, zawróciłem i ruszyłem w drogę powrotną.

Nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że ze względu na jedną z osobliwości podwodnych prądów, drobny szlam, który wzbijałem ze sobą, utknął w ciasnej przestrzeni i wisiał tam nieruchomo, powodując zmętnienie wody. Wkrótce widoczność ograniczyła się do kilkunastu centymetrów, co uniemożliwiało normalną wędrówkę. Musiałem przesuwać się do przodu po omacku, uważając,

by nie uderzyć głową w jakiś skalny występ.

Nagle moje dłonie poczuły coś, co mój umysł odrzucał jako rzecz niemożliwą: jedyna droga naprzód prowadziła przez maleńki otwór o średnicy zaledwie kilkunastu centymetrów. Wyczuwałem, że tunel za tym otworem jest znacznie większy i płynie nim strumień wody, od lewej do prawej. Oznaczało to, że korytarz jest równoległy do mojego. Otwór był jednak za mały, bym zdołał się przez niego przecisnąć. Gdyby coś podobnego przytrafiło mi się tydzień wcześniej, prawdopodobnie poddałbym się, a moja krótka kariera dobiegłaby końca. Teraz byłem już bardziej oswojony z niebezpieczeństwami i, nie tracąc czasu na jałowe rozmyślania, zacząłem natychmiast poszerzać otwór gołymi rękami. Skalna ściana rozdzielająca oba korytarze była cienka i krucha, dlatego mogłem po prostu odłamywać kawałki wapienia.

W końcu przedostałem się do sąsiedniego tunelu i dojrzałem przed sobą upragniony blask lampy Tommy'ego przesłonięty w dużej mierze szlamem, unoszącym się w wodzie. Po zakończeniu nurkowania żartowałem, że musiałem sam wykopać sobie tunel, by wydostać się na zewnątrz, ale Tommy'emu wcale nie było do śmiechu. Powiedział, że zostało mu wtedy bardzo mało powietrza i jeszcze chwila, a musiałby opuścić jaskinię beze mnie. I to uświadomiło mi, ile miałem szczęścia. Przy wejściu do jaskini znalazłem jakąś prehistoryczną kość, a tak niewiele brakowało, bym sam zamienił się w kupkę kości zalegających na dnie groty.

Nieco wystraszeni przeżyciami z Ginnie Springs postanowiliśmy wybrać na drugie nurkowanie tego dnia jaskinię pozbawioną szlamu, Little River Spring, gdzie w połowie XIX wieku Abe Davis dał początek amerykańskiemu nurkowaniu jaskiniowemu. Little River jest prawdopodobnie jedną z najbezpieczniejszych jaskiń na Florydzie, ale dobrze znaną i położoną zaledwie kilka metrów od końca dobrze utrzymanej, utwardzonej drogi. Paradoksalnie, właśnie z powodu tej dostępności i przejrzystości wody w ciągu minionych lat w Little River Spring zginęło 31 nurków, z których żaden nie był należycie wyposażony ani przeszkolony w nurkowaniu jaskiniowym.

Po drodze do jaskini zatrzymaliśmy się z Tommym, by napełnić butle, które opróżniliśmy w Ginnie Springs, poinformowano nas jednak, że właściciel sklepu właśnie wyszedł. Byliśmy jednak upartymi nastolatkami i zdołaliśmy w końcu namówić kobietę z sąsiedniej restauracji, by nabiła nasze butle. Dotarłszy nad źródłisko, rozpakowaliśmy w pośpiechu sprzęt, gdyż robiło się już późno, a nie chcieliśmy wracać do domu po zmierzchu. By zaoszczędzić trochę na czasie, nie sprawdziliśmy przed nurkowaniem ciśnienia w butlach, które zostały przecież niedawno napełnione, a podczas napełniania widzieliśmy wskazania kompresora w sklepie.

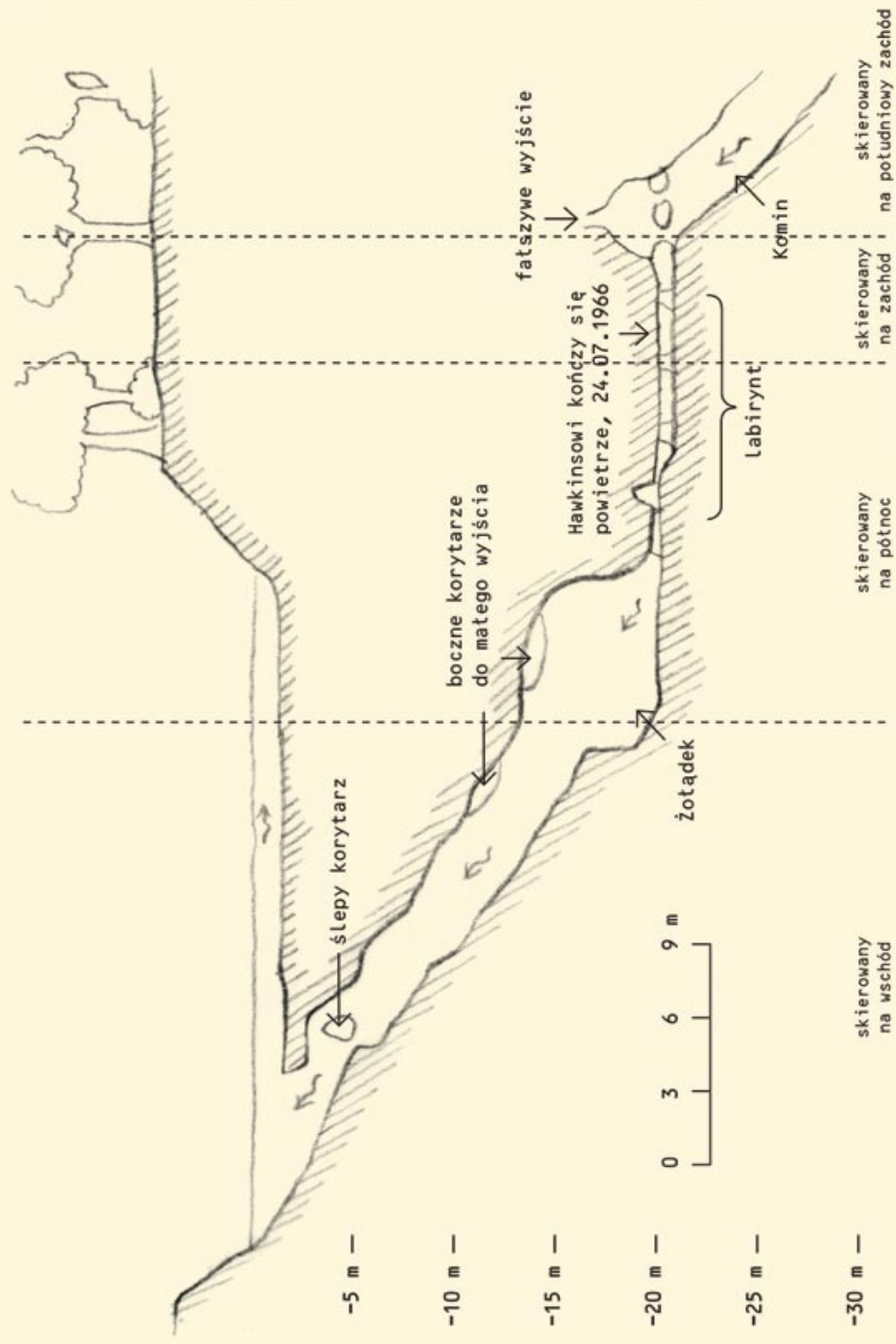
Little River znajduje się w odległości zaledwie 30 metrów od Suwannee, kiedy więc rzeka wylewa, jej wody natychmiast przykrywają źródłisko. Gdy przybyliśmy tam późnym popołudniem, ciemnobrązowa, rzeczna woda sięgała krawędzi otworu źródłiska, odpychana jedynie siłą wody wypływającej w górę, z wnętrza jaskini. Wsunęliśmy się do otworu o średnicy trzech metrów i zanurzyliśmy w czystej wodzie. Na głębokości 4,5 metra przystanęliśmy na chwilę, a ja przywiązałem poręczówkę do wielkiego głazu. Zerknąłem w górę, w stronę wyjścia i moim oczom ukazał się niezwykle widok – blask popołudniowego słońca przenikający przez brązowe wody rzeki, barwiący wszystko przejmującym odcieniem czerwieni, krwawej czerwieni.

Mocno pochylona stroma rynna o średnicy trzech metrów zaprowadziła nas na głębokość osiemnastu metrów. Dno rynny składało się z kamiennych pólek o wysokości od metra do półtora, które wyglądały jak olbrzymie schody. Przesuwaliśmy się wzdłuż tych stopni, walcząc z silnym prądem. Na głębokości osiemnastu metrów rynna zakreślała prostopadłe w lewo i łączyła się z poziomym obszarem o szerokości około 30 metrów, lecz wysokości sięgającej zaledwie kilkudziesięciu centymetrów lub co najwyżej metra.

Przesuwając się wzdłuż pozbawionej szlamu ścieżki, wyżłobionej przez licznych nurków, zdołałem pokonać kolejnych 30 metrów i dotrzeć do Komina, malowniczego, niemal pionowego urwiska, które opada z głębokości 24 metrów do ponad 30 metrów, do miejsca położonego o jakieś 45 metrów od wejścia do jaskini.

Nagle zauważyłem, że krąg światła rzucany przez latarkę Tommy'ego, widoczny na ścianie przede mną, porusza się gwałtownie do przodu i do tyłu. Kiedy się odwróciłem, nie mogłem uwierzyć własnym oczom: Tommy pokazywał ręką sygnał „potrzebuję powietrza”. Porzuciłem puszkę po kawie z poręczówką i pospieszyłem do niego, szamocząc się po drodze z paskiem szyjnym automatu, by jak najszybciej go wypiąć i podać ustnik mojemu towarzyszowi. W końcu zdołałem rozpiąć jeden z zatrzasków i podałem Tommy'emu automat odwrócony do góry nogami. Tommy pochwycił go i próbował włożyć do ust, jednak w gorączkowym pośpiechu odchylił kierownicą wydechu maskę i zalał ją wodą, co wprawilo go w jeszcze większe przerażenie. Jakby tego było mało, w ustnik zaplątał się luźny pasek szyjny, Tommy przy każdym oddechu nabierał więc w usta więcej wody niż powietrza.

LITTLE RIVER SPRING FLORYDA, USA



W tym momencie ja także potrzebowalem już powietrza, odebrałem więc Tommy'emu ustnik i zaczerpnałem kilka oddechów. Gdy podawałem mu go ponownie, zdałem sobie sprawę z grozy mojej sytuacji; obaj przecież oddychaliśmy w podobnym tempie, a nasze butle zostały nabite w tym samym sklepie, do tego samego ciśnienia. Nie czekając dłużej, zacząłem popychać Tommy'ego w stronę wyjścia.

Wtedy się zaczęło. Tommy rozpaczliwym gestem sięgnął po mój automat i wyrwał mi go z ust, strącając mi przy okazji maskę z głowy. Teraz nie tylko nie mogłem oddychać, ale i nic nie widziałem! Niewiele pamiętam z tego, co działo się potem. Zdołałem jakoś odepchnąć się od Tommy'ego, cudem odnaleźć maskę i włożyć automat z powrotem do ust. Przedmuchawszy maskę, odwróciłem się do mego partnera i ujrzałem przerażający widok: Tommy wymachiwał rozpaczliwie rękami we wszystkich kierunkach, wbijał paznokcie w zimną, bezduszną skałę.

Byłem przerażony. Ogarnięty ślepą paniką popędziłem w górę tunelu, w stronę wyjścia, pewien, że za moment ja także zginę. Dopiero w odległości 23 metrów od wejścia, gdy dojrzałem blask słońca, zdołałem jakoś wziąć się w garść. Pamiętam, że pomyślałem wtedy: „Niech mnie szlag trafi, jeśli go tam zostawię”.

Gdy wróciłem do Tommy'ego, jego ciało, pozbawione maski i przytomności, leżało na pokrytym szlamem dnie jaskini, zwrócone twarzą w dół. Podniosłem go za butlę i próbowałem wepchnąć mu automat do ust, jego zęby były jednak mocno zaciśnięte. Porzuciwszy szybko te daremne próby, zacząłem wyciągać Tommy'ego z jaskini, najszybciej, jak tylko potrafiłem, uważając jednocześnie, by jego ciało nie uderzało o poszarpaną, ostrą powierzchnię wapienia. Kiedy zaczęliśmy wynurzać się w pionie, w pobliżu wyjścia, przypomniałem sobie, czego uczył nas Ken Brock podczas zajęć dotyczących zatoru powietrznego, i nacisnąłem mocno na przeponę mego partnera, by wypchnąć powietrze przez jego nos oraz usta i zapobiec tym samym nadmiernemu rozszerzeniu się płuc, czyli barotraumie (takie rozszerzenie mogłoby rozerwać pęcherzyki płucne, wtedy zaś pęcherze powietrza trafiłyby do krwiobiegu i mózgu, powodując natychmiastową śmierć).

Gdy tylko wypłynąłem na powierzchnię, zacząłem holować Tommy'ego do brzegu, wykonując jednocześnie sztuczne oddychanie. Pochłonięty tą czynnością nie zauważyłem żółtawych wymiocin, wypływających z jego ust i nosa. Kiedy dotarłem do płyeczny, kilku pływaków pomogło mi zdjąć z pleców Tommy'ego butlę i wyciągnąć go na plażę, gdzie kontynuowałem resuscytację. Do tego czasu wymiociny zamieniły się w krew, a ja natychmiast pomyślałem o najgorszym: zator! Podobnie jak w przypadku choroby dekompresyjnej jedynym

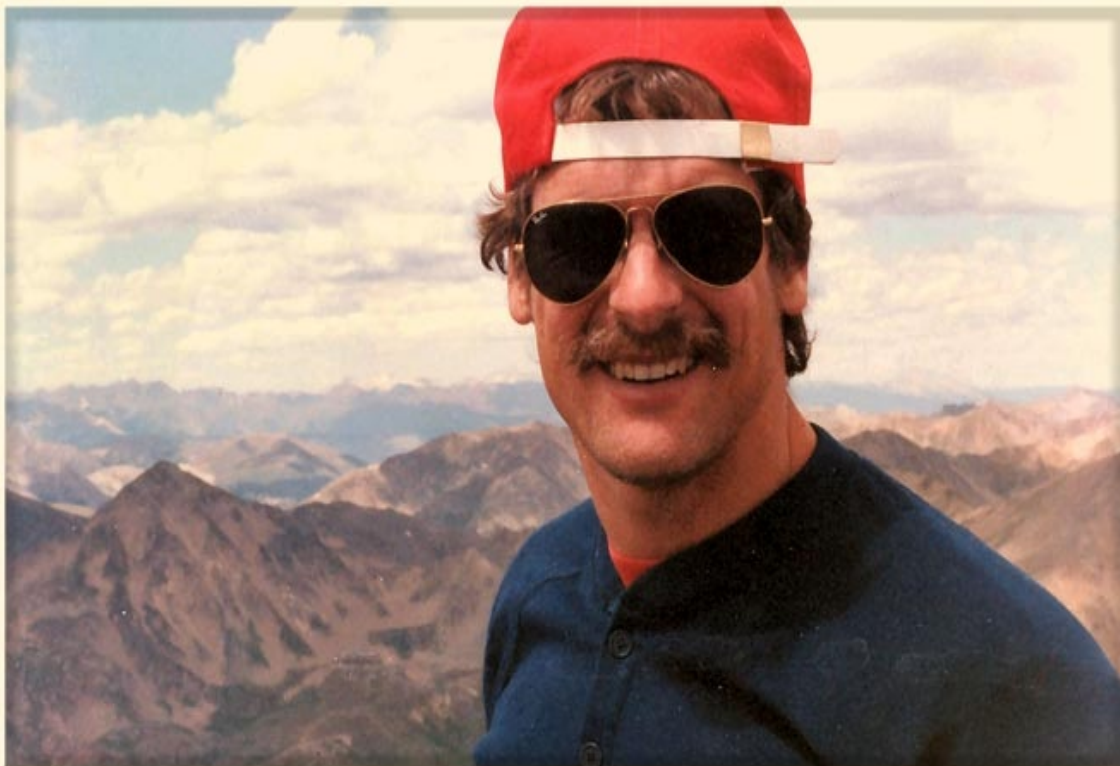
ratunkiem jest w takiej sytuacji natychmiastowa dekompresja w komorze dekompresyjnej.

– Niech ktoś wezwie pogotowie, szybko! – krzyknąłem. Nim przyjechała karetka, los uśmiechnął się do nas i wybaczył nam szczeniacką brawurę, Tommy zaczął bowiem oddychać o własnych siłach i częściowo odzyskał przytomność. Skarżył się jednak na ogromny ból. Zabraliśmy go do pobliskiego szpitala, ale tu ku memu przerażeniu okazało się, że miejscowi lekarze nigdy nie słyszeli o zatorze gazowym i nie chcieli słuchać pouczeń udzielanych przez siedemnastolatka w ociekającym wodą skafandrze. Sfrustrowany, zmieniłem w końcu diagnozę z zatoru na chorobę dekompresyjną, dzięki czemu lekarze zaczęli w końcu kiwać ze zrozumieniem głowami i wezwali samolot, który przetransportował Tommy’ego do najbliższej komory rekompresyjnej, w Charleston, w Karolinie Południowej. Na szczęście okazało się, że Tommy nie miał zatoru ani powiązanych z tym komplikacji i po dwutygodniowym pobycie w szpitalu wkrótce wrócił do nurkowania.

³ W języku angielskim słowo „jug” oznacza „dzban”.



Sheck i Mary EllenV



Sheck



Mary Ellen Eckhoff i Shannon Heinerth

ROZDZIAŁ 4

Bezcenne dziury

P

ewnie, że o tym słyszałem. – Staruszek pokiwał głową. – Jedźcie tą piaszczystą drogą do samego końca, na pewno traficie. – Umilkł na moment, by splunąć przeżutym tytoniem, po czym dodał: – Ale uważajcie, bo tam nie ma dna.

Latem 1967 roku mieliśmy już dość jeżdżenia od źródła do źródła i z powrotem. Teraz zajęliśmy się bezdennymi jaskiniami północnej Florydy. Odwiedziliśmy już kilka miejsc, które zdaniem okolicznych mieszkańców były pozbawione dna (zwykle opinie te opierały się tylko na tym, że któryś z tubylców spuścił do takiej jaskini 60-metrową żyłkę i nie zauważył, by zwiotczała). W Devil's Sink Edward i ja usłyszeliśmy nawet, że ten wielki lej krasowy co jakiś czas wylewa i wyrzuca wodę przez wyżłobione w wapieniu rynny, prowadzące pod pobliską drogą i sięgające niedalekiego jeziora. Żadna z tych opowieści nie okazała się prawdziwa, rzadko też zdarzało się, by woda w tych „bezdennych dziurach” miała więcej niż 30 metrów głębokości.

Tommy, który wybrał się na tę wyprawę swoim kombi, odnalazł drogę wskazaną przez staruszkę i wyjechał nią na szczyt wzgórza. Oprócz mnie i Tommy'ego jego samochodem podróżowali Edward i Joe. U podnóżu wzgórza rozciągał się bezmiar błękitnej wody, szerokości niemal stu metrów: Morrison Springs. Miejsce to intrygowało nas, odkąd tylko dowiedzieliśmy się, że kilka lat wcześniej Jack Faver zanurkował tu na głębokość ponad osiemdziesięciu metrów. Dziennik „Atlanta Constitution” przytoczył nawet jego wypowiedź, w której stwierdzał, że zatrzymał się w pionowej rozpadlinie mogącej sięgać „nawet na głębokość 300 metrów”. Było to całkiem możliwe, gdyż podczas wiercenia próbnych szybów na Florydzie natrafiono na wypełnione wodą jaskinie głębokie na ponad 2400 metrów.

Znaleźliśmy miejsce parkingowe w połowie zbocza, obok olbrzymiego znaku z informacją, że w miejscu tym utonęło ośmiu nurków, więcej niż w jakimkolwiek innym miejscu na świecie w owym czasie. Najbardziej przerażające na tym znaku było to, że liczbę ofiar wypisano na zawieszanej na gwoździu tabliczce, którą w każdej chwili można było zmienić na nową.

Wtedy były już dostępne niezawodne manometry umożliwiające sprawdzenie poziomu napełnienia butli w dowolnym momencie. Zaczęliśmy też nurkować z dwiema butlami, co pozwoliło nam na wydłużenie czasu spędzonego pod wodą i schodzenie na większe głębokości. Obowiązywała zasada: im głębiej się zanurzasz, tym szybciej zużywasz powietrze. Na przykład zapas powietrza w jednej butli zostanie zużyty dwa razy szybciej na głębokości 30 metrów niż przy

zanurzeniu na 10 metrów. Inny problem związany z głębokim nurkowaniem polegał na większym prawdopodobieństwie wystąpienia choroby dekompresyjnej. Najgorsze jest jednak to, że wraz z głębszym zanurzaniem sprężone powietrze staje się bardziej odurzające, a nawet toksyczne. Zjawisko to określane mianem narkozy azotowej może dotknąć nurka już przy zanurzeniu na głębokość 30 metrów.

W podręczniku nurkowania amerykańskiej marynarki wojennej podano, że tylko nieliczni nurkowie mogą efektywnie pracować na głębokościach przekraczających 60 metrów.

Przepełniliśmy po powierzchni do wewnętrznej rynny na środku stawu. Żółta polipropylenowa linka odchodząca od rynny prowadziła do położonego 15 metrów niżej logu (punktu początkowego). Z tego miejsca mogliśmy wpłynąć do ułożonej poziomo, pierwszej groty po naszej prawej ręce albo też, pokonując prąd wody, zejść w dół piaszczystego zbocza, do większej, drugiej groty znajdującej się na głębokości 21 metrów. Postanowiliśmy popłynąć głębiej i po chwili dotarliśmy do owalnej sali o szerokości około 18 metrów i wysokości 6 metrów. Po drugiej stronie sali znajdował się szeroki wapienny łuk o rozpiętości 9 metrów, łączący dwie ściany. Przejrzysta woda i śnieżnobiały wapień przypominały mi Ginnee Springs, choć Morrison Springs jest większe.

Po krótkich poszukiwaniach odkryłem, że aby przedostać się poniżej poziomu 30 metrów, trzeba przecisnąć się obok głazu wielkości małego domu, który niemal całkiem zatykał tunel łączący drugą grootę z trzecią. Ze szczelin po trzech stronach głazu wypływały strumienie wody. Szczeliny te wydawały się zbyt wąskie, by ktokolwiek zdołał się przez nie przecisnąć, a jednak z jednej z nich wystawała urwana poręczówka, falująca nieustannie w wartkim strumieniu.

Przystanęliśmy, by naradzić się w wielkim pęcherzu powietrznym powstałym w pierwszej grocie. Pęcherz nie był wytworem natury: nieprzenikniona skała zatrzymała na głębokości 14 metrów powietrze uchodzące z naszych zaworów.

– Co o tym myślicie? – spytał Joe, zsuwając maskę na tył głowy.

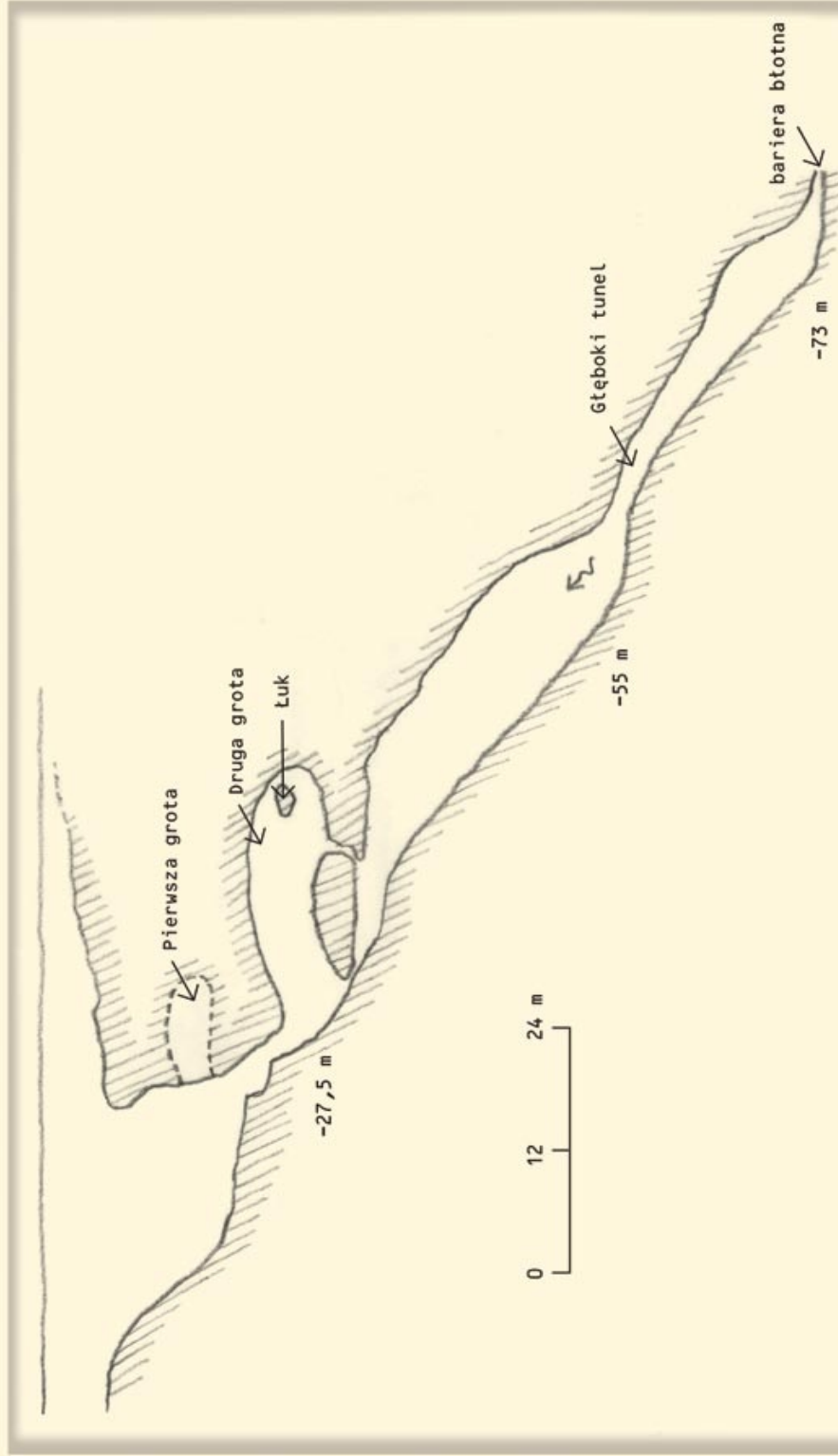
Wyjąłem automat z ust.

– Wygląda na to, że jedyna droga w dół prowadzi obok tego głazu.

– Nie podobają mi się te zaciski – stwierdził Tommy. – Jestem pewien, że do trzeciej groty można się dostać tylko po zdjęciu butli, a ja na pewno nie zamierzam tego robić.

– A ja myślę, że warto spróbować – odparłem. – Podczas następnego nurkowania wezmę tylko jedną butlę i spróbuję się tam przecisnąć, a wy poczekacie tutaj na mnie na wypadek, gdybym miał kłopoty.

– Okej.



MORRISON SPRINGS FLORYDA, USA

Stan sprzed eksplozji w 1968 roku.

Nazajutrz zacząłem wejście do zacisku na głębokości 24 metrów od wystraszenia sporej liczby słodkowodnych węgorzy, które przemknęły obok mnie i zniknęły w ciemnościach poniżej. Po kilku minutach wiercenia się i wicia w wąskim zacisku dotarłem w końcu do głębokości 30 metrów. Odepchnąłem się mocno nogami i wpłynąłem do wielkiej groty położonej za zaciskiem. Nagle poczułem, że coś ciągnie mnie do tyłu.

Poręczówka opłótła się wokół zaworu butli i pierwszego stopnia. Nie chciałem przecinać liny, bo prąd poniósłby ją z powrotem do zacisku i poprzedniej sali, a ja mógłbym wtedy nie znaleźć drogi powrotnej. Po chwili gwałtownych zmagania, podczas których omal nie wywichnąłem sobie ramienia, zdołałem w końcu odplątać linę.

Wpłynąłem głębiej do jaskini, powiązałem moją linę z urwaną poręczówką prowadzącą do innego otworu, po czym ruszyłem w przeciwną stronę, prosto w błękitny przestwór. Ta grota była większa od dwu pozostałych, miała kształt olbrzymiego cylindra o długości ponad 30 metrów i średnicy 6 metrów, przechylonego pod kątem 45 stopni. Dotarwszy do dna jaskini, przystanąłem, by sprawdzić wskazanie głębokościomierza: 52 metry. Przede mną otwierał się kolejny, kuszący korytarz, ułożony w poziomie. Niewielki zapas powietrza zmusił mnie jednak do powrotu.

Gdy zbliżałem się do głębokości 30 metrów, prąd wepchnął mnie nagle do zacisku. Utknąłem. Teraz płynąłem głową w górę, a nie w dół, dlatego moje ciało znajdowało się w innym położeniu i nie pasowało do kształtu zacisku tak, jak podczas wędrówki w drugą stronę. Jedyne, co musiałem zrobić, by odpowiednio ułożyć ciało, to wpłynąć z powrotem do trzeciej groty i wrócić do zacisku, tym razem jednak nogami do przodu. Niestety, ciało nurka ułożonego na brzuchu jest niczym klin, który łatwiej przesunąć do przodu i niż do tyłu. Kiedy próbowałem się wycofać, podstawa mojej butli zaczepiła o skalny występ i unieruchomiła mnie na dobre. Teraz nie mogłem się przesunąć ani do przodu, ani do tyłu; nie miałem nawet dość miejsca, by zdjąć butlę.

Zdesperowany spróbowałem raz jeszcze wycofać się do jaskini. Przycisnąłem miednicę mocno do dna i odepchnąłem się z całych sił. W końcu zdołałem wydostać się z pułapki i szybko rozpiąłem paski butli, zdejmując ją z pleców. Potem wepchnąłem ją przed sobą do zacisku, pilnując, by prąd nie wyrwał mi jej z ręki. Kiedy dołączyłem w końcu do zaniepokojonych towarzyszy, zostało mi tyle powietrza, ile potrzebowałem, by wykonać kilka krótkich przystanków dekompresyjnych i uniknąć choroby dekompresyjnej. Joe powiedział mi, że zarząd źródłiska zaczął już wymieniać „8” z tablicy ostrzegawczej na „9”.

W ciągu następnych dwóch lat John Harper i Hal Watts poprowadzili ekspedycje zaopatrzone w twinsety (podwójne butle) do trzeciej groty. Obie

grupy przekonały się, że tunel, który widziałem na głębokości 52 metrów, prowadzi w dół, do sali położonej na głębokości 73 metrów. Za nią znajdował się już tylko szeroki, lecz bardzo wąski zacisk o paskudnym dnie pokrytym czerwoną gliną. George Krasle, towarzyszący Jackowi Faverowi podczas jego najgłębszego nurkowania, nie przypominał sobie, żeby przepływali przez obszar. Czyżby dokonując tego dnia pomiarów, popełnili błąd i przeszacowali głębokość? A może zespoły Johna i Hala przeoczyły jakiś boczny korytarz prowadzący do rozpadliny Jacka?

Niestety, nim zdążyłem ulepszyć mój sprzęt i technikę nurkowania na tyle, by kontynuować badania w Morrison, doszło tam do tragedii. W 1968 roku początkujący nurek, który miał na swoim koncie zaledwie kilka nurkowań w jaskiniach, zginął w trzeciej grocie (poprzednie utonięcia miały miejsce w pierwszych dwóch jaskiniach). Podczas jednej z najtrudniejszych akcji wydobywczych w swojej karierze David Dasautels i Larry Briel zdołali wyciągnąć ciało pechowca. Ze względu na stężenie pośmiertne musieli niemal połamać kończyny ofiary, by przeciągnąć ją przez zacisk na głębokości 30 metrów.

Ulegając naciskowi opinii publicznej, która domagała się, by podjąć działania zapobiegające kolejnym utonięciom, miejscowy szeryf wynajął nurka i zlecił mu założenie w jaskini ładunków wybuchowych. Eksplozja rozszczerpiła olbrzymi głaz i całkowicie zatkała zacisk, przez który przedostałem się z pojedynczą butlą, oraz znacznie ograniczyła przejście używane przez nurków z podwójnymi butlami. Zniszczeniu uległ również łuk w drugiej grocie, co w jeszcze większym stopniu utrudniło przedostanie się do trzeciej komnaty.

Czy Morrison Springs rzeczywiście ma 300 metrów głębokości? Prawdopodobnie już nigdy się tego nie dowiemy.

Tymczasem nasza grupa nurkowa Aquacks rozpadła się na dobre, gdy jej najaktywniejsi członkowie rozpoczęli studia. Dzięki temu, że zostałem studentem uniwersytetu stanu Georgia, mogłem przyłączyć się do innej grupy nurkowej, Dixie Cavern Kings, której członkowie byli rozproszeni po kilku południowych stanach. Podobnie jak Descenders z Georgii i Cave Dwellers z Florydy Dixie Cavern Kings należało do nowej generacji klubów zrzeszających ludzi nurkujących z akwalungiem. Kluby te specjalizowały się w nurkowaniu jaskiniowym, a nie nurkowaniu w ogóle. W roku 1969, kiedy byłem prezesem Dixie Cavern Kings, napisałem pierwszy w USA podręcznik nurkowania jaskiniowego i zorganizowałem program szkoleniowy, dając początek współczesnym podręcznikom nurkowania i certyfikowanym kursom nurkowania jaskiniowego.

Moim nurkowym partnerem w Dixie Cavern Kings był kolega ze studiów

biznesowych, rudowłosy Carl Fowler. Carl pochodził z Georgii miał 1,70 metra wzrostu i był raczej przeciętnie zbudowany – wyjątek stanowiły potężne ramiona, które doskonale nadawały się do wrzucania twinsetów do mojej furgonetki. Carl był także fanem rocka, nosił włosy do ramion i nieustannie szczyrzył zęby w szerokim uśmiechu. Oprócz muzyki (ja zdecydowanie wolałem Rachmaninowa) mieliśmy bardzo zbliżone poglądy na życie: niewiele interesowały nas studia, a bardzo pociągało nurkowanie jaskiniowe. Ułożyliśmy sobie zajęcia tak, że mieliśmy wolne od czwartkowego wieczoru do poniedziałkowego wieczoru, mogliśmy więc wyjeżdżać na liczące 500 kilometrów wyprawy do podwodnych jaskiń na Florydzie. Czasami nawet opuszczałem zajęcia w pozostałe dni. W końcu Carl zrobił coś, na co ja się nie zdobyłem: całkowicie zrezygnował ze studiów i został menedżerem Blue Grotto, ośrodka dla nurków jaskiniowych w środkowej Florydzie. Przebywając w tym miejscu, do perfekcji opanował sztukę udawania dobrotliwego durnia, stanowiącą formę obrony przed miejscowymi wsiokami, którzy z wielką podejrzliwością odnosili się do jego długich włosów i podziemnych wypraw.

– Po jako cholere lezicie do tych ciemnych dziur? – pytali.

– Słyszeliśmy, że jest tam hiszpańskie złoto – odpowiadał, podając powód zrozumiały nawet dla największego ćwoka.

– A jak głęboko lezicie po to złoto?

– O, czasami będzie z parę kilometrów.

– I nie boicie się?

– Jak cholera – mówił wówczas, kończąc rozmowę szerokim uśmiechem, którym potrafił zmieknąć serca najbardziej nawet podejrzliwych kmiotków.

Podczas jednej z naszych wspólnych wypraw zatrzymaliśmy się w pobliżu Blue Grotto przy Zuber Sink. Wystarczyło spojrzeć na ten olbrzymi, owalny zbiornik, by mieć pewność, że jest głęboki. Staw wypełniony szmaragdową wodą ma ponad 60 metrów średnicy, bije więc na głowę większość lejów krasowych na Florydzie, które zwykle mierzą nie więcej niż 10 metrów. Po jednej stronie stawu wznosi się wapienne urwisko o wysokości kilku metrów, które opada pionowo do wody i ginie w mrocznej głębi.

To właśnie w Zuber stawialiśmy pierwsze kroki w prawdziwym nurkowaniu głębinowym, schodząc po raz pierwszy na głębokość 60 metrów. Wykonując serię tego typu nurkowań, przystosowaliśmy się powoli do otepiającego działania narkozy, która pozbawiała niektórych nurków przytomności już na głębokościach rzędu 45 metrów. W końcu byliśmy gotowi do wyprawy na dno. Nasz nowy, ulepszony sprzęt zawierał oktopus (dodatkowy drugi stopień) na wypadek, gdyby trzeba było dzielić się powietrzem z partnerem, oraz zapasowe latarki, gdyby główne odmówiły posłuszeństwa. Wprowadziliśmy także zmiany

do planu nurkowania. Wymyśliłem zasadę jednej trzeciej: zachowaj dwie trzecie zapasu na drogę powrotną.

Przywiązałem poręczówkę do występu skalnego na urwisku, po czym obaj ruszyliśmy w dół. Glony, które rozrosły się pobudzone ciepłą, deszczową aurą, ograniczały widoczność do tego stopnia, że z odległości kilku metrów ledwie widziałem światło potężnej latarki Carla. Na głębokości 12 metrów przekroczyliśmy termoklinę i znaleźliśmy się w znacznie chłodniejszej wodzie. Widoczność raptownie się polepszyła, sięgając niemal 15 metrów. Ciągące się przed nami skalne urwisko przechodziło do poziomu i zamieniało się w sufit olbrzymiej jaskini. Nie widzieliśmy nigdzie ścian ani dna.

W sklepach nurkowych już wtedy można było kupić kołowrotki na poręczówkę, co znacznie zmniejszało ryzyko zaplątania liny. Przycisnąłem swoją linkę kciukiem do poręczówki, napinając ją, po czym przystanąłem, by nadmuchać plastikową butelkę po chloroksie, wpuszczając do niej powietrze z mojego automatu. Butelka, przymocowana do zaworu butli, pozwalała mi kontrolować moją pływalność. Jest to szczególnie ważne podczas nurkowań głębinyowych, kiedy zmagania z ujemną pływalnością mogą spotęgować działanie narkozy i doprowadzić do utraty przytomności.

Carl, oczarowany widokiem jaskini, uśmiechał się tak szeroko, budząc moją obawę o to, że lada chwila wypuści ustnik. Porozumiewając się pełnymi podniecenia gestami, uzgodniliśmy, że będziemy kontynuować nurkowanie. Płaski, niemal biały sufit jaskini pokryty był olbrzymimi, wciśniętymi w powierzchnię kamienia jeżowcami wielkości talerzy. Płaskie skamieliny, na których widać było wyraźnie „szprychy” wychodzące ze środka poszczególnych okręgów, wyglądały niczym kołpaki przyklejone do skały. Piętnaście metrów dalej sufit zaczynał się obniżyć pod kątem 45 stopni. Nie zastanawiając się długo, ruszyliśmy w dół.

Na głębokości 45 metrów zatrzymałem się obok kawałka skały wystającego z ukośnego sufitu jaskini. Po chwili dołączył do mnie Carl. Jego sylwetka malowała się na tle resztek blasku słonecznego, które docierały na tę głębokość. Pokazał mi, że wciąż zachował jasność umysłu, zaczęliśmy więc opuszczać się pionowo w dół. Najgłębsza część leja leżała dokładnie pod nami. Spływaliśmy w zieloną otchłań, rozkładając szeroko ręce niczym spadochroniarze.

Teraz, gdy oddaliliśmy się od ukośnej ściany jaskini, nie mieliśmy już żadnego widocznego punktu odniesienia. Zawieszeni w podwodnej głębinie rozróżnialiśmy górę i dół tylko dzięki unoszącym się pęcherzykom powietrza. Kiedy opadaliśmy coraz niżej, nie wiedziałem, czy nadal jestem zwrócony twarzą do ściany jaskini, czy też obracam się powoli w stronę wejścia. Woda opływała moje ciało jednostajnym strumieniem. Spojrzałem na

głębokościomierz. Igła wskaźnika przesuwiała się niepokojąco szybko ku wartości 60 metrów, by po chwili ją przekroczyć. Poczułem, jak moją głowę wypełnia coś w rodzaju ciepłej, gęstej mgły, co było pierwszym symptomem narkozy.

Nagle w blasku mej latarki, nieco niżej, ukazała się wirująca kłoda. Dopiero po kilku sekundach mój otumaniony umysł zrozumiał, że to nie kłoda się kręci, lecz ja. Poruszyłem płetwami, by przerwać ten ruch, po czym wyciągnąłem przed siebie rękę i chwyciłem się kłody, by nie opaść na pokryte szlamem dno. Powolnymi, odmierzonymi ruchami wykonałem czynności konieczne do napełnienia worka dodatkowym powietrzem (zmieniłem pływalność tak, by łatwiej utrzymać się nad dnem): najpierw złapałem sznurek, przeciągnąłem chomąto w dół, przystawiłem koniec do automatu, wpuściłem do niego powietrze.

Automat Carla wydawał dziwny, przenikliwy dźwięk, przepychając olbrzymie ilości powietrza potrzebne do napełnienia jego płuc na tej głębokości. Rzut oka na kolegę pozwolił mi stwierdzić, że miejsce szerokiego uśmiechu zajął grymas głębokiego skupienia. Carl niewidzący na jedno oko nabawił się lęku przed otwartymi przestrzeniami, jak ta w Zuber, i teraz musiał zмагаć się nie tylko z narkozą, ale także z tym problemem.

W ciągu kilku minut wyregulowaliśmy sprzęt, przyjrzelśmy się uważnie błotnistemu dnu, próbując określić stopień jego nachylenia, po czym ruszyliśmy w dalszą drogę. Jakies 30 metrów dalej dno przestało łagodnie opadać i zaczęło się podnosić. Odwróciłem się i skierowałem promień latarki na Carla, który pokiwał ze zrozumieniem głową: „Jesteśmy na miejscu!”. Opadłem powoli na dno i skierowałem rękę ku najgłębszemu miejscu. Głębokościomierz na moim nadgarstku wskazywał 72 metry. Uradowani uścisnęliśmy sobie dłonie, a potem wybuchnęliśmy śmiechem, co mogło być zarówno wyrazem naszej radości, jak i efektem oszołomienia narkozą. Kciuki w górę. Czas wracać.

W ciągu kilku minut dotarliśmy na 12 metrów. Tutaj zatrzymaliśmy się, by wyjąć tabele dekompresyjne i obliczyć, jak długo i na jakiej głębokości powinniśmy jeszcze przebywać pod wodą, by uniknąć choroby dekompresyjnej. Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem ze zdumieniem, że nurkowanie trwa dopiero 25 minut. Wypłynęliśmy na powierzchnię godzinę później, zziębnięci i zmęczeni, ale szczęśliwi.

Choć Hal Watts był na dnie Zuber co najmniej trzy lata wcześniej, powtórzenie jego wyczynu sprawiło nam ogromną satysfakcję. Odwróciłem się do Carla, mówiąc:

– To było naprawdę niezłe nurkowanie.

Carl odpowiedział mi jednym z plejady niesamowitych uśmiechów.

– Jak cholera.

Miejszem najtrudniejszych nurkowań jaskiniowych na Florydzie w latach 60-tych XX wieku była jaskinia Eagle's Nest, znana także jako Lost Sink. Hornsby była dłuższa, a Zuber niemal równie głęboki, ale jaskinia Eagle's Nest była zarówno długa, jak i głęboka. Nurkowania w północno-zachodnim korytarzu były uważane niemal za formę samobójstwa. Jednocześnie wielu nurków uznawało nurkowanie w olbrzymiej grocie wejściowej za największe podwodne przeżycie. Jedynie dzięki temu, że miejsce to leżało na odległych i niedostępnych bagnach, liczba śmiertelnych ofiar pochłoniętych przez tę jaskinię nie przewyższała znacznie statystyk z Little River i Morrison.

Podbiwszy Zuber, gotów byłem do kolejnych wyzwań. Eagle's Nest intrygowało mnie od czasu, gdy wraz z Joem Prosserem zanurkowałem w niej po raz pierwszy, w 1966 roku. Następnego lata poznałem Toma Mounta, który wykonał więcej nurkowań jaskiniowych niż ktokolwiek inny na świecie. Tom twierdził, że Eagle's Nest to najgłębsza jaskinia na Florydzie: „Możesz tam zejść tak głęboko, jak tylko zechcesz”.

Pozostawał tylko jeden problem: nie miałem z kim wykonać tego wypadu. Carl i inni moi przyjaciele z Dixie Cavern Kings nie mieli jeszcze odpowiedniego doświadczenia w nurkowaniu głębinowym. Nurkowie dysponujący takimi kwalifikacjami – John Harper, Hal Watts i Frank Martz, który wykonał w Nest więcej nurkowań głębinowych niż ktokolwiek inny – nie znali mnie. Nie nurkuje się w jaskiniach z nieznanymi bez względu na ich referencje, tym bardziej nie nurkuje się z nimi w Nest podczas próby wydłużenia dotychczasowych nurkowań. Co więcej, gdyby jednak ci ludzie zechcieli ze mną zanurkować i coś by się ze mną stało, stanęliby przed sądem: miałem dopiero dwadzieścia lat, prawnie byłem uznawany za dziecko.

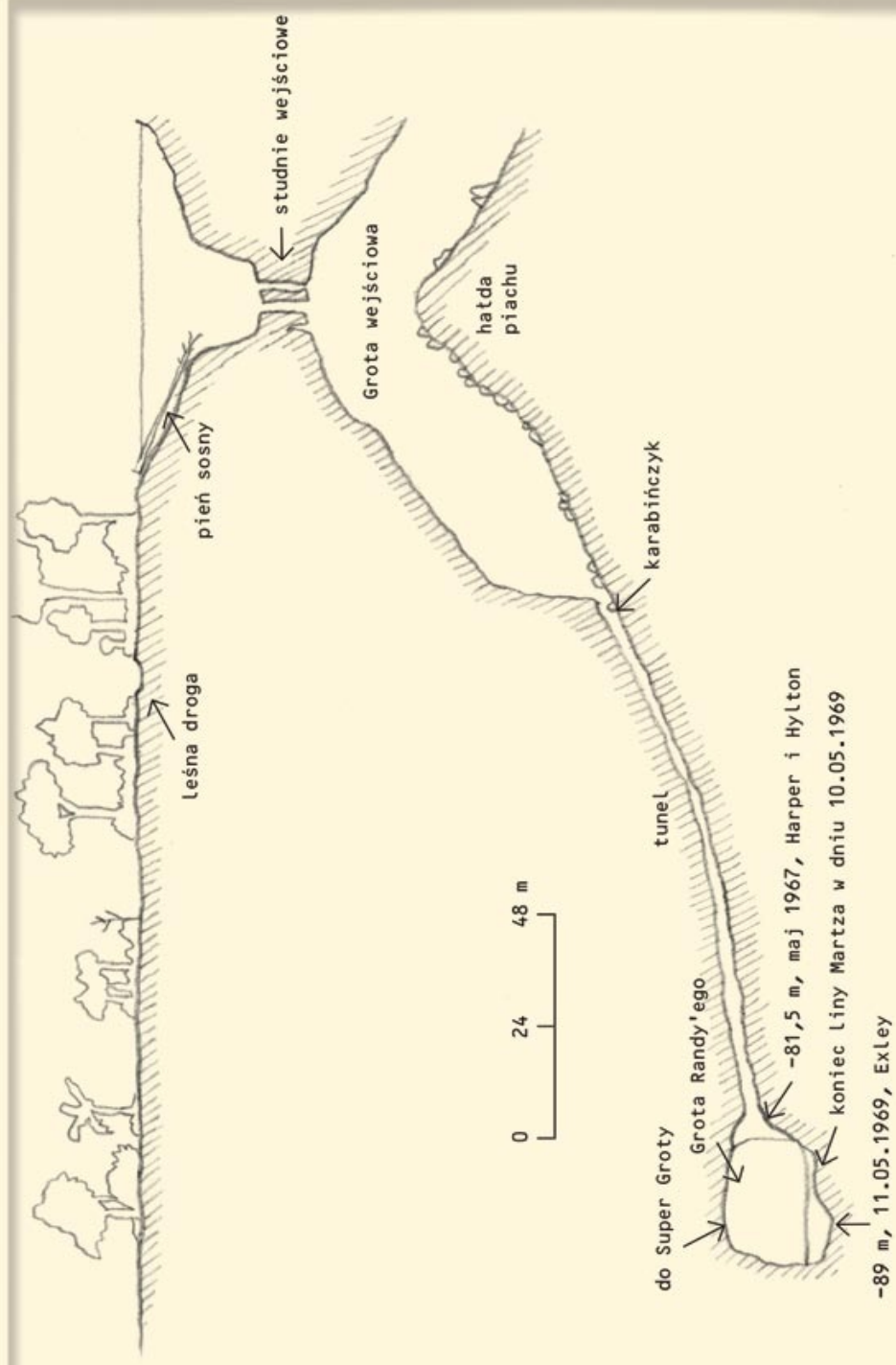
Wczesnym rankiem 11 maja 1969 roku, pokonawszy 3 kilometry zrytego koleinami, bagnistego traktu, odchodzącego od najbliższej utwardzonej drogi, zatrzymałem się przy Eagle's Nest. Byłem sam. Na szczęście od dłuższego już czasu nie padał deszcz, wszystkie kałuże więc niemal wyschły, z wyjątkiem miejsca, gdzie ktoś dynamitem wydrążył w drodze wielki dół, by w ten sposób zniechęcić nurków. Wypakowując z samochodu sprzęt, wsłuchiwałem się w odgłosy napływające z trzęsawiska Chassahowitzka Swamp. Rozbudzone już ptaki nawoływały się spośród jasnozielonych gałęzi cyprysów i wawrzynów porastających brzegi leja. Zza wysokiej trawy prześwitywała srebrzysta powierzchnia stawu o średnicy 60 metrów, która o tej porze, nim podniósł się wiatr, była gładka niczym lustro. Patrzyłem urzeczony na wielką czapłę siwą podnoszącą się znad traw; trzepocząc głośno skrzydłami, szybowała nad taflą wody. Nawet piżmowy zapach czarnego błota wydawał mi się w tej chwili nowy

i ekscytujący.

Gdy zanurzyłem się w wodzie, w pobliżu przepłynął mały aligator, który przyglądał mi się z bezpiecznej odległości, poruszając wdzięcznie długim ogonem. Płynąc wzdłuż sosnowego pnia leżącego na dnie, dotarłem na głębokość 6 metrów, niemal na środku stawu, po czym przegoniłem niewielką ławicę leszczy, by spokojnie przywiązać poręczówkę do gałęzi drzewa. Od tego miejsca dno opadało stromo ku trzem ciemnym otworom położonym na głębokości 15 metrów. Podpłynąłem do największego otworu o średnicy 120 centymetrów. Miał on na tyle regularny kształt, że wydawał się stworzony ludzką ręką. Na głębokości 21 metrów wpadłem nagle do czarnej otchłani, w której trudno było dostrzec dno lub ściany, choć widoczność była doskonała. Była to komnata wejściowa o idealnie płaskim suficie, z którego, przez trzy okrągłe otwory, wypływały lśniąca promienie słońca.

Opuściwszy się o kolejnych 9 metrów, dojrzałem daleko w dole górę piasku i skał. Popłynąłem wzdłuż jej północno-zachodniego zbocza i, pokonawszy 45 metrów, dotarłem do ściany jaskini o szerokości 90 metrów położonej na głębokości 60 metrów. Moje oczy przywykły już do mroku, mogłem więc podziwiać niesamowity widok wysokiej na 26 metrów góry podświetlanej trzema snopami światła. Głazy na wielkiej hałdzie wyglądały niczym nagrobki wystające z białego piachu.

Odwróciwszy się ponownie do ściany, szybko odnalazłem lewą krawędź okrytego złą sławą korytarza północno-zachodniego, w którym wydarzyły się już trzy śmiertelne wypadki. Wejście do korytarza miało 32 metry szerokości, ale tylko 3 metry wysokości, a dno samego tunelu było pokryte grubą warstwą mułu. Przypiąłem mój kołowrotek do karabińczyka w skale, gdzie zaczynała się zamocowana na stałe poręczówka. Po krótkim odpoczynku wpłynąłem nad łagodnie opadającym dnem do wnętrza korytarza. Trzydzieści metrów dalej, na głębokości 72 metrów, korytarz zwężył się do szerokości 10,5 metra i wysokości półtora metra. Od tego punktu rozszerzał się ponownie, lecz skalne zbocze opadało tak łagodnie, że w moich otumanionych narkozą oczach wyglądało na całkiem poziome. Mój głębokościomierz pokazywał coraz większe wartości.



EAGLE'S NEST (LOST SINK) FLORYDA, USA

W przeciwieństwie do efektownej sali wejściowej ten korytarz był ciemny i nudny, a przynajmniej taki wydawał się w bladym świetle mojej trzywątowej latarki. Monotonny dźwięk towarzyszący moim wydechom brzmiał w mojej głowie niczym jednostajna muzyka organowa, co wydawało się odpowiednie w miejscu przypominającym do złudzenia grobowiec.

Pokonawszy kolejnych 90 metrów, dotarłem do szerokiego na 6 metrów głazu, który wystawał z błota niczym drzemiący dinozaur. Głębokościomierz pokazywał 79 metrów. Poręczówka zakręcała lekko w prawo i opadała gwałtownie. Tutaj zatrzymałem się poprzedniego dnia. Popłynąłem za liną do miejsca, w którym niknęła w warstwie czarnego mułu. Zanurzyłem rękę w błocku, wyczułem dłonią jakiś przedmiot na końcu liny i wyciągnąłem go. Był to mały pleksiglasowy kołowrotek umocowany na metalowej piaście, otoczony teraz niewielką chmurą brunatnego szlamu. Na kołowrotku wciąż pozostawał fragment liny, pozostałej po poprzednich nurkowaniach Franka Martza, popłynąłem więc do przodu, ku niewielkiemu zagłębieniu w dnie. Pokonawszy jakieś 6 metrów, ponownie wrzuciłem kołowrotek w muł. Potem spojrzałem na głębokościomierz: 86 metrów! Ponieważ głębokościomierz był dostosowany do wody morskiej, o większej gęstości, w rzeczywistości znajdowałem się na głębokości 89 metrów.

Powrót do wyjścia odbywał się przez przeszkód, aż do momentu, gdy dotarłem do wielkiego głazu na 79 metrach. Poczułem wtedy nagły wstrząs, a dookoła zrobiło się całkiem ciemno. Oszołomiony potrzebowałem kilku sekund, by zrozumieć, co się stało. Olbrzymie ciśnienie wody na tej głębokości – niemal 10 barów – rozszczelniło moją latarkę i rozgniotło szybkę, rozsiewając drobiny szkła po dnie jaskini. Kiedy wygrzebałem zapasową latarkę i włączyłem ją w pośpiechu, maleńkie szklane odłamki lśniły na dnie niczym diamenty.

Teraz czekał mnie długi, niemal poziomy odcinek prowadzący do skały na głębokości 60 metrów. Świadom, że mój zapas powietrza zmniejsza się gwałtownie z każdą chwilą, a po pobycie na takiej głębokości czekają mnie długie przystanki dekompresyjne, miałem ogromną ochotę popłynąć zdecydowanie szybciej niż do tej pory. Opanowałem się jednak i utrzymałem dotychczasowe tempo, by uniknąć nadmiernego wysiłku, który potęgował efekty narkozy azotowej i doprowadził już trzech nurków do omdlenia i śmierci w tym samym korytarzu.

Wreszcie zobaczyłem skałę i mój kołowrotek. Po niemal półgodzinnym pobycie w ciemności moje oczy były już na tyle wyczulone, że w nikłym blasku słońca widziałem cały korytarz o szerokości 32 metrów. Chwilę później byłem już przy suficie groty wejściowej, na wysokości 21 metrów. Tutaj zacząłem

trwające w sumie dwie i pół godziny przystanki dekompresyjne, które uchroniły mnie przed chorobą dekompresyjną. Byłem uradowany. Licząca 213 metrów podróż w głąb Eagle's Nest była najdłuższym nurkowaniem, jakiego kiedykolwiek dokonałem w podwodnej jaskini. Było to także najgłębsze nurkowanie jaskiniowe we wschodnich Stanach Zjednoczonych, a może i na całej zachodniej półkuli. Społeczność nurkowa Florydy, która nie wiedziała wówczas o nieco głębszych nurkowaniach dokonanych w Nevadzie i Afryce, uznała to za rekord świata.



Sheck i Mary Ellen



Sheck



Sheck w swoim minibusie. Wiecznie panował w nim nieporządek – Sheck stynął z bałaganiarstwa

ROZDZIAŁ 5

Coraz głębiej

P

omocy! Pomocy! Pomocy! – zawodził nurek unoszący się na powierzchni wody w leju krasowym. Jego szeroko otwarte oczy były wypełnione zwierzęcym strachem. Był to coś, czego doświadczeni nurkowie obawiali się bardziej niż utonięcia: całkowita utrata zdolności normalnego myślenia wywołana atakiem ślepej paniki. Jednak w pewnych okolicznościach każdy z nas może paść ofiarą tego samego paraliżującego strachu. Nurek unoszący się teraz na wodzie nie był w stanie robić niczego prócz oddychania i powtarzania w kółko tego samego słowa.

Jest jednak jeszcze coś, czego obawiamy się bardziej niż paniki i tonięcia – przeszywającego bólu choroby dekompresyjnej, kiedy to rozpuszczony gaz wydobywa się w postaci pęcherzyków z roztworu z każdej komórki ciała, rozrywając po drodze tkankę. Niemal wszystkie przypadki choroby dekompresyjnej są wynikiem drobnych błędów dekompresji lub szybkiego wynurzenia po krótkim płytkim nurkowaniu. Zwykle choroba ta przejawia się w postaci drobnych dolegliwości, takich jak wysypka skórna lub ból w stawach, a dotknięty nią nurek musi poddać się leczeniu polegającemu na krótszym lub dłuższym pobycie w komorze rekompresyjnej. Czasami objawy są poważniejsze – zaburzenia czucia, odrętwienie, a nawet paraliż. Jednak bardzo rzadka odmiana choroby dekompresyjnej o wyjątkowo gwałtownym przebiegu, która występuje tylko po bardzo głębokim lub bardzo długim nurkowaniu zakończonym szybkim wynurzeniem, z pominięciem przystanków dekompresyjnych, niemal zawsze kończy się śmiercią, a przy tym jest potwornie bolesna. Wystarczy wyobrazić sobie, że każda komórka ciała wypełnia się w jednej chwili maksymalnym bólem. W porównaniu z tym tonięcie, którego doświadczył (i które przeżył) Tommy Hawkins, a także większość innych rodzajów śmierci, są niczym. W takiej sytuacji ulgę może przynieść nurkowi tylko omdlenie, paraliż lub zapadnięcie w śpiączkę. Jednak w tej sytuacji woląłem raczej świadomie wybrać ten rodzaj śmierci niż porzucić bezradnego nurka, mojego partnera nurkowego i przyjaciela.

Kiedy płynąłem w stronę drżącego, bladego ze strachu mężczyzny, żałowałem w duchu, że nie mogę cofnąć czasu i zmienić biegu wydarzeń, które doprowadziły nas na skraj śmierci.

* * *

Moja fascynacja głębinami nie zakończyła się rekordowym nurkowaniem na 89 metrach w Eagle's Nest. Po nurkowaniu w Hornsby Sink, którego dokonałem wraz z Johnem Harperem (najlepszym nurkiem jaskiniowym lat 60.), oraz

Halem Wattsem (najlepszym wówczas na świecie nurkiem głębinowym), podczas zorganizowanej kilka tygodni później konferencji dotyczącej nurkowania jaskiniowego, opowiedziałem moim bardziej doświadczonym towarzyszom o tym rekordowym nurkowaniu.

– Brawo, to było naprawdę niezłe – stwierdził John z charakterystycznym dla siebie chłopięcym entuzjazmem. – Powiedzmy o tym Frankowi. To jego linię znalazłeś na dnie.

– No nie wiem... – mruknąłem niechętnie. Nie lubiłem się chwalić i nie chciałem nikogo urazić. – Nie będzie się złościł? – Podobnie jak moi towarzysze Frank zaczął nurkować w jaskiniach kilka lat wcześniej niż ja. Nie wiedziałem wówczas, że ze względu na liczne nurkowania, które wykonał w tej jaskini, Frank uważał Eagle's Nest za „swoje miejsce”, co w przypadku nurka oznaczało więź równie mocną i nierozzerwalną jak małżeństwo.

– Nie, na pewno go to zainteresuje. Chodź.

Po zdjęciu twinsetów John zaprowadził mnie do Franka, trzydziestokilkuletniego, niskiego, żylastego mężczyzny o rudawych włosach. Frank pokazywał właśnie grupce gapiów swoją najnowszą podwodną latarkę. Jeden z nurków stojących w tej grupce podniósł aparat, by sfotografować najnowszy produkt firmy Martz Underwater Engineering. Frank zasłonił latarkę własnym ciałem i spojrzał gniewnie na fotografa.

– Chcesz zdjęcie, to najpierw ją kup – przemówił piskliwym głosem zabarwionym środkowozachodnim akcentem.

– Hej, Frank – wtrącił radośnie John. – Mamy tu faceta, który pobił twój rekord w Eagle's Nest.

Frank odwrócił się do mnie. W jego oczach byłem dwudziestoletnim dzieciakiem, kiepsko wyposażonym (nawet według ówczesnych standardów), o czym świadczył choćby fakt, że posługiwałem się zwykłą trzywatową latarką, a nie znacznie jaśniejszym i bardziej niezawodnym trzydziestowatowym systemem niklowo-kadmowym. Jakżeby ten smarkacz mógł poprawić jego osiągnięcie w najtrudniejszej jaskini świata?

– Doprawdy? Co tam znalazłeś? – spytał sceptycznie po chwili milczenia.

Świadom, że przyglądają mi się zgromadzeni wokół nurkowie, opisałem, trochę nieskładnie, jaskinię, kołowrotek i linię. Kiedy skończyłem, Frank skrzywił się i pokręcił głową.

– Przykro mi – powiedział, uznając tym samym moją opowieść za czystą fantazję.

Przez kilka sekund stałem zszokowany w bezruchu: oto w obecności innych nurków Frank Martz, uznany ekspert i rekordzista, nazwał mnie kłamcą. W końcu na ratunek przyszedł mi John Harper, który przerwał pełne zakłopotania

milczenie, mówiąc:

– Daj spokój Frank, czy to nie na ten właśnie kołowrotek nawinałeś linę przed nurkowaniem?

– Nie – odparł krótko Martz, zajmując się ponownie swoją latarką.

Nigdy nie radziłem sobie dobrze w słownych pojedynkach. Należę do tych ludzi, którzy już po wszystkim zadrećają się myślami w rodzaju: „Szkoda, że nie powiedziałem wtedy...”. Wielu przyjaciół radziło mi, jak poradzić sobie z tą sytuacją. Lawrence Huff, mój uczeń z klubu karate uniwersytetu w Georgii (i późniejszy mistrz kraju w wadze ciężkiej), był zwolennikiem bezpośredniego podejścia: „Kopnięcie z półobrotu w głowę przywróciłoby mu pamięć”. Jednak jak większość ludzi biegłych w sztukach walki, brzydzę się przemocą. Jim Lockwood powiedział, że powinienem był zaprosić Franka do wspólnego nurkowania w Eagle’s Nest i pokazać mu to, o czym tak łatwo zapomniał. Ja jednak przekonałem się już boleśnie, poprzez wypadki, które dotknęły Tommy’ego Hawkinsa i mojego brata, że prowokowanie innych nurków, nawet w bardziej pośredni sposób, może doprowadzić do tragicznych skutków. Setki nurków, łącznie z najlepszymi nurkami jaskiniowymi tamtych czasów, schodziły do tego samego tunelu w Eagle’s Nest, jednak niemal wszyscy ulegali oszałamiającemu działaniu narkozy azotowej. A jeśli Frank również stracił na moment przytomność, nim dotarł do końca liny? Byłem na niego zły za to, jak mnie potraktował, ale nie chciałem, by stała mu się krzywda.

Wspomnienie spotkania z Frankiem wciąż jednak tkwiło w mojej pamięci niczym bolesna zadra i prowokowało mnie do działania. W połączeniu z wrodzoną chęcią pokonywania kolejnych granic pchnęło mnie do czynu, który miał wykazać raz na zawsze, że jestem najlepszym nurkiem jaskiniowym w historii. Teraz wstyd mi się do tego przyznawać, bo z czasem nauczyłem się gardzić tego rodzaju podejściem, ale tak właśnie myślałem jako dwudziestolatek. Jeszcze przed końcem roku zostałem najmłodszym w kraju certyfikowanym instruktorem nurkowania z akwalungiem i wydałem pierwszy w Stanach Zjednoczonych podręcznik nurkowania jaskiniowego. W 1970 roku członkowie Dixie Cavern Kings pomogli mi ustalić nowy rekord odległości w nurkowaniu jaskiniowym. Popłynąłem na odległość 640 metrów w Blue Springs, w okolicy Madison na Florydzie, korzystając z wymyślonej przeze mnie techniki rozkładania depozytów polegającej na umieszczaniu na trasie nurkowania dodatkowych butli z powietrzem. Dotychczas nurkowie jaskiniowi byli ograniczani powietrzem, które mogli przenieść ze sobą na plecach. W Blue Springs dołożyliśmy 36,5 metra do liny pozostawionej przez Toma Mounta i Dicka Williamsa, zabierając ze sobą butle niesione pod brzuchem (niektóre z nich zostały zamocowane w jaskini podczas wcześniejszych nurkowań).

Niemniej pomiary odległości były wtedy bardzo nieprecyzyjne (na przykład uważaliśmy wówczas, że moje nurkowanie miało niemal 900 metrów długości), dlatego udowodnienie własnej wyższości w kategorii długości nurkowania było bardzo trudne. Jednocześnie nowe głębokościomierze sprzedawane przez Scubapro dokładnie mierzyły głębokości przekraczające 90 metrów.

Choć Frank nie chciał tego przyznać, nurkowałem już w jaskiniach głębiej niż ktokolwiek inny, przynajmniej na Florydzie. Teraz postanowiłem popłynąć głębiej. Ale gdzie? Uważano powszechnie, że Zuber i Eagle's Nest kończą się na głębokościach, które już osiągnąłem, Morrison zostało zablokowane na głębokości 30 metrów, a Wakulla, miejsce, w którym nurkowano podobno poniżej 75 metrów, zostało zamknięte dla nurków i było pilnie strzeżone.

Na Karaibach znajdują się liczne leje krasowe, a niektóre z nich mierzą ponad 300 metrów głębokości. Latem 1970 roku odkryliśmy, że ściany jednego z takich lejów opadają bardziej stromo niż w Zuber. W końcu znalazłem miejsce, w którym mogłem pobić rekord świata! Zadzwoiłem do bliskiego przyjaciela, który był wówczas również jednym z najlepszych nurków jaskiniowych, i umówiłem się z nim na wspólną wyprawę.

Najpierw zanurkowaliśmy dla rozgrzewki na 86 metrów, później poczyniliśmy ostateczne przygotowania do bicia rekordu. Kupiliśmy sporo nowego sprzętu. Aby lepiej kontrolować pływalność, zaopatrzyliśmy się w kamizelki wypornościowe⁴ wprowadzone przez Nemrod⁵, które miały zastąpić butelki plastikowe używane dotychczas przez społeczność nurkową. Korzystałem także z trzydziestowatowej, noszonej na szyi lampy, zasilanej akumulatorem motocyklowym.

W tamtych czasach wielu nurków budowało dla siebie takie lampy, które świeciły równie jasno, a zarazem były znacznie tańsze niż latarki produkowane przez Franka. Miałem jednak ze sobą kołowrotek z poręczówką wykonany przez Martz Underwater Engineering. Poza tym zabrałem siatkową torebkę i mały młotek, by zebrać próbki skał dla zaprzyjaźnionego geologa. Całości wyposażenia dopełniał dekompresjometr.

W końcu nadszedł dzień nurkowania. Było popołudnie, gdy przystanęliśmy w płytkiej wodzie na skraju zbiornika, by raz jeszcze omówić plan nurkowania i sprawdzić sprzęt. Skontrolowaliśmy też wskaźniki powietrza na butlach i, pamiętając o „zasadzie jednej trzeciej”, ustaliliśmy, przy jakiej wartości powinniśmy bezpiecznie zawrócić. Mimo że wymyśliłem tę zasadę już niemal dwa lata wcześniej, wciąż była przyjmowana ze sporym oporem. Problem polegał między innymi na tym, że nurkowie jaskiniowi, przyzwyczajeni do zużywania niemal połowy zapasu powietrza (czasami nawet większej ilości) podczas wpływania do jaskini, nie chcieli ograniczać się tylko do jednej trzeciej

zapasu. Cały pomysł z zachowaniem dwukrotnie większej ilości powietrza na wypłynięcie niż na wpłynięcie opierał się na tym, że w takim układzie dwaj nurkowie mogli się dzielić powietrzem, gdyby jeden z nich stracił cały swój zapas w miejscu najbardziej oddalonym od punktu nurkowania. Wtedy nie słyszano o udanych akcjach ratunkowych, podczas których dwaj nurkowie jaskiniowi dzieliliby się powietrzem, większość nurków uważała więc, że i tak nie warto się tym przejmować. Inni byli przekonani, że w takim wypadku mogliby w drodze powrotnej oszczędzać powietrze, wydłużając każdy oddech czy też opuszczając co drugi. Nikt nie sprawdził tego rozwiązania w praktyce, a poza tym większość z nas oszczędzała powietrze w ten sposób podczas wpływania do jaskini, co oznaczało, że nie mogliśmy robić tego samego w drodze powrotnej. Tak czy inaczej, zarówno ja, jak i moi partnerzy trzymaliśmy się zasady zachowania dwóch trzecich zapasu powietrza na drogę powrotną. Jeśli chcieliśmy zapuścić się głębiej do wnętrza jaskini, nie wydłużając oddechu ani nie naruszając ustalonej z góry rezerwy, stosowaliśmy procedurę zostawiania butli depozytowych. Choć to nurkowanie miało być wyjątkowo głębokie, zamierzaliśmy zatrzymać się na dnie tylko na chwilę, postanowiliśmy więc, że nie będziemy obciążać się dodatkowymi butlami.

W końcu byliśmy gotowi. Mój partner splunął do maski i wypłukał ją.

– Ile czasu zajmie ci zabranie próbek skał?

Nie odpowiedziałem od razu. Podczas nurkowań głębinyowych czas jest czynnikiem zasadniczym, ponieważ na głębokości 90 metrów zużywamy dziesięć razy więcej powietrza niż w pobliżu powierzchni, a każda dodatkowa minuta spędzona na dnie wydłuża znacząco przystanki dekompresyjne.

– Cóż, jeśli będziemy mieli jeszcze dużo powietrza, a zejście potrwa mniej niż dziesięć minut, będę potrzebował minuty. Jeśli nie zdążę w tym czasie, dam sobie z tym spokój.

– Okej.

Zanurzyliśmy się powoli w ciemnej wodzie, starając się nie tracić siebie z oczu. W stawie byli również inni nurkowie, postanowiłem więc zamocować poręczówkę pod powierzchnią wody, z dala od punktu wejścia, i to pomimo złej widoczności. Zawiązałem koniec liny na korzeniu drzewa, na głębokości około trzech metrów, po czym przepłynąłem nad błotnistym dnem na środek leja. W najwęższej jego części, na głębokości 18 metrów, widoczność była ograniczona zaledwie do półtora metra, a pogarszały ją jeszcze obłoki szlamu i śmieci wzniecane przez innych nurków.

Na szczęście poniżej tego poziomu ściany jaskini opadały pod ostrym kątem, odchylonym o jakieś 30 stopni od pionu, dzięki czemu mogliśmy opuścić strefę mętnej wody. Nie docierała tu ani odrobina światła z powierzchni, mrok

rozpraszały więc jedynie potężne promienie naszych latarek. Co jakiś czas przystawałem i odwracałem się, by sprawdzić, czy mój partner za mną nadąża. Za każdym razem widziałem uspokajające „OK” utworzone ze złączonego razem kciuka i palca wskazującego.

Na głębokości 45 metrów widoczność wzrosła do 15 metrów, lecz pochyłe ściany, wzdłuż których płynęliśmy, zamieniły się raczej w sufit, teraz bowiem były pochylone już pod kątem 45 stopni. Mimo to tempo zanurzania wzrosło i już po chwili przekroczyliśmy poziom 60 metrów. Czuliśmy już pierwsze efekty narkozy azotowej: lekkie oszołomienie, któremu towarzyszyła odpężająca wesołość. Zastanawiałem się, czy jest to ta sama część leja, w której nurkowaliśmy dwa dni wcześniej, nie widziałem jednak, by wypuszczane przez nas pęcherzyki docierały do sufitu.

Co jakiś czas spoglądaliśmy na siebie, kontrolując się nawzajem. Wydawało się, że obaj w pełni panujemy na narkozą, która wraz ze wzrostem głębokości coraz mocniej oddziałuje na nurka. Kremowe, gładkie ściany zaczęły brązowieć, pojawiły się na nich ciemne, niemal czarne złoża, które z pewnością zainteresowałyby mojego przyjaciela geologa. Przystanąłem i sprawdziłem głębokość:

85 metrów. Poświeciłem w stronę partnera i dałem mu sygnał. Jego oczy wciąż były czujne i przytomne; skierował kciuk w dół, pokazując, że możemy płynąć dalej.

Odwróciłem się i wybrałem położoną pod nami półkę, która, jak sądziłem, znajdowała się na magicznej głębokości 90 metrów. Szybko opadliśmy na wybrane miejsce. Owinąłem linkę wokół uchwytu kołowrotka, by ją unieruchomić. Spojrzałem w górę, na mojego partnera, a potem, nim jeszcze sięgnąłem po siatkę na próbki skał, zerknąłem na głębokościomierz. Ze zdumieniem stwierdziłem, że znajdujemy się na głębokości znacznie przekraczającej 90 metrów. Wciąż czułem się dobrze, ale ogromna głębokość oraz fakt, że przebywaliśmy już pod wodą ponad dziesięć minut, skłoniły mnie do rezygnacji z pobrania próbek i wyruszenia w drogę powrotną. Pod nami ciągnęły się kolejne skalne półki, które schodziły coraz niżej, by w końcu zniknąć w niezmierzonej, ciemnej otchłani.

Wymieniwszy z partnerem umówiony sygnał – kciuk skierowany w górę – ruszyłem w drogę powrotną, zwijając po drodze linkę. Po chwili zauważyłem, że mój partner ma trudności z utrzymaniem się z dala od sufitu. Przystanęliśmy obaj, a mój towarzysz pokazał mi, że ma jakieś kłopoty ze swoją nową kamizelką wypornościową. Powietrze nie uchodziło z zaworu nadmiarowego lub inflatora. W miarę wynurzania się uwięzione w kamizelce powietrze zwiększało swoją objętość, gwałtownie rosła również pływalność mojego partnera, aż

pogorszyła się do tego stopnia, że nurek tkwił w miejscu, niczym przyklejony do sufitu, i mógł poruszać się tylko z największym trudem. Przebywaliśmy już w głębinie ponad 15 minut, a nasz zapas powietrza szybko się kurczył, dlatego mój towarzysz postanowił pozbyć się kamizelki. Spokojnie zdjął lampę z szyi, a potem rozpiął paski podtrzymujące kamizelkę. Otwór szyjny nadmuchanej mocno kamizelki zmniejszył się jednak znacznie, mój partner musiał więc zdjąć maskę i wyjąć ustnik, by przesunąć ją przez głowę.

Przypuszczam, że w tej właśnie chwili w jego głowie odezwały się te niechciane, lecz uparte głosy: „Nic nie widzisz... twój nos jest w wodzie... wyjąłeś ustnik, więc nie możesz oddychać... zdejmujesz kamizelkę, ale nie wiesz, czy zdołasz wypłynąć... właśnie zanurzyłeś się w jaskini głębiej niż ktokolwiek inny... tu jest okropnie zimno i ciemno... kończy ci się powietrze... musisz się stąd wydostać i to SZYBKO... przede wszystkim, NIE PANIKUJ, PANIKA ZABIJA!”. Tak właśnie siła negatywnego myślenia zaczęła przejmować kontrolę nad jego zachowaniem.

Przez chwilę szamotał się z kamizelką, później gwałtownie poruszył lampą, wzywając mojej pomocy. Bez maski praktycznie nic nie widział, wyjąłem więc swój ustnik, przystawiłem go do jego ust i nacisnąłem przycisk dodawczy drugiego stopnia, uwalniając duży pęcherz powietrza. Mój towarzysz kurczowo chwycił automat jedną ręką, gdy ja tymczasem znalazłem swój drugi ustnik. Potem odszukałem jego automat i przystawiłem go do ust, by upewnić się, że działa jak należy. Następnie, gdy odzyskał częściowo przytomność umysłu, podałem mu jego ustnik i zmusiłem, by wziął go ode mnie. Nigdzie nie widziałem jego maski, pochwyciłem go więc za ramię i próbowałem pchnąć w górę, byśmy zdążyli się obaj wynurzyć, zanim zabraknie nam powietrza. Nie miałem czasu, by patrzeć na głębokościomierz, jestem jednak pewien, że wciąż byliśmy poniżej poziomu 76 metrów.

Nagle mój towarzysz, ogarnięty paniką, zaczął się ze mną szarpać. Przypominało to do złudzenia wypadek Tommy’ego w Little River, tyle że tym razem ofiara miała dość powietrza, by skutecznie ze mną walczyć. W końcu zdołałem się od niego oderwać, ale poczułem, że coś trzyma mnie za stopy. Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że poręczówka, która poluzowała się podczas naszych zmagania, zaczepiła o moje płetwy i oplątała je. Napiąłem linkę kołowrotkiem, zsunąłem ją z płetw i ponownie odwróciłem się do mojego partnera. Gdy tylko spoczął na nim promień mojej latarki, ruszył desperacko w moją stronę, pędząc do światła niczym ćma. Kiedy był już blisko, odsunąłem się od niego, wyłączyłem latarkę i podpłynąłem w górę o kilka metrów. Potem ponownie włączyłem latarkę, by znów pobudzić go do działania.

Nasz powrót na płytsze wody składał się z całej serii takich właśnie cykli,

gdy prowadziłem go za sobą, używając latarki niczym przynęty. Za każdym razem udawało mi się umknąć przed jego rozcapierzonymi palcami, jednak co najmniej trzykrotnie jeden z nas zaplątywał się w poręczówkę, którą musiałem przecinać. Na głębokości 45 metrów wpłynęliśmy ponownie w zamuloną wodę, a nieco później, na 40 metrach, lina zaplątała się jednocześnie wokół zaworu butli i płetw mojego partnera. Przeciąłem szybko linę zarówno nad, jak i pod nim, a od razu on popędził w górę.

Popłynąłem za nim, łudząc się nadzieją, że jakimś cudem odzyska trzeźwość umysłu i przed wynurzeniem przystanie jeszcze, by poddać się dekompresji. Przed wejściem w warstwę wody o zerowej widoczności, na głębokości 18 metrów, zerknąłem na mój dekompresjometr. Urządzenie to, które często bywało zawodne i nakazywało robić przystanki na niebezpiecznie małych głębokościach, teraz wskazywało, że powinniśmy zatrzymać się na 10 metrach. Współczesne tabele dekompresyjne wyznaczyłyby pierwszy przystanek na głębokości 36,5 metra. Ominięcie tego progu oznaczało, że teoretycznie powinniśmy zapaść na chorobę dekompresyjną. Zignorowanie następnego przystanku, na głębokości 33,5 metra, zwiększało ryzyko wystąpienia tej choroby, podobnie jak opuszczenie każdego kolejnego postoju. Obaj pominęliśmy wszystkie przystanki.

Gdy wypłynąłem na powierzchnię, mój partner zachowywał się tak, jak opisałem na początku rozdziału; wołał bez ustanku o pomoc, robił to jednak głosem pozbawionym jakiejkolwiek modulacji i ekspresji. Sprawiał wrażenie, jakby jego mózg zamienił się w zapętloną taśmę audio, na której nagrano tylko jedno słowo. Podpłynąłem do niego, podczas gdy część mojego umysłu wyobrażała sobie moje ciało jako olbrzymią tabletkę alka-seltzer syczącą głośno od nadmiaru bolesnych, rozrywających tkanki pęcherzyków azotu. Każda sekunda spędzona tutaj, na powierzchni, znacznie zwiększała prawdopodobieństwo mojej śmierci, a każdy ruch mego ciała pogarszał sytuację. Ale gdybym nie pomógł mojemu partnerowi, ten nie miałby żadnych szans na przeżycie.

Chwyciłem go za zawór butli i przeciągnąłem około piętnastu metrów do wyjścia, gdzie zdołał złapać się stopni. Wciąż był oszołomiony, jego szeroko otwarte oczy wypełniał strach. Ukryty w głębi mojego umysłu zegar, który odliczał sekundy dzielące mnie od śmierci wywołanej chorobą dekompresyjną, tykał coraz głośniejsze. Pochwyciłem mego towarzysza za ramię i przysunąłem twarz do jego twarzy.

– Musisz wrócić na dół i przejść dekompresję! – rozkazałem.

Zmrużył oczy i pokręcił głową, jakby wybudzał się z głębokiego snu.

– Co? Co?

– Gdzie twoja maska? – spytałem, on jednak tylko wpatrywał się we mnie w milczeniu. Moje wysiłki nie przynosiły żadnego skutku.

– Bierz! – powiedziałem, wkładając mu na głowę moją maskę. – Weź to i pływaj na dół. – Pomogłem mu zamocować maskę, a potem położyłem jego dłoń na poręczówce. – Będę tuż za tobą.

Nie mogłem, oczywiście, wrócić pod wodę bez maski, żeby kierować dekompresją oszalałego ze strachu nurka. Teraz jednak przynajmniej on miał szansę na przeżycie. Na szczęście przy brzegu stało kilku innych nurków.

– Mogę pożyczyć maskę? – spytałem. Tykanie zegara śmierci wydawało się wręcz ogłuszające.

Złapałem podaną mi maskę i popłynąłem w dół liny, za moim partnerem, ściągając go na głębokość 9 metrów zamiast 7,5 metra wskazywanych przez nasze dekompresjometry, które ulegały dekompresji, gdy my szamotaliśmy się na powierzchni. Oznaczało to, że nie mogliśmy teraz w ogóle polegać na ich wskazaniach – musieliśmy improwizować. Postanowiłem zejść półtora metra niżej, niż zalecał dekompresjometr, a także pozostać na ostatnim przystanku (3 metry) pół godziny dłużej.

Tymczasem mój partner powoli dochodził do siebie. Obaj kuliliśmy się teraz ze strachu, czekając na pierwsze objawy nieuniknionej, jak nam się wydawało, choroby. Cudem jednak nie pojawiły się i kilka godzin po wynurzeniu odetchnęliśmy z ulgą przekonani, że tym razem udało nam się oszukać posępnego żniwiarza. Warto wspomnieć, że podczas naszej długiej dekompresji, gdzieś po godzinie, mój partner pokazał mi ze wstydem, co trzymał w dłoni, odkąd tylko zaczęliśmy się wynurzać z głębokości 76 metrów: swoją maskę. Oto siła strachu.

Zastanawiacie się, być może, gdzie odbyło się to nurkowanie i kim był mój partner. Postanowiłem nie ujawniać tych informacji. Smutnym komentarzem do naszej przygody może być bowiem stwierdzenie, że każdy, kto wpadł w panikę, zostaje naznaczony swego rodzaju piętnem. Wydaje się, że nurkowie jaskiniowi, którzy muszą stawiać czoło jednemu z najbardziej wrogich środowisk, jakie zna człowiek, powinni być pozbawionymi strachu herosami – a przecież każdy z nas wie, że w określonych warunkach może ulec panice. Miliony lat ewolucji zaprogramowały nas tak, że w obliczu niebezpieczeństwa otrzymujemy nagły zastrzyk adrenaliny, który każe nam działać w gorączkowym, bezrozumnym popłochu i uciekać przed niebezpieczeństwem lub z nim walczyć. Niestety, w nurkowaniu jaskiniowym ta naturalna reakcja często prowadzi do śmierci. Przetrwanie zależy od tego, czy nurek potrafi zapanować nad strachem i zastąpić go spokojnym, szybkim i racjonalnym myśleniem.

Nie jest to jednak reakcja, którą nosimy w sobie od urodzenia, z pewnością

nikt też nie uczy tego w szkole. Ja przyswoiłem ją przez przypadek, dzięki cudownemu przetrwaniu wypadków, które opisałem w poprzednich rozdziałach. Miałem na tyle szczęścia, że te najgorsze, najbardziej przerażające incydenty zostały poprzedzone sytuacjami dość łatwymi do rozwiązania, a dzięki temu mogłem uczyć się stopniowo, że kluczem do przetrwania nie jest ślepa panika, lecz skupienie i spokojne rozumowanie. Gdybym na przykład zgubił się w Peacock podczas trzeciego nurkowania jaskiniowego (kiedy to omal nie spanikowałem w Jugg Spring, uderzywszy głową o ścianę i zalawszy maskę), a nie dwudziestego piątego nurkowania, prawdopodobnie nie byłbym w stanie szukać dalej wyjścia z jaskini. W gruncie rzeczy jedyna różnica, która dzieliła mnie i mojego towarzysza podczas wspólnego nurkowania na głębokość ponad 90 metrów, polegała na tym, że ja byłem dość głupi, by wpakować się w sytuacje opisane w poprzednich rozdziałach, a on nie.

Obecnie możemy korzystać z certyfikowanych kursów nurkowania jaskiniowego i publikacji opisujących szczegółowo procedury bezpieczeństwa, nowi nurkowie nie muszą już więc na własną rękę odkrywać technik bezpiecznego nurkowania tak, jak ja tego doświadczyłem, czyli metodą prób i błędów. Jak jednak nauczyć nurków, by nie ulegali panice?

Jak na ironię, rekord, którego ustalenie kosztowało nas tyle trudu i nerwów, był aktualny tylko przez kilka tygodni, do czasu gdy zanurkowaliśmy na głębokość 99 metrów w podobnej jaskini, w Mystery Sink w Orlando. Tym razem towarzyszył mi dobry przyjaciel i wypróbowany partner, Joe Prosser. Nurkowaliśmy razem od lat, wiedziałem więc, że Joe potrafi zachować w trudnych sytuacjach przytomność umysłu. Być może jednak na największą ironię zakrawa fakt, że jak dowiedzieliśmy się wiele lat później od Martyna Farra, oba te nurkowania były jedynie amerykańskimi rekordami głębokości. Rok wcześniej czterech brytyjskich nurków wykonało przy użyciu mieszanki gazowej nurkowanie na głębokość 102 metrów w Sinoia Caves w Zimbabwe (Rodezja).

„Każdy sport musi mieć swojego mistrza. Ja chcę być mistrzem nurkowania z akwalungiem”. Słowa te wypowiedział Jean Clarke-Samazen, tłumacząc, co skłoniło go do ustalenia rekordu głębokości w nurkowaniu z akwalungiem w 1954 roku. Korzystając wówczas ze sprężonego powietrza, zanurzył się na głębokość 106,5 metra. Wynik ten utrzymywał się przez ponad dwanaście lat, nieprawdopodobnie długi okres jak na rekord nurkowy. Według czasopisma nurkowego „Dive” dwóch ludzi zginęło, próbując go pobić (jednym z nich był prawnik z Florydy, Hope Root).

„Mój stary partner ze sklepu nurkowego właśnie ustalił rekord świata wynoszący 108 metrów” – z dumą poinformował nas Ken Brock we wrześniu

1966 roku na spotkaniu Aquacks Dive Club. Nie było potrzeby wyjaśniać jaki rekord. Rekord głębokości w nurkowaniu z akwalungiem był najważniejszy dla wszystkich nurków, zajmował specjalne miejsce ponad rekordami w nurkowaniu jaskiniowym i w nurkowaniu na bezdechu, ponad rekordami odległości ustalany przez Freda Baldasare'a, a nawet rekordami głębokości nurków klasycznych⁶, takich jak Hannes Keller⁷, którzy schodzili na jeszcze większe głębokości. Jednak naszym zdaniem rekordy te były w dużej mierze ustalane przez maszyny – specjalne łodzie podwodne, które w bezpiecznych i komfortowych warunkach przenosiły nurków na określoną głębokość, a potem ich stamtąd wywoziły. Przyznanie rekordu Kellerowi wydawałoby się równie sensowne jak nadanie kierowcy rajdowemu tytułu najlepszego sprintera świata.

Rekord w nurkowaniu z akwalungiem był ustalany tylko i wyłącznie przez ludzi. Najnowszym rekordzistą był wówczas Hal Watts, który przyjął do spółki w sklepie nurkowym w Orlando mojego instruktora i mój pierwszy ideał prawdziwego nurka, Kena Brocka. Hal natychmiast stał się idolem nastoletnich członków naszego klubu. Podobnie jak Ken, Hal był prawdziwym bohaterem, którego interesowało przede wszystkim przesuwanie granicy ludzkich możliwości, a nie udział w zorganizowanym, profesjonalnym sporcie lub, co gorsza, naśladowanie brawurowych popisów aktorów w rodzaju naszego ukochanego „Mike'a Nelsona” z telewizyjnego serialu „Sea Hunt”. Co więcej, Hal był jednym z nas – nurkiem z Florydy – co zdawało się potwierdzać opinię wygłaszaną przez coraz większą liczbę ludzi: nurkowie jaskiniowi byli po prostu najlepszymi nurkami na świecie, koniec kropka.

Nie opracowano jeszcze tabel dekompresyjnych dotyczących nurkowania z egzotycznymi mieszkankami helowymi, których używali nurkowie korzystający z łodzi podwodnych, podczas zwykłego nurkowania z akwalungiem mogliśmy więc używać jedynie sprężonego powietrza. Sprężone powietrze jest tanie i powszechnie dostępne, ale jego główne składniki, azot i tlen, poniżej głębokości 40 metrów nabierają właściwości narkotycznych, a nawet toksycznych. Oddychanie powietrzem na takiej głębokości może sprawić, że nurek bez najmniejszego ostrzeżenia traci przytomność, a nawet dostaje konwulsji i umiera. Problem ten nabiera coraz większej wagi wraz ze wzrostem głębokości i czasu zanurzenia. Podczas wieloletnich treningów nurkowych w Forty Fathom Grotto Hal opracował kilka technik zapobiegania zgubnym skutkom narkozy, między innymi metodę aklimatyzacji poprzez serię coraz głębszych zanurzeń rozdzielonych stosunkowo krótkimi przerwami. Techniki te przyniosły korzyść całej społeczności nurkowej i pomogły nam wykonywać bezpieczniejsze nurkowania.

Nie znaczy to, że dokonania Hala nie wzbudzały żadnych kontrowersji.

Niektóre organizacje oraz publikacje nurkowe nazywały nurkowanie na głębokość 108 metrów, wykonane z Herbem Johnsonem, oraz późniejsze rekordowe zanurzenie na 119 metrów, przeprowadzone przy pomocy A.J. Munsa, „próbami samobójczymi”. Zarzucały mu, że ustanawia rekordy, które mogą doprowadzić do śmierci jego naśladowców. Krytycy Hala nie musieli się specjalnie wysilać, by znaleźć argumenty na poparcie swoich oskarżeń. Wystarczyło przywołać przykład jednego z najlepszych nurków Cousteau, Maurice’a Fargues’a, który zginął w 1947 roku, czy też inne śmiertelne wypadki wymienione w tym rozdziale. Choć do pewnego stopnia zarzuty te były wywołane troską o zdrowie i życie nurków, zdawaliśmy sobie sprawę, że wielu spośród krytyków Hala powodowanych jest zazdrością – gdy jesteś na szczycie, stajesz się łatwym celem. Halowi nie pomagało również to, że był blisko związany z firmą produkującą sprzęt nurkowy i z organizacją prowadzącą szkolenia nurkowe. Taki układ sprawiał, że krytkowano go również ze względów finansowych.

Niemniej, gdy Kanadyjczycy Archie Forfar i Anne Gunderson zaczęli na początku 1971 roku planować rekordowe nurkowanie, martwili się przede wszystkim tym, czy nie stracą licencji instruktorów nurkowania z akwalungiem. Oboje zarabiali na życie, prowadząc szkolenia w ośrodku nurkowym Archiego zwanym Andros Reef Inn, takie obawy były więc uzasadnione. Kierownik regionalny ich organizacji instruktorskiej zapewnił jednak Anne, że zachowają swoje uprawnienia.

Oficjalny rekord w nurkowaniu z akwalungiem w 1971 roku wynosił 133 metry, a został ustanowiony przez dwóch byłych uczniów Hala, Neala Watsona i Johna Gruenera. Słyszeliśmy, że opuszczono ich na specjalnej platformie, do której obaj byli przymocowani, stracili przytomność i nie pamiętali szczegółów nurkowania. Niektórzy nurkowie sugerowali nawet, że obaj omdleli znacznie wcześniej i opuszczano ich już nieprzytomnych, co byłoby doprawdy idiotycznym sposobem ustanawiania rekordu. Kilka lat później podczas intrygującego nurkowania ustalono „nieoficjalny” rekord wynoszący 140 metrów. Rekord ten należał do Dicka Bircha z ośrodka Small Hope Bay Lodge sąsiadującego z ośrodkiem Archiego i walczącego z nim o klientów. Nigdy nie zwracałem szczególnej uwagi na to, czy rekord jest „oficjalny”, czy też nie, określenie takie wydawało mi się bowiem pozbawione znaczenia i stosowne tylko w przypadku rekordów z „Księgi Guinnessa”. Liczyła się tylko odpowiedź na pytanie, czy rzeczywiście doszło do tego nurkowania. W przypadku zejścia Bircha większość członków społeczności nurkowej uważała, że użyto nieprecyzyjnych metod pomiarowych i w rzeczywistości nurkowanie było znacznie płytsze. Bez względu na to, jak było w istocie, szczerze podziwiałem

ich wszystkich – Watsona, Gruenera i Bircha – za to, że próbowali na różne sposoby przesuwać granice naszych możliwości.

Anne Gunderson była drobną, dwudziestokilkuletnią blondynką, która bezskutecznie usiłowała ukryć swoją urodę pod poważną miną i okularami w drucianych oprawkach. Po raz pierwszy dowiedziałem się o niej z rozmowy instruktorów nurkowania instytutu YMCA⁸ dyskutujących o pewnym ćwiczeniu, podczas którego początkujący instruktor nurkowania wskakuje do wody, trzymając w dłoniach cały swój sprzęt (łącznie z maską i butlą), po czym wkłada go na siebie i wraca na powierzchnię. Kilku instruktorów YMCA twierdziło, że wykonują to ćwiczenie w rekordowym czasie.

– Do diabła, słyszałem o d z i e w c z y n i e, która pobiła rekord Shecka – wtrącił jeden z rozmówców. – Nazywa się Anne Gunderson i zrobiła to w 12 sekund.

W dzisiejszych czasach, po dokonaniach Mary Ellen Eckhoff, Indii Fuller, Sylvii Earle, Marty Dunwoody, Angeli Bandini, Ann Kristovich i wielu innych, nikogo nie dziwi równorzędna pozycja kobiet w różnych rodzajach nurkowania. Jednak na początku lat siedemdziesiątych nurkowanie z akwalungiem było sportem zdominowanym przez mężczyzn.

Archie zatrudnił Anne jako instruktorkę w swoim ośrodku, po czym wkrótce zostali parą. Poznali Jima Lockwooda, kiedy ten nurkował w pobliskich „błękitnych dziurach”, w ramach ekspedycji George’a Benjamina. George, również Kanadyjczyk i przyjaciel Archiego, prowadził pionierskie badania w licznych jaskiniach podwodnych na Bahamach, zwanych w tamtej okolicy „błękitnymi dziurami” (patrz Rozdz. 7), i opublikował w „National Geographic” artykuł na ten temat. George był także prawdziwym innowatorem, wynalazł, między innymi bezpieczniejszy manifold⁹ obsługujący twinsety (mniej więcej w tym samym czasie podobny projekt przedstawił nurek jaskiniowy z Karoliny Południowej, Ed Dixon). Jednakże George, ze względu na swój wiek (miał wtedy ponad 60 lat) i technikę, nie mógł schodzić na głębokości przekraczające 60 metrów. Zaprosił więc do współpracy naszego najbardziej znanego nurka, Toma Mounta, i zlecił mu zorganizowanie zespołów, które badałyby jaskinie na większych głębokościach. Za pośrednictwem Toma George dowiedział się o naszych procedurach, takich jak zasada jednej trzeciej, a także latarkach i kołowrotek z poręczówką produkowanych przez Franka Martza. Oczywiście Frank także został zaproszony wraz z Jimem Lockwoodem, swoim ulubionym partnerem nurkowym.

Powszechnie szanowany ze względu na wyjątkowo niskie tempo oddychania oraz dużą wytrzymałość w głębinie Jim okrył się złą sławą, gdy w ciągu roku

podczas wspólnych nurkowań zginęło aż trzech jego partnerów. W żadnym z tych wypadków Jim nie był temu winny, za każdym razem podejmował też ryzykowne próby ratunku. Niektórzy jednak zastanawiali się, czy Jim nie wciąga w niebezpieczne sytuacje nurków o mniejszych niż on możliwościach, a kilku największych ignorantów nazwało go nawet „Lockwood zabójca”. Archie i Anne zdawali sobie sprawę, że takie oskarżenia są bezpodstawne, a Archie nawet obdarzył go kiedyś niezwykle komplementem: „Jim, jesteś jedynym ze znanych mi nurków głębinowych, który nie jest szalony.”

Jim zaczął przygotowywać się do rekordowego nurkowania już rok wcześniej, w Mystery Sink Hala Wattsa¹⁰ na Florydzie. Podczas gdy Joe Posser i ja ustalaliśmy tam rekord jaskiniowy wynoszący 99 metrów, Jim wyznał mi, że w otwartych wodach zanurkował jeszcze głębiej niż Hal, na 114 metrów. Wiedział również, że bliskość „ściany” wyspy Andros – niemal pionowego urwiska, opadającego z głębokości 45 metrów do około 300 metrów – przy której zamierzali nurkować Archie i Anne, stwarzała mu idealne warunki do realizacji marzenia o ustaleniu nowego rekordu.

Latem 1970 roku Jim pomógł także Frankowi Martzowi wydłużyć moją linę w Eagle’s Nest. Odkryli tam dużą jaskinię, którą nazwali „Super Grota”. Dowiedziałem się o tym odkryciu i 29 września 1971 roku, wraz z Chuckiem Stevenssem, dotarłem do końca tej jaskini. W tym czasie Jim rozstał się z Frankiem, nie mogąc dłużej znieść jego zgryźliwości, a moim dotychczasowi partnerzy z Dixie Cavern Kings praktycznie przestali się zajmować nurkowaniem jaskiniowym, obaj więc potrzebowaliśmy nowych partnerów. Jim skontaktował się ze mną, ciekaw, co znaleźliśmy w Eagle’s Nest, i wkrótce obaj nurkowaliśmy tam praktycznie co tydzień.

Tymczasem na wyspie Andros postępowały przygotowania do bicia rekordu. Wykorzystując opracowaną przez Hala technikę aklimatyzacji głębinowej, cała trójka stopniowo docierała do głębokości rzędu 120 metrów i większych, gdzie doświadczała przedziwnych objawów silnej narkozy azotowej, takich jak całkowita ślepota, czasowa i permanentna amnezja, a nawet utrata przytomności. W tym ostatnim wypadku nurek zachowywał się tak, jakby nagle zasnął z otwartymi oczami, a jeśli nikt mu nie pomagał, leżał na dnie, oddychając dopóty, dopóki nie skończyło mu się powietrze. Na szczęście Archie opracował prostą metodę ratunkową na wypadek tak głębokiego omdlenia, w której to metodzie¹¹ wykorzystał odpinany balast, nowe kamizelki wypornościowe oraz system automatycznej iniekcji Franka Martza. Gdyby któryś z trojga nurków bijących rekord stracił przytomność, balast opadłby na dno, a kamizelka wypornościowa wyniosłaby go na głębokość, na której mógł odzyskać

świadomość.

Nadal jednak istniało niebezpieczeństwo, że nurek nie wybudzi się do czasu, gdy balast wyniesie go na wysokość pierwszego przystanku dekompresyjnego, i że tym samym może paść ofiarą choroby dekompresyjnej. Dlatego też konieczny był zespół wsparcia powołany do wyłapywania rekordzistów wynurzających się z głębiny. Archie nie chciał powtórzyć błędu Hannesa Kellera, który ze względów marketingowych zaprosił do nurkowania dwóch nie całkiem doświadczonych nurków, a potem został obciążony odpowiedzialnością za ich śmierć. Archie chciał współpracować z najlepszymi nurkami głębinowymi. Mój partner nurkowy z Eagle's Nest był tak miły, że rekomendował również mnie.

W następny weekend poleciałem do organizatorów – którzy pokrywali wszystkie koszty podróży i pobytu – by poznać szczegóły ich projektu. Wiedziałem, że Jim jest najlepszym specjalistą od nurkowania głębinowego, z jakim pracowałem do tej pory, wkrótce także nabrałem wielkiego szacunku dla Anne i Archiego. Oboje byli prawdziwymi profesjonalistami w przygotowywaniu wszystkich procedur bezpieczeństwa. Mimo to miałem pewne uwagi, którymi podzieliłem się z Archie.

– Wierzę w to, co próbujecie tu zrobić, naprawdę – zacząłem, podczas gdy chudy, brodaty Kanadyjczyk przysłuchiwał mi się uważnie. – Ale wiem też, przez jakie piekło musiał przejść Hal Watts z powodu swoich nurkowań. Mam nadzieję, że zamierzacie zrobić to dyskretnie, przy minimalnym rozgłosie.

Archie, jak zawsze, odpowiedział spokojnie. Nigdy nie mówił więcej, niż było to konieczne, a jeśli już się odezwał, robił to tak cicho, że trzeba było wyęztać słuch.

– Nie martw się, my też nie chcemy rozgłosu. – I uśmiechnął się, co zdarzało mu się naprawdę rzadko.

Następnego dnia popłynęliśmy we czwórkę łodzią Archiego do ściany. Na morzu były wysokie na ponad metr fale, a ja tradycyjnie dostałem choroby morskiej, choć wcześniej nafaszerowałem się różnymi środkami, które miały jej zapobiec. Jim koniecznie chciał mi pokazać, o ile łatwiej nurkuje się w otwartym morzu niż w jaskiniach takich jak Eagle's Nest.

– Kiedy zanurkujemy... – mówił w przerwie między moimi napadami mdłości. – ...nie patrz na głębokościomierz, dopóki cię nie poproszę.

– Dobrze – wychrypiałem słabo, obmywając twarz garścią morskiej wody.

W końcu znaleźliśmy się w wodzie, pod wzburzoną powierzchnią. Mój żołądek wreszcie uspokoił się i mogliśmy popłynąć do liny kotwicznej, wczepionej w ścianę na głębokości 45 metrów. Nurkowałem obok podobnej ściany przy północnym krańcu Grand Cayman (wyspa Wielki Kajman) z Rickiem Frehseem, jednak ta wydawała się bardziej kolorowa i ekscytująca; w

pobliżu pływało znacznie więcej ryb, a powierzchnię klifu porastała większa różnorodność kolorowych koralów, gąbek i gorgonii. Nie dziwiłem się teraz, że znaleźli tutaj kilka niezwykle rzadkich muszli, z których każda warta była kilka tysięcy dolarów. Ze ściany wyrastały też wielkie drzewa cennego czarnego koralu. Nie miałem jednak czasu przyglądać się temu bogactwu fauny i flory, pomknęliśmy bowiem szybko w dół. Ze względu na ograniczony zapas powietrza w naszych butlach i konieczność ograniczenia do minimum przystanków dekompresyjnych musieliśmy jak najszybciej się zanurzać.

Oparłem się pokusie spojrzenia na głębokościomierz i nurkowałem na wyczucie, jak prosił mnie Jim. Wykorzystałem umiejętności medytacji, koncentracji i panowania nad ciałem nabyte podczas treningów karate, by jak najszybciej wykryć pierwsze objawy narkozy azotowej, zatrucia tlenowego lub nadmiaru dwutlenku węgla. Zaledwie cztery minuty po rozpoczęciu zanurzenia Jim przystanął i spojrzał na mnie, uśmiechając się jak kot z Cheshire. Gdy dołączyłem do niego, wskazał na głębokościomierz. Wciąż nie czułem żadnych niepożądanych objawów, zawahałem się więc na moment, nie chcąc tracić czasu na dotarcie do głębokości 85 lub 90 metrów, które osiągnęliśmy w Eagle's Nest. On jednak nalegał, zerknąłem więc na jego głębokościomierz. Wskazywał 120 metrów.

Z niedowierzaniem porównałem tę wartość ze wskazaniem własnego przyrządu. Niedawno opanowałem trudną umiejętność mówienia pod wodą, krzyknąłem więc do Jima: „Nie wierzę, że to takie łatwe!”. Zostałem właśnie szóstym nurkiem w historii, który osiągnął tę głębokość, nurkując z akwalungiem¹².

Zgodnie z planem nurkowania mieliśmy wrócić na głębokość 90 metrów i zatrzymać się tam na półgodzinną aklimatyzację. Wolałem wypłynąć na ten poziom, korzystając z płetw, a nie używając jedynie kamizelki wypornościowej. Wiedziałem, że praca dużych mięśni w moich nogach wytworzy spore ilości dwutlenku węgla i, być może, wywoła narkozę azotową oraz zatrucie tlenowe, nie martwiłem się tym jednak ze względu na łatwość, z jaką zszedłem na tę głębokość.

Nagle płynny obraz w kamerze moich oczu i umysłu zamienił się w serię następujących po sobie nieruchomych obrazów. Kiedy spojrzałem na Jima, zobaczyłem aż trzy jego postacie, jedną nad drugą. Nigdy dotychczas podczas nurkowań nie doświadczyłem podobnych objawów. Kierując się rozsądkiem, przestałem poruszać płetwami i resztę podróży w górę odbyłem za pomocą kamizelki wypornościowej.

Wkrótce zacząłem się nudzić, gdy inni siedzieli nieruchomo na skalnej półce, na głębokości 90 metrów. Dla zabicia czasu zacząłem pływać wzdłuż ściany,

przyglądając się jej z bliska. Niestety, niepotrzebny wysiłek fizyczny znów mi się nie przysłużył – tym razem dostałem mdłości wywołanych zatruciem tlenowym. Wiedziałem, że w niektórych przypadkach zatrucie tlenowe oznacza gwałtowne konwulsje i natychmiastową śmierć, dałem więc znak pozostałym i wynurzyłem się na głębokość, na której konwulsje ustały. Tym razem skorzystałem z kamizelki wypornościowej, by nie pogorszyć swojej sytuacji.

Dekompresja przebiegała nietypowo, gdyż pierwszy przystanek urządziliśmy na bardzo dużej (jak na tamte czasy) głębokości 30 metrów. Kilka miesięcy później rzekomy ekspert nurkowy ze środkowego zachodu, który realizował z Randym Hyltonem duży projekt rządowy dotyczący nurkowania saturowanego, oświadczył z dumą, że właśnie wykonał swoje pierwsze nurkowanie na głębokość 30 metrów. Randy, znany ze szczerości i niechęci do wszelkiego rodzaju szarlatanów, huknął wtedy: „Do diabła, wykonywałem nurkowania, kiedy robiliśmy przystanki dekompresyjne na większych głębokościach!”.

Kiedy odpoczywaliśmy na kolejnym przystanku dekompresyjnym, na głębokości 12 metrów, rozbawił nas ogromny padlinożerca zwany podnawką (remorą), który zazwyczaj przywiera do brzucha rekina i żywi się pozostawionymi przezeń resztkami. Tym razem jednak próbował przyczepić się do pośladków Jima, który wcale nie był tym faktem rozbawiony i odganiał kopniakami napastliwe zwierzę. Ja także przestałem się śmiać, gdy uzmysłowiłem sobie, co następuje: (1) nigdy nie słyszałem o tak dużej remorze, (2) nigdy nie widziałem remory bez rekina, z czego wynikało, że (3) rekin był prawdopodobnie w pobliżu, (4) duża remora musiała żywić się przy dużym rekinie.

Zapomniałem jednak całkiem o Panu Rekinie podczas przystanku na sześciu metrach. Znajdowaliśmy się już wówczas w zasięgu fal szalejących na powierzchni, a ja dostałem takich mdłości, że musiałem wymiotować pod wodą. Nie wiedziałem, czy bezpieczniej będzie wymiotować do automatu, ryzykując, że automat zatka się drobinami jedzenia i zacznie przepuszczać wodę, czy też wyjąć ustnik i wymiotować prosto do oceanu – w tym wypadku mogłem mimowolnie wciągnąć w usta wodę, zakrztusić się i utonąć. Pod koniec pobytu na tej głębokości nie miałem już tego dylematu: wymiotowałem wielokrotnie na oba sposoby. Potem spojrzałem w górę i uświadomiłem sobie, że czeka mnie jeszcze pięćdziesięciosześciminutowy przystanek na głębokości trzech metrów. Była to jedna z najgorszych chwil w moim życiu.

Tego wieczoru, gdy mój żołądek cudem doszedł do siebie, a ja mogłem najeść się bahamskich brzoskwiń i ryżu, Archie zwołał naradę w swoim biurze. Zaimponowała mu łatwość, z jaką zszedłem na głębokość 120 metrów, znał też spektakularne dokonania Jima. Czy wszyscy nurkowie z Florydy byli tacy jak

my? Jeśli tak, to nowy rekord świata nie mógł utrzymać się zbyt długo! Jim i ja staraliśmy się rozwiązać jego wątpliwości. Potrzebowaliśmy przecież jeszcze dwóch członków zespołu wsparcia, którzy czuwaliby na głębokości 90 metrów.

– Myślisz, że John i Randy zechcieliby do nas dołączyć? – spytał Archie Jima.

Jim od czasu do czasu nurkował z Johnem Harperem i jego wieloletnim partnerem nurkowym Randym Hyltonem.

– Cóż, tworzyli zespół wsparcia podczas ostatniego rekordowego nurkowania Hala – rozmyślał głośno Jim. – Randy pewnie by przyjechał, ale John nie nadaje się już do nurkowania w głębi, odkąd kilka lat temu nabawił się choroby dekompresyjnej w Eagle's Nest.

– A co z Halem? – spytałem.

– Prawdopodobnie nie zechce przyjechać. Poza tym pewnie ma ochotę skupić całą uwagę na sobie.

– Cóż, oprócz Randy'ego w zespole Shecka musi być jeszcze jeden nurek – stwierdził Archie. – Czy Tom Mount mógłby zanurkować na 90 metrów?

Tom był jednym z moich kolegów z NACD i opowiadał mi niedawno o swoim najgłębszym nurkowaniu, kiedy to zszedł na 104 metry, by ratować nieprzytomnego partnera.

– Jasne – skinąłem głową.

– Tak, ale Tom jest instruktorem nurkowania na uniwersytecie Miami i na pewno obawiałby się, że straci pracę – dodał Jim. – Ja postawiłbym na Billa Wigginsa.

– Kto to?

– Nurek z Lakeland. Kilkakrotnie nurkował ze mną i z Jimem w Eagle's Nest – wyjaśniłem. – Świetnie sobie radzi na dużych głębokościach.

Nazajutrz obserwowałem, jak Archie nurkuje na 137 metrów z systemem odrzucania balastu. Jim musiał zrzucić balast wcześniej, dlatego zatrzymał się na 134 metrach. Choć ja nie miałem tego zabezpieczenia, chciałem popłynąć za nimi, lecz Anne przerwała nurkowanie na 90 metrach i poprosiła, bym z nią został.

Termin rekordowego nurkowania został wyznaczony na 11 grudnia 1971 roku, miesiąc później. Jim i ja przylecieliśmy tam dziewiątego, z Randym i Billem, by dziesiątego wykonać próbne nurkowanie. Niestety, nie była to „pełna” próba, gdyż długa na 180 metrów lina z nierdzewnej stali, przeznaczona do mierzenia głębokości, została dostarczona zaledwie dzień wcześniej i wciąż była pokryta warstwą specjalnego smaru ochronnego. Co gorsza, klamry, na których trójka nurków bijących rekord miała spłynąć w głębinę, były o 3 milimetry za małe. Wykonaliśmy więc próbne nurkowanie bez liny. Nurkując z odczepianym balastem, cała trójka pobiła nieoficjalnie rekord Watsona i Gruenera: Anne

zeszła na 134 metry, a Archie i Jim na 137 metrów. Ja zatrzymałem się na 128 metrach, bo nie miałem ze sobą systemu bezpieczeństwa z odczepianym balastem.

Tymczasem Bill i Randy mieli poważne problemy. Nurkowali w jednej parze, gdyż żaden z nich nie był głębiej niż na 97 metrach. Na głębokości 110 metrów Bill stracił przytomność. Randy natychmiast pospieszył mu z pomocą, chwytając go za manifold i ciągnąc w górę. Niestety, wysiłek ten sprawił, że i on zemdłał. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności wzniósł się do tego czasu na tyle wysoko, że Bill odzyskał świadomość i mógł uratować swojego wybawcę.

Ten incydent wystraszył nas wszystkich. Wieczorem, podczas ostatniego spotkania przed nurkowaniem, Archie oświadczył:

– Pod żadnym pozorem nikt prócz Jima, Anne i mnie nie zejdzie poniżej 90 metrów.

– A jeśli ktoś straci przytomność?

– Czekajcie na dziewięćdziesięciu metrach, aż wypłyniemy.

– Jak głęboko zamierzacie zejść? – spytał Randy.

– Mierzymy w 145 metrów – odparł Archie. – Dzięki temu pobijemy rekord świata i przekonamy się, czy Dick Birch rzeczywiście mógł zanurkować na 140 metrów.

– A co z klamrami do liny? Są przecież za małe!

– Jeśli oczyścimy linę ze smaru, powinny działać, jak należy.

Pogoda następnego ranka nie nastrajała optymistycznie; niebo zasnuwane było ciemnymi chmurami, a wiatr wzbudzał wysokie, spienione fale. Gdy tylko spojrzałem na wzburzone morze, postanowiłem zrezygnować ze śniadania i zażyć podwójną dawkę środków przeciwwymiotnych. Mój najlepszy automat bąblował (przepuszczał powietrze), więc by nie marnować powietrza, zabrałem taki, którym oddychało się nieco ciężiej. Wiedziałem, że zwiększony wysiłek przy oddychaniu, podobnie jak zwiększona dawka środków zapobiegających chorobie morskiej, ograniczy moje możliwości, umówiliśmy się jednak z Archiem, że nie będę nurkował głębiej niż na 90 metrów. Poza tym poprzedniego dnia zanurkowałem bez większych problemów na 128 metrów.

Do łodzi wsiadło trzech przedstawicieli rządu Bahamów.

– Muszą tu być jako oficjalni świadkowie – wyjaśnił Archie.

– A ten reporter? – Poprzedniego wieczoru dołączył do nas dziennikarz z Associated Press.

Archie wzruszył ramionami. Cóż, byliśmy zapewne naiwni, wierząc, że rekordowe nurkowanie przejdzie niezauważone. Tym, co martwiło mnie najbardziej w takiej sytuacji, była presja psychologiczna. Archie poświęcił mnóstwo czasu, wysiłku i pieniędzy, by nas tutaj ściągnąć, łącznie z

przedstawicielami rządu i prasy. Bardzo trudno byłoby mu teraz odwołać nurkowanie i przełożyć je na inny dzień. Wszystkie nurkowania próbne poszły całkiem gładko. Byliśmy przekonani, że pobicie rekordu Watsona i Gruenera to sprawa przesądzona: pozostawało tylko pytanie, o ile głębiej mamy szansę zejść?

Przed jedenastą udało nam się dotrzeć przez wzburzone fale do miejsca nurkowania w pobliżu ściany i zakotwiczyć tam łodzie. Bill, Randy i ja wskoczyliśmy do wody jako pierwsi, by pomagać w rozkładaniu liny, klamer, balastu i butli dekompresyjnych. Wążący 136 kg kadłub silnika, używany do kotwiczenia liny, utknął na chwilę na tylnym pomoście nurkowym łodzi, lecz Randy, nurek obdarzony niezwykłą siłą, zdołał zepchnąć ten ciężar. Tymczasem nurkowie, którzy mieli bić rekord, wykonywali hiperwentylację i chłodzili twarze lodem, by zwolnić tętno i zmniejszyć zużycie powietrza.

O godzinie 11.13 cała nasza szóstka rozpoczęła zanurzenie. Dwójka podwodnych fotografów z łodzi Eda Farmera, Ross Ellis i Bob Knowles, towarzyszyła nam do krawędzi ściany, czyli do 45 metrów. Kiedy płynęliśmy dalej, zauważyłem, że Archie, Anne i Jim mają spore problemy z przesuwaniem klamer po linie. Mimo to szybko dotarliśmy do 90 metrów, gdzie zatrzymał się mój zespół, czyli Randy, Bill i ja. Pozostała trójka zniknęła w ciemnym błękitcie poniżej, pośród obłoków srebrzystych pęcherzyków powietrza.

Nie chcąc korzystać z dodatkowych butli przeznaczonych do dekompresji, które mogły przydać się naszym rekordzistom, zacząłem wstrzymywać oddech, by oszczędzić powietrze w swojej butli. Zazwyczaj unika się tej techniki spowolnionego oddychania, która w znacznym stopniu zwiększa zatrzymywanie dwutlenku węgla, a tym samym wywołuje narkozę azotową i zatrucie tlenowe, byłem jednak pewien, że jestem wystarczająco dobrze zaaklimatyzowany, by poradzić sobie z tymi problemami na głębokości 90 metrów. Powietrze z butli miało dziwny smak, podobnie jak poprzedniego dnia. Bill podejrzewał, że psuje się sprężarka, nie sądził jednak, by w związku z tym w powietrzu znalazły się niebezpieczne zanieczyszczenia.

Wydawało się, że trójka naszych rekordzistów nie wraca wyjątkowo długo. Pęcherzyki powietrza wypływało teraz nieco z boku, od strony głębiny. Dziewięć minut po rozpoczęciu nurkowania zobaczyłem, jak ku nam wznosi się Jim otoczony chmurą pęcherzyków powietrza, wyprostowany, lecz zwrócony twarzą w dół i całkiem bezwładny. Chwyciłem go i potrząsnąłem za ramię, nie dostrzegłem jednak żadnej reakcji w jego pustych, nieruchomych oczach. Najwyraźniej był nieprzytomny. Randy złapał za manifold i pociągnął go w górę, podczas gdy ja zostałem z Billem, by czekać na pozostałych.

Na głębokości 70 metrów Jim doszedł do siebie na tyle, by pokazać

Randy'emu sygnał „OK”, Randy zostawił go więc samego i wrócił na 90 metrów, by nam pomóc. Trzy minuty po powrocie Jima wciąż nie było ani śladu Archiego i Anne. Mimo że nadal wstrzymywałem oddech, zostało mi już niebezpiecznie mało powietrza. Archie i Anne, którzy byli znacznie głębiej i oddychali normalnie, zużywali swoje zapasy w znacznie szybszym tempie. Musiało stać się coś niedobrego.

Natychmiast postanowiłem złamać daną Archiemu obietnicę, że zostanę na głębokości 90 metrów. Nie przyszło mi to łatwo. Dotrzymuję obietnic i prawdopodobnie znam więcej szczegółów sekretnych nurkowań wykonanych przez moich znajomych i przyjaciół niż inni. Dałem Billowi i Randy'emu sygnał, by czekali na 90 metrach, podczas gdy ja opuściłem się nieco niżej, chcąc poznać przyczynę opóźnienia. Z przerażeniem stwierdziłem, że Randy też ruszył w dół. Przeczując, że zamierza dopłynąć do Archiego i Anne, nawet jeśli oboje leżą na dnie, złapałem go za ramię i krzyknąłem: „Nie bądź idiotą!”.

Randy strącił moją dłoń z ramienia, rzucił coś niezrozumiałego i ponownie ruszył w dół. Zerknąłem w górę i zobaczyłem, że Bill także zaczyna się zsuwać. Teraz musiałem martwić się nie tylko o Archiego i Anne, ale i o nich. Szybko minąłem Billa, a potem także Randy'ego, który zwolnił na głębokości 110 metrów.

Kiedy dotarłem na 120 metrów, zobaczyłem Archiego i Anne daleko w dole, na tle biało-srebrzystej ściany. Wydychali pęcherzyki powietrza, początkowo pomyślałem więc, że zmierzają w stronę powierzchni. Spojrzałem na Randy'ego, wskazałem na Archiego i Anne, a potem pokazałem mu sygnał „OK”. Zdziwiłem się, gdy Randy nie zareagował w żaden sposób, choć wydawało się, że patrzy wprost na mnie.

Teraz jednak obawiałem się przede wszystkim o los Archiego i Anne. Po chwili uświadomiłem sobie, że oboje tkwią w bezruchu, ponownie więc ruszyłem w ich stronę. Poniżej głębokości 115 metrów pionowa ściana zmieniała się w strome zbocze, ułożone pod kątem około 45 stopni, a lina wyginała się wraz z nim. Oznaczało to, że musiałem zaryzykować i zdobyć się na wysiłek, by płynąć nadal w dół. W grę wchodziło życie dwójki ludzi, dlatego nie wahałem się ani chwili.

Na głębokości 128 metrów widziałem ich już znacznie wyraźniej; Archie leżał twarzą w dół, oparty o kadłub silnika. Jego płetwy poruszały się powoli, jakby próbował płynąć jeszcze głębiej. Annie znajdowała się jakieś trzy metry na lewo, także zwrócona twarzą w dół i całkiem nieruchoma. Oboje wciąż oddychali, o czym świadczyły pęcherzyki powietrza wydobywające się z ich automatów. Pomijając wspólną akcję ratunkową z głębokości 110 metrów, którą przeprowadzili poprzedniego dnia Bill i Randy, nikomu jeszcze nie udało się

uratować ofiary omdlenia z głębokości większej niż 104 metry, czego dokonał Tom Mount (dwa lata później, przy wyspie Great Bahama, wyciągnąłem ze 110 metrów Dana Turnera). W głębi duszy wiedziałem, że nie zdołam uratować nikogo z tej dwójki, nie mówiąc już o obojgu, ale ponieważ znajdowałem się w odległości zaledwie 18 metrów, musiałem spróbować.

Na 134 metrach zaczęły się problemy z widzeniem na większe odległości; wszystko, co znajdowało się dalej niż trzy metry ode mnie, zamieniało się w srebrzysto-szarą mgłę przytłumionego światła i niewyraźnych cieni. Nieco głębiej zaczęło się widzenie tunelowe lunetowe, pewny znak zatrucia tlenowego. W miarę jak płynąłem w dół, tunel się zwężał, a w jego dolnej części pojawił się błyszczący, roziskrzony punkt. Od omdlenia i (lub) drgawek dzieliły mnie już tylko sekundy. Odkręciłem szybko zawór mojej kamizelki wypornościowej i próbowałem odczytać wskazanie głębokościomierza, by zaplanować przystanki dekompresyjne, gdyby jednak udało mi się przeżyć. Miałem wrażenie, że głębokościomierz znajduje się gdzieś na końcu długiego tunelu, wskazywał jednak wyraźnie 140 metrów. Oznaczało to, że czubki moich płetw znajdują się na głębokości około 142 metrów, zaledwie od czterech do sześciu metrów od moich przyjaciół. Równie dobrze jednak mógł to być kilometr.

Teraz musiałem podjąć wyścig z czasem i wypłynąć wyżej, nim zemdleję lub dostanę drgawek, co oznaczałoby pewną śmierć. Nie sądziłem, że zdołam tego dokonać, jednak raz jeszcze wykorzystałem umiejętność koncentracji i zdołałem zachować świadomość. Przed dotarciem do 85 metrów odzyskałem już zdolność normalnego widzenia, a zagrożenie narkozą azotową lub zatruciem tlenowym minęło.

Na głębokości około 60 metrów zwolniłem nieco tempo wynurzenia i zacząłem pływać jednocześnie w tę i w tę wzdłuż ściany, wypatrując liny opustowej, nurków, liny kotwicznej lub łodzi. Problem polegał na tym, że ze względu na ukośne ułożenie liny poniżej 115 metrów pionowe wynurzenie z głębokości 140 metrów wyprowadziło mnie z dala od łodzi. Wiedziałem, że Anne i Archie nie żyją, i obawiałem się, że ten sam los spotkał Randy'ego i Billa, a może nawet Jima. Być może spośród szóstki nurków, którzy opuścili się tego ranka na 90 metrów i głębiej, tylko ja pozostałem przy życiu. Co gorsza, wyglądało na to, że i mnie pozostało go niewiele: ciśnienie w moim twinsecie wynosiło tylko 62 bary, co oznaczało, że została mi już tylko jedna trzecia początkowego zapasu powietrza, zbyt mało, by wykonać przystanki dekompresyjne konieczne przy wynurzeniu z takiej głębokości. Kontynuując poszukiwania, rozważałem stojącą przede mną alternatywę: utonięcie lub straszliwy ból gwałtownej choroby dekompresyjnej. Utonięcie było z pewnością szybsze i mniej bolesne: Tommy Hawkins powiedział mi o tym, kiedy już

wyzdrowiał po wypadku w Little River. Najmniej bolesnym rodzajem śmierci był ten, który dotknął Archiego i Anne, omdlenie na dużej głębokości. Niestety, pozbawiłem się tej możliwości za sprawą cudownego wynurzenia, którego dokonałem przed momentem. Nie miałem już dość powietrza, by wrócić na głębokość, na której mógłbym stracić przytomność.

Nagle poczułem, jak coś szarpie mnie mocno za płetwę. Rekin? Odwróciłem się i szybko i odetchnąłem z ulgą, zobaczywszy Randy'ego: więc jednak żył! Doprowadził mnie do liny opustowej, a ja zrozumiałem, że jednak przeżyję, jeśli tylko nasze eksperymentalne tabele dekompresyjne okażą się skuteczne przy piętnastominutowym nurkowaniu na 142 metry: obliczono je w przypadku nurkowania dziesięciminutowego i to tylko na głębokość 137 metrów.

Dołączyliśmy do Jima na przystanku na 27 metrach, nadal jednak nie widzieliśmy nigdzie Billa Wigginsa. Jim wciąż wydawał się oszołomiony. Gdy w końcu zaczął dochodzić do siebie, widać było, że jest ogromnie wzburzony. Jego krytycy mogli teraz mówić o pięciu partnerach, których „zabił” w ciągu roku, a właściwie sześciu, jeśli liczyć Billa. Tymczasem załoga łodzi wypełnionej zszokowanymi i cierpiącymi na chorobę morską Bahamczykami zaczęła zwijać linę i szykować się do powrotu na ląd.

Ed Farmer doprowadził nas do lin dekompresyjnych przymocowanych do jego łodzi, gdzie z radością przywitaliśmy Billego, poddającego się spokojnie dekompresji. Na przystanku na głębokości trzech metrów Jim poinformował nas o bólach wywołanych prawdopodobnie przez chorobę dekompresyjną, dolegliwości te ustąpiły jednak, gdy w końcu wynurzył się na powierzchnię o godzinie 13.38. Randy wyszedł z wody 15 minut później, a ja, jak zawsze dotknięty chorobą morską, kilka minut po nim. Trochę się obawiałem choroby dekompresyjnej, szczęśliwie jednak nie miałem żadnych jej objawów. Jak się okazało, moje obawy nie były bezpodstawne: opracowane dwadzieścia lat później, nowoczesne tabele dekompresyjne, kazałyby mi spędzić na dekompresji 370 minut, z pierwszym przystankiem na głębokości 55 metrów. Tymczasem poświęciłem temu tylko 162 minuty, a po raz pierwszy zatrzymałem się na głębokości 33 metrów.

Powrót na wyspę odbywał się w ponurej ciszy. Dopiero po kolacji ochłonęliśmy na tyle, by porównać nasze notatki. Choć w głębinie Jim pokazał Randy'emu sygnał „OK”, nie pamiętał nic, aż do chwili, gdy na głębokości 24 metrów złapał go Ed Farmer, ratując go przed chorobą dekompresyjną. Podczas naszej bezskutecznej akcji ratunkowej Bill pokonał tylko niewielki dystans w dół, po czym wrócił na głębokość 90 metrów, pewien, że czeka go herkulesowy wysiłek przechwycenia aż czterech wynurzających się nurków. Randy nie odpowiedział na mój sygnał na głębokości 120 metrów, do tego momentu stracił

już bowiem całkiem wzrok. Krzyknął do mnie, po czym natychmiast zaczął się wznosić, korzystając z kamizelki wypornościowej.

Co stało się z systemem bezpieczeństwa opracowanym przez Archiego? Jim wyjaśnił, że ze względu na ukośne ułożenie liny poniżej 115 metrów przesuwanie klamer stało się zbyt trudne. Pragnąc koniecznie wykonać nurkowanie tego dnia, Archie, Anne i Jim podjęli fatalną w skutkach decyzję: zrzucili wcześniej balast, wypuścili powietrze z kamizelek wypornościowych i ruszyli dalej w dół. Jim powiedział nam, że na głębokości 120 metrów zaczął tracić przytomność i zanim jeszcze całkiem omdlał, udało mu się otworzyć zawór kamizelki wypornościowej. Prawdopodobnie fakt, że nie zdołał zejść poniżej 120 metrów, uratował mu życie, bowiem gdyby nawet wypłynął z większej głębokości, znalazłby się z dala od liny, podobnie jak ja. Wówczas być może żaden z nas nie zobaczyłby go ani nie przechwycił na czas, a to zakończyłoby się dla niego chorobą dekompresyjną.

Tymczasem musiałem się zmagać z moimi demonami. Byłem już tak blisko Anne i Archiego, nie dalej niż 6 metrów... A gdybym był przygotowany do głębszego zanurzenia? A gdybym nie wziął podwójnej dawki środków przeciwwymiotnych? A gdybym użył dobrego automatu? A gdybym nie wstrzymywał oddechu? A gdybym przebywał na 90 metrach pięć, a nie piętnaście minut? Każdy z tych czynników mógł umożliwić mi głębsze nurkowanie i uratowanie jednego z nich. Gdybym wyeliminował je wszystkie, być może zdołałbym nawet uratować oboje. Nie pocieszał mnie szczególnie fakt, że nikt do tej pory nie zszedł na głębokość 142 metrów, korzystając ze sprężonego powietrza, i przeżył to doświadczenie (ponad dwie dekady później wciąż nikomu nie udało się ta sztuka), nie mówiąc już o ratowaniu kogokolwiek z tej głębokości. Jednak wszystkie te „gdyby” wciąż mnie dręczyły.

Nazajutrz specjalna łódź podwodna „Alvin”, stacjonująca w pobliskiej stacji badawczej na wyspie Andros, wykonała specjalny rejs w poszukiwaniu zaginionych nurków. Ciała musiały ześliznąć się ze zbocza, załoga łodzi znalazła je bowiem dopiero na głębokości 300 metrów. Nie można ich było wydobyć, gdyż łódź nie była wyposażona w mechaniczne ramiona wykorzystywane do podnoszenia różnych obiektów z dna.

Jakiś czas później Lewis Holtzendorff, uznawany przez niektórych za najlepszego nurka jaskiniowego początku lat 70., wypytywał mnie o to nurkowanie.

– Wiesz co... – mówił, pykając fajkę – biorąc pod uwagę warunki twojego nurkowania, można by założyć, że jest równoważne dobrze przygotowanemu nurkowaniu na 150 metrów. Może byś tam wrócił i pobił ten rekord „oficjalnie”?

W tamtej chwili mogłem myśleć jedynie o Anne Gunderson i Archiem

Forfarze.

– Chyba żartujesz – zdołałem tylko odpowiedzieć.

⁴ Według anegdoty opowiadanej przez Toma Mounta pierwsza kamizelka wypornościowa (tzw. skrzydło) powstała, gdy jeden z jego przyjaciół ukradł znak drogowy, by zrobić z niego prymitywną płytę pod butle, a potem przyłączył do niej kilka butelek plastikowych służących stabilizacji.

⁵ Firma Nemrod powstała w 1935 roku w Hiszpanii. Początkowo zajmowała się produkcją zabawek (Nemrod to postać biblijna, prawnuk Noego i założyciel państwa babilońskiego, słynny łowca). W 1941 roku bracia Vilarubbis rozszerzyli działalność firmy i zaczęli sprzedawać maski do pływania, fajki oraz kusze podwodne. W 1945 roku firma oficjalnie weszła na giełdę, w 1949 zaczęła sprzedawać sprzęt nurkowy w USA, a w latach 50. XX wieku wprowadziła automat z pojedynczym węzem, zwany Snark. Nemrod w 1959 roku udzielił licencji na dystrybucję swoich produktów firmie Seamless Rubber z Connecticut, a logo hiszpańskiego producenta, przedstawiające łucznika napinającego łuk, znalazło się nad znakiem firmy Seamless zarówno na butlach, jak i na plecakach. Poczynając od roku 1981, niemiecka firma Metzeler zaczęła wykupywać udziały w Nemrod, a pod koniec lat 80-tych przejęła całość akcji (Metzeler nabył również Barakudę). Firma została przeniesiona do USA i produkowała automaty do końca lat 90.

⁶ Nurkowania wykonywane z habitatu, dzwonu lub łodzi podwodnej, z której nurek wychodzi na określonej głębokości i do niej powraca. Pierwotna koncepcja zakładała bardzo szybką kompresję nurka nawet 100 msw/min z użyciem mieszanek nitroksowych, przejście na denne mieszanki helowe i dekompresję mieszanekami o dużej zawartości azotu i coraz mniejszym udziałem helu z ciśnieniem cząstkowym tlenu powyżej 2 atm.

⁷ Hannes Keller (ur. 1934), szwajcarski fizyk, matematyk, pionier nurkowania głębinowego i przedsiębiorca. W 1962 roku zanurkował w oceanie u wybrzeży Kalifornii na głębokość 300 metrów, ustalając tym samym nowy rekord świata (misja ta zakończyła się jednak tragedią, gdyż podczas nurkowania zginęli partner Kellera, Peter Small, oraz nurek wspomagający, Chris Whittaker, student Uniwersytetu Kalifornijskiego). W latach 70. i 80. XX wieku stał się znanym przedsiębiorcą w branży informatycznej. Jest również utalentowanym pianistą (wydał dwie płyty i dawał koncerty dla publiczności liczącej nawet 2000 osób).

⁸ YMCA, (ang. Young Men's Christian Association – Związek Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej) to międzynarodowa ekumeniczna organizacja propagująca program oparty na wartościach chrześcijańskich. Głównym celem organizacji jest służenie harmonijnemu rozwojowi fizycznemu, umysłowemu i duchowemu. Obecnie YMCA funkcjonuje w 130 krajach i zrzesza prawie 30 milionów członków.

⁹ Na początku lat 70. Kanadyjczyk George Benjamin uznał, że potrzebuje bezpieczniejszego systemu do nurkowań głębinowych w błękitnych dziurach na Bahamach. Wraz z Ike Ikeharą stworzył manifold, który pozwalał na połączenie obu butli i oddychanie z dwóch automatów. Urządzenie to stało się znane jako manifold Benjamin i było sprzedawane w USA jako manifold izolacyjny. Obecnie są dwa powszechnie stosowane typy tego urządzenia, centryczny i czołowy. Manifold czołowy jest bardziej zawodny (musi być bardzo dokładnie skręcony, gdyż nawet minimalna niedokładność może spowodować rozszczelnienie). W manifoldzie centrycznym jako uszczelnienie stosuje się dwa O-ringi umieszczone centrycznie na obu końcach manifoldu. Tego rodzaju połączenie jest pewniejsze od połączenia czołowego.

¹⁰ Jeden z najsłynniejszych i najbardziej doświadczonych nurków na świecie, autor znanego wszystkim nurkom powiedzenia „Plan your dive – dive you plan” (Planuj nurkowanie i nurkuj zgodnie z planem). Zaczynał karierę z 1961 roku i z powodzeniem kontynuuje ją do dzisiaj. Ustanowił wiele rekordów nurkowych, jest jednak specjalistą od nurkowania głębinowego przy użyciu powietrza (do niego należy aktualny rekord głębokości w nurkowaniu jaskiniowym na sprężonym powietrzu, ustalony w styczniu 2001

roku i wynoszący 126 metrów). Szkolił także wielu innych nurków głębinowych, w tym swoją córkę Scarlett Watts, do której należy rekord nurkowania głębinowego z użyciem powietrza w otwartym morzu (130 metrów).

¹¹ Chodzi tutaj o inflator, czyli urządzenie pompujące kamizelkę wypornościową. System, opracowany przez Franka Martza, został zaopatrzony w powiększone zawory dodawcze, dzięki czemu po naciśnięciu przycisku dodawał więcej powietrza niż tradycyjne inflatory.

¹² Rekord świata – 133,2 m w nurkowaniu powietrznym został ustanowiony w 1968 roku przez Neila Watsona i Johna Gruenera; 22 lata później Bret Gilliam przesunął tę granicę do 137,77 m z czasem dennym 1 minuta 40 sekund, a Daniel J. Manion jeszcze dalej, bo do 155,45 m. Nieoficjalnym rekordem Exleya na powietrzu jest 141,73 m w 1970 roku na Bahamach. Zdobycie go nie zostało jednak przez nikogo potwierdzone. Ostatnim z rekordów powietrznych jest 156,4 m ustanowiony przez Marka Andrews w lipcu 1999 r., który po osiągnięciu tej głębokości stracił przytomność.



Sheck i jego samolot



Shack i Mary Ellen w wieku około 40 lat



Zestaw butli używanych do głębokiego nurkowania

ROZDZIAŁ 6

Mózg sprzed dziesięciu tysięcy lat

K

amera pracowała z cichym pomrukiem. Siedziałem wraz z czwórką podwodnych archeologów przy stole nad brzegiem Warm Mineral Springs, popularnego uzdrowiska w pobliżu Sarasoty. Zgodnie z harmonogramem mieliśmy przygotować plan nurkowania, korzystając z mapy, którą pomogłem wcześniej sporządzić. Teren wokół naszego stolika został odgradzony, by ciekawscy turyści nie weszli w obszar obejmowany obiektywem kamery.

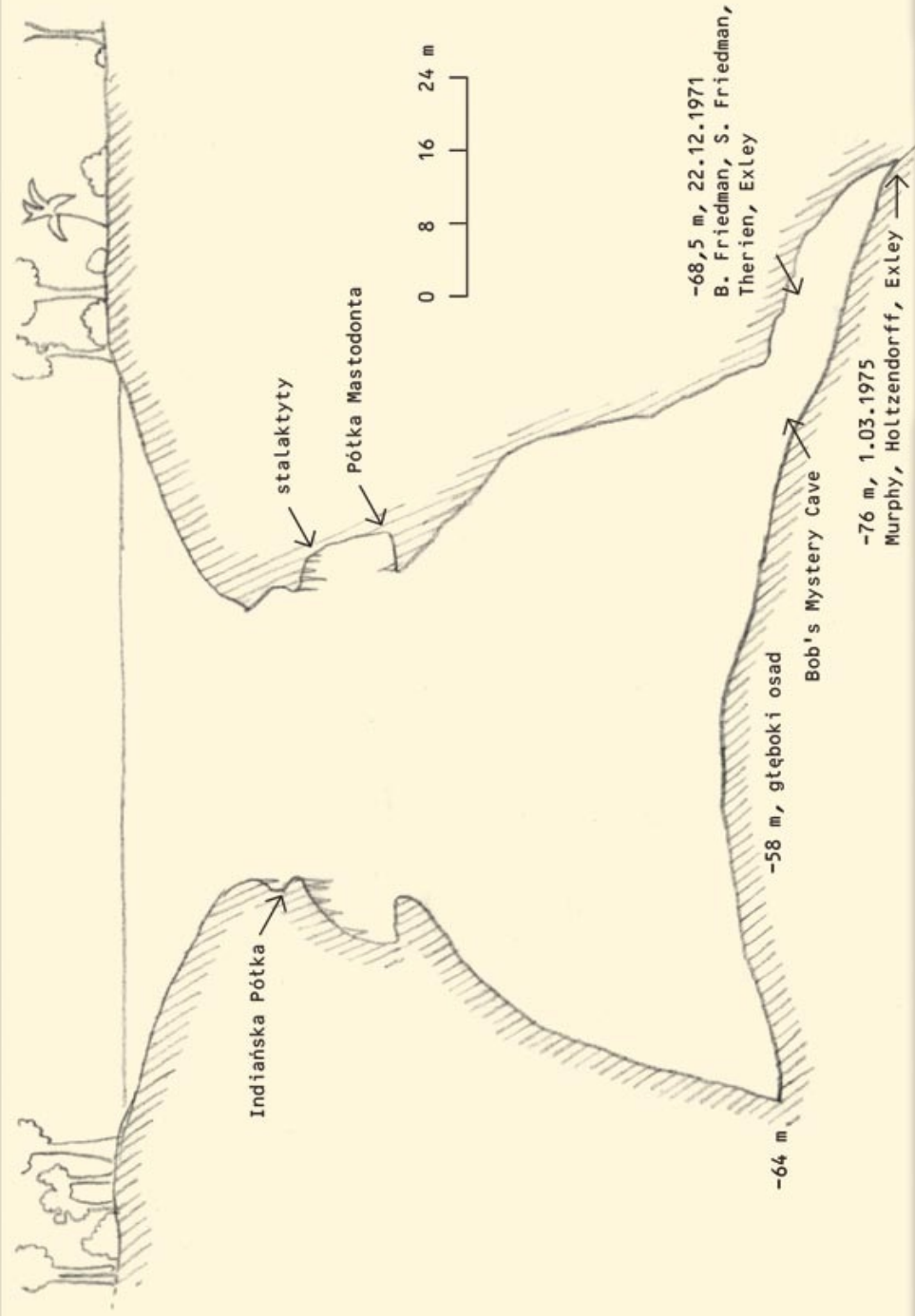
Tymczasem w tle pojawił się niemal całkiem głuchy, siedemdziesięcioletni mężczyzna, najwyraźniej nieświadom naszych poczyną. Podczas gdy cała nasza piątka toczyła uczoną dyskusję przed kamerą, mężczyzna wziął głęboki oddech i położył się na wodzie, twarzą w dół. Mijały kolejne minuty, a my uświadomiliśmy sobie, że starzec wytrzymał bez powietrza znacznie dłużej, niż potrafiłyby to zrobić którykolwiek z nas, choć liczył sobie ponad dwa razy więcej lat niż najstarszy członek naszej piątki. Czyżby umarł na naszych oczach? Wkrótce starannie zaplanowana dyskusja zaczęła wyraźnie kuleć, aż wreszcie całkiem ucichła, gdy zaniepokojeni wszyscy odwróciliśmy się w stronę wody. Kiedy zaczęliśmy się podnosić z miejsc, by pędzić na ratunek, pułkownik William Royal wyprostował się spokojnie, nie wiedząc, że zepsuł nam cały film. Nawet się specjalnie nie zadyszał!

Tak właśnie poznałem Billa Royała, człowieka, który jako pierwszy zwrócił uwagę świata na niezwykłą naturę dwóch źródeł w południowo-zachodniej Florydzie: Warm Mineral Springs i Little Salt Spring. Bill odkrył, że temperatura i skład chemiczny wody w tych źródłiskach, podobnie jak zawarte w nich złoże mineralne i środowisko, odróżniają je od pozostałych jaskiń na Florydzie, położonych w większości daleko na północy. Jednak najbardziej intrygującą cechą obu tych źródeł są ukryte w głębinach skarby archeologiczne: to właśnie tutaj dokonano niezwykłych i bardzo ważnych odkryć. Po wieloletnich namowach, a nawet samodzielnych próbach wydobywania różnych znalezisk Bill przekonał w końcu archeologów, by zbadali dokładniej to miejsce.

Pierwsza duża operacja badawcza została przeprowadzona w Little Salt Spring, w grudniu 1971 roku. Kierował nią Carl Clausen, szef Florida Underwater Archeological Research Section (Florydzki Oddział Agencji Podwodnych Badań Archeologicznych). Najtrudniejszym zadaniem, jakie stało przed nim podczas tej wyprawy, było zadbanie o bezpieczeństwo grupy świetnych naukowców, lecz kiepskich nurków, którzy mogli utopić się w niezbyt przejrzystej wodzie źródła o głębokości co najmniej 64 metrów kryjącego skalne półki i zamulone korytarze. W pobliżu kręciło się mnóstwo spragnionych

sensacji dziennikarzy i ekip telewizyjnych, Carl wiedział więc, że nawet najmniejszy wypadek odbije się szerokim echem i prawdopodobnie spowoduje przerwanie jego projektu.

LITTLE SALT SPRING FLORYDA, USA



Rozwiązaniem tego problemu było skorzystanie z pomocy doświadczonych nurków jaskiniowych, którzy pełniliby rolę nurków bezpieczeństwa. Bob Friedman, zawodowy instruktor nurkowania jaskiniowego z Miami, który schodził już na ponad 90 metrów, miał za zadanie zebrać zespół i kierować nim. Bob wraz ze mną pełnił funkcję dyrektora nowo powstałego Krajowego Stowarzyszenia Nurkowania Jaskiniowego (National Association for Cave Diving, NACD), wiedział więc, że minionego roku ustanowiłem rekord USA zarówno głębokości (99 metrów), jak i odległości (penetracji; 640 metrów) nurkowania jaskiniowego. Członkami naszego zespołu byli również Paul Therien i żona Boba, Sue Friedman.

Widziane z brzegu Little Salt przypomina dziesiątki innych stawów ukrytych pośród sosen i palm porastających brzegi rzeki Mykka: jest okrągłe, otoczone pasem bagien i ma około 60 metrów średnicy. Pod wodą jednak wygląda zupełnie inaczej. Jest to jedno z nielicznych na wschodzie USA źródeł podgrzewanych geotermicznie do temperatury znacznie wyższej niż w innych źródłach, dlatego grudniowy chłód natychmiast przestawał nam dokuczać w wodzie o temperaturze 28 stopni Celsjusza. Woda ta miała dziwną, brązowożółtą barwę, co upodabniało ją do dobrego burbonu z Kentucky lub słabej herbaty. Kiedy kręciliśmy film dla CBS, zauważyłem przepływające w pobliżu ślepe tarpony (zapewne straciły wzrok ze względu na wysoką zawartość minerałów w wodzie). Dno pokrywała gruba warstwa czarnego mułu, który spływał po ścianach otworu o średnicy 24 metrów i głębokości 12 metrów. Oślizły muł wyglądał paskudnie, i taki też był w dotyku, ale to właśnie on sprowadził tutaj naszych archeologów. W jego szlamowatych objęciach spoczywały prawdopodobnie indiańskie szczątki sprzed tysięcy lat, zakonserwowane w pozbawionej tlenu wodzie. Przyczyną tego niezwykłego zjawiska, czyli braku tlenu, była obecność beztlenowej bakterii, którą Carl ochrzcił mianem „Anaerobosaurusa”, uważał bowiem, że głębiny jaskini doskonale nadają się na kryjówkę dla jakiegoś potwora.

Nagle dziennikarz, z którym nurkowałem, zaczął się dziwnie zachowywać. Pokazywał mi, że ma zawroty głowy podobne do tych, jakie zdarzają się zazwyczaj na głębokości przekraczającej 40 metrów. Stracił poczucie kierunku, nie potrafił odróżnić góry od dołu, a wszystko wokół niego kręciło się w szalonym tempie. Zdumiony faktem, że zesliśmy dopiero na 6 metrów, chwyciłem go za zawór butli i wyciągnąłem na powierzchnię. Podczas gdy dziennikarz chwycił łapczywie powietrze, odholowałem go do brzegu.

– Co się stało? – spytał Bob, który dzięki szczupłej budowie ciała i długiej, czarnej brodzie wyglądał niczym prorok Elias.

Pomogłem dziennikarzowi wyjść na brzeg.

- Omal nie dopadł go Anaerobosaurus – odparłem.
- Anaerobosaurus? – Dziennikarz odwrócił się i spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami.
- Tak. To potwór, którego Carl znalazł w źródłisku. Podobno pożera nurków i pęcherzyki powietrza.

Wszyscy roześmieli się głośno, choć w rzeczywistości incydent ten zrobił na nas spore wrażenie. Skoro tak doświadczony nurek jak wspomniany dziennikarz miał problemy na głębokości 6 metrów, to co mogło się stać na większych głębokościach z naukowcami, którzy nigdy wcześniej nie nurkowali? Wszyscy doceniliśmy wagę środków bezpieczeństwa przedsięwziętych przez Boba; zgodnie z jego zaleceniami podczas projektu nie można było schodzić poniżej 27 metrów, a każdemu zespołowi miał towarzyszyć co najmniej jeden nurek bezpieczeństwa. Na nabrzeżu zorganizowano centrum dowodzenia, a każdy z nurkujących archeologów został wyposażony w skomplikowany hełm umożliwiający stały kontakt głosowy z powierzchnią.

Najpierw pomogliśmy Carlowi przeciągnąć ciężkie rury odkurzacza podwodnego przez staw. Rury zostały połączone z pompą i umocowane na unoszących się na wodzie beczkach o objętości 200 litrów każda. Potem zabraliśmy się do pracy. Podczas każdego nurkowania jeden spośród czterech nurków wspomagających płynął z Carlem lub Gordonem Wattsem do miejsca wykopalisk wyznaczonego w mule, w wodzie o głębokości od sześciu do dwunastu metrów. Tutaj archeologowie fotografowali dany obszar aparatem stereoskopowym, pobierali próbki z dna lub prowadzili prace wykopaliskowe, wciągając muł do zasysacza. Nurkowie bezpieczeństwa pomagali im przy tej pracy, a także sprawdzali czas zanurzenia, zapas powietrza itp.

Podczas jednego z nurkowań miałem okazję zobaczyć, jak Carl ostrożnie wyciąga z mułu prehistoryczną czaszkę. Okazało się, że jest to czaszka młodej dziewczyny, która żyła niemal dziesięć tysięcy lat temu. Wciąż zawierała spore ilości tkanki mózgowej, co było rzeczą niemal niespotykaną. Czy ta dziewczyna oraz inni Indianie, których szczątki znaleźliśmy w źródłisku, utonęli tu przez przypadek, czy jako ofiary jakichś religijnych rytuałów? A może ich martwe już ciała zostały zepchnięte z brzegu, by opadły na dno i tu uległy rozkładowi?

Archeologia była fascynująca, ale natura odkrywcy ciągnęła mnie ku głębi jaskini. Podczas jednego z zejść pozwolono nam ją zbadać, a Bob pokazał mi liczne stalaktyty zwisające ze ścian i sufitu jaskini na głębokości 27 metrów. Te skalne formacje powstają w wyniku skapywania wody w powietrzu, ich obecność świadczyła więc jednoznacznie o tym, że poziom wody w źródłisku był kiedyś o co najmniej 27 metrów niższy. Szczególnie interesująca była też skalna półka leżąca dokładnie poniżej miejsca wykopalisk, zawierała bowiem

kości olbrzymich prehistorycznych ssaków z epoki plejstocenu. Jak się tu znalazły?

Nazajutrz pracowałem z Carlem przy płytkich wykopaliskach. Nagle zobaczyłem, jak zмага się z rurą zasysaczą, która ciągnęła go w dół. Anaerobosaurus znów zaatakował! Carl wbił stopy w dno, próbując zatrzymać rurę, ale bez powodzenia. Jego pięty zostawiały dwie głębokie bruzdy w mulistym dnie, gdy rura ciągnęła nas w otchłań mierzącą 64 metry. W chwili, gdy rura zwinęła się niczym olbrzymi szary pyton, gotów runąć prosto na dno, zdołaliśmy ją jakoś zatrzymać.

Carl, którego ciało po poprzednich nurkowaniach było już w znacznym stopniu nasycone azotem, pogorszył swoją sytuację, schodząc na 24 metry, by sprawdzić, co się dzieje ze zwisającą częścią rury. Potem, ku mojemu przerażeniu, wypłynął prosto na powierzchnię, by wydać polecenia pracownikom. Pochłonięty pasją naukową i pragnieniem ratowania sprzętu odsysającego za późno uświadomił sobie, że ze względu na brak dekompresji mógł nabawić się choroby dekompresyjnej. Wkrótce zaczął narzekać na bóle w stawach, które często występują, gdy człowiek przebywa w zimnym i wilgotnym środowisku – jak podczas nurkowania – ale mogą też być pierwszym objawem choroby dekompresyjnej.

Bob zbzikowany na punkcie bezpieczeństwa nie zamierzał ryzykować. Natychmiast wróciliśmy na dół z tlenem, by wykonać dekompresję według opracowanego przez marynarkę wojenną USA harmonogramu na wypadek niepełnej dekompresji. Gdyby pojawiły się dodatkowe objawy albo problemy nie ustawały po wynurzeniu, Carl musiałby udać się do najbliższej komory rekompresyjnej, bez względu na konsekwencje. Lepiej zrezygnować z projektu niż nabawić się kalectwa czy nawet umrzeć na chorobę dekompresyjną. Na szczęście po 75 minutach wynurzyliśmy się obaj bez żadnych problemów, a media o niczym się nie dowiedziały.

Bob zalecił Carlowi dzień odpoczynku, po czym wróciliśmy do wody. Tym razem pracowaliśmy na dwunastu metrach, na skraju przepaści, gdzie w skale znajdowało się dziwne, pionowe wyżłobienie. Po kilku minutach odsysania mułu ujrzelśmy stary palik z drzewa hikorowego, a obok niego następny, oba wbite w górną część wgłębienia. Hikory nie rosły w tej części Florydy od ostatniej epoki lodowcowej. Dokładnie pod nami znajdowała się tajemnicza półka, na której znaleźliśmy wcześniej kości wymarłych prehistorycznych ssaków. Teraz mieliśmy dowód, że tysiące lat temu, gdy poziom wód był niższy, Indianie mocowali tu za pomocą żerdzi pnącza, po których schodzili na dół, by wydobyć mięso wcześniej upolowanych zwierząt. To właśnie pnącza, ocierające o miękką powierzchnię ściany, wyżłobiły w niej pionowy rowek.

Hydrolokacyjne badanie jaskini wykazało, że na jednej ze ścian znajduje się spory nawis, a dno może być tutaj położone znacznie niżej niż na głębokości 64 metrów. Ta wiadomość podekscytowała czterech nurków bezpieczeństwa, którzy przedostatniego dnia operacji zeszli w tym miejscu, by dokładnie zbadać jaskinię. Podczas tego nurkowania postanowiłem wykorzystać twinset o łącznej pojemności 5600 litrów (po 2800 litrów w butli) zamiast moich starych butli o pojemności 2000 litrów, dzięki czemu dysponowałem większym zapasem powietrza. Już od jakiegoś czasu nie używałem też plastikowej butelki po chloroksie, zastąpiwszy ją kamizelką wypornościową, a zamiast słabej trzywatywowej latarki, która służyła mi wiernie przez cztery lata, zabierałem pod wodę znacznie mocniejszą latarkę o mocy trzydziestu watów. To nowe jaśniejsze światło okazało się tutaj szczególnie przydatne, gdyż widoczność wynosiła zaledwie 6 metrów, a blask słońca docierał nie głębiej niż na 27 metrów.

W ciągu kilku minut zeszliśmy na głębokość 64 metrów przy ścianie ze skalnym nawisem, pewni, że lada moment opadniemy na zamulone dno. Tyle że tam wcale nie było dna! Okazało się, że nawis zamienia się w sufit prawdziwej, ułożonej poziomo jaskini, której drugi kraniec niknął w mroku. Chwilę później byliśmy już na głębokości 68 metrów, wciąż przy suficie, i nadal nie widzieliśmy dna. W tym punkcie przerwaliśmy nurkowanie i ruszyliśmy w drogę powrotną, jednak trzy lata później Larry Murphy, Lewis Holtzendorff i ja wróciliśmy tu i znaleźliśmy dno na głębokości 76 metrów. Z małego otworu znajdującego się w najgłębszym miejscu jaskini wypływał strumień czystej, ciepłej wody.

To ostatnie nurkowanie wykonaliśmy podczas następnej państwowej operacji badawczej. Głównym obiektem badań z 1975 roku było źródło Warm Mineral, a kierował nimi doktor Sonny Cockrell (Carl Clausen przeprowadził się wcześniej do Teksasu). Tego roku przyjąłem stanowisko prezesa obu amerykańskich organizacji zajmujących się nurkowaniem jaskiniowym, NACD i znacznie większej NSS Cave Diving Section. Byłem również wiceprezesem Światowej Organizacji Nurkowania Jaskiniowego (World Cave Diving Organization), Międzynarodowego Związku Komisji Speleologicznego Nurkowania Jaskiniowego (International Union of Speleology Cave Diving Commission). Wszystkie te funkcje były prestiżowe. Jestem jedynym człowiekiem, który kiedykolwiek pełnił więcej niż jedną z nich – nie mówiąc już o wszystkich trzech naraz – wiązało się to jednak z mnóstwem pracy. Mimo to na kilka dni odłożyłem wszystkie te obowiązki, by zanurkować z Sonnym w Warm Mineral Springs.

Kiedy przybyłem na miejsce, Sonny i Larry Murphy skończyli właśnie nurkowanie, a gdy tylko znaleźli się na powierzchni, otoczyła ich grupa

zaawansowanych wiekiem klientów uzdrowiska, których Sonny i Larry nazywali pieszczotliwie dinozaurami. Ciekawscy kuracjusze tłoczyli się wokół nurków i zasypywali ich pytaniami podobnymi do tych, jakie prasa zadawała w Little Salt w 1971 roku: (1) Jak długo Indianie wykopywali to źródło? (2) Znaleźliście już dno? (3) Dlaczego to robicie? (4) Czy zechciałby pan poszukać szkielek kontaktowych mojej żony? Sonny i Larry mieli już opracowany zestaw odpowiedzi: (1) Bardzo długo. (2) Stoję na nim. (3) Żeby sprawdzić się jako mężczyzna (kobieta). (4) To było prawe czy lewe szkło? Lewe? Przykro mi, znalazłem prawe.

Sonny spojrział na mnie zza okularów w drucianych oprawkach i wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. Wciąż ociekał wodą, która spływała wąskimi strumyczkami z jego wysokiego, szczupłego ciała oraz długich blond włosów i brody. Jako pierwszy odezwał się Larry, wielki, czarnowłosy olbrzym, który przypominał raczej obrońcę z drużyny futbolowej niż archeologa tropiącego zagadki przeszłości.

– Witaj Sheck, mieliśmy dzisiaj zabawną przygodę – zaczął z uśmiechem.

– Jaką?

– Wygląda na to, że dinozaury pływają w pęcherzykach naszego powietrza, kiedy robimy przystanki dekompresyjne – wyjaśnił Sonny. – Myślą pewnie, że to wzmacnia terapeutyczne właściwości źródłiska, jak masaż wodny.

– Wynurzałem się z aparatem w rękę – kontynuował Larry – i nie zobaczyłem faceta, który pływał dokładnie nade mną. Jego lekarz będzie się musiał nieźle namęczyć, żeby wyciągnąć z niego moją lampę błyskową.

Wszyscy roześmialiśmy się głośno.

– Chcielibyśmy sfilmować jaskinię w głębi, ale obawiam się tego, co dinozaury zrobią z kablem pod napięciem.

– Albo co on robi z nimi.

– Może zabralibyśmy się do tego jutro w nocy? W jaskini i tak będzie ciemno. Poza tym woda będzie bardziej przejrzysta.

– Bardziej przejrzysta? – powtórzyłem zdziwiony.

– Tak. Kelly Brooks twierdzi, że minerały zawarte w tej wodzie są światłoczułe. Kiedy pada na nie blask słońca, woda mętnieje.

Wiedziałem już, że woda ze źródłiska matowi metal i nadaje żółtym zbiornikom piękny odcień zieleni. Usłyszawszy tę informację, pokręciłem tylko głową. Doktor Brooks był geologiem, a jego odkrycie potwierdzało tylko, że źródłisko Warm Mineral ma wyjątkowe właściwości, odróżniające je od wszystkich innych źródeł.

Następna noc była chłodna i bezchmurna. Na niebie królował jasny księżyc, który oblewał srebrzystym blaskiem wierzchołki palm, okalających staw o

szerokości 76 metrów. Olbrzymi pióropusz mgły wysoki na 3 kilometry, wypływający z ciepłej wody, unosił się ku niebu niczym słup dymu bijący z wulkanu. Wielki aligator łypnął na nas czerwonymi ślepiami i zanurzył się głośno. Ciszę nocy przerywało jedynie brzęczenie ciężkiego sprzętu, który nieśliśmy ze sobą. Nasze butle, twinsety o łącznej pojemności 5600 litrów, teraz były wyposażone w manifold z dwoma zaworami, dzięki czemu mieliśmy do dyspozycji dwa pełne automaty na wypadek, gdyby któryś zawiódł. Jeden z automatów został zaopatrzony w wąż o długości półtora metra, co w razie wypadku ułatwiało drugiemu nurkowi korzystanie z zapasów powietrza jego towarzysza. Kiedy przystanąłem, by odsapnąć na chwilę, przyszło mi do głowy, że wszystkie ulepszenia, jakie z biegiem lat wprowadzaliśmy do naszego sprzętu, zwiększały jego ciężar. Dzisiaj nosiliśmy około 70 kg wyposażenia. Pociągnąłem łyk wody z wodotrysku i natychmiast wypłułem odrażający płyn.

– Ta woda smakuje jak gówno!

– Bo powinna tak smakować – roześmiał się Larry, wskazując na napis umieszczony nad wodotryskiem: „Naturalna woda źródłana o właściwościach przeczyszczających”. – Dlatego właśnie nazywamy to źródłisko „Ciepłą Lewatywą”.

Wiedziałem, oczywiście, że woda w źródłisku jest ciepła, przeżyłem jednak chwilę miłego zaskoczenia, gdy przez mój skafander przesączyła się woda o temperaturze 30,5 stopnia Celsjusza. Widoczność w przejrzystej, zielonkawej cieczy wynosiła około 12 metrów. Podczas gdy załoga na powierzchni opuszczała do wody kabel elektryczny, kierując się sygnałami używanymi przez zawodowych nurków (jedno szarpnięcie = więcej kabla, dwa szarpnięcia = stop), podziwiałem widoki. Kamera Larry’ego, wyposażona w dwustupięćdziesięciowatowy reflektor umocowany na końcu kabla, umożliwiała mi obejrzenie w jasnym świetle skalnych półek, na których znaleziono szczątki Indian liczące niemal jedenaście tysięcy lat. Natrafiono tu także na jeszcze starsze znaleziska, takie jak ząb wymarłego tygrysa szablastozębnego, a także wielkie jak pnie drzew stalaktyty, przy których nawet nacieki z sąsiedniego Little Salt Spring wydawały się małe. Poniżej osiemnastu metrów nie było już żadnych półek ani stalaktytów, ale ściany tworzyły wielki nawis przypominający ten z jaskini Zuber.

Wkrótce zeszliśmy na głębokość 55 metrów i dotarliśmy do termokliny. Zazwyczaj woda położona niżej jest zimniejsza, kiedy jednak wsunąłem rękę poniżej, stwierdziłem ze zdumieniem, że ma około 33 stopni Celsjusza. Z pewnością żaden z nas nie nurkował jeszcze w takiej temperaturze. Po zanurzeniu się w tej warstwie zauważyłem, że znacznie wzrosła też widoczność, teraz sięgająca niemal 60 metrów. Dochodziła już północ. Czyżbym śnił?

Pomyślałem, że tak właśnie musi wyglądać niebo nurków jaskiniowych.

Zgodnie z planem nurkowania, przygotowanym na powierzchni, Larry i Dan Lenihan, podwodny archeolog i doświadczony instruktor nurkowania jaskiniowego z National Park Service (Służba Parków Narodowych), oraz mój były uczeń, Barry Kerley, wpłynęli do małego korytarza na głębokości 64 metrów. Tymczasem Lewis Holtzendorff i ja podawaliśmy im z głębokości 60 metrów kabel zasilający, który z kolei przekazywał nam Bob Johnson zawieszony 60 metrów wyżej. Wszystko szło zadziwiająco gładko jak na pierwszą próbę sfilmowania podwodnej jaskini na tak dużej głębokości. Poczułem trzy szarpnięcia, sygnał od Dana i Larry'ego, po czym zacząłem wraz z Lewisem wyciągać kabel.

Nagle padł na nas promień latarki Boba Johnsona. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak Bob, owinięty zwojami ciężkiego kabla, zapada się powoli w szlamie pokrywającym dno jaskini. Załoga na powierzchni poczuła tylko pierwsze szarpnięcie Boba i podawała kabel na dół długo po tym, jak Dan i Larry zatrzymali się w głębi jaskini.

W końcu naprawiliśmy ten błąd i po kilku minutach znaleźliśmy się na zalanym blaskiem księżyca przystanku dekompresyjnym na głębokości sześciu metrów. Oddychaliśmy tutaj czystym tlenem, gdyż ten szybciej oczyszcza organizm z azotu i zmniejsza ryzyko wystąpienia choroby dekompresyjnej. Aby urozmaicić sobie ten długi i nudny pobyt na przystanku, zabrałem Barry'emu zapasowe latarki i przyczepiłem je do pasa niczego niepodważającego Lewisa. Kiedy Barry odkrył brak swoich latarek, wdał się ze mną w przyjacielskie przepychanki, które okazały się na tyle zabawne, że w podobny sposób potraktowałem pozostałych nurków prócz Larry'ego. Gdy do niego podpływałem, oślepił mnie dwustupięćdziesięciowatowym reflektorem, a poza tym i tak był za duży, żeby się z nim przekomarzać.

Teraz wiadomo, że Warm Mineral Springs to najstarsze cmentarzysko na wschód od Missisipi, a być może w całej Ameryce Północnej. Sonny czyni starania, by władze stanowe zakupiły to źródłisko, i planuje wraz ze swoją żoną, Barbarą Cockrell, oraz ich asystentem, Skipem Woodem, rozkopać hałdę położoną na dnie źródłiska poniżej 36 metrów. Poziom morza nigdy nie opadał poniżej wierzchołka tej hałdy, w związku z czym zawsze było to środowisko pozbawione tlenu. Wszelkie przedmioty zakopane w hałdzie zachowały się zapewne w jeszcze lepszym stanie niż te z poziomu 14–18 metrów.

Warm Mineral i Little Salt Spring są prawdopodobnie najważniejszymi z punktu widzenia archeologii podwodnymi jaskiniami w Stanach Zjednoczonych, można jednak mnożyć przykłady wielu innych znaczących znalezisk, od dłubanych czółen z Cave Spring w Missouri do armat z czasów wojny

secesyjnej z Natural Bridge Spring na Florydzie oraz prehistorycznych malowideł skalnych w niegdyś suchych, a teraz wypełnionych wodą jaskiniach przy Amistad Reservoir (sztuczne jezioro), między Teksasem a Meksykiem. Już w 1930 roku naukowcy z Instytutu Smithsona wydobyli niemal kompletny skamieniały szkielet prekolumbijskiego mamuta, ukryty w głębiach Wakulla Spring na Florydzie, a jeszcze wcześniej prowadzono poszukiwania hiszpańskiego skarbu w pobliskich źródłiskach Ponce de Leon.

Skoro już mowa o skarbach, warto wspomnieć o plotkach dotyczących pirackiego złota ukrytego jakoby w kilku źródłiskach i jaskiniach na Florydzie, między innymi w Little Copper Spring nad rzeką Suwannee oraz nienazwanej jeszcze jaskini w pobliżu Ponte Vedra. Czy kiedyś rzeczywiście zostaną tam znalezione złote dublony? Być może już je odkryto. Surowe prawo Florydy dotyczące antyków oraz przepis nakazujący znalazcy oddanie 25 procent skarbu z pewnością nie skłaniają do nagłaśniania takich przypadków. Wiemy z całą pewnością, że złoto i klejnoty wydobywano z cenotów oraz innych podwodnych jaskiń w Meksyku. Podczas wypraw NSS na półwysep Yucatan w Meksyku oraz do olbrzymich źródeł Sierra Madre widziałem mnóstwo bezcennych prekolumbijskich artefaktów.

Należy pamiętać, że usunięcie z jaskini jakiegokolwiek przedmiotu bez odpowiedniego nadzoru naukowego niszczy na zawsze naukową wartość tego przedmiotu. Odnosi się to zarówno do formacji skalnych i żywych stworzeń – wiele z nich to okazy bardzo rzadkie i delikatne – jak i do skamielin oraz artefaktów. Także przedmioty, które na pierwszy rzut oka wydają się nic nie wartym śmieciem, w rzeczywistości mogą mieć ogromne znaczenia dla archeologa nurkującego w jaskiniach. NSS bezustannie przypomina, by wszyscy jego członkowie – zarówno nurkowie jaskiniowi, jak i grotolazi – zawsze kierowali się jej mottem: nie rób niczego prócz zdjęć, nie zostawiaj niczego prócz śladów stóp, nie zabijaj niczego prócz czasu.

Tylko to da nam pewność, że nasze ukochane jaskinie przetrwają w nienaruszonym stanie i będą się nimi mogły cieszyć również przyszłe pokolenia.



Sheck w swoim minibusie, na zdjęciu dopisek „Świr tygodnia”



Sheck na urwistym klifie w Peacock Springs
nad Orange Grove Sink



Przed rekordowym nurkowaniem w Boesmansgat, RPA

ROZDZIAŁ 7

Tajemnicze błękitne dziury



schodzące słońce oblało płynnym złotem South Bight, szeroki słonowodny kanał przecinający na pół Andros, największą wyspę Bahamów. Świt przyniósł przyjemną bryzę i orzeźwiający zapach soli, który przeganiał komary i męczący upał lipca 1977 roku. Kilka mew przemknęło nad naszymi głowami, skrzecząc przy tym głośno, podczas gdy ławica srebrzystych rybek skakała i pluskała się na obrzeżach silnego wiru, zaledwie kilka metrów od naszej łodzi.

Zanim zanurzyłem się w wodzie, raz jeszcze sprawdziłem cały sprzęt. Przygotowywałem się do nurkowania na głębokość ponad 90 metrów w Blue Hole #4 (Błękitna Dziura nr 4), jednej z dwóch największych podmorskich jaskiń. Zwykle cieszyłem się na taką okazję, teraz jednak czułem dziwny niepokój. Z pewnością nie była to kwestia głębokości – dzień wcześniej wraz z Frankiem Fogartym i Terryem More'em ustaliłem rekord świata w nurkowaniu jaskiniowym, schodząc na 104 metry w pobliskiej Boiling Hole, a u wybrzeży tej samej wyspy, w otwartym morzu, zanurkowałem kiedyś na głębokość 142 metrów, co także było rekordem świata. Nie, to dziwne zakłopotanie wywoływały wspomnienia czegoś, co wydarzyło się tutaj sześć lat wcześniej.

Na początku lat 60. do miasta Tampa przyjechał na motocyklu drobny, rudowłosy i żylasty mężczyzna bez pieniędzy. Głębokie, przedwczesne zmarszczki na czole i poważna mina sprawiały, że choć miał wówczas dopiero 30 lat, wydawał się znacznie starszy. Mówił z akcentem ze środkowego zachodu, zawsze krótko i rzeczowo, co było zapewne wynikiem trudnych doświadczeń z Missouri: jego zakład rusznikarski splajtował, umarła mu żona i czuł się wyobcowany z reszty rodziny. Nazywał się Frank Martz.

Przyjaciel Johna Harpera, Pete Gaddy, wziął Franka pod swoje skrzydła i w 1965 roku zaczął uczyć go nurkowania jaskiniowego. Pete zabrał go do pobliskiej jaskini Eagle's Nest, a Frank, podobnie jak ja, od razu zakochał się w wielkiej sali wejściowej i kusząco głębokich tunelach. W ciągu następnych sześciu lat wykonał tu ponad 200 nurkowań, podczas których widział miejsca nieznane innym, stracił dwóch partnerów i sam omal nie pożegnał się z życiem. Kiedyś próbował się przekonać, jak głęboko zanurkuje na wstrzymanym oddechu, i stracił przytomność, nim dotarł ponownie na powierzchnię. Wpadł do jednej ze studni wejściowych na głębokości 15 metrów i wylądował na plecach zdumionego nurka 30 metrów niżej. Nurek wyciągnął Franka na powierzchnię i wykonał resuscytację, przywracając mu życie. Frank wsiadł do swojej niebieskiej furgonetki i odjechał, nawet mu nie podziękowawszy. Jak to ujął

później Randy Hylton: „Nie zasłużył sobie na zaszczyt uratowania mu życia”. Mimo to ze względu na jego niezwykle przywiązanie do Eagle’s Nest, wkrótce tę jaskinię zaczęto nazywać „miejszem Franka”.

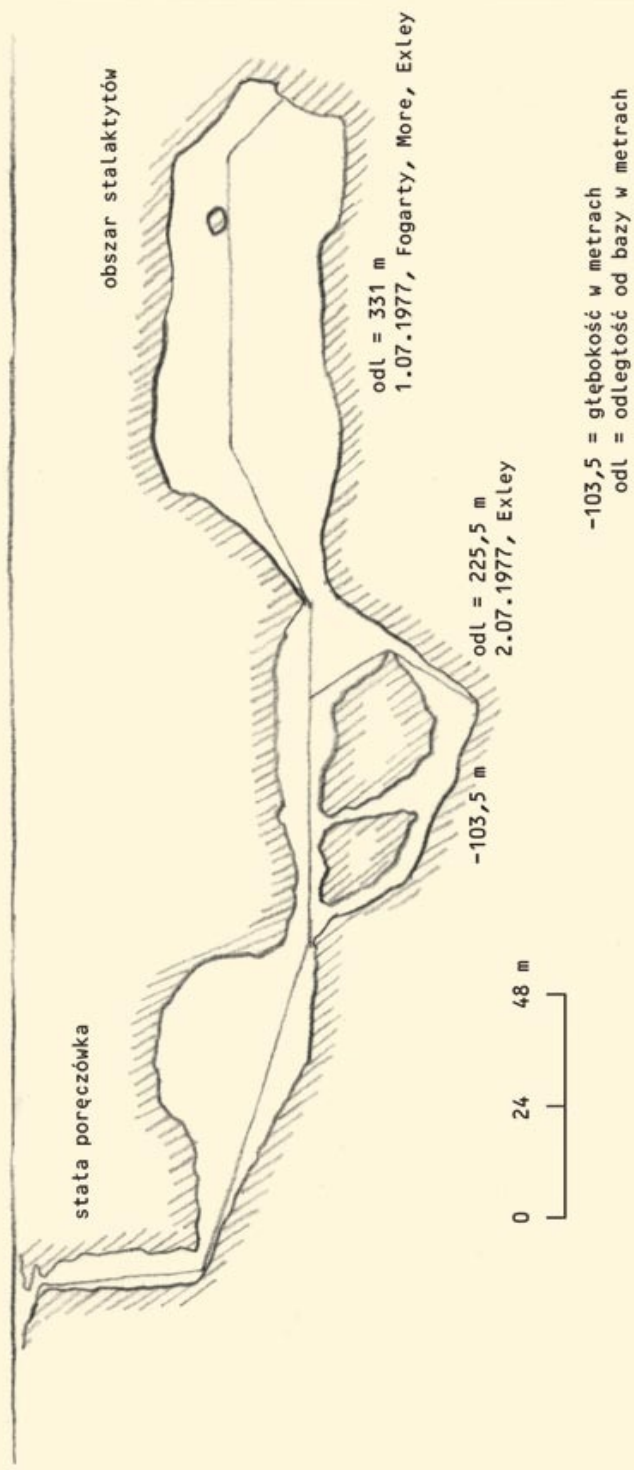
Wkrótce Frank został naszym pierwszym zawodowym nurkiem jaskiniowym. Wykorzystując swoje talenty rusznikarskie oraz projekt Johna Harpera, skonstruował światła nurkowe znacznie lepsze od tych, które były wówczas dostępne na rynku. Firma Martz Underwater Engineering zrewolucjonizowała nurkowanie jaskiniowe za pomocą takiego sprzętu bezpieczeństwa, jak nóż mocowany na przedramieniu lub lampy kwarcowo-halogenowe. Frank jako pierwszy wykorzystał również pleksiglas do konstrukcji kołowrotek, dzięki czemu w razie awarii nurek mógł zajrzeć do takiego kołowrotka i sprawdzić, co się stało. Jednak ze względu na perfekcjonistyczną naturę Franka do awarii dochodziło niezwykle rzadko.

Zamiłowanie Franka do nurkowania jaskiniowego miało także dość dziwaczne strony. Jedną z nich była tajemnicza obsesja na punkcie koloru niebieskiego. Pod koniec lat 60. wprowadził się do niebieskiego domu, jeździł niebieską furgonetką volkswagena i używał niebieskiego sprzętu do nurkowania. Nosił nawet niebieskie ubrania, od niebieskiej koszuli z krótkimi rękawami i niebieskich spodni, aż po niebieskie buty! Społeczność nurkowa zastanawiała się po cichu, czy Frank przez siedem dni w tygodniu wkłada tę samą koszulę, ale jeden z naszych przyjaciół uciął te spekulacje, gdy zauważył w domu Franka wysoką na ponad metr stertę niebieskich koszul! Jeśli wydaje się to dziwne, to co powiecie o tym: Frank przed nurkowaniem jadał naleśniki z jagodami.

Duże masy czystej wody mają zazwyczaj błękitny odcień. Frank otaczał się kolorem wody, bo uważał, że to pomoże jego duchowi bardziej zjednoczyć się z podwodnymi jaskiniami. Wzmacniał tę duchową więź, poddając się wielogodzinnej dekompresji bez maski na twarzy i wydmuchując powietrze przez nos, gdyż to go odprężało. Frank uwielbiał wielkie jaskinie z błękitną wodą i białymi ścianami. Doskonałym przykładem była jaskinia Eagle’s Nest, innym zaś Blue Hole #4.

Doktor George Benjamin, bogaty Kanadyjczyk, jako pierwszy nurkował w wielu spośród bahamskich błękitnych dziur, podmorskich jaskiń, w których kierunek prądu wody zmienia się w zależności od pływu. Odkrył, że silne wiry tworzące się czasem ponad dziurami nie są dziełem „lusca”, złych potworów przypominających ośmiornice (w co wierzyli miejscowi rybacy, którzy niejednokrotnie widzieli łodzie bezpowrotnie wciągane w morską otchłań przez takie właśnie wiry), lecz prądów zmieniających kierunek podczas przypływu. Nauczył się tak planować nurkowania, by zbiegały się one z krótkimi okresami „ciszy” między pływami i by członkowie jego zespołów nie dołączyli do

zatopionych rybackich łodzi podczas przypływu, a w czasie odpływu nie wylatywali z jaskiń niczym żywe pociski.



BOILING HOLE ANDROS, BAHAMY

Przekrój Północnego Przejścia. Zbadana przez zespół w składzie: Frank Fogarty Terry More i Sheck Exley.

Kiedy zaczynał karierę nurka jaskiniowego, miał już ponad 50 lat. Wiedział, że badaniem niezwykle długich i głębokich błękitnych dziur na wyspie Andros będą się musieli zająć młodszy i sprawniejsi nurkowie. Zaprosił do współpracy Toma Mounta, który zaimponował mu, dokonując kilku ważnych odkryć. Znalazł między innymi pierwsze stalaktyty w ulubionej jaskini George'a, nazwanej przez niego Blue Hole #4. George'owi podobał się także sprzęt Toma, wyprodukowany przez Franka, i wkrótce do niebieskiego domu w Tampie trafiło duże zamówienie na latarki oraz zaproszenie do wspólnego nurkowania. George i Tom pomogli Cousteau zrobić w jaskini numer 4 film do jego serialu telewizyjnego. Dzięki ich pomocy do końca lata 1971 roku francuski nurek zbadał tam niemal 300 metrów korytarzy sięgających 75 metrów głębokości.

Lato 1971 roku obfitowało w różne wydarzenia, szczególnie na Florydzie. W wodach wielu jezior i stawów w środkowej Florydzie pojawiła się mała ameba. Obszar jej występowania sięgał na północy aż po Pasco County, kilka kilometrów na południe od Eagle's Nest, wiadomo było też, że szczególnie upodobała sobie ciepłe, mętne wody. Tego lata widoczność w Eagle's Nest była wyjątkowo kiepska, w mętnej wodzie blask słońca nie sięgał nawet trzech metrów, i to w samo południe. Można więc było założyć, że ameba dotarła także i tutaj.

Zakażenie amebą nieuchronnie prowadzi do śmierci pechowego nurka lub pływaka (tamtego lata na Florydzie było kilka takich przypadków). Wywołuje zapalenie mózgu, które w początkowych stadiach objawia się ostrymi bólami głowy. Później przychodzi wysoka gorączka, a kilka tygodni po zakażeniu ofiara umiera. Ameba dociera do mózgu przez przewody nosowe. Frank spędził niezliczoną liczbę godzin w wodach Eagle's Nest, poddając się dekompresji bez maski, z odsłoniętym nosem.

Frank i ja nie od razu przypadliśmy sobie do gustu. Trudno było poznać jego prawdziwą naturę, a w dodatku, podczas naszego drugiego spotkania, w czasie konferencji poświęconej nurkowaniu jaskiniowemu w 1969 roku, obraziłem go. Nieświadom, że Eagle's Nest to „miejsce Franka”, powiedziałem mu, że przedłużyłem zostawioną tam przezeń poręczówkę. Do roku 1971 zakopaliśmy już topór wojenny, a gdy zamówiłem jedną z jego latarek, dał mi swój zastrzeżony numer telefonu, co było zaszczytem, którego dostępowali tylko jego najbliżsi przyjaciele. Chcąc scementować nasze nowe relacje, rzuciłem pomysł wspólnego nurkowania, na co Frank chętnie przystał. Zaproponowałem, że zawiozę nas do jego ukochanego Eagle's Nest – jaskini dobrze znanej nam obu i położonej niedaleko domu Franka w Tampie – przeżyłem jednak szok, gdy odpowiedział: „Nie będę nurkował w Nest aż do jesieni, dopóki nie oczyści się tam woda”. Ostatecznie, 4 sierpnia, zanurkowaliśmy w jaskini Devil's Eye,

odkrytej niedawno przez Johna Harpera i położonej w znacznej odległości od domu Franka.

Niedługo przed świętem pracy (pierwszy poniedziałek września) zorganizowano kolejną ekspedycję do błękitnych dziur. Frank trafił wtedy do Miami, gdzie zatrzymał się, by odwiedzić Boba Friedmana, a potem Toma Mounta z uniwersytetu Miami. Dotarcie do domu Toma zajęło Frankowi znacznie więcej czasu niż powinno było. Nurkowie na Andros wkrótce zauważyli, że Frank dziwnie się zachowuje. Wydawał się wyjątkowo markotny i przygnębiony, chciał też wykonywać szczególnie niebezpieczne i trudne nurkowania.

Zgodnie z harmonogramem rankiem czwartego września miało się odbyć nurkowanie w Blue Hole #4. Frank zamierzał wrócić do najgłębszego punktu, jaki osiągnął do tej pory, kanionu położonego 150 metrów za grotą stalaktytów, odkrytą wcześniej przez Toma. Popłynął z nim jeden z moich stałych partnerów nurkowych, Jim Lockwood, który na Florydzie nurkował już na głębokości 90 metrów. Pozostali, mniej doświadczeni nurkowie udali się do płytszej części jaskini, Tunelu Południowego.

Kiedy już obaj znaleźli się w kanionie, Frank jako pierwszy ruszył w dół wąskiego przewężenia położonego na głębokości 85 metrów, przypominającego kształtem korkociąg, jak ujął to później Jim. Ze względu na dużą ilość mułu i ciasnotę partner Franka pozostał na górze, czekając na jego powrót. Kiedy minęło kilka minut, a Frank nie wracał, Jim zaczął się niepokoić. W końcu także przecisnął się przez zamulone przewężenie, znalazł jednak tylko luźną poręczówkę sięgającą w głąb bezdennej otchłani, 100 metrów pod powierzchnią ziemi. Nigdy więcej nie widziano Franka Martza.

Zaginięcie Franka było dla amerykańskich nurków jaskiniowych wstrząsem, jakiego ta społeczność nie doznała nigdy wcześniej ani nigdy potem. Choć do tego czasu na Florydzie utonęło już ponad stu nurków, wszyscy należeli do grupy pogardliwie nazywanej przez Franka „wiewiórkami”, to jest osób pozbawionych odpowiedniej wiedzy i doświadczenia w nurkowaniu jaskiniowym. Frank był kimś więcej niż tylko należycie wyszkolonym i doświadczonym nurkiem jaskiniowym. Był jednym z naszych najlepszych nurków, instruktorem i dyrektorem NACD. W rozmowach z innymi nurkami posuwał się nawet do stwierdzenia, że jest niezwyciężony.

Co się wtedy stało? Frankowi spодobały się nowe butle o pojemności 2800 litrów, których używałem podczas naszego wspólnego nurkowania w Devil's Eye, zabrał więc taki zestaw na Bahamy. Butle tego typu są jednak znacznie cięższe od zwykłych pojemników o pojemności 2000 litrów, dlatego nurek musi równoważyć je odpowiednio dobraną pianką oraz kamizelką wypornościową.

Podczas tego fatalnego nurkowania Frank po raz pierwszy używał większych butli, a jak widać na zdjęciu wykonanym tuż przed nurkowaniem, gdy siedzi na skraju łodzi, miał wówczas na sobie tylko górną część skafandra zamiast kompletnego stroju o większej wyporności. Zdjęcie pokazuje również, że Frank przymocował nóż do łydki, a nie, jak robił to zazwyczaj, do przedramienia, miejsca bardziej dostępnego.

Czy Frank przeciął poręczówkę, by przywiązać ją do skały i wypuścić przy tym z dłoni nóż albo kołowrotek – albo też jedno i drugie – a potem zanurkował, by odzyskać te przedmioty? Jeśli tak było w istocie, to wysiłek potrzebny do wynurzenia z wyjątkowo ciężkimi butlami mógł pozbawić go przytomności. W gruncie rzeczy, choć wykonał ponad 200 nurkowań w Eagle's Nest, Frank nigdy nie schodził głębiej niż 90 metrów, a ucięta lina sięgała podobno na głębokość 100 metrów. To samo mogło spotkać go, gdyby zaplątał się w poręczówkę i próbował z niej uwolnić.

A może Frank cierpiał na ostre bóle głowy? Może po drodze do mieszkania Toma w Miami wstąpił do gabinetu lekarskiego i dowiedział się, że ma nieuleczalną chorobę mózgu? Śmiertelnie chory nurek jaskiniowy pozbawiony bliskiej rodziny nie mógłby chyba wybrać lepszego sposobu na popełnienie samobójstwa – w jednej z najpiękniejszych jaskiń świata, na głębokości, która dałaby mu bezbolesną śmierć i pewność, że jego ciało nigdy nie zostanie odnalezione.

Teraz miałem zobaczyć na własne oczy tę część jaskini, w której zginął Frank.

Głośny chlupot rozerwał ciszę poranka, gdy nasza trójka zsunęła się z łodzi i zanurzyła w przejrzystej wodzie. Moje obawy rozwiały się jak dym, gdy tylko znalazłem się w wodzie i obserwowałem skłębione ławice lucjanów i pręgowanych żuchwików hasające nad jasnym, piaszczystym dnem. Nieco dalej na pustynnym dnie zatoki znajdowała się oaza ciemnego błękitu: szerokie na 9 metrów wejście do dziury. Przez krawędź otworu przelewały się kaskadą szerokie pasma złocistego koralowca, upstrzonego czerwonymi i pomarańczowymi kępami rozdziawionych ukwiałów, podczas gdy las błękitnych i fioletowych gorgonii kołysał się łapczywie w wartkim prądzie, wyłapując substancje odżywcze niesione resztkami przyprływu. Nasze uszy wypełniły się nieustającym trzaskiem wydawanym przez miriady różnych stworzeń zamieszkujących dziurę. Jaskrawo ubarwiona strzykwa powoli sunęła w stronę ułożonego poziomo otworu na głębokości dziewięciu metrów, zostawiając na piaszczystym dnie szeroką bruzdę.

Gdy znaleźliśmy się w mrocznym wnętrzu otworu, włączyliśmy potężne latarki Martza, a naszym oczom ukazała się tęczowa powłoka gąbek i koralowców okrywających ściany. Olbrzymia langusta popędziła w dół strome go

korytarza i ukryła się w szczelinie strzeżonej przez rozłożyste ukwiały, pewna, że ich długie czarne kolce skutecznie nas powstrzymają i nie pozwolą, by trafiła na nasz stół. Przepłynąwszy około 30 metrów, dotarliśmy na głębokość 24 metrów. W tym miejscu korytarz wejściowy dochodził do ściany olbrzymiego kanionu tworzącego główny tunel jaskini. Skręciliśmy na północ.

Trzydzieści metrów dalej znaleźliśmy się nad pierwszą głęboką częścią kanionu, gdzie dwa tygodnie przed śmiercią Franka, na głębokości 76 metrów, zginął John Crusell. Potem w blasku naszych latarek ukazał się niezwykle widok, olbrzymi blok wapienia wciśnięty w kanion, pokryty mnóstwem stalagmitów i kolumn: Grota Benjamina. Przystanąłem na moment, na głębokości 45 metrów, by przyrzeć się największej spośród tych formacji, wysokiej na metr Rzymskiej Bramie, po czym ruszyłem dalej w głąb kanionu.

Podczas poprzednich nurkowań przekonaliśmy się, że ułożony poziomo kanion doprowadzi nas do końca jaskini znajdującego się niemal 300 metrów od wejścia. Tuż za grota w świetle latarki dostrzegłem białą żyłkę zmierzającą ku głębini; była to poręczówka pozostawiona przez Franka podczas jego śmiertelnego nurkowania. Nauczyliśmy się już, że nie należy ufać starym linom, porastała je bowiem gruba warstwa morskich stworzeń, które w znacznym stopniu osłabiały włókna. Sięgnąłem po kołowrotek Martza i zacząłem rozwijać nową poręczówkę.

Na głębokości 80 metrów zwolniłem, by precyzyjnie się przez muliste przewężenie, unikając starej liny, która w tym miejscu była już całkiem luźna. Zaaklimatyzowałem się podczas poprzednich nurkowań, miałem więc jasny umysł i bez trudu precyzyjnie się przez wąską rynnę. Wtedy jednak stare lęki wróciły do mnie ze zdwojoną siłą: czy na dole czekały na mnie szczątki mojego zaginionego przyjaciela? Żadna z ekip poszukiwawczych nie dotarła jeszcze na tę głębokość.

Zdumiałem się, ujrzawszy na głębokości 85 metrów koniec uciętej liny spoczywający na skalnej półce przy ścianie kanionu. Kolejnych 6 metrów i znalazłem się na dnie. Obróciłem się powoli dookoła, wypatrując śladów Franka lub jego sprzętu. Z jednej strony ściany wznosiły się do przewężenia na głębokości 80 metrów i położonej wyżej groty. Przeciwległa ściana opadała łagodnie ku głębokości około stu metrów, po czym wznosiła się raptownie ku sufitowi jaskini. W odróżnieniu od nieskazitelnie białych, głębokich korytarzy pobliskiej Boiling Hole to przejście było ciemne i posępne, a dno pokrywała gruba warstwa szlamu. Nigdzie nie było widać żadnego śladu Franka.

Do tego czasu prąd w jaskini zmienił kierunek, mogłem więc popłynąć z nim do wejścia. Po drodze rozmyślałem o tym, co znalazłem. Czy doczesne szczątki Franka spoczywały w głębokim mule? Partner Franka był pewien, że podany

przez niego opis sceny wypadku odpowiada rzeczywistości, a przecież różnił się od tego, co tutaj znalazłem. Nawet głębokość i kształt przewężenia były inne. Być może przewężenie w kształcie korkociągu znajdowało się w dnie kanionu, a później opadło niżej, na zawsze grzebiąc pod sobą Franka.

Podobnie jak Frank trafiłem do błękitnych dziur dzięki Tomowi Mountowi. Tom, wielki, błękitnooki blondyn z Tennessee, był jednym z charyzmatycznych liderów społeczności nurkowej zatrudnionym jako instruktor nurkowania na uniwersytecie Miami. Pracowaliśmy razem nad tekstem „Bezpieczne nurkowanie jaskiniowe”, a do 1973 roku wyprzedziłem go w liczbie nurkowań, stając się pierwszą osobą, która wykonała 1000 udokumentowanych zejść. Tego samego roku Tom musiał przygotować i wyposażyć nurków prowadzących badania nurkowania saturowanego z użyciem hydrolabu, podwodnego habitatu, w którym akwanauci mieszkali po kilka dni z rzędu. Nurkowanie saturowane, w którym nurek nawet w sytuacji krytycznej nie może wypłynąć na powierzchnię z obawy przed chorobą dekompresyjną, podobne jest do nurkowania jaskiniowego, gdzie tym czynnikiem ograniczającym jest sufit jaskini. Tom rekrutował więc doświadczonych nurków jaskiniowych, gdy tylko miał ku temu okazję. Zachętą do uczestnictwa w projekcie miał być nie tylko prestiż bycia akwautą, ale także pensja wynosząca 100 dolarów dziennie plus koszty, co w moim przypadku stanowiło naprawdę kuszącą perspektywę (wtedy skończyłem właśnie studia i byłem bez grosza). Jakby tego było mało, Tom dorzucił możliwość nurkowania w błękitnych dziurach.

Naszemu zespołowi przewodziła drobna, rudowłosa Zidi Mount, świetny nurek jaskiniowy i doświadczony nurek saturowany. Zidi była też wspaniałą liderką, która doskonale radziła sobie z trudnym zadaniem utrzymania w ryzach czterech indywidualistów, pracujących w ciasnocie i trudnych warunkach. Postaraliśmy się, by podczas naszej ośmiodniowej misji ani chwili się nie nudziła. Pierwszego dnia jednemu z członków zespołu skończyło się powietrze, musiałem więc podać mu swój automat, by ściągnąć go do bazy. Potem Rick Frehsee, doskonały podwodny łowca i fotograf, drażnił olbrzymiego rekina wąsatego, by zrobić mu ciekawe zdjęcia. W końcu Tom zaskoczył mnie, posyłając na dół tort lodowy ze świeczkami na moje dwudzieste czwarte urodziny.

Baza hydrolabu znajdowała się Klubie Podwodnych Badaczy (Underwater Explorers Club) we Freeport. Tam dowiedzieliśmy się od Dicka Clarke'a, że jeden z nurków pracujących w tym kurorcie, Ben Rose, odkrył fascynującą błękitną dziurę położoną w głębi wyspy, niedaleko portu. Dick miał także zdjęcie najpiękniejszych stalaktytów, jakie kiedykolwiek widziałem. O niebo ładniejsze od porośniętych morskimi stworzeniami, szarych stalaktytów z

Andros i Little Salt Spring, te niezwykle formacje skalne lśniły nieskazitelną bielą, a cieńsze były wręcz przezroczyste. Z kolei największe wydawały się wielkie jak ciężarówki!

Dostanie się do wejścia do jaskini Bena wymagało zejścia z wysokości pięciu metrów po śliskich korzeniach drzewa prowadzących na hałdę kamieni pośrodku wielkiej groty wypełnionej częściowo wodą. Opuściwszy nasze butle, Rick wypróbował lampę błyskową swojego aparatu, podświetlając na moment upiorne kształty potężnych podwodnych stalaktytów. Tom prowadził nas w głąb jaskini, podczas gdy lampa Ricka błyskała niemal nieustannie, zwracając się ku coraz to nowym częściom pięknej podwodnej panoramy. Od szerokiej na 60 metrów groty wejściowej odchodził korytarz wysoki na 6 metrów i szeroki na ponad 18, wypełniony słodką wodą tak przejrzystą, że nawet z odległości 90 metrów widzieliśmy wyraźnie korzenie drzewa przy wejściu. Ściany korytarza były zbudowane z dziwnego, skamieniałego koralowca, który przypominał zastygłą płataninę spaghetti. Ze ścian i sufitów zwieszały się olbrzymie stalaktyty o długości prawie czterech metrów. Dno jaskini przesłaniała warstwa żółtawej morskiej wody. Z tej warstwy wyrastały olbrzymie, spłaszczone formacje skalne, pozostałości najcięższych stalaktytów, które odpadły od sufitu.

Zanurzony się głębiej w słonej wodzie, odkryliśmy, że haloklina oddzielająca ją od wody słodkiej zniekształca i rozmazuje obraz jaskini nad naszymi głowami. W odróżnieniu od rozciągającej się powyżej nieskazitelnej bieli wszystko, co znajdowało się w słonej wodzie, było pokryte brązowym osadem. Dłuższe stalaktyty, przecinające obie warstwy, zmieniały barwę z bieli na mahoń, gdy tylko znalazły się w słonej wodzie, na głębokości dziewięciu metrów. Dziewięćdziesiąt metrów dalej sufit jaskini opadał stromo ku warstwie słonej wody, odwiązaliśmy więc poręczówkę i ruszyliśmy do wyjścia.

Nieco później tego samego lata wróciłem w to miejsce z Lewisem Holtzendorffem, Courtem Smithem i Danem Turnerem, trzech spośród najlepszych nurków jaskiniowych świata, zdołaliśmy jednak pokonać dodatkowych 45 metrów w warstwie słonej wody. Tunel zwężał się wyraźnie i zmierzał w stronę pobliskiej jaskini, zwanej Jane's Cave, Jaskinią Jane (na cześć żony Dicka Clarke'a). Z jaskini wypływał silny prąd, a na dnie leżały liście, co mogło sugerować, że łączy się ona z innym otworem. Wtedy żaden nurek na świecie nie przedostał się jeszcze pod wodą z jednej błękitnej dziury do drugiej, a największa długość nurkowania w podmorskiej jaskini aż do roku 1978 wynosiła 331 metrów (wykonaliśmy to nurkowanie w 1977 roku, podczas wyprawy na Andros). Wiedzieliśmy też, że woda w jaskini może przenosić lekkie przedmioty, takie jak liście, na duże odległości, wróciliśmy więc do wyjścia przekonani, że oto zbadaliśmy do końca kolejną małą jaskinię na

Bahamach.

Pod koniec lat 70., po zakończeniu programu Apollo, pewien inżynier NASA postanowił zamieszkać na Bahamach. Obdarzony szerokim czołem, przeszywającym wzrokiem i głębokim, donośnym głosem Dennis Williams był urodzonym liderem, który w 1981 roku pełnił funkcję prezesa Sekcji Nurkowania Jaskiniowego NSS. Wraz z Jill Yager, nauczycielką biologii z Freeport, zainteresował się błękitnymi dziurami w ogóle, a Jaskinią Bena w szczególności. Stało się to za sprawą Gene'a Meltona i Mary Brooks, którzy nauczyli ich nurkować w jaskiniach. Wkrótce cała czwórka spotykała się regularnie w domu Dennisa i Jill, w Lucaya obok Jaskini Bena, by badać pobliskie błękitne dziury. Świetny sprzęt, fenomenalne tempo oddychania Gene'a oraz doświadczenie Mary (żadna kobieta na świecie, z wyjątkiem Indii Fuller, nie wykonała więcej nurkowań jaskiniowych) sprawiły, że czwórka ta tworzyła wspaniały zespół nurkowy.

Zaczęli od Jaskini Jane, która została przemianowana na Cmentarzysko Lucayan po tym, jak znaleziono w niej prehistoryczne szczątki południowoamerykańskich Indian, Arawaków. Zanurzywszy się w brudnej słonej wodzie, która niegdyś skutecznie zniechęciła nas do dalszych poszukiwań, skręcili w prawo pod kątem 45 stopni, a potem przecisnęli się przez korytarz o wysokości niecałego metra, wypełniony niemal w całości brązowo-czerwonymi glonami, które nazwali mung. Przekopawszy się przez warstwę mungu, już 15 metrów dalej zobaczyli pokrytą brązowym nalotem żyłkę przy ścianie: był to koniec mojej poręczówki w Jaskini Bena.

Sukces, jakim było odkrycie połączenia między Cmentarzyskiem a Jaskinią Bena (Ben's Cave), dał światu nie tylko pierwszą błękitną dziurę o kilku wejściach, ale także dowiódł, że korytarze ze słoną wodą wypełnione mungiem mogą prowadzić do znacznie większej liczby podziemnych korytarzy. Później skręcili w lewo, przy Lucayan Junction (Skrzyżowanie Lucayan), i wpłynęli do wypełnionej słodką wodą jaskini o ścianach pokrytych grubymi kaskadami krystalicznej polewy naciekowej. Nazwali to miejsce Salą Ślubów (Wedding Hall). Od Sali Ślubów odchodził szeroki na 5 metrów korytarz wypełniony skalnymi odłamkami. Avalanche Alley (Lawinowa Aleja), bo tak nazwali ją jej odkrywcy, prowadziła w górę, na wyższy poziom. Sześćdziesiąt metrów dalej boczny korytarz ponownie zanurzał się w warstwie mungu i wychodził na wielką płaszczyznę uwarstwienia opatrzoną mianem Gene's Garden (Ogród Gene'a). W pobliżu nie było widać żadnych ścian, wydawało się więc, że sufit opiera się na gęstwinie rdzawych stalaktytów!

W końcu zaproszono mnie do odwiedzenia „małej jaskini”, w której znalazłem się po raz pierwszy pięć lat wcześniej.

– Dennis – przemówiłem, starając się ukryć podniecenie. – Czym karmiłeś tę jaskinię, że aż tak urosła?

Moi towarzysze byli świetnie zorganizowani. Podróżowaliśmy w BHEV II (Blue Hole Expedition Vehicle, Pojazd Badaczy Błękitnych Dziur), furgonetce, którą Dennis przystosował do potrzeb nurków jaskiniowych. Solidna metalowa drabina zastąpiła śliskie korzenie, po których schodziliśmy w 1973 roku. Sama jaskinia nosiła teraz nazwę Lucayan Caverns (Jaskinie Lucayan), a jedna ze ścian w gabinecie Dennisa była pokryta wielką płachtą papieru, na której powoli powstawała mapa jaskini.

Chłodny cień Ben's Cave pozwolił nam odetchnąć od nienasyconych komarów i duchoty bahamskiego lata. Kiedy już znalazłem się w wodzie, przywitałem się po kolei ze wszystkimi znajomymi formacjami skalnymi, po czym ruszyłem za Dennisem, Gene'em i Mary w głąb jaskini. Mary odwróciła się do mnie z szelmowskim uśmiechem na twarzy i wskazała ze złośliwą satysfakcją na koniec mojej poręczówki. Zwiesiłem głowę i wzruszyłem bezradnie ramionami.

Wynurzyliśmy się na chwilę w Burial Ground (Cmentarzysku), by przeprowadzić krótką naradę, po czym ruszyliśmy do Wedding Hall. Kiedy wynurzaliśmy się z ciepłej wody morskiej, płynąc w stronę chłodniejszej, błękitnej warstwy słodkiej wody, zobaczyłem przez zamgloną haloklinę surrealistyczny krajobraz lodowych zamków i lodowców. Chwilę później znalazłem się w bajkowej krainie wypełnionej blaskiem naszych latarek. Przede mną ciągnęła się potężna ściana polewy naciekowej, która opadała kaskadami z półki na półkę, niczym zastygły w bezruchu wodospad. Każda warstwa była dosłownie najeżona mnóstwem maleńkich, przypominających świece stalagmitów. Całość wyglądała jak niezwykle skomplikowany misterny tort ślubny o wysokości 9 metrów!

Gene poświecił na mnie latarką, a ja z ociąganiem opuściłem to niezwykle miejsce i popłynąłem za nim w górę płytkiego korytarza, na lewo od ściany polewy naciekowej. Avalanche Alley (Lawinowa Aleja) wydawała się na tyle niebezpieczna, że mimowolnie wstrzymałem oddech, gdy przepływaliśmy nad olbrzymimi blokami białej skały niedawno opadłymi na dno. Miałem nadzieję, że siła moich pęcherzyków powietrza nie doprowadzi do kolejnego zawału. Głazy leżące na dnie były większe od BHEV II. Po kilku minutach minęliśmy boczny korytarz prowadzący do Gene's Garden (Ogrodu Gene'a) i dotarliśmy do celu: końca poręczówki w Avalanche Alley (Lawinowej Alei). Uśmiechając się szeroko, Gene wręczył mi swój kołowrotek z grubym zwojem liny.

Przywiązałem linę, którą mogłem zamocować tu pięć lat wcześniej, i poprowadziłem wszystkich naprzód w głąb coraz szerszego, usłanego skalnymi

odłamkami korytarza. Za stertą głazów krył się kolejny korytarz prowadzący w dół, ku warstwie brązowej słonej wody, ja jednak płynąłem dalej, do wielkiej sali o szerokości 15 metrów i długości 30 metrów, gdzie Aleja kończyła się gwałtownym spadkiem. Kiedy mocowałem poręczówkę, dostrzegłem pod sufitem znajomy błysk: powietrze. Byłem zaskoczony. Widziałem już tysiące podobnych korków powietrznych powstałych wskutek nagromadzenia pęcherzyków powietrza wydychanych przez nurków, moi towarzysze zapewniali mnie jednak, że nie byli tu nigdy wcześniej.

Podpłynąłem bliżej tego miejsca, zerkając jednocześnie na głębokościomierz, po czym wróciłem w pośpiechu na dół. Przyrząd wskazywał „0”. Nic dziwnego, że było tu powietrze! Ponieważ przebywaliśmy już wcześniej na głębokości 18 metrów przez ponad godzinę, musieliśmy zrobić postój na przystankach dekompresyjnych. Nie mogłem zatrzymać się na dłuższy czas powyżej trzech metrów, groziło to bowiem chorobą dekompresyjną, zwlekałem jednak dość długo, by dojrzeć korzenie drzew wyrastające ze szczelin na suficie. Widok ten przypominał nam, że nad naszymi głowami jest 6 metrów kruchej, popękanej skały. Wypływając z jaskini, staraliśmy się nie wypuszczać powietrza.

W drodze powrotnej nie mogłem oprzeć się pokusie i wpłynąłem do wypełnionego morską wodą otworu, który dopiero co odkryliśmy. Przecisnąwszy się przez zapchany mungiem korytarz, omal nie krzyknąłem z radości, gdy blask latarki odsłonił wypełnioną stalaktytami płaszczyznę uwarstwienia, łudząco podobną do Ogrodu Gene’a. Grota miała tylko metr wysokości, była jednak tak szeroka, że nawet w krystalicznie czystej wodzie nie było widać przeciwległej ściany. Pośród stalaktytów kryło się mnóstwo makaronów, delikatnych kryształowych rurek o średnicy kilku milimetrów. Czułem się niczym słoń w składzie porcelany, gdy powoli przesuwalem się na lewo, obok obszaru porośniętego taką gęstwiną formacji skalnych, jakiej nie widziałem jeszcze w żadnej jaskini. Mozolna, ostrożna wędrówka została w końcu nagrodzona odkryciem wyższego obszaru położonego na głębokości 18 metrów, gdzie płaszczyzna uwarstwienia zamieniała się w obszerny tunel.

Kiedy już wróciliśmy do Jaskini Bena, napełniłem uszy moich towarzyszy wszelkimi superlatywami, jakie tylko przyszły mi do głowy. Gdy nieco później zapisałem już całą stronę logu BHEV różnymi ochami i achami, Dennis, najwyraźniej zadowolony z mojej reakcji, spytał mnie z uśmiechem:

– Więc podoba ci się ta mała jaskinia, która urosła podczas twojej nieobecności?

– O tak – skinałem głową. – Tym bardziej że wciąż rośnie.

Lucayan Caverns nie urosła już bardziej tego popołudnia, gdyż ze względu na dłuższy pobyt w głębinie musieliśmy poświęcić sporo czasu na dekompresję.

Gene i ja zadowoliliśmy się krótkim nurkowaniem, które i tak okazało się owocne, znaleźliśmy bowiem nowy, krótszy łącznik między Cmentarzyskiem a Jaskinią Bena.

Tego wieczoru odpoczywaliśmy w spokojnym bahamskim pubie, przyjemnie zmęczeni i zadowoleni po dniu pełnym ekscytującego nurkowania.

– Zastanawia mnie jedna rzecz – stwierdziłem w pewnym momencie.

– Co takiego?

– Kiedy schodzimy w warstwę słonej wody, zawsze napotykamy prąd, a woda jest ciepła, jakby dopływała z morza. Wydaje się, że moglibyśmy znaleźć połączenie z morską błękitną dziurą.

Dennis i Gene wymienili spojrzenia.

– Cóż... – zaczął Dennis – kiedy leciałem samolotem nad tym obszarem, i zauważyłem niedaleko morską błękitną dziurę.

Natychmiast usiadłem prosto.

– Możemy się tam dostać?

– Nie. Ta dziura nie jest w oceanie, ale przy wejściu do zatoki Gold Rock. Próbowaliśmy tam kiedyś dopłynąć łodzią, ale namorzyny są zbyt gęste. – Dennis zrobił krótką pauzę. – Wielka szkoda, naprawdę. Gene znalazł po południowej stronie Jaskini Bena tunel, który zmierza w tamtą stronę.

Cieszyłem się już na powrót do nowej płaszczyzny uwarstwienia, którą odkryliśmy tego dnia, a która pomimo moich – szczerze mówiąc niezbyt stanowczych – protestów została nazwana Ogrodem Shecka (Sheck's Garden), to jednak zapowiadało się jeszcze lepiej.

– Może tam zajrzymy?

Kilka minut później ładowaliśmy już sprzęt do BHEV II, przygotowując się do nocnego nurkowania. Gdy znaleźliśmy się w wodzie, Gene poprowadził mnie na południe, wokół skalnego rumowiska w grocie wejściowej Jaskini Bena, aż do wypełnionego słoną wodą korytarza na głębokości 15 metrów. Korytarz odchodził na lewo od łącznika z Cmentarzyskiem, które odkryliśmy poprzedniego dnia, a wypełniająca go woda płynęła z całkiem sporą prędkością w stronę morza. Kiedy wpłynęliśmy w głąb szerokiego na 3 metry korytarza, przepłoszyliśmy wielkie kraby skalne. Choć nie traktowaliśmy ich jako potencjalnej kolacji, ich obecność rozbudziła nasze nadzieje, dowodziła bowiem, że korytarz rzeczywiście może się łączyć z morzem. Kraby nie były przystosowane do życia w jaskini, nie mogły więc być stałymi mieszkańcami tego miejsca.

Wkrótce dostrzeżliśmy stworzenie, które było takim mieszkańcem: rzadki okaz ślepej ryby jaskiniowej o nazwie lucifuga. Blade, niemal przezroczyste stworzenie przypominało mi podobną rybę, którą widziałem w Gulf (Zatoka),

leju krasowym w Missouri. Mierząca kilkadziesiąt centymetrów lucifuga była większa od swoich słodkowodnych kuzynów. Zawahała się, wyczuwając silniejszy ruch wody, po czym odpłynęła z zadziwiającą prędkością, poruszając wdzięcznie płetwami.

Lucifuga zostawiła nas samych w dużej, okrągłej sali, której dno znajdowało się na głębokości niecałych dziewięciu metrów. Prąd sunący ku morzu podnosił kawałki mungu i ograniczał widoczność do kilku metrów, dopiero po chwili mogliśmy więc oszacować rozmiary sali. Okazało się, że ma ponad 18 metrów. Popłynąłem w górę, by poszukać sufitu, zastanawiając się jednocześnie, co stało się z głęboką na 9 metrów warstwą słodkiej wody z Jaskini Bena. Dotarłem do czystej, błękitnej wody na głębokości 4,5 metra. Świadczyło to o tym, że warstwa wodonośna słodkiej wody na wyspie ma kształt soczewki. W miarę, jak zbliżaliśmy się do wybrzeża, warstwa słodkiej wody stawała się coraz cieńsza, aż w końcu całkiem zniknęła. Teraz wiedzieliśmy już z całą pewnością, że zmierzamy we właściwym kierunku.

Odwróciłem się, ogarniając spojrzeniem górną część sali widoczną w czystej wodzie, po czym ponownie dołączyłem do Gene'a, który czekał na mnie w cieplej, mętnej od mungu warstwie. Dalsza droga nie była już taka prosta, jak do tej pory. Pierwsze dwa korytarze, do których wpłynęliśmy, już po kilkuset metrach kończyły się małymi jaskiniami. W końcu popłynęliśmy z prądem do wielkiego korytarza, który, jak wskazywał mój kompas, zmierzał na południe, prosto do błękitnej dziury w Gold Rock.

Po oddaleniu się o 240 metrów od Jaskini Bena skończyła się nam poręczówka, przymocowałem ją więc do małej sterty kamieni po prawej. Gdy zerknąłem w górę, dojrzałem długą, wąską szczelinę w suficie. Gene natychmiast chciał do niej wpłynąć. Szczelina okazała się jednak zbyt wąska i zamulona, popłynęliśmy więc wzdłuż niej. Wkrótce przekonaliśmy się, że jest bardzo długa i biegnie równolegle do trasy naszego powrotu. Dwanaście metrów dalej rozszerzyła się na tyle, że mogliśmy do niej wpłynąć. Dałem Gene'owi znak i przywiązałem moją linę do głównej poręczówki.

Przeciskałem się w górę, w deszczu błota i szlamu strącanego z góry przez pęcherzyki powietrza z mojego automatu. Pokonawszy 3 metry, dotarłem na górę zacisku. Pod sufitem znajdowała się warstwa trawy, którą wciągnęła tu zapewne z wejścia. Byłem zdumiony, bo w pobliżu znanych nam wejść do Lucayan Caverns i Gold Rock nie było żadnej trawy. Sufit znajdował się na głębokości zaledwie trzech metrów, przesuwalem więc wzrokiem po jego powierzchni, płynąc jednocześnie w głąb szczeliny, na prawo. Nagle dojrzałem w warstwie trawy niewielki otwór, w nim zaś znajome lśnienie powierzchni wody. Dzięki światłu latarki mogłem nawet dostrzec zarys ukrytych w ciemności

drzew namorzynowych! Przepłynąwszy przez warstwę traw i korzeni, dotarłem do otworu na powierzchni. Kilka sekund później siedziałem już w maleńkim stawie o szerokości metra, położonym na środku bagna, i patrzyłem prosto na jakieś bahamskie ptaszysko, które na mój widok pewnie omal nie umarło ze strachu.

Biedny Gene! Musiał czekać na dole, w mętnej wodzie, do której wpadły strącone przeze mnie śmieci, i zastanawiać się, czy dotarłem do powierzchni, czy też całkiem oszalałem i wcisnąłem się w zamulony, nieprzebyty zacisk. Świadom jego trudnego położenia szybko wygramoliłem się na błotnisty brzeg, oganiając się jednocześnie od natrętnych komarów. Gdy wreszcie stanąłem na równych nogach, bahamski ptak zaskrzeczał z oburzeniem i odleciał, a kilka chwil później ze stawu wynurzył się Gene.

– Gdzie my jesteście, u diabła? – spytał, mrugając niepewnie.

Dobre pytanie. Mieliliśmy dość powietrza, by wrócić pod wodą do Jaskini Bena, ale to nowe wejście mogło nam się przydać w przyszłości. Problem polegał na tym, jak odnaleźć maleńkie oczko wodne pośrodku bagna pozbawionego punktów orientacyjnych? Zostało nam tylko jedno rozwiązanie: musieliśmy wrócić do cywilizacji przez to właśnie bagno, ciągnąc za sobą ciężkie butle, parujące skafandry i resztę sprzętu oraz rozwijając moją poręczówkę, która wskazałaby nam później drogę do tego miejsca.

Na szczęście nie mogliśmy zawędrować zbyt daleko, gdyż oddaliliśmy się od wejścia tylko na 240 metrów, i to z pewnością nie w linii prostej. Korzystając z nurkowych kompasów, musieliśmy iść na północ, a wcześniej czy później na pewno trafilibyśmy na drogę do Lucaya biegnącą równolegle do wybrzeża. Mimo to oczami wyobraźni widziałem już, jak spędzamy całą noc, błakając się po bagnach i walcząc bezskutecznie z rojami komarów. Na szczęście niezwykle zmysł orientacji Gene'a zawiódł nas prosto do naszej furgonetki. Gene poprowadził nas tak idealnie prostą drogą, że później oskarżyłem go, iż od początku wiedział o istnieniu tego nowego wejścia (które ze względu na jego kształt nazwał „Taco”) i pozwolił mi je odkryć, by sprawić mi przyjemność.

W weekend poprzedzający święto pracy spotkałem się z Gene'em, by kontynuować poszukiwania. Do tego czasu pozostali członkowie zespołu znaleźli w pobliżu Taco kolejne wejście i nazwali je Taco II. Niestety, oba te wejścia były zbyt małe, byśmy mogli zacząć od nich nurkowanie, wystartowaliśmy więc z Jaskini Bena. Po dwudziestu minutach minęliśmy oba wejścia Taco i wpłynęliśmy do miejsca, które Dennis i Jill badali wraz z Glenem Taylorem. Przymocowaliśmy nową poręczówkę i zaczęliśmy się stopniowo wynurzać. Na głębokości trzech metrów dotarliśmy do bardzo dziwnego obszaru o suficie, który wydawał się złożony jedynie z zakrzepłego błota i korzeni

namorzynów. Ślad naszej wędrówki znaczyła smuga płynnego błota, strącanego z sufitu przez pęcherzyki powietrza.

Przepłynęliśmy 30 metrów przez pseudojaskinię z błotnym sufitem, potem kolejnych 100. Skręciwszy w lewo, dojrzałem w oddali przytłumiony, zielony blask. Przyspieszyliśmy tempa, a blask wkrótce przybrał kształt szerokiego na 9 metrów głównego wejścia do Gold Rock. Udało się nam: jako pierwsi na świecie odkryliśmy korytarz łączący lądową, słodkowodną jaskinię z morską błękitną dziurą. Wynurzyliśmy się na moment, by uścisnąć sobie dłonie, po czym popłynęliśmy ponownie w dół, wyruszając w mierzającą 380 metrów drogę powrotną do Jaskini Bena; żaden z nas nie miał ochoty znów przedzierać się przez słone bagna.

Wieczorem zadzwoniliśmy do Dennisa, który wyjechał do Stanów w interesach, by przekazać mu najnowsze wieści. Dennis był niepokojony, że sam nie odkrył wcześniej tego łącznika, zgodził się jednak łaskawie, byśmy jeszcze raz obejrzeliby Ogród Shecka. Wcześniej całą czwórką badali Ogród Gene'a i znaleźli szeroki, podobny do labiryntu obszar, który ostatecznie zataczał wielką pętlę i wracał do głównego tunelu Jaskini Bena, w pobliżu miejsca, gdzie znajdował się koniec mojej pięcioletniej poręczówki. Czy ten nowy obszar miał się okazać równie rozległy?

Gdy tylko Dennis odłożył słuchawkę telefonu, wrzuciliśmy nasz sprzęt do BHEV II i ruszyliśmy w drogę. Zanurzwszy się w chłodnych, przejrzystych wodach Jaskini Bena, przemknęliśmy obok Burial Mound (Kurhan Grobowy), a potem przepłynęliśmy przez Salę Ślubów i Lawinową Aleję, nie zwracając w pośpiechu uwagi na ich niezwykle piękno; chcieliśmy jak najszybciej dotrzeć do końca poręczówki w Ogrodzie Shecka. Wpłynęliśmy w warstwę słonej wody na głębokości 14 metrów, 5 metrów niżej niż w Jaskini Bena, co oznaczało, że przesuwamy się w głąb lądu, a soczewka słodkiej wody jest coraz grubsza. Trzydzieści minut po rozpoczęciu nurkowania dotarliśmy do końca liny na głębokości 18 metrów.

Przed nami rozciągała się rozległa, pozioma płaszczyzna uwarstwienia wysoka na metr. Nie widzieliśmy żadnych ścian, a jedynie gęstwinę tysięcy cienkich stalaktytów. Tylko nieliczne spośród tych kruchych, białych rurek miały więcej niż cal średnicy, ale miejscami było ich tak dużo, że tworzyły nieprzebytą barierę. Nie widzieliśmy nigdzie ścian jaskini, posuwaliśmy się więc na północ, starając się nie uszkodzić żadnej ze skalnych formacji. Sprzyjała nam doskonała widoczność. Najwyraźniej w tej okolicy, gdzie prąd był bardzo słaby, mung wytrącił się całkowicie z wody i osiadł na suficie oraz dnie jaskini. Ciągące się za nami smugi pęcherzyków powietrza zrywały jednak mung z sufitu, zamieniając wodę w brązową breję o zerowej widoczności. Na szczęście

większość mungu osiadała szybko z powrotem i już po dwudziestu minutach wszystko wracało do pierwotnego stanu.

W ciągu pół godziny rozwinęliśmy całą linę z naszych kołowrotek, lecz wciąż nie znaleźliśmy końca jaskini. Oddaliliśmy się o 550 metrów od najbliższego wejścia, wykonując najdłuższe nurkowanie w tej jaskini, lecz najeżona stalaktytami płaszczyna uwarstwienia wciąż rozciągała się jak okiem sięgnąć we wszystkich kierunkach. Przepętniony podziwem uświadomiłem sobie, że w ciągu ostatnich trzydziestu minut widziałem więcej nacieków niż podczas wszystkich moich dotychczasowych nurkowań, włącznie z wizytą w bajecznej jaskini Carlsbad.

Popłynęliśmy przez Cmentarzysko, by ograniczyć czas pobytu na dnie, i dotarliśmy do końca poręczówki w niecałe 40 minut. Kilkaset metrów dalej za gęstym lasem stalaktytów pojawiły się skalne ścianki i tunele, dzięki czemu mogliśmy skorzystać z wyraźniej określonych tras. Wybraliśmy tunel zmierzający na wschód, ten jednak skończył się już 30 metrów dalej. Wróciwszy do punktu wyjścia, wpłynęliśmy do tunelu po prawej, w kierunku północnym. Choć tunel ciągnął się na długości większej niż 30 metrów, na tym właśnie odcinku skończyła się nam lina i musieliśmy zawrócić.

Zauważyłem, że w pobliżu końca poręczówki sufit przybiera kształt niewielkiej kopuły, pod którą pobłyskuje błękitna słodka woda. Gdyby udało nam się przedrzeć nieco dalej w głąb wyspy Grand Bahama (Wielka Bahama), przekonalibyśmy się z pewnością, że warstwa słonej wody leży niżej niż na głębokości 14 metrów, którą zmierzaliśmy przy wejściu do Ogrodu Shecka. Spojrzałem na głębokościomierz, sprawdzając poziom halokliny: 15,5 metra.

W drodze powrotnej próbowałem opisać zbadany przez nas teren, by potem nanieść odpowiednie poprawki na mapę Dennisa. Robiłem to za pomocą techniki, którą opracowałem i przedstawiłem w książce „Sporządzanie map podwodnych jaskiń” (napisałem ją wraz z Bobem Friedmanem w 1973 roku). Zwykle procedura ta obejmuje nanoszenie danych i opisów wszystkich bocznych korytarzy na wodoodporną płytkę. Pokonawszy jednak zaledwie kilkaset metrów, poddałem się, gdyż moja płytka była już do połowy wypełniona notatkami. Wszędzie wokół pośród stalaktytów otwierały się nowe, obiecujące korytarze. Czy ta jaskinia nie miała końca?

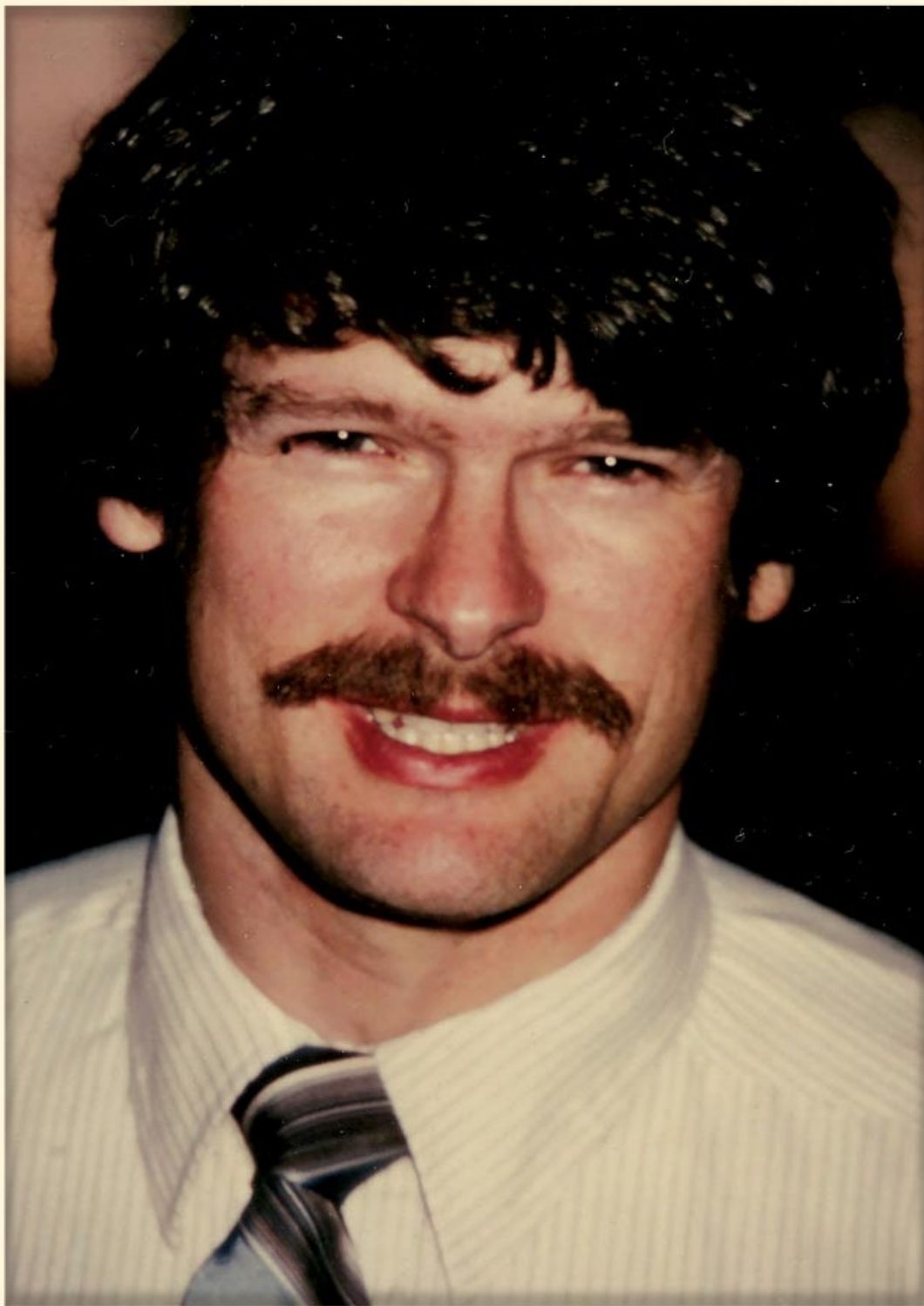
Ponad pięć lat później wciąż nie znaleziono końca jaskini. Nie odkryto wprawdzie nowych wejść, ale Dennis i Gene zawędrowali 487 metrów dalej od miejsca, w którym kończyła się nasza poręczówka. Odkryli, że boczne korytarze – zbyt liczne, by je opisać – łączą się ze sobą na głębokości 18 metrów, tworząc nieprawdopodobny labirynt. Obaj nurkowie twierdzą, że „cała ta cholerna wyspa

jest pusta w środku”. Odkrycie podobnego systemu jaskiń, dokonane w 1979 roku przez Dennisa, Paula DeLoacha i mnie w Owl Cave (Jaskinia Sowa), kilka kilometrów dalej, potwierdza tę tezę.

Łączna długość Lucayan Caverns w 1981 roku przekroczyła 6 kilometrów, czyli tyle, ile mierzył system jaskiń Peacock Spring (Pawie Źródło) na Florydzie, gdzie na początku lat 70. prowadziłem prace badawcze. Tym samym labirynt z Bahamów stał się najdłuższą na świecie znaną jaskinią podwodną. Od tego czasu długość korytarzy odkrytych w Lucayan Caverns, która obecnie jest parkiem narodowym, przekroczyła łącznie 9140 metrów.

Największym bogactwem Lucayan Caverns może okazać się biologia. W roku 1980 Dennis i Jill znaleźli tam maleńkie zwierzę przypominające pływającą stonogę. Odkrycie nowego gatunku odbiło się szerokim echem w świecie biospeleologii. Badając tego ślepego, białego skorupiaka, Jill przekonała się, że jest on przedstawicielem nie tylko nowego gatunku, ale także zupełnie nowego rodzaju, rodziny, rzędu i klasy! Tę nową klasę nazwała *Remipedia*, stworzenie zaś *speleonectes* (pływak jaskiniowy).

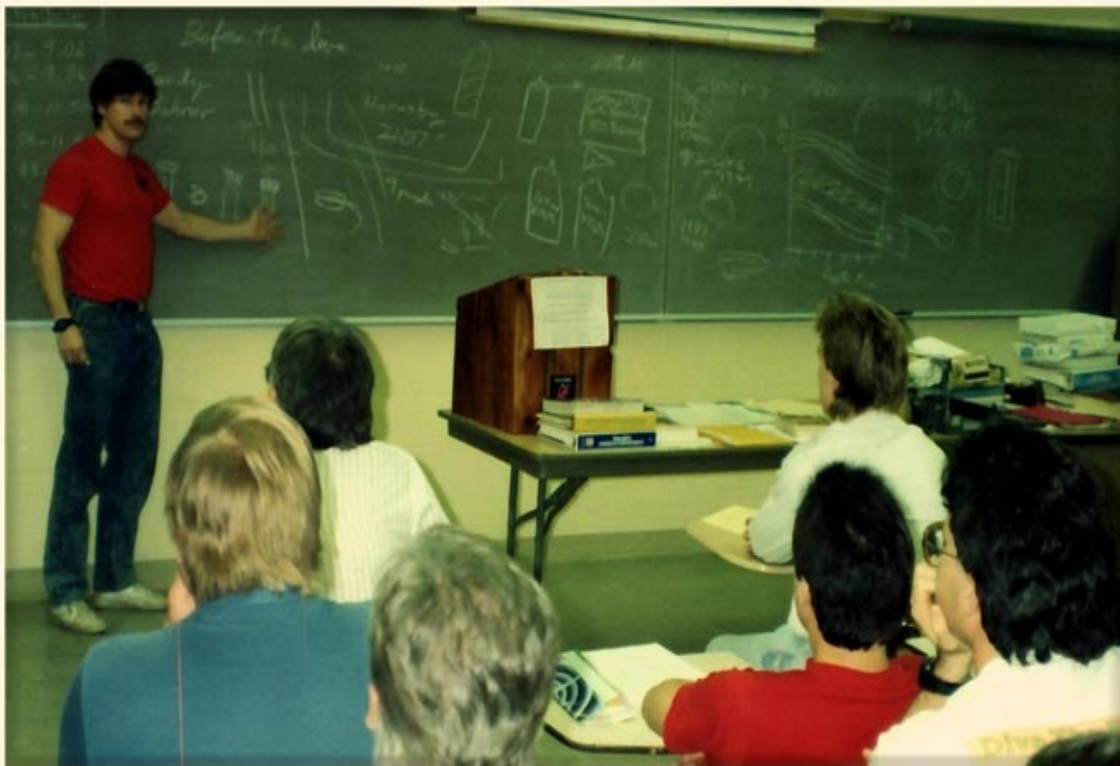
Kto wie, może Wielka Bahama rzeczywiście jest pusta w środku, a liczba *speleonectes* przekracza liczbę żyjących na wyspie ludzi?



Sheck Exley



Zestaw 3-butłowy z końca lat 70.



Sheck na kursie OWD

ROZDZIAŁ 8

Błękitne dziury na świecie

W

ygłądał jak dinozaur, który powinien był wyginąć wiele milionów lat temu. A jednak tkwił tam, obdarzony muskularnym ogonem, który mógł złamać człowiekowi nogę, ostrymi pazurami, które mogły go wypatroszyć, oraz potężnymi szczękami, pełnymi kłów, które mogły zmiażdżyć ludzką czaszkę niczym skorupkę jaja. Aligator mierzący dwa i pół metra gapił się na nas bezczelnie, niezagrożony w swej pozycji właściciela leja krasowego o średnicy 24 metrów.

– I co my teraz zrobimy, do diabła? – spytał Lewis Holtzendorff, przeciągając nerwowo dłoń po blond czuprynie. Tego roku na Florydzie aligatory już siedmiokrotnie atakowały ludzi, zabijając kilku z nich.

Spojrzałem na aligatora, potem na piękną, błękitną wodę i znów na aligatora.

– Cóż, w sumie w wodzie będzie czterech nurków... – zacząłem.

– Tak, ale „czterech na jednego” nie znaczy zbyt wiele, kiedy ten jeden to ćwierćtonowy, wygłodniały gad!

– Więc spójrz na to z innej strony – tłumaczyłem cierpliwie. – Aligator nie może zjeść nas wszystkich naraz, więc prawdopodobieństwo, że wybierze właśnie ciebie, wynosi tylko 25 procent.

Właściwie prawdopodobieństwo to było nawet mniejsze, gdyż w odróżnieniu od pozostałej trójki nasz przewodnik, Bill Bond, nie miał na sobie skafandra, aligator więc najpewniej wybrałby na przekąskę właśnie jego. Ponadto ataków dopuszczały się zwykle tylko te aligatory, które były dokarmiane przez ludzi i przestały się ich bać. Czy ktoś odważyłby się dokarmiać takiego potwora?

Podczas gdy ja sprzeczałem się z Lewisem, Court Smith w milczeniu wypakowywał nasz sprzęt z furgonetki. Ten potężnie zbudowany blondyn z Georgii był wciąż dość młody, by wierzyć we własną nieśmiertelność, i nie zamierzał pozwolić, by przerośnięty wodny jaszczur popsuł mu nurkowanie w pięknym, dziewiczym leju. W końcu Court wyprostował się i rzucił w naszą stronę:

– Będziecie tam stać przez cały dzień?

Brzegi leja krasowego Knight's Sink były porośnięte gęstą, tropikalną roślinnością, a jedyne wejście do wody prowadziło w dół wąskiego, piaszczystego jaru. Dotarłszy na skraj jaru, przystanęliśmy na moment, by odgarnąć na bok małe, białe przedmioty przypominające gąbczaste piłeczki pingpongowe. Kiedy już znalazłem się na głębokości trzech metrów, odetchnąłem z ulgą, gdyż aligatorowate nie tolerują ciśnienia na większych głębokościach. Ściany leja opadały stromo ze wszystkich stron, tworząc

ogromną salę w kształcie dzbana. Na dnie leżała olbrzymia hałda szlamu i białego piasku, a jej szczyt, znajdujący się na głębokości 18 metrów, pokrywały olbrzymie pnie drzew. Południowo-wschodnie i północno-zachodnie zbocza hałdy opadały w błękitną otchłań. Na południowym wschodzie ciągnęły się mroczne wody pobliskiego Lake Tarpon Sink (leja krasowego przy jeziorze Tarpon), popłynęliśmy więc na północny zachód.

Na głębokości trzydziestu metrów w blasku mojej latarki ukazało się coś, co wyglądało na idealnie płaskie, czarne dno. Kiedy podpłynęliśmy bliżej, stwierdziliśmy, że nie jest to dno, lecz bardzo grube złożę trującej substancji chemicznej, siarkowodoru. Wiedziałem, że substancja ta gromadzi się na powierzchni warstwy słonej wody. Przystanąłem, by przyjrzeć się moim towarzyszom, którzy w świetle przefiltrowanym przez to dziwne medium wyglądali jak żółtawe, rozmazane upiory. Potem jednak przypomniałem sobie, że siarkowódór wchłaniany przez pory skóry zabił już co najmniej jednego nurka, ruszyłem więc ponownie w dół.

Na głębokości 60 metrów przedarliśmy się wreszcie przez warstwę siarkowodoru i wpłynęliśmy do krystalicznie czystej słonej wody. Przed nami ciągnął się wielki, poziomy korytarz szeroki na 18 metrów. Jego dno znajdowało się na głębokości 64 metrów, sufit przesłaniała warstwa siarkowodoru. Rozciągnąłem kolejnych 60 metrów poręczówki i zawróciłem. Dopiero wtedy zauważyłem, że Bill trzęsie się z zimna w wodzie o temperaturze 23 stopni Celsjusza.

Żaden z nas nie chciał poddawać się dekompresji w towarzystwie aligatora, dlatego przystanek zaplanowany na trzech metrach znajdował się tym razem wyjątkowo głęboko. Był też wyjątkowo długi. Ustawieni plecami do siebie, niczym ostatni żołnierze Custer, czekaliśmy niecierpliwie, aż któryś z nas okaże się mniej tchórzliwy i jako pierwszy ruszy w stronę powierzchni, królestwa aligatora. Bill pozbawiony ochrony skafandra musiał w końcu wybierać między wyziębieniem a spotkaniem z żarłocznym gadem. Gdy tylko popłynął w górę, wszyscy rozpierzchliśmy się pospiesznie w innych kierunkach, by aligator przypadkiem się nie pomylił...

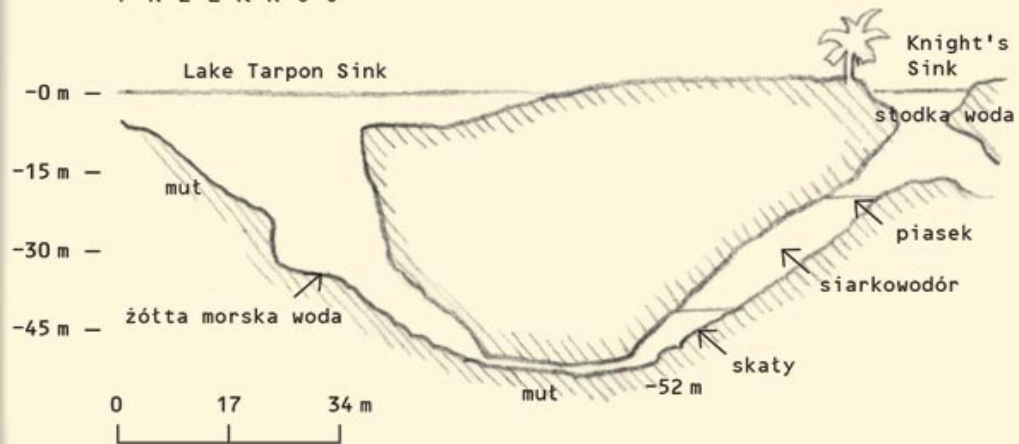
Chwilę później staliśmy wszyscy, cali i zdrowi, w płytkiej wodzie obok piaszczystego jaru i gawędziliśmy z dwiema starszymi paniami, które obserwowały nas, gdy zanurzaliśmy się w stawie. Nigdzie w pobliżu nie było widać aligatora.

– Martwiłyśmy się o was, chłopcy – mówiła jedna ze starszych pań. – Gdy tylko wpłynęliście pod wodę, nasz aligator też zniknął.

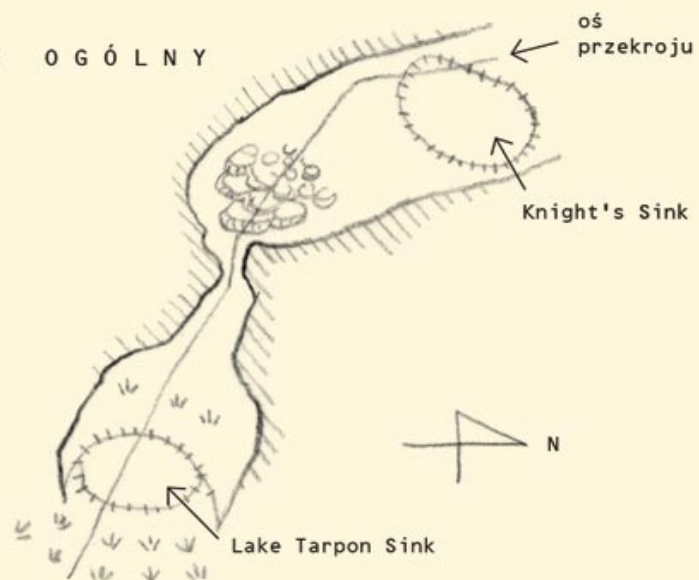
Szybko przenieśliśmy się bliżej brzegu. Jedna ze staruszek trzymała w dłoni torebkę z tymi dziwnymi kulkami, które widzieliśmy w wodzie przed

rozpoczęciem nurkowania.

PRZEKRÓJ



WIDOK OGÓLNY



LAKE TARPON SINK CAVE FLORYDA, USA

Zbadana przez zespół w składzie: Will Walters, Roger Miller, Sheck Exley.

– Co to jest, proszę pani?

Staruszka roześmiała się.

– Ach, to zwykłe pianki żelowe. Zawsze o tej porze karmimy nimi Olliego.

Tym razem wszyscy błyskawicznie znaleźliśmy się na brzegu.

Ponad rok wcześniej odwiedziliśmy Tarpon Springs, uroczą grecką osadę, a zarazem ośrodek poławiania gąbek na Florydzie. Niecałe 3 kilometry od Knight's Sink, pośrodku miasteczka znajduje się park obejmujący Spring Bayou (źródłisko Bayou). Co roku grecki Kościół prawosławny uroczyście świętuje tam dzień Objawienia Pańskiego (Trzech Króli). W kulminacyjnym momencie uroczystości pop wrzuca do stawu ciężki złoty krzyż, a setki młodych chłopców skaczą za nim do wody. Ten, który znajdzie krzyż, zostaje kolejnym morskim nurkiem głębinowym.

Jest tylko jeden problem. Złoto jest bardzo ciężkie, a obdarzony dużą siłą kapłan mógłby przypadkiem wrzucić bezcenny krzyż do głębokiego wlotu źródłiska Tarpon Springs, zbyt głęboko, by mógł go odzyskać jakikolwiek nurek bezdechowy na świecie. W końcu doszło do takiego właśnie wypadku, dlatego też obecnie używa się znacznie tańszej pozłacanej wersji. Szczerozłoty krzyż do tej pory nie został odnaleziony, spoczywa więc nadal pod liczącą kilka metrów grubości warstwą mułu na dnie źródłiska.

Kiedy przybyliśmy tam w kwietniu 1973 roku, okazało się, że wiosną nikt jeszcze nie nurkował w tej jaskini. Rzeka Anclote, spływająca z bagien położonych w głębi lądu, wypełnia Spring Bayou paskudną, czarną wodą. Ponieważ woda, która wypływała od czasu do czasu ze źródłiska, pochodziła podobno z pobliskiego, równie czarnego jeziora Tarpon, nie mieliśmy powodów, by sądzić, że w jaskini jest bardziej przejrzyste. Wiedzieliśmy też, że w odstępach od siedmiu do dwudziestu pięciu dni prąd wody zmieniał kierunek, co oznaczało, że raz woda przelewała się z jeziora do źródłiska, a raz słona woda ze źródłiska wpływała do jeziora. W tym drugim przypadku nagły wzrost zasolenia wody zabijał ryby w jeziorze, które zaścielały jego powierzchnię warstwą śmierdzącej, gnijącej padliny.

Z tego właśnie względu amerykańskie służby geologiczne kupiły lej krasowy obok jeziora Tarpon, by po przeprowadzeniu odpowiednich prac inżynierskich zmienić układ tych naczyń połączonych. Pod koniec lat 60. wzniesiono groblę, oddzielającą jezioro od leja, wraz z tamą, która zapobiegała przepełnianiu się jeziora wodą przy obfitych opadach deszczu. Projekt ten był na tyle skuteczny, że tajemniczy, kilkunastodniowy cykl – którego przyczyn wciąż nie zrozumiano do końca – całkowicie ustał.

Stałem oparty o pień palmy w parku i wpatrywałem się w atramentowe wody źródłiska, próbując przeniknąć jego tajemnice. Wiedziałem, że w okresach, gdy

zalewało jezioro Tarpon, wyrzucało z siebie aż 3 800 000 metrów sześciennych wody dziennie, więcej niż jakiekolwiek inne źródło na półkuli zachodniej, w jego głębi musiała się więc kryć spora jaskinia. Grobla wzniesiona przez USGS (Amerykańskie Służby Geologiczne) skutecznie rozdzielała oba zbiorniki na powierzchni, być może jednak nadal istniały między nimi jakieś podziemne połączenia, co oznaczałoby, że pod mętną powierzchnią znajduje się warstwa wody o przyzwoitej widoczności. Na zbadanie jaskini potrzebowałem widoczności rzędu zaledwie trzech metrów.

Towarzyszyli mi moi ulubieni partnerzy nurkowi z początku lat 70., Court, Lewis i Dana Turner, małomówny, spokojny student geologii z uniwersytetu Florydy, który, podobnie jak Lewis, był dyrektorem i działaczem NACD oraz członkiem NSS CDS. Court wskazał na odpływ ścieków w pobliżu mojej stopy, z którego do stawu wlewały się jakieś nieopisane paskudztwa. Lewis był pewien, że nawet jeśli kiedykolwiek istniały tu wejścia do jaskini, teraz były pokryte warstwą piasku. W końcu Dan zgodził się towarzyszyć mi podczas nurkowania rozpoznawczego.

Po kilku minutach poszukiwań, prowadzonych po omacku w czarnej wodzie stawu, znaleźliśmy skalną krawędź krateru schodzącego do źródła. Z powodu ograniczonej widoczności przesuwaliśmy się dość powoli, a ja co najmniej kilkakrotnie zadawałem sobie pytanie, co właściwie robię w tym miejscu. Stopniowo jednak widoczność się poprawiała. Po pewnym czasie widziałem już latarkę Dana, a potem jego samego. Zaczęliśmy opuszczać się nieco szybciej.

Nim dotarliśmy do dna krateru, widoczność zwiększyła się do 12 metrów, a naszym oczom ukazało się wejście do wielkiej, poziomej jaskini. Wpłynęliśmy do środka i przekonaliśmy się, że dno jaskini opada stopniowo do głębokości 51 metrów. W dnie otwierały się trzy wąskie szczeliny, wsunęliśmy się więc do największej z nich. Na głębokości 64 metrów zacisk zamieniał się w duży, poziomy korytarz, który skręcał w lewo i znikał nam z oczu. Dan uśmiechnął się szeroko i pokazał mi sygnał „OK”. Aby podczas kolejnego zejścia nie szukać ponownie drogi w mrocznych wodach powierzchniowych, umocowałem poręczówkę i zostawiłem kołowrotek. Potem wróciliśmy na górę.

– Jest!

Lewis był rozczarowany, że przegapił szansę i nie wpłynął jako pierwszy do dużej jaskini, dołączył jednak do nas podczas krótkiego nurkowania, które wykonaliśmy jeszcze, zanim prąd zrobił się zbyt silny. Poczekaliśmy do odpływu, by nie zмагаć się z prądem i ciemnymi wodami przy powierzchni. Podczas tego nurkowania popłynąłem wraz Courtem na odległość 106 metrów w głąb szerokiego na 18 metrów i wysokiego na 3 metry korytarza, położonego na głębokości 64 metrów. Podczas wynurzenia wspomagał nas lekki prąd odpływu,

co świadczyło o tym, że Tarpon Springs ma cechy typowe dla błękitnej dziury.

Court, Lewis i ja wróciliśmy 12 maja z butlami o pojemności 2800 litrów, by wypłynąć poza 150 metrów od wejścia, które osiągnęliśmy podczas trzeciego nurkowania. Tym razem poczekaliśmy na wyjątkowo niski odpływ, by w jak największym stopniu wykorzystać prąd, który zapewniał lepszą widoczność. Wypływająca woda tworzyła wyraźną plamę na powierzchni, a tuż pod nią widoczność była zaskakująco dobra. Przy wejściu do jaskini, na głębokości 40 metrów, wystraszyliśmy olbrzymią płaszczkę ukrytą w błocie. Rzuciła się do ucieczki, wzbijając płetwami chmurę szlamu, jakby oburzona naszym najściem.

Przeplłynąwszy 167 metrów, dotarliśmy do końca naszej starej poręczówki. Przymocowałem nową linę i ruszyłem w głąb korytarza położonego na głębokości 64 metrów. Dojrzałem stertę głazów ciągnącą się przez całą szerokość korytarza i podpłynąłem bliżej, w stronę czegoś, co wyglądało jak płaski, całkiem czarny sufit. Kiedy wsunąłem w niego rękę, zrozumiałem, że to bardzo gęsta warstwa siarkowodoru. Posuwaliśmy się przez tę warstwę bardzo powoli, gdyż widoczność ograniczona była zaledwie do metra. Na głębokości 52 metrów dotarliśmy do szczytu sterty kamieni, a potem popłynęliśmy w dół korytarzem różniącym się od tego, którym się tu dostaliśmy. Wymiary wprawdzie nie uległy większej zmianie – 18 metrów szerokości, 3 metry wysokości – ale nie było tu żadnego prądu. Sufit krył się pod warstwą czarnego jak węgiel siarkowodoru, a położona niżej słona woda wysoka na półtora metra była krystalicznie czysta. Promienie potężnych lamp kwarcowych przecinały ją jak nóż, sięgając na 30 metrów w głąb korytarza oraz oświetlając dno i ściany pokryte pofałdowaną warstwą ciemnego mungu, przypominającego czarny atłas. Tunel leżał na głębokości 64 metrów, dotarliśmy więc do zaplanowanego wcześniej punktu powrotu po pokonaniu 122 metrów.

Will Walters, Roger Miller i ja wykonaliśmy pierwsze nurkowanie w Lake Tarpon Sink (leju krasowym przy jeziorze Tarpon) w 1977 roku. Dziwnym trafem aligator Ollie przeniósł się niedawno do tego właśnie miejsca. Gnani strachem przed wspólną dekompresją z Olliem w mrocznych wodach leja płynęliśmy w głąb niewielkiego korytarza na głębokości 52 metrów, aż dotarliśmy do południowo-wschodniej części Knight's Sink. Później wraz z Paulem DeLoachem dołożyliśmy do tego jeszcze 305 metrów poręczówki w szerokim na 18 metrów północno-zachodnim tunelu Knight's Sink, odkrywając po drodze wielką jaskinię ze słodką wodą. Północno-zachodni tunel Knight's Sink jest lustrzanym odbiciem atłasowego korytarza, który znaleźliśmy z Courtem w Tarpon Springs. Przeplłynięcie ich obu za jednym razem byłoby trudnym zadaniem, wymagającym trzygodzinnego pobytu w trującym siarkowodorze, piętnastu godzin dekompresji i ogromnej ilości powietrza.

Ale można tego dokonać. Kto wie, może przy okazji ktoś znajdzie złoty krzyż?

Jeśli nurek jaskiniowy chce szukać złota, to nie ma dla niego lepszego miejsca na świecie niż leje krasowe używane do składania ofiar, czyli cenoty, na półwyspie Yucatan. Cortés i Pizarro zrabowali bezcenne skarby Indianom z cywilizacji Inków i Azteków, jednak u Majów znaleźli tylko garść drogocennych przedmiotów. Cywilizacja Majów była starsza niż społeczności Inków oraz Azteków i położona między nimi, wydawało się więc dziwne, że pozostawiła po sobie tak nieliczne skarby. Później nurkowie wpłynęli do cenotu Sacred Well (Święta Studnia) w Chichen Itza na Yucatanie. W zaledwie dwunastu metrach otwartej wody znaleźli setki bezcennych prekolumbijskich artefaktów, a także jadeity, szmaragdy i złoto. Podobne odkrycie miało miejsce w innym cenocie, w pobliskim Dzibilchaltun. Czyżby Majowie mieli ogromne skarby, które woleli raczej wrzucić do licznych yucatańskich cenotów niż oddać w ręce Hiszpanów?

W czasach prekolumbijskich większość handlu była prowadzona wzdłuż urwistego wybrzeża Yucatanu. Bezpośredni dostęp do morza był możliwy tylko w nielicznych miejscach, gdzie krótkie, zasilane ze źródeł rzeki zwane „caleta” tworzyły bezpieczne zatoki. Jedna z tych calet, Xcaret, znajduje się w niewielkiej odległości na wschód od Chichen Itza, w drodze do świętej wyspy Cozumel, miejsca pielgrzymek Majów. W 1979 roku wraz z Nedem DeLoachem i Karan Pribble¹³ dołączyliśmy do grupy nurków, którzy wypłynęli łodzią z Cozumel, by dostać się do Xcaret. Kiedy sunęliśmy przez upstrzone płamami piany turkusowe fale, zobaczyłem caletę taką, jaką tysiąc lat wcześniej widzieli ją pielgrzymi. Z głębokiej szczeliny w poszarpanym, skalnym wybrzeżu wylewał się do morza strumień czystej, błękitnej wody. Caleta kończyła się 90 metrów dalej płytkim stawem, leżącym u podnóża niskiego wapiennego urwiska. Na szczycie urwiska znajdowały się ruiny miasta Majów, przysadziste kamienne budynki i mury pokryte gęstwiną kwitnących roślin i pnączy środkowoamerykańskiej dżungli. Rozładowywanie łodzi uprzyjemniała nam rześka morska bryza wypełniona kwiatnym zapachem, a z drzew skrzeczały na nas jaskrawo ubarwione papugi.

Otwór w dnie stawu calety był zbyt mały, by zmieścić się w nim nurek ze sprzętem, przeszliśmy więc 30 metrów przez dżunglę, do szerokiego, cieniściego otworu w urwisku. Kilka metrów za wejściem do otworu znajdował się głęboki staw o średnicy 9 metrów, wypełniony przejrzystą wodą. Towarzyszący nam płet-wonurkowie badali staw, my zaś szukaliśmy przejścia odkrytego wcześniej przez grupę francuskich nurków, łączącego się z odległym o 90 metrów cenotem.

Przypuszczałem, że Xcaret będzie przypominało Tarpon Springs, błękitną

dziurę o zmiennych prądach, podobną do bahamskich dziur. Podczas przypływu mętna woda płynęła wprawdzie znacznie wolniej, lecz nie zmieniała kierunku. Po drugiej stronie podziemnego stawu znaleźliśmy żółtą taśmę pozostawioną przez Francuzów. Wpłynęliśmy za nią do wielkiego korytarza o szerokości ośmiu i wysokości czterech metrów. Szarawe ściany były upstrzone licznymi otworami i pokryte warstwą drobnego, białego szlamu. Pęcherzyki powietrza z naszych auto-matów strącały szlam z sufitu i pogarszały świetną widoczność. Na głębokości 4,5 metra drobiny szlamu zatrzymywały się na moment na halolinie oddzielającej chłodną słonawą wodę od położonej poniżej, cieplejszej wody morskiej. Dno korytarza znajdowało się na głębokości zaledwie 8 metrów.

Dotarliśmy do cenotu, przepłynąwszy 111 metrów. Wynurzenie było utrudnione, gdyż gęsta roślinność, porastająca brzegi, kładła się na powierzchni wody niczym żywy dywan. Zwisające luźno pnącza przypominały kajsaki (węże), które widziałem kiedyś podczas nurkowania jaskiniowego w północnym Meksyku. Szybko zanurzyliśmy się z powrotem, by sprawdzić, dokąd prowadzi podwodny korytarz. Wkrótce natknęliśmy się na skalne rumowisko blokujące dalszą drogę, cofnęliśmy się więc o 30 metrów, do niskiego, bocznego przejścia po prawej. Płynęliśmy tym tunelem przez kilkaset metrów, aż zrobił się tak wąski, że musieliśmy zawrócić.

Pokonaliśmy niecałe 30 metrów, kiedy zobaczyliśmy grupę pięciu płetwonurków, którzy płynęli wzdłuż naszej poręczówki, choć zapewniali nas wcześniej, że nie będą zapuszczać się do podwodnej jaskini. Ich płetwy poruszały się w pobliżu dna i wzbijały wielkie obłoki mułu. Woda za nimi wyglądała niczym lawina płynnego błota pędząca w naszą stronę. Nie mogli o tym wiedzieć, ale w moich oczach wyglądali jak pięć trupów.

Ned twierdzi, że choć przebywał pod wodą i to w sporej odległości ode mnie, słyszał wyraźnie, jak wrzasnąłem w stronę piątki intruzów:

– Wynoście się stąd, do diabła!

Na szczęście jakimś cudownym zbiegiem okoliczności wszyscy obejrzel się nagle za siebie i chwycili się poręczówki, dzięki czemu mogliśmy bezpiecznie wyprowadzić ich na zewnątrz. W drodze podwodnej przywódca całej piątki, znany instruktor nurkowania z Teksasu, starannie unikał mojego wzroku. I bardzo dobrze, bo ja znów zmagalem się z mdłościami.

Chcąc uniknąć sensacji związanych z chorobą morską, przenieśliśmy naszą bazę na półwysep Jukatan, gdzie odszukaliśmy właściciela Xcaret, Felipe Delgado. Felipe był również właścicielem najlepszej restauracji w okolicy, w której mogliśmy rozkoszować się znalezionymi przez niego owocami morza oraz innymi specjałami w ostrym sosie achiote. Lubię myśleć o sobie jako o smakoszu, próbowałem więc wszystkich potraw. Jedna z nich w smaku

przypominała do złudzenia wieprzowinę, spytałem więc Felipe, co to było.

– Nazywamy to *tepesquintle* – odparł rozpromieniony.

Wziąłem do ust kolejny kęs pysznego mięsa.

– Jak to będzie po angielsku?

Felipe zmarszczył brwi, szukając w myślach właściwego słowa.

– Jak to się mówi... gryzoń?

Przełknąłem ciężko i dyskretnie odsunąłem od siebie talerz z niedokończonym daniem. Potem pociągnąłem pośpiesznie kilka łyków meksykańskiego piwa i zmieniłem temat:

– Są tu w pobliżu jeszcze jakieś inne cenoty? – spytałem chrapliwie, nie zwracając uwagi na Neda, który z trudem zachowywał powagę.

– Owszem, jest jeden – odrzekł Felipe.

Ned pochylił się do przodu. Już jako nastolatek jeździł regularnie do Meksyku, by robić tu zdjęcia do różnych artykułów nurkowych.

– Chakalal?

– Nie, na północ od Chakalal. Mówią o tym Nonec, ale ja nazywam to Raj – dodał z uśmiechem.

Nazajutrz Felipe zabrał nas łodzią do odległej jaskini. Nie było tu żadnej calety, przycumowaliśmy więc niedaleko wybrzeża i przenieśliśmy cały sprzęt przez spienione fale bijące o brzeg. Cieszyłem się w duchu, że był to dość spokojny dzień. Przeszliśmy 90 metrów piaszczystą ścieżką porośniętą szerokolistną kokolobą i kolczastymi opuncjami figowymi, zdobionymi tu i ówdzie pąkami pachnących kwiatów. Po chwili z przodu ukazał się cenot w kształcie litery L, wypełniony jasnoniebieską wodą, która iskrzyła się w blasku tropikalnego słońca.

Najpierw zanurkowaliśmy w górnej części cenotu, na szczycie litery L, gdzie prosto do wody opadała pionowa wapienna ściana wysoka na około trzech metrów. Pod tą skalną półką, w otworze jaskini mierzącym niemal 12 metrów szerokości, harcowały barwne skalary. Przymocowałem poręczówkę, potem jednak zrozumiałem, że nie jest to wcale konieczne; wszyscy widzieliśmy wyraźnie blask słońca spływający z innego cenotu w oddali. Ponieważ już przywiązałem linę, zmierzyłem za jej pomocą odległość od drugiego cenotu: 115 metrów, największy dystans, z jakiego kiedykolwiek widziałem światło w podziemnej jaskini.

Wynurzyliśmy się w drugim cenocie i weszliśmy na skalne rumowisko zadowoleni, że korzystamy z pojedynczych butli. Korytarz ciągnął się dalej w tym samym kierunku, zachowując również te same rozmiary: 9 metrów szerokości i 3 metry wysokości, z dnem na głębokości 8 metrów. Oddaliwszy się o 320 metrów od drugiego cenotu, doszliśmy do wniosku, że widzieliśmy już

wystarczająco dużo, jak na jeden dzień. Kiedy odwiązywałem poręczówkę, w pobliżu unosił się wielki biały obunóg jaskiniowy¹⁴.

Po powrocie do cenotu w kształcie litery L wykorzystaliśmy resztkę liny do badania drugiego krańca. Prąd w słonej wodzie przybrał na sile, marszcząc powierzchnię halokliny, od której odbijały się światła naszych latarek. Byłem zachwycony tym widokiem, słyszałem jednak, jak Ned stęka z irytacją, próbując wykonać zdjęcie, na którym obraz nie byłby zniekształcony przez ruchomą powierzchnię halokliny. Podziemna trasa, wiodąca przez szereg małych cenotów rozdzielonych naturalnymi mostkami o długości od 12 do 18 metrów, zaprowadziła nas bliżej morza. Lina skończyła mi się w cenocie przypominającym szczelinę, gdzie rozstawione w równych odstępach korzenie drzew zwieszały się nad wodą niczym więzienne kraty. Wydostawszy się na powierzchnię, przeszliśmy przez las, kierując się moimi notatkami. Dotarliśmy do maleńkiej błękitnej dziury przy brzegu, gdzie fale co jakiś czas wyrzucały w górę wysoki na 6 metrów gejzer spienionej wody.

Do końca wyprawy zajmowaliśmy się badaniem korytarzy Xcaret. Do końca tygodnia odkryliśmy tunele o łącznej długości 1067 metrów, co czyniło z Xcaret największą jaskinię podwodną w Meksyku. Niestety, nie znaleźliśmy ani uncji złota.

Można powiedzieć, że jeśli chodzi o błękitne dziury, to Bermudy są dość dziwnymi wyspami. W odróżnieniu od Florydy, Jukatany i Bahamów, położonych na warstwie wapienia o grubości kilku tysięcy metrów, na Bermudach już na głębokości od 24 do 30 metrów pod powierzchnią wody leży nierozpuszczalna skała wulkaniczna. Należałoby się spodziewać, że tak cienka warstwa nie kryje w sobie wielu tajemnic. W rzeczywistości jednak Bermudy pełne są jaskiń. Doktor Tom Iliffe uważa, że na jednym akrze (cztery tysiące metrów kwadratowych) kwadratowym kryje się tu więcej jaskiń niż w jakimkolwiek innym miejscu na Ziemi.

Ze względu na bliskość oceanu wiele jaskiń Bermudów jest wypełnionych przynajmniej w części wodą. Pracując w Bermudzkiej Stacji Biologicznej (Bermuda Biological Station), Tom rozpoczął systematyczne ich badania, które wkrótce zamieniły się w duży projekt NSS. Wkrótce powstało Stowarzyszenie Bermudzkich Nurków Jaskiniowych (Bermuda Cave Divers Association, BCDA) założone przez Toma, Roba Powera, Paula Hobbsa, Paula Menga i Barry'ego Warnera. Do udziału w pracach BCDA zostałem zaproszony marcu 1981 roku.

Dwie godziny po wyjściu z samolotu Paul, Rob i Barry zabrali mnie do rozległego systemu jaskiń Green Bay Cave System, który ciągnie się pod całą wyspą. Podwodne korytarze Green Bay liczące ponad półtora kilometra długości

były uważane za najdłuższą jaskinię świata aż do następnego roku, kiedy to przedsięwzięliśmy wyprawę na Belize.

Rozpalone, czerwone słońce zanurzało się w cieśninie Harrington, kiedy wpływaliśmy do głównego wejścia jaskini. Jest to klasyczna, typowa dla Bahamów błękitna dziura szeroka na 12 i głęboka na 3 metrów, przystrojona wszelkiego rodzaju barwnymi gąbkami i koralami. Podobnie jak błękitne dziury z Bahamów podlega także pływom, a ja z przerażeniem spostrzegłem, że nurkujemy z *przyptywem*, co na Andros lub Grand Bahama (Wielka Bahama) równałoby się samobójstwu. Wskazałem na pędzącą do jaskini wodę, lecz Rob pokręcił tylko głową i uśmiechnął się, nie przerywając nurkowania.

Paul wprowadził mnie 60 metrów od wejścia do bocznego korytarza, podczas gdy pozostali płynęli z prądem. Trzydzieści metrów dalej korytarz otwierał się na dużą jaskinię o szerokości 18 metrów i długości 30 metrów, z której odchodziły kolejne trzy duże tunele. Trzymając się przymocowanej na stałe poręczówki, Paul wpłynął do środkowego tunelu i już po chwili wynurzyliśmy się w Cliff Pool, jedynym – poza głównym otworem – znanym wyjściu z Green Cave. Podobnie jak wiele wejść do jaskiń na Bermudach Cliff Pool znajdowało się w czymś ogrodzie. Kiedy staliśmy w płytkiej wodzie, gawędząc o różnych rzeczach, chmura pęcherzyków powietrza zapowiedziała przybycie Roba i Barry’ego, którzy dotarli do nas inną drogą.

Wypłynięcie z Green Bay nie było wcale trudne, jak się obawiałem. Prądy na Bermudach nie są tak silne jak w błękitnych dziurach na Bahamach, mogłem więc wypłynąć na zewnątrz, przytrzymując się skał. Jedna z nich poruszyła się pod moim dotykiem: wystraszona różowa ośmiornica uciekła przede mną.

Podczas kolejnego nurkowania Rob i Barry zabrali mnie dalej, do korytarza North Shore, przestronnej sali o szerokości 15 metrów, wysokości wahającej się od 3 do 6 metrów i długości ponad 300 metrów. Tutaj spotkało mnie miłe zaskoczenie, okazało się bowiem, że w odróżnieniu od bahamskich jaskiń w jaskiniach Bermudów znajdują się nie tylko piękne stalaktyty, ale także stalagmity. Szczególnie zaintrygowała mnie para wielkich stalagmitów, która – jak dowiedziałem się już po nurkowaniu – otrzymała już nawet nazwę: Sutki.

Choć system jaskiniowy Green Bay jest imponujący, moje ulubione bermudzkie jaskinie znajdują się w regionie Walsingham. W Deep Blue znajduje się wielka sala o wysadzonym stalaktytami wejściu, którego zarys widać z ponad trzydziestu metrów. Barry pokazał mi maleńki korytarz, którym popłynął wraz z Tomem na odległość trzydziestu metrów, korzystając ze sprzyjającego prądu. Choć znajdowaliśmy się w głębi lądu, nie było tu warstwy słodkiej wody, jak w Lucayan Caverns, a słona woda była dość chłodna. Prawdopodobnie wynika to z faktu, że wyspa jest bardzo porowata, a wody Oceanu Atlantyckiego wlewają się

do niej jedną stroną i wypływają drugą na tyle szybko, że ziemia nie zdąży ich ogrzać. Gdybym odwiedził to miejsce latem, mógłbym cieszyć się wodą o temperaturze 27, a nie 15 stopni Celsjusza.

Nazajutrz nurkowaliśmy w Walsingham's Cave, byłej jaskini pokazowej w pobliżu morza. Z betonowego pomostu widzieliśmy głębokie jezioro jaskiniowe otoczone olbrzymimi stalaktytami. Pod wodą moi towarzysze pokazali mi szeroki na 9 i wysoki na 5 metrów korytarz prowadzący do kilku kopulasto sklepionych sal. Korytarz był wypełniony taką różnorodnością form skalnych, jakiej nigdy nie widziałem, nawet w Lucayan Caverns: były tu setki stalaktytów i stalagmitów, kaskady polewy naciekowej, wirujące wstęgi wapiennych, różnokolorowych form przypominających płatki bekonu, a nawet delikatne, pokręcone spirale heliktytów. Część z jaskiń wyrastała ponad powierzchnię wody. Zwierciadlane powierzchnie stawów odbijały promienie naszych latarek i oświetlały owe formacje pod różnymi kątami. Podłoga z czerwonej gliny, typowa dla jaskiń Bermudów, oblewała niektóre stalagmity płomienną poświatą.

Po krótkiej naradzie w ostatniej jaskini wypełnionej powietrzem udaliśmy się z Barrym na poszukiwania korytarza odchodzącego od przeciwległej ściany. Wiedzieliśmy, że w tej części wyspy znajduje się kilka innych jaskiń, które jednak nie były połączone ze sobą. Przez kilkaset metrów płynęliśmy w głąb skalnej szczeliny, aż na drodze stanęło nam rumowisko skalne pokryte warstwą gliny. Później dostrzegłem maleńki otwór na głębokości 18 metrów i widoczne w głębi zmarszczki wody na tle białego, piaszczystego dna. Przecisnęliśmy się przez nią i popłynęliśmy w górę zbocza, do wielkiej sali szerokiej na ponad 30 metrów, bez wątpienia największej sali w jaskini. Górna część jaskini sięgała nad powierzchnię wody, a pod sufitem zwieszały się krystaliczne, delikatne stalaktyty. Ominęliśmy je i wpłynęliśmy do szerokiego korytarza, który skończył się kilkaset metrów dalej.

Podczas następnego nurkowania zbadaliśmy z Barrym dwa boczne korytarze w lewej ścianie szerokiego tunelu, w którym się ostatnio zatrzymaliśmy. Jeden z nich był malowniczym kanionem wysokości 4 metrów, lecz szerokim tylko na 1,5 metra, ozdobionym mnóstwem stalaktytów i firan, jednak ani on, ani drugi z bocznych korytarzy nie sięgał dalej niż na 60 metrów. Kolejny tunel, odchodzący od górnej części kanionu, prowadził do płaszczyzny uwarstwienia, która miała ponad 18 metrów szerokości, ale tylko 60 cm wysokości. Jej dno pokrywał miękki, czerwony szlam. Pod sufitem ciągnęło się wąskie wyżłobienie, którym można było przedostać się przez niebezpiecznie niską jaskinię. Barry płynął jako pierwszy, podczas gdy ja starannie mocowałem poręczówkę na skalnych występach, by nie ześliznęła się i nie opadła na dno.

Trzydzieści metrów dalej wyżłobienie kończyło się otworem o średnicy metra.

Barry przecisnął się na drugą stronę, do wysokiego kanionu, po czym odwrócił się do mnie i poświecił latarką. Na dnie leżała lina, którą zostawił z Tomem, gdy płynęli tu z Deep Blue.

Kilka dni później Rob i Paul odbyli pierwszą podróż od wejścia do wejścia. Duchowy przywódca nurkowania jaskiniowego na Bermudach, Tom Iliffe¹⁵, przegapił oba nurkowania, przebywał bowiem za granicą, na konferencji poświęconej biologii jaskiń. Był to niefortunny zbieg okoliczności, ale Tom ma jeszcze okazję wykonać znacznie większe nurkowanie na Wyspach Kanaryjskich. Największa atrakcja turystyczna Bermudów, Crystal Cave (Jaskinia Kryształowa), leży niedaleko Walsingham's Cave/Deep Blue, a znajduje się w niej kilka obiecujących, niezbadanych jeszcze korytarzy. Gdyby okazało się, że wszystkie te jaskinie są ze sobą połączone, ich łączna długość przekroczyłaby zapewne długość Green Cave, która tym samym nie byłaby już najdłuższą jaskinią Bermudów.

Jeśli prawdą jest, że Bermudy to dziwne miejsce na błękitne dziury, to trudno znaleźć dobre określenie dla Wysp Kanaryjskich. Położone tuż przy wybrzeżu Afryki są one zbudowane niemal wyłącznie ze skał wulkanicznych i całkowicie pozbawione wapienia. Powiedziano nam jednak, że i tutaj są jaskinie, olbrzymie tunele, które powstały, gdy spod krzepnącej już skorupy nadal wypływała gorąca lava. Twierdzono, że jeden z takich korytarzy ukrytych w bazalcie ciągnie się od szczytu wulkanu Mount Corona, aż do powierzchni morza, na długości sześciu kilometrów.

Biologowie Jacob Parzefal i Horst Wilkens z uniwersytetu w Hamburgu skontaktowali się z Tomem Iliffe'em, informując go o niezwyklej formie życia, którą znaleźli w miejscu, gdzie bazaltowy korytarz schodził pod powierzchnię morza. Na początku 1983 roku pokonaliśmy więc trzy kontynenty, by poznać miejsce, gdzie jaskinia w skale wulkanicznej styka się z wodą. Byli z nami również Rob Power, Mary Van Soeren, Dennis Williams, Ken Fulghum i Clark Pitcairn. Mary jest pielęgniarką z Kanady, której ulubiona rozrywka to bieganie maratonów. Rob nauczył ją nurkować w jaskiniach, gdy mieszkali na Bermudach. Współpracowałem z Kenem w 1978 roku, kiedy badaliśmy Lost Sea (Zaginione Morze) w Tennessee, największe na świecie podziemne jezioro; Ken miał na koncie ponad 500 nurkowań jaskiniowych. Clark to silny młody człowiek z Pensylwanii, z którym ustaliłem kilka rekordów odległości w nurkowaniu jaskiniowym.

Największa odległość, jaką ktokolwiek przebył do tej pory w jaskini wypełnionej całkowicie słoną wodą, wynosiła 1158 metrów. Rekord ten należał do Martyna Farra, walijskiego nurka, który w roku 1980 pokazał mi Wookey Hole w Anglii. Martyn dotarł do końca błękitnej dziury Conch Sound na

Andros w roku 1982 i pobił rekord ustalony przez hiszpańskich nurków w Jameos del Aqua, wulkanicznej jaskini, którą właśnie zamierzaliśmy odwiedzić. Hiszpanie nie znaleźli końca tej jaskini, mieliśmy więc wszyscy nadzieję, że uda nam się ustalić nowy rekord świata.

Dojście do wody w Jameos del Aqua jest dość niezwykle. Ponieważ jaskinia jest w dużym stopniu skomercjalizowana, musieliśmy przejść w pełnym ekwipunku nurka obok podziemnego baru i restauracji oraz przez dyskotekę, by dostać się do wody. Ponadto w jaskini znajdowały się dwa inne bary, baseny, dyskoteki, a nawet nowoczesna sala konferencyjna na tysiąc miejsc.

Gdy schodziliśmy po głazach do wody, z wielkich głośników płynęła posępna muzyka symfoniczna. Jasne, kolorowe światła reflektorów odbijały się od skały i wpadały do wody, podświetlonej również od dołu przez lampy umocowane pod powierzchnią. Temperatura wody wynosiła 18 stopni Celsjusza, czyli nieco mniej niż na Florydzie, ale widoczność sięgała 30 metrów.

Podczas pierwszego nurkowania popłynąłem z Clarkiem wzdłuż poręczówki zamocowanej przez Włochów, pierwszych badaczy tej jaskini, gdy tymczasem pozostali prowadzili zwieńczone sukcesem poszukiwania *Munidopsis*, kraba przystosowanego do życia w jaskiniach, który nie występował w żadnym innym miejscu na świecie. Jaskinia ta jest rodzajem błękitnej dziury, gdzie prąd wody zmienia się wraz z pływami, zaplanowaliśmy więc nurkowanie tak, by prąd wypychał wodę z jaskini.

Płynęliśmy wielkim korytarzem o średnicy 9 metrów, odchodzącym od stawu na powierzchni. Przyzwyczajony do poszarpanych, ostrych zakrętów jaskiń wapiennych z fascynacją przyglądałem się obłym kształtom tunelu wulkanicznego. Nie było tu ani śladu mułu, żadnych narośli, nawet na dnie, a nagie, szare ściany przybierały w oddali piękny lazurowy odcień, co było wywołane załamywaniem promieni świetlnych w wodzie. Pływanie po szerokich, cylindrycznych tunelach przypominało wędrówkę po olbrzymim statku kosmicznym, a wrażenie to pogłębiała jeszcze lekkość, jaką odczuwa się tylko pod wodą. Brakowało mi olbrzymich stalaktytów, które można znaleźć w innych błękitnych dziurach, jednak w niektórych miejscach lava kapiąca z sufitu przed zastygnięciem utworzyła hebanowe sople o długości kilkudziesięciu centymetrów.

W miarę pokonywania kolejnych odcinków tunelu wzrastała też głębokość zanurzenia, jaskinia ciągnęła się bowiem wzdłuż zbocza Monte Corona wpadającego do Atlantyku. W odległości 520 metrów od wejścia osiągnęliśmy głębokość 24 metrów, a żółta lina pozostawiona przez Włochów w 1981 roku zmieniała się w gruby, biały hiszpański sznur. W niektórych miejscach fragmenty sufitu jaskini opadły na dno, zostawiając tam sterty ciemnych głazów, nad

którymi wznosiły się kaniony o wysokości ponad 18 metrów.

W odległości 700 metrów od wejścia wypłynęliśmy zza rogu i ujrzelśmy ze zdumieniem sześciometrową stertę lśniącego, białego piachu. Clark znalazł na szczycie hałdy maleńki otwór prowadzący w stronę dna oceanu, był on jednak zbyt mały, by zmieścić się w nim nurek. Zawróciliśmy w miejscu oddalonym od wejścia o 810 metrów, na głębokości 30 metrów, nie dotarłszy do końca hiszpańskiej poręczówki.

Następnego dnia wpłynęliśmy do jaskini z Clarkiem, zabierając ze sobą po cztery butle. Oprócz twinsetów o pojemności 5600 litrów, mocowanych na plecach, mieliśmy też dwie butle po 2200 litrów, które zawiesiliśmy pod sobą. Dotarłszy na odległość 472 metrów, zużyliśmy już jedną trzecią powietrza w butlach 2200 litrów, zostawiliśmy je więc na stercie kamieni, zachowując w ten sposób zapas dwóch trzecich powietrza na drogę powrotną.

Później zaczęliśmy oddychać powietrzem z twinsetów. Za hałdą białego piachu w odległości około 150 metrów zobaczyliśmy koniec białej hiszpańskiej poręczówki przywiązany do lewej ściany. Biała płyta upamiętniała ich dokonanie. Clark podniósł ją, a ja mocowałem naszą linę.

Za końcem hiszpańskiej poręczówki skalny korytarz przybierał bardziej imponujące rozmiary; sufit wznosił się 15 metrów nad dnem położonym na głębokości 36 metrów. W odległości kilkuset metrów zobaczyliśmy most z ciemnego bazaltu przecinający korytarz na pół, co upodabniało go do lufy dwururki ułożonej na boku. Sterta kamieni leżących na dnie 90 metrów dalej znaczyła miejsce, gdzie most się zawalił, a tunel ponownie zamienił się w jeden wysoki kanion. Kiedy zużyliśmy już jedną trzecią powietrza, przymocowaliśmy poręczówkę do dna, na głębokości 48 metrów. Oddaliliśmy się od końca hiszpańskiej liny o 418 metrów, co oznaczało, że w sumie przebyliśmy 1278 metrów.

Tego wieczoru, przy talerzach wypełnionych paellą obie grupy wymieniały się opowieściami o swoich dokonaniach. Gdy ja biłem z Clarkiem rekord świata, grupa biologów dokonała niezwykłego odkrycia: Dennis znalazł nowy gatunek, a prawdopodobnie także i rodzinę *Remipedia* w odległości ponad 4800 kilometrów od jedyne go znanego zwierzęcia tego samego rodzaju, zamieszkującego Lucayan Caverns.

Nazajutrz Clark musiał wrócić do Stanów, postanowiono więc, że podczas następnego nurkowania będzie mi towarzyszył Ken Fulghum. Muskularny nurek z Georgii zwrócił się do mnie z powagą, naśladując głos Elmera Fudda z bajki o Króliku Bugsie:

– Lepiej się pomódl, „kłóliku”!

Tym razem w nasze nurkowanie zaangażował się cały zespół. Mary

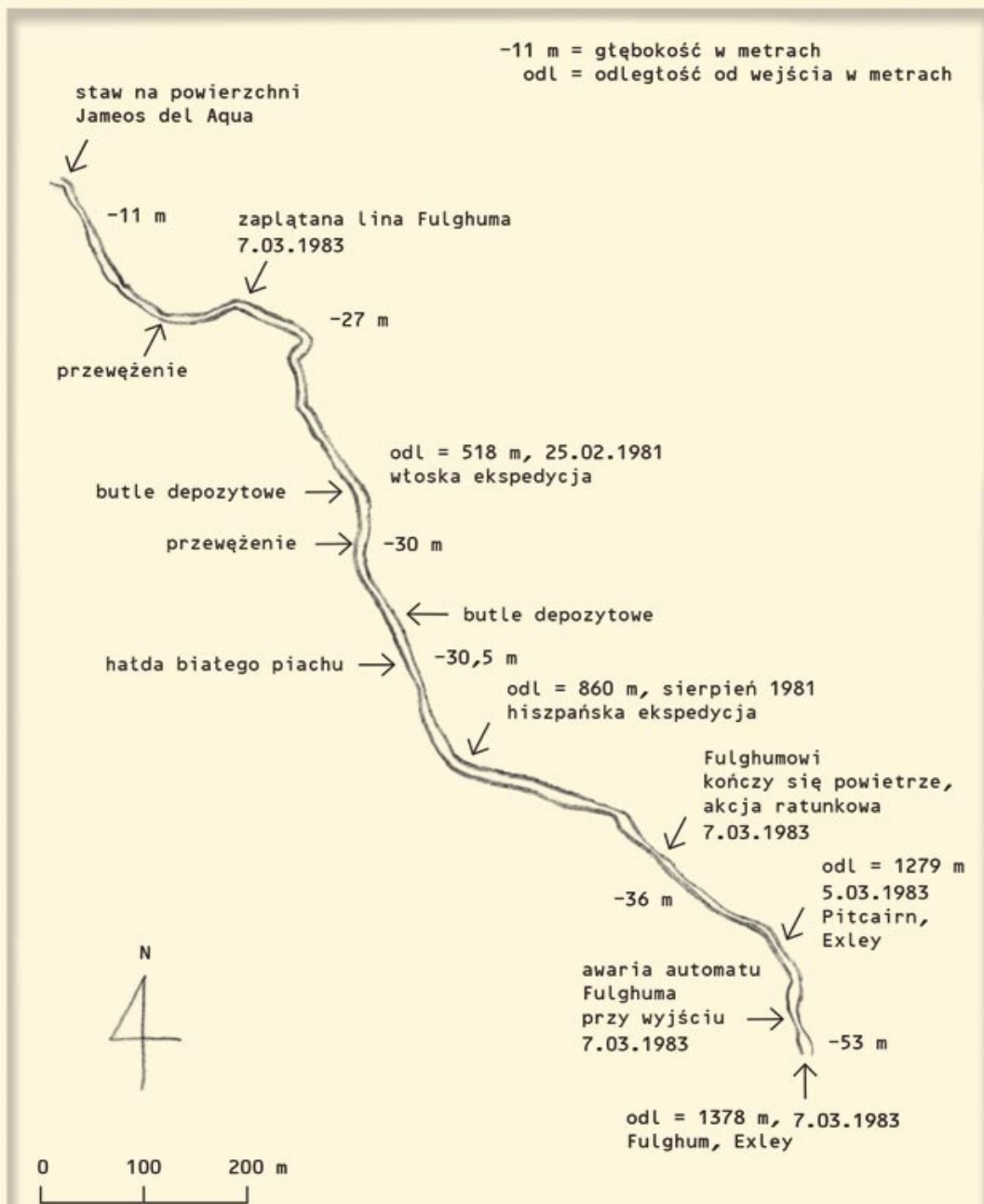
przygotowała większą ilość odmierzonej liny, inni natomiast napełniali butle i przenosili sprzęt do wody. Dennis i Rob wpłynęli do jaskini przed nami, niosąc dwie pełne butle, które zostawili 472 metry od wejścia. Kilka minut później Ken i ja ruszyliśmy w drogę, zabierając ze sobą twinsety i czerpiąc powietrze z pojedynczych butli niesionych pod sobą. W odległości 400 metrów minęliśmy Dennisa i Roba, wracających do wyjścia, pomachaliśmy do nich i uśmiechnęliśmy się szeroko. Kiedy dotarliśmy do pozostawionych przez nich depozytów, zostawiliśmy pojedyncze butle, których używaliśmy do tej pory, i wzięliśmy po świeżym zapasie. Jedna trzecia powietrza z nich wystarczyła nam do zakrętu przed hałdą białego piachu, gdzie zostawiliśmy je na skalnej półce.

Godzinę po zejściu pod wodę dotarliśmy do końca naszej starej poręczówki. Korytarz przed nami zamieniał się w nieregularną, wykrzywioną szczelinę, która zakręcała w prawo. Jego dno było teraz pochylone pod większym kątem, płynęliśmy więc blisko sufitu, by zminimalizować przystanki dekompresyjne i zaoszczędzić powietrze. Nieco dalej szczelina ponownie zakręcała w lewo. Przywiązałem linę na ścianie po lewej, w pobliżu sufitu, na głębokości 49 metrów. Nie zużyliśmy jeszcze jednej trzeciej zapasu powietrza i w innych okolicznościach dodałbym zapewne do starego rekordu więcej niż 100 metrów, miałem jednak wrażenie, że dopłynęliśmy już wystarczająco daleko. Spędziłem jeszcze kilka chwil w odległości 1377 metrów od wejścia, mocując, wzorem Hiszpanów, tablicę z nazwiskami członków naszego zespołu, Ken tymczasem ruszył już w drogę powrotną. Wrócił minutę później zapewne po to, by sprawdzić, co zatrzymało mnie tak długo.

Po przepłynięciu 120 metrów Ken pokazał mi swój ciśnieniomierz. Zostało mu powietrza na nie więcej niż minutę! Najpierw pomyślałem, że żartuje i wypuścił powietrze z ciśnieniomierza, by spowodować nieprawidłowy odczyt, Ken był jednak śmiertelnie poważny. Dałem mu mój ustnik i pokazałem stanowczo, by zaczął go używać, a sam sięgnąłem po drugi. Mogliśmy się porozumiewać tylko za pomocą gestów i nie wiedziałem dokładnie, co mu się właściwie stało. Zakładałem, że z jakiegoś nieznanego mi powodu nagle wzrosło tempo jego oddychania, awarie akwalungów zdarzają się bowiem niezwykle rzadko.

To założenie oznaczało, że nasza sytuacja jest wyjątkowo trudna, gdyż mój zapas powietrza teoretycznie był dość duży, byśmy obaj dotarli do butli pozostawionych przy hałdzie piasku, mógł jednak nie wystarczyć, jeśli zużycie powietrza było zwiększone ze względu na zmęczenie, strach lub psychiczną traumę nurka. Miałem świadomość, że najdłuższa w historii nurkowania jaskiniowego udana akcja ratunkowa z wykorzystaniem oddychania partnerskiego (dwóch nurków korzystających z jednej butli) odbyła się na

dystansie niecałych 90 metrów, gdy wiele innych podobnych akcji zakończyło się śmiercią zarówno ratownika, jak i ratowanego. Nam zostało do wyjścia ponad 1200 metrów.



ATLANTIDA TUNNEL WYSPY KANARYJSKIE

Badanie prowadzone przez zespół w składzie:

Sheck Exley, Ken Fulghum, Tom Iliffe, Jacob Parzefal, Clark Pitcairn,
Rob Power, Mary Van Soeren, Horst Wilkens, Dennis Williams.

Upłynęło 20 minut, a ja wciąż nie widziałem białej hałdy. W związku z tym, że starałem się oszczędzać powietrze, nadmiar dwutlenku węgla gromadzącego się w moim organizmie przyprawiał mnie o paskudny ból głowy. Spojrzałem na wskaźnik ciśnienia, uważając jednocześnie, by Ben nie dostrzegł nawet śladu zaniepokojenia. Wartość ciśnienia była znacznie niższa niż 34 bary. Na tej głębokości oznaczało, że nasz zapas powietrza wystarczy nam jeszcze zaledwie na kilka minut. Czekala nas nieuchronna śmierć. Ogarnęło mnie ogromne przerażenie, próbowałem jednak pogodzić się z losem. Zastanawiałem się, czy ktokolwiek się domyśli, co nas spotkało, kiedy już odnajdą nasze ciała.

Puste butle zrobiły się lekkie, musieliśmy więc wkładać duży wysiłek w pływanie, by siła wyporu nie unieruchomiła nas pod sufitem. Oddychanie stało się bardzo trudne, gdyż ciśnienie w mojej butli spadło poniżej poziomu, przy którym automat pracuje poprawnie. W miarę wzrastania poziomu dwutlenku węgla w moim organizmie coraz mocniej kręciło mi się w głowie. Nagle, niczym w półśnie, moim oczom ukazała się hałda białego piachu, za którą leżały butle. Byliśmy już bardzo blisko.

Jeszcze jeden ciężki oddech i zostałem bez powietrza. W pośpiechu otwierałem zapasową butlę, gdy moja klatka piersiowa kurczyła się spazmatycznie, domagając się tlenu. Nie wiedziałem wtedy, że gdy zbliżaliśmy się do hałdy, Ken przełączył się na resztki swojego zapasu, dzięki czemu prawdopodobnie uratował mi życie.

Kiedy już doszliśmy do siebie, uśmiechnąłem się do Kena i uściskałem go, pokazując, że jednak nam się udało. Z powodu podwyższonego tempa oddychania Ken znów został bez powietrza w chwili, gdy dotarliśmy do kolejnych butli, 472 metry od wejścia. Zamiast zabrać obie butle, wziął tylko jedną i popłynął, zostawiając – jak mi się wydawało – swoją pełną butlę. Podniosłem ją i zostawiłem swój zbiornik opróżniony w dwóch trzecich.

Kiedy zbliżaliśmy się do punktu odległego o 350 metrów od wejścia, Ken zatrzymał się nagle i pokazał mi, bym dał mu drugą butlę. Uznałem, że potrzebuje jej bardziej niż ja, i spełniłem jego prośbę. Siedemdziesiąt pięć metrów dalej automat Kena zaplątał się w poręczówkę, rozplątałem ją jednak szybko i bez większego problemu przedostaliśmy się przez przewężenie między głazami odległe od wejścia o 250 metrów. Było ono jedynym naprawdę wąskim miejscem w jaskini. W odległości 70 metrów od wejścia byliśmy już na głębokości tylko 12 metrów i znów musieliśmy wkładać ogromny wysiłek w pływanie, by przeciwstawić się zwiększonej dodatkowej pływalności. Bolesny skurcz łydki unieruchomił moją prawą nogę, zapanowałem jednak nad nim i płynąłem dalej, używając tylko jednej nogi, w stylu zwanym shuffle kick.

Kończyło się nam już powietrze, gdy zobaczyliśmy podświetlone reflektorami

wejście. Teraz musieliśmy poradzić sobie z kolejnym problemem. Przygotowany wcześniej zapas powietrza miał nam wystarczyć nie tylko na nurkowanie, ale i na przystanki dekompresyjne. Teraz zużyliśmy większą część tej rezerwy, a resztę zostawiliśmy w częściowo napełnionych butlach 470 metrów od wejścia. Dennis i Rob zostawili nam w wodzie używane twinsety, ale ciśnienie zawartego w nich powietrza wynosiło tylko 34 bary – zdecydowanie za mało.

Jeden z nas musiał wypłynąć na powierzchnię, by poprosić o więcej powietrza, co było dość ryzykownym przedsięwzięciem, nawet jeśli pobyt na powierzchni miał trwać tylko kilka sekund. Kiedy byłem młodszy i miałem lepszą kondycję, mogłem spokojnie podjąć się takiego ryzyka. Jednak tamte czasy dawno minęły, a po dwóch ostatnich nurkowaniach miałem objawy skórnej choroby dekompresyjnej – piekącą wysypkę, która zniknęła po kilku dniach. Ken miał kiedyś znacznie poważniejsze objawy – bóle stawów – był więc narażony na chorobę dekompresyjną w takim samym stopniu jak ja.

Nagle Ken zdobył się na heroiczny czyn i wypłynął na powierzchnię, by poprosić o dodatkowe powietrze i poinformować innych o naszej sytuacji. Dennis i Tom szybko wysłali pozostałych członków zespołu po dodatkowy zapas powietrza i tlenu. Dzięki ich pomocy oraz wsparciu miejscowego Czerwonego Krzyża, przeszliśmy tę ciężką próbę bez dodatkowych problemów i bez żadnych objawów choroby dekompresyjnej.

Po wyjściu na powierzchnię dowiedziałem się, że mieliśmy ogromnego pecha, który omal nie doprowadził nas do zguby. Kiedy mocowałem linę w odległości 1377 metrów od wejścia, Ken ruszył w drogę powrotną i oddalił się ode mnie o jakieś 30 metrów. W tym właśnie momencie – najgorszym z możliwych – zepsuł się zawór pierwszego stopnia w automacie Kena, a to spowodowało szybki ubytek powietrza. Ponieważ przeciek ten był niewidoczny – powietrze wypływało z zaworu za jego plecami – Ken tylko go słyszał. Dźwięk pod wodą rozchodzi się znacznie szybciej niż w powietrzu, w związku z czym nie można praktycznie określić, z jakiego kierunku dobiega. Częściej zdarzają się wycieki z drugiego stopnia, a nie z pierwszego lub zaworu, dlatego Ken uznał, że to ja mam problem, i zamiast sprawdzić swój automat, popłynął do mnie. Zanim zobaczył, że nic mi nie jest, i odkrył, co się właściwie dzieje, ulotnił się niemal cały zapas powietrza z jego butli.

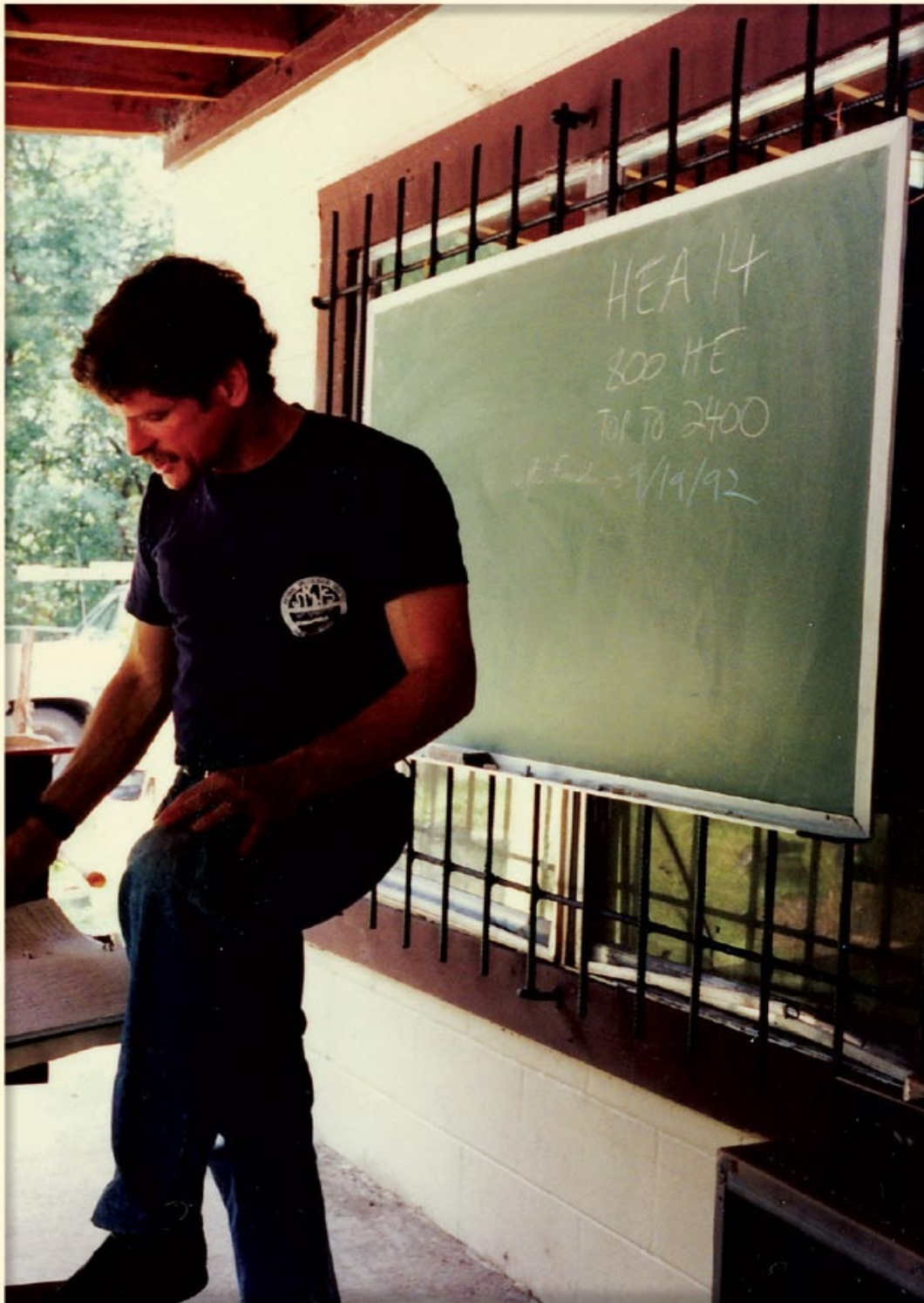
Do dziś nie wiem, jak wtedy udało nam się ująć z życiem. Ilość powietrza, które zostało w mojej butli, gdy spojrzałem na ciśnieniomierz, prawdopodobnie była zbyt mała, bym sam wydostał się z tej opresji, nie mówiąc już o nas obu. Ciśnieniomierz z pewnością działał wtedy prawidłowo: używałem go później jeszcze przez długie lata. Nie wierzę w czary ani cuda, ale nie potrafię znaleźć racjonalnego wyjaśnienia tych wydarzeń. Czasami zastanawiam się, czy w

rzeczywistości nie utonąłem jednak wtedy w Atlantida. Być może wszystko, co przydarzyło mi się od wtedy w 1982 roku, było tylko snem. Tak czy inaczej, dzięki tamtemu incydentowi łatwiej znosić mi różne rozczarowania, jakie niesie ze sobą życie. W końcu zamiast zмагаć się z różnymi problemami, mogłbym teraz być tylko truchłem unoszącym się w wulkanicznej błękitnej dziurze na Lanzarote.

¹³ Pierwsza żona Shecka Exleya.

¹⁴ Skorupiaki z gromady pancerzowców żyjące w pelegialu oceanicznym i w wodach słodkich. Są na ogół niewielkich rozmiarów. Ich ciało jest przeważnie bocznie spłaszczone i wyraźnie segmentowane. Nie mają pancerza. Pierwszy segment tułowia zrasta się z głową. Trzy pary odnóży odwłoka znajdują się w płetwie ogonowej. Ich odnóża odwłokowe i tułowiowe są podzielone na dwie lub więcej grup, różniących się formą i funkcją – jedna grupa odnóży odwłokowych może służyć do pływania, druga do skakania. Niektóre są pasożytami, ich rozwój jest prosty.

¹⁵ Tom Iliffe jest profesorem biologii morskiej na uniwersytecie TAMUG (Texas A&M University at Galveston), gdzie prowadzi kursy z biospeleologii, nurkowania naukowego i ekologii morskiej. Przed rokiem 1989, nim zaczął wykładać w TAMUG, Tom pracował przez 11 lat jako naukowiec i badacz w Bermudzkiej Stacji Biologicznej (Bermuda Biological Station). To właśnie na Bermudach zainteresował się biologią jaskiń morskich. Na tych stosunkowo małych wyspach znajduje się wiele jaskiń wydrążonych w wapieniu, w pobliżu morza. Nurkując w słonych wodach tych jaskiń, Tom odkrył niespotykane bogactwo różnorodnych skorupiaków i innych stworzeń morskich przystosowanych do życia w środowisku jaskiniowym. Tom prowadził ekspedycje naukowe na całym świecie, badając i zbierając zwierzęta z podwodnych jaskiń na Atlantyku, Morzu Śródziemnym i Pacyfiku. Wyprawy te zaowocowały odkryciem 168 nowych gatunków, 55 rodzajów, siedem rodzin i trzy rzędy zwierząt. Obecnie Tom i jego studenci kontynuują badania podwodnych jaskiń na Bahamach, Bermudach i półwyspie Jukatan.



Sheck wyktada



Sheck szkoli nurków



Sheck, stadnina koni w Ocala, Floryda

ROZDZIAŁ 9

Pałac króla gór

K

ręciłem się powoli na cienkiej, drucianej linie zawieszony pośrodku lodowatego wodospadu. Miriady kropelek 30 metrów pod mną uderzały w lśniąca powierzchnię szmaragdowego podziemnego jeziora. Gdybym nie był tak pochłonięty szczękaniem zębami i zatrzymywaniem wirującej linki, być może odważyłbym się i spojrzeć w dół, co jednak mogłoby mnie przyprawić o atak lęku wysokości. W tej sytuacji jednak ledwie miałem czas, by przypomnieć sobie ostrzeżenie, które wiele metrów wyżej przekazał mi Bill Wallace: „Kiedy zbliżysz się do jeziora, koniecznie włoż ustnik do ust”.

Trochę zdziwiła mnie ta rada. Wodospad wyglądał dość groźnie, ale nie przerażająco. Nie miałem większych problemów z oddychaniem w strugach wody. Niemniej posłuchałem rady Billa i zacisnąłem zęby na gumowym ustniku, spoglądając mimowolnie na olbrzymią taflę ciemnego morza w dole. I w samą porę. W mgnieniu oka znalazłem się półtora metra pod powierzchnią Devil’s Well (Diabelska Studnia) w Missouri i sięgnąłem zgrabiałymi dłońmi do łańcucha bezpieczeństwa mojego stołka bosmańskiego¹⁶, by uwolnić twinsety. Ktoś spóźnił się nieco z wyhamowaniem liny.

Kilka minut później mogłem już zrelaksować się na powierzchni wody i napawać widokiem największego podwodnego jeziora w górach Ozark. Po drugiej stronie jeziora o średnicy 120 metrów dno komnaty w kształcie dzbanka opadało na głębokość sięgającą podobno 60 metrów. Z tego miejsca odchodził niezbadany jeszcze korytarz, który ciągnął się na nieprawdopodobnej długości trzech kilometrów i łączył ze źródłiskiem Cave Spring, gdzie cztery lata wcześniej znalazłem wraz z Joem Prosserem poziomy tunel na podobnej głębokości. Jeszcze wcześniej inni nurkowie wydobywali z głębin stare dłubane czółna i połączyli Cave Spring z odległą o zaledwie 45 metrów ciasną jaskinią zwaną Wallace Well (Studnia Wallace’a).

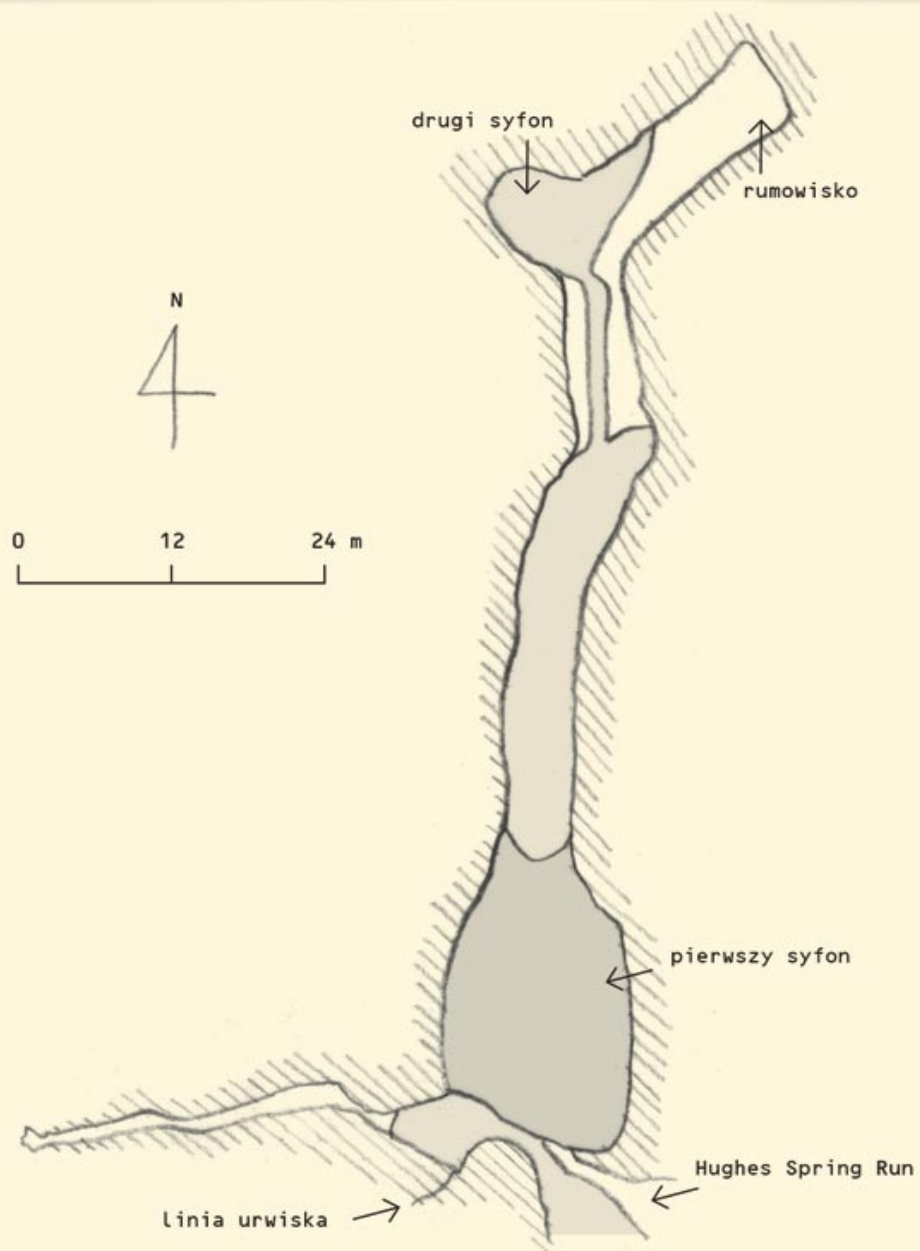
W tej chwili interesowały nas głównie druga strona Devil’s Well oraz strumień wypływający z jaskini i przepływający pod pobliskim mostem. Geologowie snuli przypuszczenia, że pod tym mostem może się znajdować kolejna wielka komora powietrzna, która zdaniem Jerry’ego Vineyarda służyła jako zbiornik wyrównawczy podczas obfitych opadów deszczu. Dana Turner, David Fisk i ja popłynęliśmy wzdłuż podciętej ukośnie ściany komnaty do szerokiego na 15 metrów korytarza, położonego na głębokości 12 metrów. Z korytarza wypływał powoli strumień czystej, zielonkawej wody. Widoczność sięgała 12 metrów, widzieliśmy więc pofałdowany, skalny sufit. Przepłynęliśmy zaledwie 15 metrów, gdy ujrzeliśmy nad sobą znajome lśnienie powierzchni

wody. Po wynurzeniu przekonaliśmy się jednak, że jest to tylko komora powietrzna odkryta przez Dona Rimbacha. Przepłynęliśmy jeszcze 120 metrów podziemnym korytarzem, który wił się niczym wąż i opadał stopniowo na 21 metrów. Nie widzieliśmy jednak ani śladu komory powietrznej, o której wspominali geolodzy.

Odkąd jako dziecko spędziłem w Appalachach kilka letnich wakacji, uwielbiałem te góry, tak różne od płaskiego, monotonnego krajobrazu mojej rodzinnej Florydy. Dlatego też, gdy wybraliśmy się do tej części gór Ozark, przez którą przepływa rzeka Current, myślałem, że trafiłem do raju. Miejsce to stanowiło idealne połączenie moich ukochanych gór i fantastycznych źródeł podobnych do tych na Florydzie. Zanurkowaliśmy w kilku pięknych, olbrzymich korytarzach, takich jak Welch Spring i Gulf czy Cave Spring i Devil's Well. Szczególnie przypadło mi do gustu Blue Spring w pobliżu Owl's Bend, gdzie wraz z Lewisem Holtzendorffem i Courtem Smithem płynąłem w krystalicznie czystej wodzie, w dół stromego korytarza ze śnieżnobiałego dolomitu, sięgającego na głębokość 85 metrów. Później Roger Miller i Frank Forgarty zbadali tę piękną jaskinię, nurkując na głębokość stu metrów (korzystali z mieszanki oddechowej z helem). W tym miejscu tunel się kończył, a spod pokrytego żwirem dna sączyła się w górę woda.

Tym, co naprawdę przyciąga nurków jaskiniowych do gór Ozark i innych gór, nie są źródła, lecz syfony. Gdy nurkowanie w źródłach jest celem samym w sobie, podczas nurkowania w syfonach akwalung jest tylko środkiem pomagającym odnaleźć kolejne wypełnione powietrzem jaskinie. Najlepiej widać to na przykładzie gór Ozark w Arkansas, gdzie jesienią 1970 roku Glen Thompson połączył źródło Blanchard z piękną, wypełnioną powietrzem jaskinią noszącą tę samą nazwę. W tym samym hrabstwie, w 1977 roku, Don Monnot, Ed Arters, Paul Smith, Forrest Wilson, Carl Cowart i ja dokonaliśmy podobnego odkrycia w Cave River Cave oraz Nesbitt Spring, w trakcie ekspedycji zorganizowanej przez doświadczonego grotołaza Mike'a Warshauera. Mimo to góry Ozark wciąż stanowią dla nurków jaskiniowych miejsce o ogromnym potencjale.

W 1975 roku Bill Torode, grotołaz z Alabamy, który sporządził mapy większości suchych jaskiń Alabamy, pokazał mi, gdzie znajduje się kilka fascynujących podwodnych jaskiń w jego stanie. Już w pierwszym z tych miejsc, wielkim podwodnym jeziorze w pobliżu Belgreen, odkryłem wraz z Courtem i Lewisem komorę powietrzną, podobną do tej, jaką widzieliśmy w Devil's Well w 1973 roku. Następnego dnia pojechaliśmy do Hughes Spring, położonego nieopodal małego stawu z paskudną, szarą wodą.



HUGHES SPRING CAVE ALABAMA, USA

Zbadana przez zespół w składzie: Bill Torode, Dick Graham, Lewis Holtzendorff, Court Smith, Sheck Exley.

Pod zwieszającą się nisko półką w Hughes znaleźliśmy korytarz położony 2 metry pod ziemią, wysoki na zaledwie 60 cm, lecz szeroki ponad 9 metrów. Nie potrafię dokładnie powiedzieć, ile wynosi to „ponad”, gdyż było tam tak ciemno, że ledwie widziałem dłoń, którą przesuwałem przed twarzą, nie wspominając już o ścianach jaskini. Widoczność była tak kiepska, że nawet nie próbowałem uważać na dno pokryte miękką, czerwoną gliną. Obawiałem się, że poręczówka może opaść zbyt nisko, bym potem mógł wyjść za nią na zewnątrz. Coś takiego przytrafiło się mnie i Courtowi w 1973 roku, w odległej części Little River Spring, którą nazwałem „Rat Trap” (Pułapka na Szczury).

W odległości około 60 metrów od wejścia spojrzałem w górę i dostrzegłem stalaktyty zwieszające się z sufitu nad powierzchnią wody. Wynurzyłem się i ujrzałem wielki korytarz wypełniony powietrzem. Po jego dnie płynęła rzeka, a ściany pokrywały firany i kalcytowe narośla w kształcie grzybów. Piętnaście metrów dalej znajdował się piaszczysty brzeg, którego od stworzenia świata nie dotknęła jeszcze ludzka stopa. Dokoła panowała głęboka cisza przerywana jedynie kapaniem dochodzącym gdzieś z labiryntu za piaszczystym brzegiem.

Przepłynąłem już pod wodą ponad 300 kilometrów, lecz to odkrycie – mój pierwszy dziewiczy korytarz wypełniony powietrzem – wydawało mi się dziwne i przerażające zarazem. Świadom, że w kieszeniach powietrznych w jaskiniach może panować niebezpiecznie duże stężenie dwutlenku węgla i innych gazów, ostrożnie wyjąłem ustnik i zaryzykowałem oddech. Powietrze było przesycone zapachem wilgotnej ziemi, ale nadawało się do oddychania. Przepłynąłem przez rzekę i wyszedłem na piaszczysty brzeg. Nie zdejmowałem butli, bo bałem się, że je zgubię i zostanę w tym miejscu na zawsze. Ogarnięty przemożnym poczuciem samotności wymamrotałem coś pod nosem, byle tylko usłyszeć ludzki głos. Nie podziałało, przestałem więc mówić i opuściłem to miejsce. Zauważyłem jednak, że za piaszczystym brzegiem otwiera się wypełniony powietrzem korytarz o średnicy trzech metrów.

Droga powrotna była na tyle prosta i wysoka, że mogłem swobodnie płynąć, namówiłem więc Courta i Lewisa, by wrócili ze mną w to miejsce. Tym razem zostawiliśmy butle na piaszczystym brzegu, a potem ruszyliśmy w głąb korytarza. Tuż za ostrym zakrętem w lewo wpadliśmy do wody sięgającej kolan i przeszliśmy przez jaskinię o wysokim suficie pokrytym stalaktytami. Trzydzieści metrów dalej strumień kończył się głębokim stawem, a sufit jaskini ponownie krył się w wodzie. Wcisnęliśmy się do wąskiego tunelu o kamienistym dnie, próbując znaleźć drogę wokół syfonu, tunel kończył się jednak jakieś 30 metrów dalej.

Wraz z Paulem Smithem nurkowałem dwa lata później w drugim syfonie Hughes Spring. Po krótkiej wędrówce wynurzyliśmy się w jaskini wypełnionej

częściowo małym jeziorem, u podnóża wysokich skał, które odpadły niegdyś od sufitu. Wspięliśmy się 6 metrów w głąb zacisku, przeciskając się między niestabilnymi głazami, uzyskaliśmy jednak tylko tyle, że niektóre z nich wpadły do jeziora. Rozczarowani przyjrzelśmy się dokładnie naszemu odkryciu i wróciliśmy, by sporządzić mapę dla Billa Torode'a.

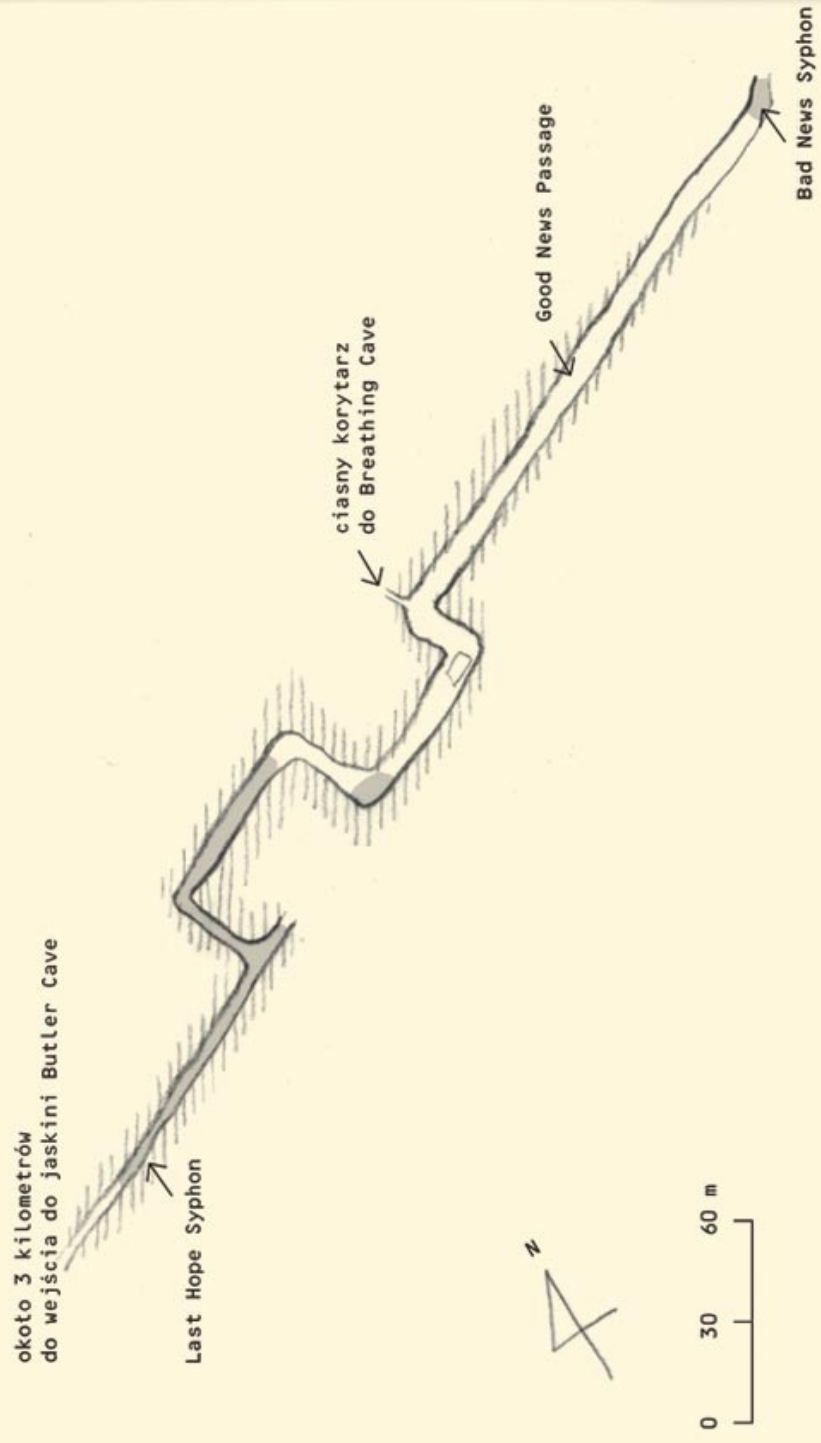
Czy istnieje jakieś przejście przy rumowisku skalnym w Hughes Spring? Bill mówi, że woda w Hughes oraz pobliskim Skidmore Spring pochodzi z obszaru Newsome Sinks, odległego wiele kilometrów na północ. Pomiędzy tymi dwoma punktami leży wysoki kamienny płaskowyż, w którym może się kryć najdłuższa jaskinia Alabamy.

Nurkowie jaskiniowi specjalizujący się w nurkowaniach w syfonach, którzy szukają w Ameryce ciekawych odkryć, powinni udać się do malowniczego regionu wirgińskich Appalachów zwanego Burnsville Cove. Pod dywanem kolorowych dzikich kwiatów i krzywymi płotami ze sztachet kryje się najdłuższa i trzecia co do długości jaskinia w stanie, rozległe Butler Cave i Breathing Cave. Badania wykazały, że cała woda z obu tych jaskiń, a także z kilku mniej istotnych jaskiń w Burnsville Cove wypływa w źródliku Refrigerator Spring, kilka kilometrów dalej. Na tym obszarze może się kryć olbrzymia jaskinia, większa nawet od najdłuższej na świecie, liczącej 480 kilometrów Mammoth Cave (Jaskinia Mamucia) z Kentucky, nic więc dziwnego, że nurkowie NSS od dawna już kierują uwagę w tę stronę. Bevin Hewett zanurkował w Refrigerator Cave w 1956 roku zaledwie na 9 metrów i wynurzył się ponownie w fantastycznej, wypełnionej powietrzem jaskini o wysokości 18 metrów. Później grotolazi wykopali wejście z powierzchni i zbadali obszerny korytarz o długości 800 metrów prowadzący do intrygującego miejsca zwanego French Lake (Jezioro Francuskie). Nurkowanie Bevina było największym amerykańskim odkryciem w dziedzinie nurkowania w syfonach aż do końca lat 60. XX wieku.

Zanim w roku 1975 przybyłem do Burnsville Cove z Courtem i Lewisem, zarówno Hank Hoover, jak i Rick Rigg zbadali już French Lake i kuszący syfon w odległych zakątkach Butler Cave, nie znaleźli tam jednak żadnych nowych przestrzeni powietrznych. W tym właśnie syfonie, noszącym złowieszczą nazwę Last Hope Syphon (Syfon Ostatniej Nadziei), w lodowatej wodzie o temperaturze 10 stopni Celsjusza, Rick wykonał nurkowanie na odległość 90 metrów, lecz i ono okazało się bezowocne. To powinno nam być dać do myślenia, gdyż Rick jest świetnym grotolazem i nurkiem jaskiniowym; w roku 1965 podczas nurkowania w Tytoona Cave, w Pensylwanii, odkrył najdłuższe na świecie makarony (heliktyty).

LAST HOPE SYPHON VIRGINIA, USA

Własność Butler Cave Conservation Society.



Mimo to przyjechaliśmy do Burnsville, spodziewając się warunków podobnych jak w Hughes Spring, gdzie po wyjściu z samochodu musieliśmy odbyć tylko krótki spacer, by znaleźć się w wodzie. Mieliśmy ze sobą ciężki, nieporęczny sprzęt, który tak dobrze służył nam na Florydzie. Odkrywca Butler Cave, Ike Nicholson, powiedział mi przez telefon, że jeśli wybieramy się do Last Hope Syphon, to czeka nas łatwy trzykilometrowy spacer. Mając w pamięci wyprawy do jaskiń Georgii i Tennessee, w których uczestniczyłem jeszcze w czasach studenckich, powinienem był wiedzieć, co to oznacza...

Pierwsze nurkowanie wykonaliśmy we French Lake, w Refrigerator Spring. Do podwodnego jeziora trzeba było iść ponad 800 metrów, postanowiliśmy więc, że tylko dwóch z nas zanurkuje. Zaproponowałem pomoc pozostałej dwójce w niesieniu sprzętu i przygotowaniu do nurkowania. Nad jeziorem nie mogłem już doczekać się rozpoczęcia – wziąłem fajkę i zacząłem pływać po powierzchni. Mogłem pływać pod prawą ścianą, utrzymując fajkę w wąskiej szczelinie, która ciągnęła się nad powierzchnią wody. Przeplłynąwszy prawie 30 metrów, dotarłem do dużej sali z sufitem wznoszącym się na wysokość sześciu metrów. Minutę później dołączyli do mnie Court i Lewis z twinsetami. Ich kwarcowe lampy, o mocy 55 watów każda, zamieniły ciemną wodę w rozpalony szafir, który rozświetlał zakamarki obszernej komnaty. Mimo tak dobrego oświetlenia nie udało nam się odnaleźć korytarza Hanka i Ricka, odchodzącego od jeziora. Może jednak nurkowanie w syfonie nie było takie łatwe, jak nam się wydawało.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, zebraliśmy się na trawiastym pagórku oblanym jasnożółtym blaskiem słońca. Postanowiliśmy, że ze względu na trudności z przenoszeniem sprzętu do Last Hope Syphon sam zanurkuje w Butler Cave. Nevin W. Davis, rudobrody prezes Butler Cave Conservation Society (Towarzystwo Ochrony Butler Cave, BCCS), spojrzał na nas tylko i pokręcił głową przekonany, że nie mamy większych szans. Zamiast butów do wspinaczki o podeszwach z wibramu nosiliśmy śliskie, neoprenowe buty do nurkowania, a reszta naszego sprzętu również nie nadawała się do wędrówki po suchych jaskiniach.

Towarzyszyli nam Tom Tompkins i marynarz z Virginia Beach, którzy – podobnie jak my – do tej pory zajmowali się niemal wyłącznie nurkowaniem w źródłiskach Florydy. Marynarzowi nie podobało się podejsze Nevina.

– Posłuchaj – mówił. – Codziennie biegam trzy kilometry po plaży, w miękkim piasku. Nie próbuj mi wmówić, że nie dam rady przejść trzech kilometrów przez jaskinię. Gdzie jest wejście?

Nevin westchnął i przesunął się na bok, odsłaniając wysoki na 45 centymetrów otwór w skalnym występie. W ciągu kilku minut nasi pracownicy

tragarze z BBCS przecisnęli przez otwór całą naszą piątkę wraz ze sprzętem. Tuż za wejściem znajdowało się pionowe dziewięciometrowe urwisko, które trzeba było pokonać, schodząc po drabinie sznurowej. Tak właśnie wyglądał łatwy, trzykilometrowy spacer Ike'a Nicholsona. Marynarz mruknął pod nosem coś w rodzaju: „Świetnie, zupełnie jak ścieżka zdrowia” i ruszył w dół.

– Poczekaj! – zawołał za nim Nevin. Obwiązał liną naszego nadgorliwego przyjaciela, a potem asekurował go podczas zejścia po klifie. W połowie drogi marynarz ześliznął się z drabiny i trzeba go było opuścić na sam dół. Spojrzałem w jego oczy, wielkie jak spodki. Wyglądało na to, że bojowy duch całkiem go opuścił.

– Mam dość – wychrypiał.

Kiedy Nevin wyciągnął go z powrotem na górę, uświadomiłem sobie, że i ja czuję się niewiele lepiej. Za mną znajdowało się błotniste ciasne przejście zwane Glop Schlott, przede mną zaś śliskie urwisko oraz pokryte warstwą błota głazy, między którymi kryły się zdradliwe, pionowe studnie o głębokości ponad 30 metrów.

Poruszając się na czworakach, a czasami, zależnie od okoliczności, sunąc na tyłku, zdołałem w końcu ominąć wszystkie pułapki i uniknąć śmierci w mrocznej otchłani. Po trzech godzinach wędrówki dotarliśmy w końcu do Last Hope Syphon, pokonawszy po drodze wszystkie ciasne korytarze, kominy i inne paskudztwa, jakie każdy doświadczony grotolarz spodziewałby się znaleźć na trzykilometrowej trasie, obejmującej 180 metrów różnicy wysokości. Ze względu na lodowatą wodę – najzimniejszą, w jakiej kiedykolwiek nurkowałem, wyjąwszy nurkowanie z Jochenem Hasenmayerem w niemieckim Blautopf – byłem ubrany w pełny i szczelny suchy skafander (potocznie zwany suchaczem) zamiast jak zwykle w piankę. Gruby wełniany sweter, który nosiłem pod spodem, zapewnił mi niejaki komfort podczas nurkowania. Założywszy butle z powietrzem, płynąłem przez 150 metrów wąskim tunelem o wysokości metra i szerokości półtora metra. Choć maksymalna głębokość zanurzenia wynosiła tylko 2,5 metra, nade mną nie było ani śladu powietrza.

Wróciłem, by zdać relację pozostałym, a potem poprosiłem Jacka Igoe o rozsuniecie zamka mojego skafandra. Zamek zapchał się jednak gliną i ani Jack, ani Fred Wefer nie potrafili go otworzyć. Nie chciałem niszczyć nowiutkiego skafandra za 200 dolarów, zmuszony byłem więc tkwić w nim dopóty, dopóki nie przybyliśmy do odległego o 30 kilometrów pokoju motelowego i zdążyłem się w tym czasie dobrze spocić. Tylko dzięki temu, że co chwila zanurzałem się w strumieniu, uniknąłem skrajnego przemęczenia z przegrzania.

Udana wyprawa, podczas której zapuściliśmy się 60 metrów dalej niż Rick w czasie swego najdłuższego nurkowania, rozbudziła apetyt Nevina. Zaprosił on

nas na następne nurkowanie. Wróciłem do tego miejsca jesienią, tym razem zaopatrzony w odpowiednie buty oraz sprzęt do jaskiniowej wspinaczki, i dołożyłem kolejnych 30 metrów odległości. Choć odległość równa 182 m, uzyskana w Last Hope Syphon, była znacznie mniejsza niż nasze nurkowania na Florydzie, a nawet niż nurkowania w syfonach w Europie, wtedy stanowiła najdłuższe nurkowanie w syfonie na terenie Ameryki. Niestety, nasze próby dokonania ważnego odkrycia jaskiniowego i zdobycia chwały spełzły na niczym. Gdy wróciłem na początek syfonu, powiedziałem Nevinowi: „Dobra wiadomość jest taka, że znaleźliśmy 290 metrów korytarza wypełnionego powietrzem. Zła – że kryje się tam następny syfon”. Kilka lat później David Whall i Karen Wark zanurkowali w Bad News Syphon (Syfonie Złych Wiadomości) i wrócili z jeszcze gorszymi wieściami: syfon był zatkany błotem. Dlatego też klucz do olbrzymiego systemu jaskiń Burnsville Cove pozostaje nieodkryty.

Największą znaną jaskinią w Wirginii Zachodniej w 1976 roku była Organ Cave, jaskinia komercyjna będąca także szóstą co do długości jaskinią świata. Miejsce to jest bardzo popularne wśród turystów ze względu na dźwięki, jakie wydają stalaktyty przy lekkim nawet uderzeniu, oraz liczne przedmioty z kopalni saletry pochodzące z czasów wojny secesyjnej. Tamtej jesieni Forrest Wilson, dyrektor szkolenia NSS Cave Diving Section, poprosił, bym pomógł mu zanurkować w błotnistym syfonie przy końcu Bowen Canyon (Kanion Bowena). Dwukrotnie już próbował przedostać się przez Bowen Sump (Syfon Bowena) musiał się jednak poddać ze względu na beznadziejną widoczność.

Dzięki pomocy silniej grupy grotolazów z D.C. Grotto, najstarszej sekcji NSS, większość trzykilometrowej wędrówki od wejścia jaskini do syfonu była stosunkowo łatwa. W połowie drogi przystanęliśmy na chwilę, podczas gdy Mike Dyas, Dennis Seekins i Carl Cowart zakładali liny w studni o głębokości 40 metrów. Zjechałem w jej dół, przekładając linę przez aluminiowe szczeble metalowej drabinki połączonej z uprzążą, którą miałem na sobie. W ciemności łatwo było udawać, że przepaść wcale nie jest taka głęboka, nie miałem więc problemu z lękiem wysokości. Na dnie znajdował się Bowen Canyon, korytarz o szerokości 4,5 metra i wysokości sześciu metrów. Kiedy brodziliśmy w strumieniu płynącym po dnie kanionu, w głowie pobrzmiwały dramatyczne dźwięki „Tako rzecze Zaratustra” Straussa. Czułem, że stoimy na krawędzi wielkiego odkrycia.

Półtora kilometra dalej kanion kończył się szerokim na sześć metrów stawem wypełnionym czerwoną, gliniastą wodą. Nasi tragarze zrzucili wreszcie ciężki bagaż i obserwowali, jak Forrest i ja przygotowujemy się do nurkowania. W jaskiniach o kiepskiej widoczności najbezpieczniej nurkować w pojedynkę,

postanowiliśmy więc, że będziemy robili to na zmianę. Forrest, który ze względu na krzaczastą blond brodę i długie, rzadzące włosy nosi przezwisko Czarodziej, zaproponował wspaniałomyślnie, bym to ja zanurkował pierwszy.

- Dzięki temu zobaczysz korytarz, zanim całkiem zmacimy wodę – stwierdził.
- Dlaczego uważasz, że i tak cokolwiek zobaczę?

Do tego czasu glina wzburzona podczas naszej podróży w głąb kanionu zawędrowała już do syfonu, który wyglądał teraz tak, jakby wypełniono go czerwoną farbą. Ostrożnie przesuwalem się po omacku pod półką na głębokości półtora metra, aż dotarłem do korytarza o wysokości zaledwie 60 centymetrów. Wsunąłem się do niego, odpychając się powoli od sufitu, korzystając przy tym z moich butów jaskiniowych. Nie zakładałem płetw, bo te i tak do niczego się nie przydawały w krótkich syfonach o ograniczonej widoczności, a tylko zwiększały ilość i ciężar sprzętu, który trzeba było nieść przez jaskinię.

Po przebyciu 30 metrów opadłem na głębokość 2,5 metra, widoczność ponad miękkim glinianym dnem wzrosła zaś do półtora metra. Dzięki temu mogłem płynąć trochę szybciej i kilka minut później dotarłem do końca mojej liny mierzącej 60 metrów. Przywiązałem ją do ściany z lewej strony. Wydawało się, że nieco dalej sufit zaczyna się wznosić. Wróciłem do Forresta, by przekazać mu ekscytujące wieści.

Forrest przepadł na długi czas. Miałem już wracać do wody, by sprawdzić, co się z nim stało, gdy wreszcie wychynął ze szkarłatnej głębi. Jego uśmiech mówił sam za siebie. Piętnaście metrów za końcem mojej poręczówki dotarł do małej przestrzeni powietrznej, a potem przeczołgał się przez niski tunel do olbrzymiego korytarza, równie imponującego jak Bowen Canyon!

Przepłynęliśmy ponownie przez syfon i zostawiliśmy nasze pojedyncze butle na błotnistym brzegu, obok wystraszonej rudawej salamandry. Przeszliśmy w górę brzegu, do wielkiego korytarza szerokiego na 5 i wysokiego na 6 metrów. Zdawało się, że nie ma on końca, kiedy szliśmy obok lśniących stalaktytów, tajemniczo czerwonych pól naciekowych, rzadkich kwiatów z białego gipsu, wysokich wodospadów i szerokich, mrocznych tuneli prowadzących w nieznane. Zawróciliśmy po godzinie, by nasi partnerzy nie martwili się o nas, wcześniej jednak zbadaliśmy 1160 metrów nieznanych dotąd jaskiń i korytarzy. Było to największe odkrycie syfonu, jakiego kiedykolwiek dokonano we wschodniej części Stanów Zjednoczonych.

W lutym wróciłem do Wilson's Wonderland (Bajkowa Kraina Wilsona) z Davidem Morrowem, by kontynuować badania. Okazało się, że korytarz ciągnie się dalej, zachowując te same wymiary, opada jednak coraz bardziej stromo, a strumień płynący jego dnem zamienia się w serię wodospadów. Trzysta metrów od miejsca, do którego dotarłem poprzednio, tunel zakręcał w prawo i zmierzał

na zachód, potem zaś zakręcał ponownie, kierując się na północ. Ostatecznie kończył się 1890 metrów od Bowen Sump w wielkiej sali o średnicy 30 metrów, gdzie spieniony strumień znikał w szczelinach między głazami. Wspiąłem się do korytarza na wyższym poziomie, by sprawdzić, czy nie łączy się on z Lipps Syphon w innej części Organ Cave. Okazało się, że kilkaset metrów dalej wpada z powrotem do Wilson's Wonderland, w pobliżu obszaru jasnoczerwonej polewy naciekowej, który nazwaliśmy poprzednio Scarlet Pimpernel (Kurzyślep). Co ciekawe, wszystkie formacje skalne za Bowen Sump, łącznie z Pimpernel, znajdowały się na prawej ścianie korytarza.

Wróciliśmy do Bowen Sump sześć godzin po wyjściu z Wilson's Wonderland. Nie chcieliśmy, żeby nasi tragarze czekali na nas w chłodnej jaskini, martwiąc się o nasz los, więc gdy tylko przenieśli cały nasz sprzęt, kazaliśmy im wyjść na zewnątrz. Mieli wrócić po nasze rzeczy następnego dnia, postanowiliśmy jednak sami wynieść wszystko prócz butli, wciąż bowiem czuliśmy się w pełni sił. Wspinaczka w górę czterdziestometrowej przepaści, i to z całym sprzętem, była dość trudna, zdołałem jednak zachować równowagę, odpychając się od ściany stopami. Dotarłszy na szczyt, zwinąłem linę i zarzuciłem ją na ramię.

Byliśmy pod ziemią już od ponad piętnastu godzin. Powoli dopadało nas zmęczenie i zaczęliśmy żałować, że nie zostawiliśmy sprzętu na dole. Straciłem poczucie czasu, byłem więc zaskoczony, gdy okazało się, że na zewnątrz jest noc, a do tego szaleje zamieć śnieżna. Niski, malowniczy wodospad, który latem przyciąga rzesze turystów, zamienił się w lodowiec przecinający nam drogę. Choć mogliśmy trzymać się liny, było tak ślisko, że każdy nieuważny krok groził paskudnym upadkiem. W końcu zdołaliśmy przejść na czworakach, pchając przed sobą zwiniętą linę i sprzęt.

Właściwie zupełnie niepotrzebnie zadawaliśmy sobie tyle trudu. W gęstym śniegu nasze latarki oświetlały drogę tylko na odcinku kilku metrów. Mój wilgotny skafander całkiem zamarzł. Czułem się tak, jakbym nosił na nogach sztywne rurki. Było przeraźliwie zimno, temperatura zbliżała się zapewne do minus 18 stopni Celsjusza. Czułem, że podczas wędrówki po lodowcu odmroziłem prawą rękę. Pokonawszy na oślep kilkaset metrów w gęstej śnieżycy, doszliśmy do wniosku, że znacznie lepiej byłoby nam w jaskini. Choć za łóżko służyłyby nam ostre skały, pokryte warstwą błota i wilgoci, panowała tam temperatura 10 stopni Celsjusza, czyli znacznie cieplej niż na zewnątrz, a nawet w nieogrzewanym schronisku. Niestety, obfity śnieg błyskawicznie zasypywał nasze ślady i uniemożliwiał powrót do groty. Zabłądziliśmy, a chłód błyskawicznie pozbawiał nas resztek energii, gdy bezskutecznie szukaliśmy jakiegoś schronienia.

Zasypiałem już niemal na stojąco, aż w końcu natknęliśmy się na schody

schroniska. Pamiętam jak przez mgłę, że resztkami sił wczołgałem się do suchego śpiwora i zapadłem w pozbawiony marzeń sen.

Podczas późniejszych nurkowań odkryto korytarze o podobnej długości, żaden jednak nie był większy ani okazalszy od Wilson's Wonderland. Tylko w Cold Water Cave (Jaskinia Zimnej Wody), w stanie Iowa, gdzie w 1967 roku Dave Jagnow i Steve Barnett pokonali serię długich korytarzy rozdzielonych krótkimi syfonami, w wyniku nurkowania jaskiniowego odkryto jaskinię o znacznie większej długości (mowa tylko o Stanach Zjednoczonych). Jednak nawet tam większość spośród trzynastu kilometrów jaskiń naniesionych na mapę została zbadana poprzez sztucznie wydrążone wejścia do korytarzy wypełnionych powietrzem.

Zapaleni amerykańscy nurkowie syfonowi, tacy jak Stephen Maegerlein, Tom Cook i Jim Pisarowicz są przekonani, że kiedyś odkryją nową Mammoth Cave. Niedawno w Meksyku Bill Stone poprowadził nurkowanie, podczas którego połączył dwie części trzeciej co do głębokości jaskini na świecie. Gdy czytacie tę książkę, może to już być n a j g ł ę b s z a jaskinia na świecie¹⁷.

¹⁶ Stołek bosmański używany przez marynarzy pracujących na rejach przy zwijaniu i rozwijaniu żagli.

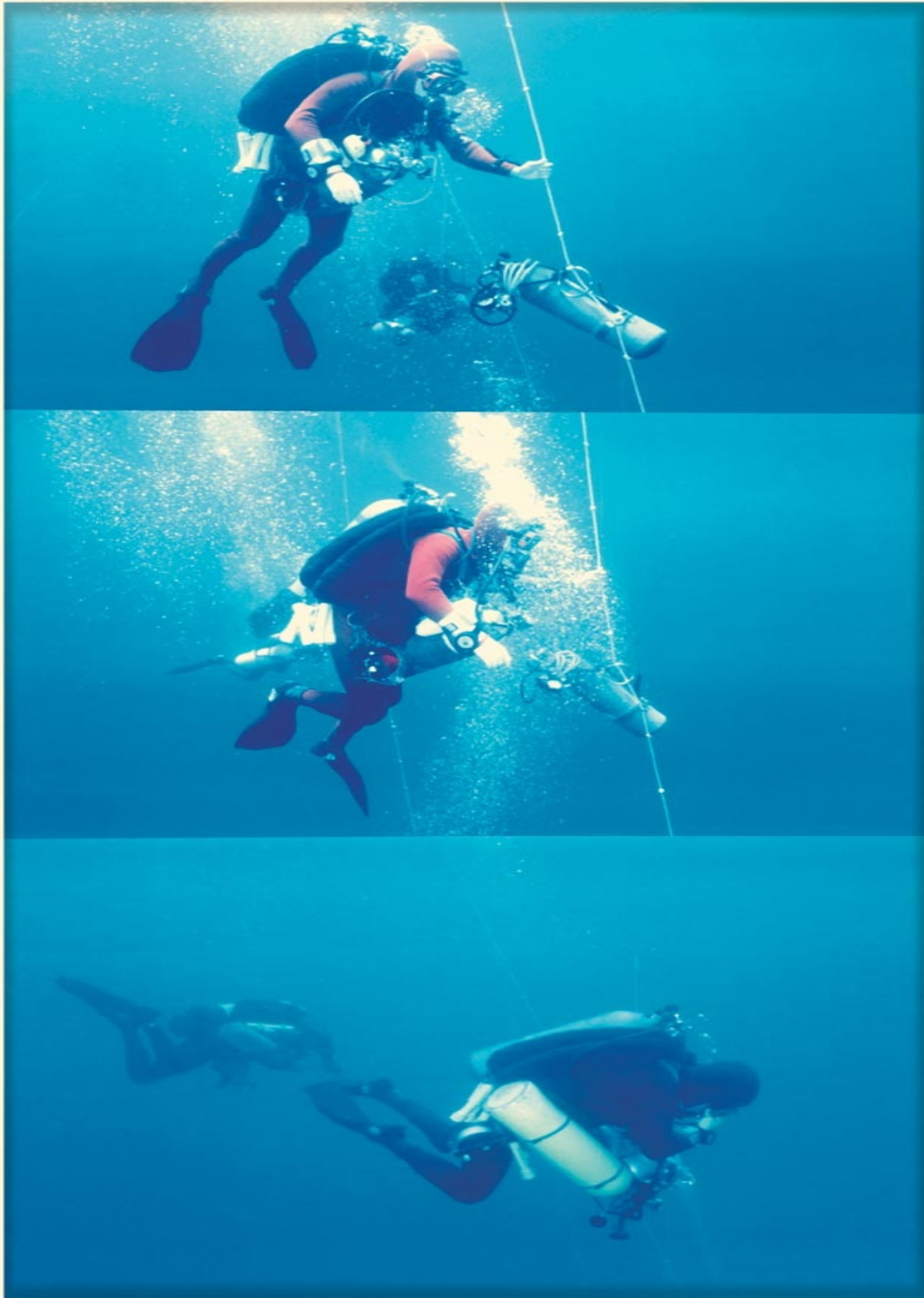
¹⁷ Za najgłębszą uznawana jest włoska jaskinia Pozzo del Merro, której głębokość po eksploracji ROV-em ocenia się na 392 m. Drugie miejsce przypada macedońskiej Vrelo głębszej od meksykańskiego Zacatonu o 11 metrów z głębokością wynoszącą prawdopodobnie 330 m. Człowiek najgłębiej zszedł natomiast do afrykańskiej Boeasmansgat na 282,5 m i dokonał tego Nuno Gomes w 1996 r.



Sheck wyNa górze: Edwards Spring.
 Na środku: miejsce, w którym wody z systemu Katedry
 wpływają do rzeki Suwannee.
 Na dole: Five Hole Springktada



Deer Sink, część systemu Katedry



Sheck

ROZDZIAŁ 10

Manatee Springs Cave



nie mogłem oddychać. Zakaszlałem gwałtownie, wciągnąwszy nieco wody, i wypłułem zepsuty drugi stopień. Mój twinset był już pusty, próbowałem więc oddychać powietrzem z pojedynczej butli, którą zostawiliśmy wcześniej w jaskini z myślą o dekompresji. Wiedziałem, że zaledwie 9 metrów wyżej znajduje się powierzchnia Friedman Sink (Lej Friedmana), gdybym jednak popłynął do niej teraz, opuściwszy niemal trzy godziny przystanków dekompresyjnych, z pewnością nabawiłbym się choroby dekompresyjnej, która mogłaby doprowadzić do paraliżu, a nawet śmierci. Spragniony powietrza poświeciłem latarką na Billa Maina, który unosił się obok, w tej samej jaskini. Podpływając do Billa, sięgnąłem jednocześnie za głowę, do zaworów moich pustych setek, by odłączyć jeden z automatów i zamocować go zamiast uszkodzonego automatu na pojedynczej butli. Pełen nerwowej energii, która czyni zeń wyjątkowo czujnego partnera nurkowego, Bill dojrzał mój sygnał i podał mi swój zapasowy ustnik. Podziękowałem mu za powietrze, po czym skończyłem wymieniać automat na butli bocznej (depozytowej). Zamieniając automat Billa na mój, próbowałem opisać awarię automatu gestem, jakiego nie można znaleźć na żadnej liście sygnałów migowych używanych przez nurków.

Wyjąłem z kieszeni kamizelki wypornościowej tabliczkę i ołówek, po czym sporządziłem krótką notkę, przedstawiając Billowi problem. Kiedy przebywaliśmy na przystanku dekompresyjnym na głębokości 12 metrów, pęcherzyki powietrza z naszych automatów naruszyły warstwę czerwonej gliny na suficie sali wejściowej Friedman Sink. Droбноziarnisty osad zamienił wodę nad naszymi głowami w czerwoną farbę, która całkowicie przesłoniła wnękę na głębokości 6 metrów, gdzie umieściłem dwa kolejne depozyty. Bez tych butli mieliśmy powietrze tylko na 40 minut.

Przywiązałem linę do występu skalnego na suficie i wpłynąłem w czerwoną ciecz, trzymając przed sobą wyprostowaną rękę, by nie uderzyć w skałę. Pamiętałem, jak wygląda otoczenie wnęki z butlami, i starałem się odszukać znajome kształty, przesuwając ręką po powierzchni ścian i sufitu. Po kilku minutach poszukiwań poczułem pod dłonią gładki, zimny metal butli i przywiązałem do nich linę, byśmy mogli je bezpiecznie przetransportować na dół.

Chwilę później przyjrzelśmy się dokładnie obu butlom. Okazało się, że zawór na mojej butli wygiął się, gdy opuszczałem ją w dół studni wejściowej, i teraz nie nadaje się do użytku. Na szczęście Mary Ellen i dziewczyna Billa, Jane Grey, przyplnęły do nas, by sprawdzić, czy nie potrzebujemy pomocy, i dostarczyły

nam dodatkowe powietrze. W związku z tym uszkodzony automat i zawór okazały się tylko drobnymi niedogodnościami podczas pierwszego na świecie nurkowania jaskiniowego o długości 1802 metrów.

Każda sfera ludzkich działań i dążeń, od zwykłej zabawy po loty kosmiczne, ma swoich czempionów i osiągnięcia wyznaczające granice ludzkiej wytrzymałości i odwagi. Bez nich nie istniałby postęp, nie mielibyśmy bowiem żadnej skali, do której moglibyśmy odnosić własne poczynania i która zachęcałyby nas do zwiększania wysiłku. Trudno znaleźć aspekt naszego życia, który nie jest przedmiotem współzawodnictwa i nie skłania nas do samodoskonalenia, potwierdzenia własnych możliwości oraz umiejętności.

W dziedzinie nurkowania na otwartych wodach jeden z rekordów nurkowania z akwalungiem okrył się szczególnie złą sławą: rekord głębokości nurkowania przy użyciu sprężonego powietrza. Wielu ludzi straciło życie, próbując go pobić. Poza tym w naszych czasach nie ma on większego sensu, gdyż techniki opracowane przez Dale'a Sweeta i Jochena Hasenmayera¹⁸ pozwalają nurkom zanurzać się znacznie głębiej przy użyciu mieszanek helu z tlenem¹⁹. Pozostałe rekordy nurkowe zazwyczaj traktowane są z przychylnością i podziwem, jeśli tylko nie narażają nurka na zbędne ryzyko. Odnosi się to głównie do nurkowania jaskiniowego, gdzie to właśnie ludzie ustanawiający rekordy są autorami niemal wszystkich wynalazków i usprawnień dotyczących procedur bezpieczeństwa i sprzętu nurkowego. Postęp ten prawdopodobnie nigdy nie miałby miejsca, gdyby nurkowie ci nie byli zainteresowani biciem rekordów. Cała społeczność płetwonurków skorzystała na takich usprawnieniach, jak noże mocowane do przedramienia, oktopusy (dodatkowe drugie stopnie), podwójne zawory, zasada jednej trzeciej itp.

W nurkowaniu jaskiniowym istnieje wiele różnego rodzaju rekordów, od głębokości, odległości i czasu trwania po rekordy bezpieczeństwa, takie jak moje 3000 nurkowań jaskiniowych. Najbardziej znanym rekordem w nurkowaniu jaskiniowym jest rekord „penetracji”, czyli odległości dzielącej nurka od najbliższej przestrzeni powietrznej w jaskini. Dzieje się tak prawdopodobnie dlatego, że właśnie odległość jest najlepszą miarą zdolności zespołu nurkowego, która pozwala ocenić jego wytrzymałość fizyczną i psychiczną, a także właściwy dobór sprzętu i procedur. Nurkowanie jaskiniowe zawsze było sportem uzależnionym od technologii, dlatego można korzystać w nim ze wszelkich środków: nie ma żadnej różnicy między nurkowaniem wyłącznie z płetwami a nurkowaniem przy wsparciu skutera. Liczy się tylko dotarcie do danego punktu i szczęśliwy powrót.

Rekordy odgrywały ważną rolę w badaniu Manatee Springs Cave System

(System jaskiniowy źródlisk Manatee). W styczniu 1961 roku nurkowie NSS połączyli wejście Manatee Springs z lejem krasowym o średnicy 36 metrów zwanym Catfish Hotel (Hotel Sumów) ze względu na dużą liczbę sumów żyjących w tym miejscu („po jednym w każdej sali”). To nurkowanie o długości 142 metrów było pierwszym na świecie nurkowaniem trawersowym, czyli przejściem z jednej jaskini do drugiej.

Bob i Sue Friedman ponownie zbadali Catfish w 1969 roku. Znaleźli wówczas największy tunel w jaskini, korytarz o szerokości 15 metrów i wysokości 4,5 metra, którym przepłynęli 279 metrów, docierając do trzeciego wejścia do jaskini, Sue's Spring (Źródłisko Sue). Wędrówkę znacznie utrudniał im przeciwny prąd, tak silny, że wielu nurków porównuje nurkowanie w Manatee Springs do pływania w górę wodospadu Niagara. Bob i Sue przerwali nurkowanie, oddalwszy się o 155 metrów od Sue's Spring.

W roku 1973 wylała rzeka Suwannee, powodując największą od stu lat powódź w tym regionie. Wezbrana rzeka wywierała ciśnienie hydrostatyczne na większość zasilających ją źródlisk, co sprawiło, że czarna, zmacona woda zmieniła kierunek i wpłynęła do jaskiń. Tylko Jugg Hole i Manatee Spring pozostały czyste. Jugg Hole to stosunkowo mała jaskinia (wraz z Courtem Smithem opłynąłem ją w całości podczas nurkowania na odległość 182 metrów), skupiliśmy się więc na Manatee.

Court i Lewis Holtzendorff 25 lutego popłynęli 110 metrów dalej od miejsca, w którym zatrzymali się Bob i Sue. Tydzień później Lewis wrócił do Manatee z Danem Turnerem, Dutch Vande Nordem i ze mną, by dołożyć kolejne 49 metrów. Widoczność w nowo badanym obszarze wynosiła zaledwie 3 metry, a nie 9 metrów, jak w innych częściach jaskini, nazwaliśmy go więc Sewer (Ściek). Zatrzymaliśmy się w wysokiej kopulastej jaskini o dnie pokrytym drobnymi, skamieniałymi kośćmi. Zastanawialiśmy się, skąd się one tutaj wzięły, skoro jaskinia nie była w żaden sposób połączona z powierzchnią. Miały prawdopodobnie kilka milionów lat, lecz wapienne ściany jaskini liczyły sobie około 50 milionów lat, kości więc nie zostały wypłukane ze skały. W jaskini nie ma żadnych stalaktytów, dlatego trudno przypuszczać, by kiedyś była sucha. Najbardziej prawdopodobna wydaje się więc hipoteza, że to wody rzeki Suwannee zaniósły tu kości podczas ogromnej prehistorycznej powodzi, choć trudno sobie wyobrazić prąd o sile, która przemieściła ciężkie kości na odległość ponad 300 metrów, nad wysokimi piaszczystymi wydrami, między głazami i poprzez nieregularny, kręty korytarz o kilku zwężeniach. Pewien archeolog, przekonany, że naukowcy nie są w stanie przeprowadzić prac wykopaliskowych w tym obszarze, poprosił mnie, bym zebrał próbki kości i wszelkich ludzkich artefaktów, jakie tam znajdziemy, notując przy tym starannie ich położenie w

jaskini (głębokość i odległość od wejścia).

Zmaganie się z gwałtownym prądem wody w Manatee to prawdziwa próba sił, natomiast wypływanie z jaskini jest całkiem przyjemne. Pozwoliłem, by nurt sam niósł mnie do wyjścia, dając mi poczucie niezwyklej swobody i lekkości. Nagle zauważyłem, że woda zrobiła się bardziej przejrzysta. Popłynąłem w prawo, w górę wysokiej piaszczystej wydmy, która, jak mi się wydawało, sięgała samego sufitu. Okazało się jednak, że za grzbietem diuny kryje się korytarz o średnicy 3 metrów, którym przepływał główny nurt wody. Nauczyliśmy się już, że główny prąd w podwodnych jaskiniach prowadzi zwykle do największych sal i korytarzy, przymocowałem więc poręczówkę i przywołałem gestem moich towarzyszy. Moja lina skończyła się 52 metry dalej, korytarz zaś jeszcze się ciągnął. Miał teraz około 6 metrów szerokości i 3 metry wysokości. Jego ściany były niemal całkiem czarne, wędrówka nad pofalowanym piaszczystym dnem przypominała więc lot nad białym lodowcem w bezgwiezdną noc.

W następnym weekend Court, Lewis i ja zamocowaliśmy kolejnych 180 metrów liny w nowym korytarzu. Woda w rzece opadała, a prąd w jaskini był jeszcze silniejszy niż podczas naszych poprzednich nurkowań. W drodze powrotnej znalazłem na szczycie piaszczystej wydmy coś, co wyglądało na gliniany wazon. Wyłączyłem latarkę i spojrzałem w górę. Choć wyteżalem wzrok, nie dostrzegłem światła dziennego, które świadczyłoby o obecności innego wejścia.

Po dotarciu na powierzchnię Lewis odwrócił się do nas i wypłuł ustnik.

– Uff... – westchnął. – Ten prąd naprawdę daje w kość. Nie damy rady popłynąć dużo dalej, jeśli nie znajdziemy innego wejścia.

– Cóż, nie widziałem innego wejścia, ale znalazłem to. – Wyjąłem ciężki wazon i podałem go Courtowi. Nie zrobiło to na nim większego wrażenia.

– W K-Marcie sprzedają takie po ćwierć dolara za sztukę – rzucił.

Lewis jednak wpatrywał się w wazon z takim przejęciem, że oczy omal nie wyszły mu na wierzch.

– Wazon, akurat! – zachnął się. – Nie widziałeś nigdy hiszpańskiego dzbana na wodę?

– Czego?

– No właśnie. Spójrz tutaj. – Wskazał nierówną krawędź wazonu. – Tutaj odłamała się górna część.

– Nie widziałem innych części, ale też niespecjalnie się rozglądałem. – Zmarszczyłem brwi, zastanawiając się nad tą dziwną historią. – Hej, wiecie, kto przechodził rzekę w tym miejscu?

Lewis otworzył szerzej oczy.

– De Soto²⁰.

– Jasne. Zatrzymali się tu pewnie, żeby nabrać wody i upuścili ten dzban, a

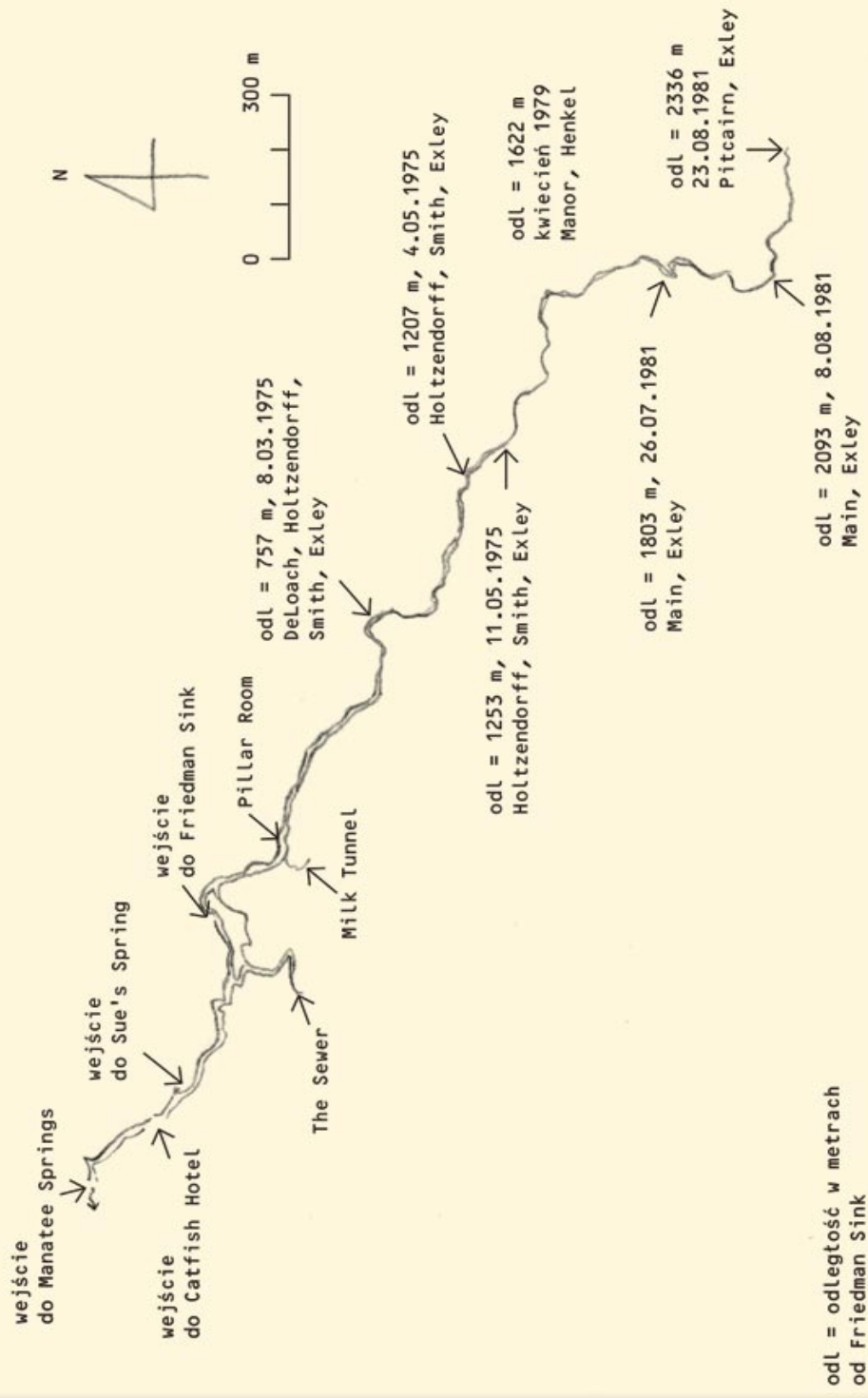
prąd wsteczny zaniósł go aż do Sue's Spring.

Court zważył w dłoni ciężkie naczynie.

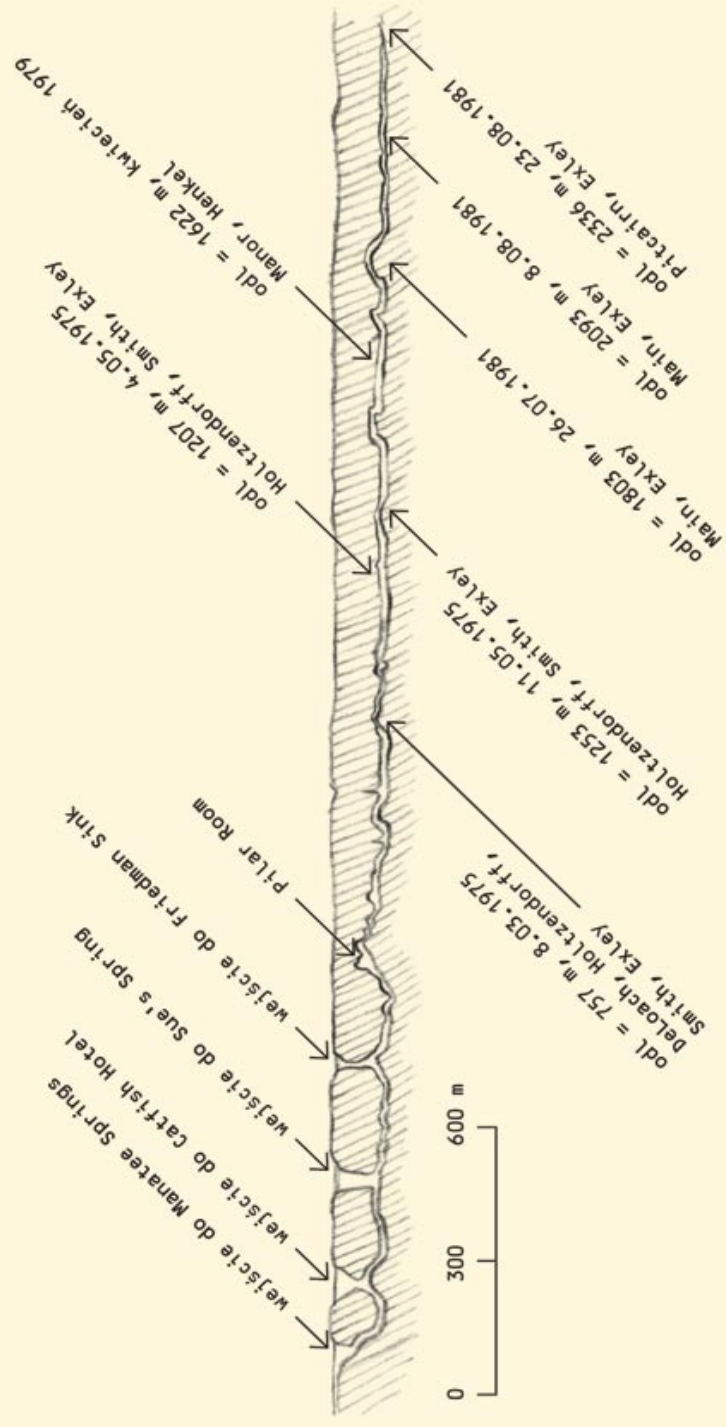
– Żaden prąd nie mógł tego nigdzie zanieść.

Pięć dni później dołączył do nas Dana, by wraz z nami ponownie popłynąć w górę strumienia od Sue's Spring. Naszym głównym celem było szukanie kolejnych jaskiń, lecz zaprzyjaźniony archeolog chciał, bym postarał się znaleźć resztę dzbanka na wodę. Mając w pamięci komentarz Courta, chciałem dokładnie sprawdzić sufit nad miejscem, gdzie znalazłem dzban. Być może przegapiłem coś ważnego.

MANATEE SPRINGS CAVE SYSTEM FLORYDA, USA



odl = odległość w metrach
od Friedman Sink



odl = odległość w metrach
od Friedman Sink

MANATEE SPRINGS CAVE SYSTEM FLORYDA, USA

Widok w przekroju.

Przeplłynęliśmy zaledwie 90 metrów, gdy Lewis poświecił na mnie latarką i pokazał wzniesiony kciuk, co oznaczało, że powinniśmy przerwać nurkowanie. Każdy członek zespołu nurkowego może w każdej chwili odwołać nurkowanie bez względu na powód, dlatego wszyscy czterej natychmiast zawróciliśmy. Po powrocie do Sue's Spring okazało się, że pękł jeden z pasków uprząży utrzymującej butle Lewisa. Nie był to problem, z którym Lewis nie mógłby sobie poradzić, lecz ze względu na niestabilną pozycję ciała ograniczyłby mu znacznie swobodę ruchów i możliwość odpowiedniej reakcji w sytuacji awaryjnej, a to wpłynęłoby negatywnie na bezpieczeństwo pozostałych członków zespołu.

Zużyliśmy już spory zapas powietrza, musieliśmy więc naradzić się przed kolejnym nurkowaniem i ustalić, w którym momencie zawrócimy. Pół godziny po ponownym zejściu pod wodę dotarliśmy do piaszczystej wydmy, gdzie znalazłem dolną część dzbana. Postanowiłem jak najszybciej obejrzeć sufit, gdyż obawiałem się, że pęcherzyki powietrza mogą naruszyć warstwę szlamu zalegającą na skale i ukryć wszelkie otwory i korytarze. Sufit był bardzo nieregularny, kryło się pod nim mnóstwo pęcherzy powietrza, występow i łuków – największy z nich miał aż 9 metrów szerokości i 15 metrów długości. Na jednym z łuków leżała górna część mojego dzbana! Oznaczało to, że gdzieś powyżej musi być otwór. Po kilku minutach poszukiwań znalazłem jednak tylko kilka ślepych korytarzy. Być może w ciągu ostatnich 300–400 lat sufit zapadł się i zamknął otwór. Choć moi towarzysze świecili do mnie z dołu, nie mogąc doczekać się mojego powrotu, postanowiłem sprawdzić jeszcze jedno miejsce o głębokości zaledwie pięciu metrów. Podpłynąłem bliżej i spojrzałem w górę. Byłem pewien, że wśród kamieni i głazów dojrzałem blask słońca prześwitujący przez maleńki otwór o średnicy trzech centymetrów! Potem pęcherzyki powietrza z mojego automatu uderzyły w szlam wokół otworu, który zniknął za zasłoną błota.

Brnęliśmy w górę strumienia, odpychając się płetwami od sufitu i podciągając na skałach, gdyż prąd był zbyt silny, by dało się w nim płynąć. Zbadaliśmy kolejnych 120 metrów, odkrywając następny boczny korytarz, z którego wypływała brudna woda, podobna do tej z Sewer. Za tym punktem woda robiła się bardzo czysta, a widoczność sięgała 18 metrów. Wróciliśmy, niesieni prądem, unosząc się nad pofalowanym dnem. Czuliśmy się jak na roller-coasterze, tyle że musieliśmy uważać, by nie uderzyć w skalne występy.

Po powrocie na powierzchnię opowiedziałem o otworze w suficie jaskini. Lewis ocenił to dość sceptycznie.

- Jesteś pewien, że to nie było światło odbite od pęcherzyków pod sufitem?
- Nie, jestem pewien, że to było światło słoneczne.

– Ale ten otwór ma tylko cal średnicy. Jak się tamtędy przeciśniemy?
– Rozkopiemy to.
– Rozkopiemy? – Lewis zmarszczył brwi. – Pod wodą?
– Czemu nie? – odparowałem. – Grotołazi robią to od lat. Jak myślisz, jak wyciągnęli Floyda Collinsa²¹ z Sand Cave?

– I tak już nie żył... – mruknął Court.
– Poza tym – dodał Lewis – nie mamy pojęcia, gdzie jest ten twój otwór.

Miał rację. W roku 1973 dysponowaliśmy prymitywnymi metodami badań jaskiniowych, których nie mogliśmy wykorzystać w silnym prądzie Manatee. Niepewne wskazania mojego kompasu w jaskini sugerowały, że podziemny korytarz ciągnie się w stronę odległej części parku, rozeszliśmy się więc po lesie i rozpoczęliśmy poszukiwania. Wydawało się, że zadanie jest proste: musieliśmy jedynie znaleźć mały staw. Niestety, okazało się, że las usiany jest małymi, wypełnionymi wodą zagłębieniami, podobnymi do siebie jak dwie krople wody. Większość z nich była pokryta rzęsą wodną, gęstą pływającą rośliną, która upodabniała ich powierzchnię do jasnozielonego dywanu. Pod rzęsą kryło się jednak rzadkie błocko, a nie lazuruwa woda z głębi jaskini.

Straciliśmy już niemal wszelką nadzieję, gdy nagle usłyszałem krzyk Lewisa. Przedarłszy się przez karłowate palmy i dęby, zobaczyłem go stojącego na brzegu jednego z zarośniętych rzęsą stawów, z patykiem w dłoni.

– Spójrz na to – powiedział, odgarniając patykiem warstwę roślinności. Woda była błękitna!

Dwa dni później ponownie zanurkowaliśmy z Danem i Courtem w Sue's Spring, by poszerzyć otwór od dołu. Kiedy zostało nam już tylko 60 metrów do nowego wejścia, drugi stopień Dana zaczął przeciekać i musieliśmy przerwać nurkowanie. Rankiem 24 marca przez dwie godziny nurkowałem na bezdechu z powierzchni stawu, próbując bez żadnego sprzętu poszerzyć otwór. Był on bardzo wąski – po wszystkich moich staraniach mierzył tylko metr średnicy – i pracowałem sam. Court, Lewis i Dana siedzieli na brzegu i gawędzili wesoło, podczas gdy ja wynosiłem na powierzchnię kamienie, patyki i pnie drzew, a wszystko to w wodzie o temperaturze 23 stopni Celsjusza. Za każdym razem, gdy wynurzałem się z wody, by wręczyć moim pomocnikom kolejny kawałek drewna, atakowały mnie chmary żarłocznych komarów. Większość z nich jakby instynktownie wiedziała, że ma mierzyć dokładnie między moje łopatki, w jedyne miejsce, którego nie mogłem dosięgnąć.

– Ten ostatni komar był taki wielki, że mógłby cię porwać ze sobą – zauważył Court, polewając się obficie płynem odstraszającym owady.

– Zrobiłby to, ale już godzinę temu uszły ze mnie resztki krwi.

Usiadłem na brzegu, czekając, aż poruszony przeze mnie szlam opadnie na

dno, bym mógł ocenić, czy moje cierpienia przyniosły owoce. Cały byłem oblepiony śliską rzęsą wodną.

Lewis zaciągnął się w zamyśleniu dymem ze swojej fajki.

– Kiedy tarzałeś się tam w dole w błocie, przeprowadziliśmy głosowanie. Ustaliliśmy, że jeśli nie wrócisz, nazwiemy to miejsce Exley Sink na twoją cześć.

Uśmiechnąłem się i spojrzałem ponownie na błoto i szlam.

– Nie. Nawet takie paskudne miejsce zasługuje na lepszą nazwę. Nazwijmy je Friedman Sink, bo to Bob jako pierwszy badał to miejsce. No dobrze, a teraz pożycz mi latarkę.

Wziąłem głęboki oddech i zanurkowałem w stronę wąskiego przejścia. Na głębokości pięciu metrów promień latarki odsłonił wielką salę rozciągającą się pod dnem. Wróciłem na powierzchnię.

– Gotowe.

W ciągu następnych dwóch lat badaliśmy coraz odleglejsze części głównego korytarza, dochodząc do 756 metrów od Friedman Sink. Podczas niektórych nurkowań towarzyszyli nam Paul DeLoach, Tex Chalkley, Bob Goodman i Kirby Sullivan. Odkryliśmy dwie sale o średnicy 18 metrów. W jednej z nich znajdowała się olbrzymia kolumna o średnicy półtora metra. Tuż za Pillar Room (Sala Filaru) tunel podnosił się na głębokość zaledwie 10 metrów, a potem ponownie opadał do poziomu 27 metrów, zamieniając się w dwie pochylnie, które nazwaliśmy Slippery Dips (Śliskie Spady). Silny prąd sprawiał, że dalsze badanie było niezwykle trudne i męczące. Postanowiliśmy poczekać, aż pobliska rzeka Suwannee wyleje i spowolni nieco nurt w źródłisku.

Tymczasem badaliśmy pobliskie Devil's Eye, aż 20 kwietnia 1975 roku dotarliśmy do punktu oddalonego 1007 metrów od wejścia. Głębokość i rozmiary Devil's Eye były niemal takie jak Manatee, ale dzięki słabszemu nurtowi mogliśmy zastosować technikę zostawiania depozytów, czyli nurkowanie z dodatkowymi butlami (wymyśliłem tę technikę w 1970 roku, kiedy badaliśmy Blue Springs w pobliżu Madison, na Florydzie). Depozyty to pojedyncze butle z automatami. Kiedy już zużyjemy jedną trzecią zawartego w nich powietrza, zostawiamy je i przełączamy się na twinsety, które nosimy na plecach. Po zużyciu jednej trzeciej powietrza z setek zawracamy. W drodze powrotnej zabieramy dodatkowe butle, dzięki czemu zawsze mamy w zapasie dwie trzecie powietrza na powrót. Początkowo po prostu nosiliśmy je, ale Court wymyślił system podczepiania dodatkowej butli pod brzuch i klatkę piersiową, co w efekcie uwalniało ręce nurka, jego ciało zaś było bardziej opływowe.

Powodzie dość duże, by spowolnić nurt Manatee, zdarzają się tylko kilka razy na dekadę. Okres spowolnienia trwa tylko dwa, najwyżej trzy tygodnie. Jeden z

takich okresów przypadł na wiosnę 1975 roku. Court, Lewis i ja zanurkowaliśmy 3 maja we Friedman, by sprawdzić warunki, i przekonaliśmy się, że prąd znacznie osłabł, a widoczność się poprawiła. Zostawiliśmy po jednym pełnym depozycie dla każdego na stercie skał pomiędzy Slippery Dips, około 335 metrów od Friedman Sink.

Nazajutrz wpłynęliśmy do Friedman Sink z twinsetami na plecach i dodatkowymi pojedynczymi butlami. Oddychaliśmy powietrzem z pojedynczych butli, a dotarwszy do pozostawionych dzień wcześniej pełnych butli, zostawiliśmy je na kamieniach. Przypięliśmy wszystkie butle do poręczówki, by potem móc je znaleźć nawet w mętnej wodzie. Po sprawdzeniu, czy dodatkowe butle rzeczywiście są pełne, ruszyliśmy dalej w głąb jaskini, oddychając powietrzem z twinsetów.

Cieszyłem się, że mogę swobodnie płynąć korytarzami, przez które zazwyczaj musieliśmy się przepychać, walcząc z porywistym prądem. Widoczność przekraczała 18 metrów, dzięki czemu przedmioty widziane z większej odległości były oblane miłą dla oka, niebieską poświatą. Sześćset metrów od Friedman Sink przepłynąłem pod Big Crevice (Wielka Szczelina), wysoką na 9 metrów rozpadliną w suficie. Pokazałem Courtowi i Lewisowi, że zbliżamy się do końca liny. Dostrzegłem koniec poręczówki 6 minut później przy lewej ścianie i przymocowałem do niej początek mojej liny o długości 180 metrów. Sprawdziliśmy ciśnienie powietrza, wymieniliśmy sygnały „OK”, po czym ruszyliśmy dalej.

Korytarz miał około 6 metrów szerokości i 3 metry wysokości, przez pewien odcinek wznosił się ponad piaszczystymi hałdami i stertami kamieni, osiągając głębokość 18 metrów, po czym opadał ponownie do 21 metrów, wychodząc na płaską, piaszczystą równinę. Przez całą szerokość równiny ciągnął się skalny uskoki wysoki na 120 centymetrów. W tym miejscu jaskinia zakreślała raptownie w lewo pod kątem 90 stopni. Dno jaskini zaczęło się zmieniać, coraz częściej spod warstwy gliny, piasku i kamieni przebierało skalne podłoże.

Moja lina skończyła się trzydzieści metrów dalej, zacząłem więc ją przywiązywać do ściany. Ktoś poświecił na mnie latarką, odwróciłem się i dojrzałem znajomy błysk w oku Lewisa. Pokazał mi swój kołowrotek z 180 metrami liny. Nigdy nie dodawaliśmy podczas pojedynczego nurkowania więcej niż 180 metrów poręczówki. Spojrzałem na manometr. Do dwóch trzecich zapasu zostało mi jeszcze sporo powietrza, pokazałem więc Lewisowi „OK” i podsunąłem mu koniec mojej liny. Mój towarzysz powiązał oba końce, umocował poręczówkę na skalnym występie i ponownie ruszył w głąb jaskini. Nurkowie jaskiniowi trzymają się zwykle zasady, która nakazuje stopniowo badać jaskinie poprzez dodawanie kolejnych odcinków. W ten sposób powoli

oswajają się z nowym terenem, jego ukształtowaniem i charakterystycznymi cechami, co pomaga odnaleźć drogę powrotną i minimalizuje stres wywołany konfrontacją z nieznanym. Tom Mount, który pomagał badać Devil's Eye i Blue Springs w pobliżu Madison, często powtarzał, że idealna odległość, o jaką można powiększyć eksplorację jaskini w ciągu jednego nurkowania, wynosi 60 metrów. Nasz zespół często przekraczał tę wielkość, teraz jednak powiększył ją ponad trzy razy. Wkrótce do tego stresu doszła świadomość, że przekraczając dystans 1007 metrów, odpłynęliśmy od zapasów powietrza dalej niż ktokolwiek w historii nurkowania jaskiniowego. By zwalczyć narastający niepokój, spoglądałem co chwilę na manometr i nuciłem w myślach odprężającą melodię o adekwatnym do sytuacji tytule „Fool on the Hill”²² (Głupiec na wzgórzu).

Lewis wsunął się 60 metrów dalej do przewężenia o długości metra. Unosząca się za nim chmura ceglatego szlamu ograniczała widoczność do kilku metrów. Court obejrzał się na mnie, wzruszył ramionami i popłynął za Lewisem. Prąd w przewężeniu był dość silny, musiałem więc odpychać się płetwami od sufitu. Pokonując ciasne przejście, pomyślałem, że gdyby nurt płynął z normalną siłą, nie byłbym w stanie tego dokonać. Za przewężeniem korytarz ponownie się rozszerzał, a woda robiła się przejrzysta. Court, wykazując godną pochwały roztropność, poczekał na mnie, Lewis jednak popłynął 15 metrów dalej podekscytowany odkryciem dziewiczej jaskini i ustanowieniem nowego rekordu. Prowadził nas jeszcze 90 metrów przez korytarz mierzący 9 metrów szerokości i 3 metry wysokości, po czym zatrzymał się pod wysoką na 6 metrów kopułą, nie miał już bowiem więcej liny.

Court, który nie chciał być gorszy od nas, wyjął szybko swój kołowrotek z liną, umocował ją i popłynął w nieznaną. Lewis płynął tuż za nim, niemal deptając mu po piętach. Dołożyliśmy już 365 metrów nowej liny! Rozsądek podpowiadał mi, że jesteśmy całkiem bezpieczni, bo wciąż zostało nam sporo ponad dwie trzecie zapasu powietrza, emocje nie chciały jednak słuchać głosu rozsądku. Znowu musiałem zmagać się ze strachem, który próbował podnieść moje tętno i tempo oddychania. Starłem się nie myśleć o coraz większej odległości i nieznanym, skupiając uwagę raczej na fascynującym wnętrzu jaskini, pięknych błękitnych panoramach i coraz to nowych interpretacjach melodii „Fool on the Hill”.

Korytarz dwukrotnie skręcał pod kątem prostym, najpierw w lewo, potem w prawo; w końcu Lewis poświecił latarką na Courta, a potem wskazał na swój manometr. Zużył już jedną trzecią zapasu powietrza, musieliśmy więc zawracać. Court umocował szybko linę pod skalnym przesłaniem szerokim na 3 metry, które nazwałem Arc de Triomphe (Łuk Triumfalny), po czym ruszyliśmy w drogę powrotną. Moje obawy ustępowały w miarę, jak malała odległość dzieląca nas

od dodatkowych butli, a zapas powietrza wzrastał procentowo od dwukrotnej ilości potrzebnej nam do powrotu, przez trzykrotną, aż do czterokrotnej. Niemal dwie godziny po wejściu do jaskini zabraliśmy dodatkowe butle i popłynęliśmy dalej w stronę Friedman Sink. Podczas półtoragodzinnej dekompresji w ciasnej studni wejściowej podsumowałem nasze osiągnięcia. Zbadaliśmy dodatkowych 449 metrów tunelu, oddalając się od Friedman Sink na rekordową odległość 1206 metrów. Było to naprawdę emocjonujące nurkowanie, pozostał jednak pewien niedosyt.

Zawsze pozostaje.

Podczas następnego weekendu umieściliśmy dodatkowe butle w odległości 580 metrów od wejścia, a 11 maja wróciliśmy całą trójką do Arc de Triomphe, by zbadać dalszą część jaskini. Mieliśmy nadzieję, że uda nam się wykonać pierwsze w historii nurkowanie o długości ponad 1524 metrów, nim jednak rozwinąłem pierwszych 60 metrów swojej poręczówki, Court z niewiadomych przyczyn poświecił na mnie latarką. Zazwyczaj był najmniej zachowawczy spośród wszystkich moich partnerów nurkowych, teraz jednak przerwał nurkowanie tylko ze względu na złe przeczucia. Court nie jest szczególnie przesądny, przypuszczam więc, że ogarnął go ten sam lęk, który odczuwałem tydzień wcześniej. Nadmierny niepokój może ograniczyć sprawność nurka i utrudnić właściwe działanie w sytuacji kryzysowej, bez namysłu więc ruszyliśmy w drogę powrotną, chwając w duchu roztropność Courta. Zawsze można przecież nurkować następnego dnia.

Prawie zawsze. W ciągu następnego tygodnia woda w rzece opadła, a prąd w Manatee Springs Cave System znów popłynął ze swoją normalną siłą. W ciągu następnych kilku lat dalsze badanie tych jaskiń było niemożliwe, ze względu zarówno na zmianę polityki zarządu parku ograniczającą dostęp do Friedman Sink, jak i niewystępowanie powodzi, które zwolniłyby w wystarczającym stopniu nurt wody w jaskini. W tym czasie Paul DeLoach, Dale Sweet, John Zumrick, Mary Ellen Eckhoff i ja wykonywaliśmy długie nurkowania w Hole in the Wall (Dziura w Ścianie) i Blue Springs (Niebieskie Źródła) w pobliżu Marianny, na Florydzie. Każdy z nas korzystał wówczas z twinsetów i dwóch butli dodatkowych. Wkrótce zaczęliśmy wykonywać nurkowania złożone nie tylko z dwóch, ale także z trzech, a potem czterech dodatkowych etapów, co oznaczało, że przed właściwym, ostatecznym nurkowaniem, musieliśmy wcześniej nurkować kilkakrotnie na coraz większe odległości, by zostawić w miejscach przestankowych dodatkowe butle.

Na początku 1979 roku Dave Manor i Lewis Henkel uzyskali w tajemnicy pozwolenie na wejście do Friedman Sink i zanurkowali na odległość 1622 metrów. Wyprawa ta kosztowała ich tyle wysiłku, że przez kilka miesięcy nie

wracali po dodatkowe butle, ryzykując, że ulegną uszkodzeniu lub ktoś je ukradnie. Pożyczony kołowrotek został na dnie, 1622 metry od wejścia, jako pamiątka dla potomnych. „Nikt więcej nie dopłynie na tę odległość” – powiedział Henkel właścicielowi kołowrotka.

Wieści o tym nurkowaniu i ponownym otwarciu Friedman Sink wkrótce dotarły do innych nurków. W 1981 roku Paul DeLoach, Clark Pitcairn, Mary Ellen Eckhoff, John Zumrick i ja zbadaliśmy znaczną część leju krasowego Big Dismal Sink w pobliżu Tallahassee i dotarliśmy na odległość 1782 metrów, korzystając ze skuterów. Urządzenia te, przypominające kształtem torpedy, pozwoliły nam zaoszczędzić czas podczas rozkładania dodatkowych butli na trasie czteroetapowego nurkowania oraz pomogły poradzić sobie ze zwiększoną głębokością nurkowania (41 metrów). Niestety, skutery nie były dość mocne, by poradzić sobie z rwącym nurtem Manatee Springs Cave System. Nie mogliśmy też czekać na powódź wystarczająco dużą, by prąd znacząco osłabł. Czasami przerwy między kolejnymi powodziami trwały dłużej niż trzy lata, a dwutygodniowy okres spowolnienia był zbyt krótki, byśmy zdążyli wykonać wszystkie nurkowania potrzebne do rozłożenia dodatkowych butli. Musieliśmy znaleźć inny sposób na zneutralizowanie przeciwnego prądu w Manatee.

Podczas nurkowań w 1979 roku w Blue Springs w pobliżu Marianny eksperymentowałem z nową techniką, którą John Zumrick nazwał czołganiem. Technika ta, daleka od pełnych wdzięku ruchów wykonywanych podczas pływania, różni się od pełzania jedynie tym, że zamiast na kolanach nurek musi opierać nogi na czubkach płetw, by nie ciągnąć po dnie przyczepionych pod brzuchem dodatkowych butli. Niestety, poruszając się w ten sposób, nurek podnosi z dna tyle szlamu, że jego partnerzy z tyłu mają bardzo ograniczoną widoczność. Rozwiązaliśmy ten problem, przemieszczając się po jaskini w zwartym szeregu (jeden obok drugiego), a nie gęsiego, jak to zwykle czynią zespoły nurkowe. Optymalnie zespół czołgających się nurków powinien liczyć dwie osoby, gdyż przy większej liczbie, nawet w szerokich przejściach, pozostali nurkowie mogą stracić kontakt z poręczówką.

Wraz z Billem Mainem²³ wykonałem 26 lipca 1981 roku pierwsze długie nurkowanie w Friedman Sink. Oprócz problemów z nurkowaniem i dekompresją opisanych na początku tego rozdziału nurkowanie przebiegło całkiem dobrze. Trzymając się poręczówki Manora i Henkela, przeszliśmy przez trzy ciasne przewężenia w odległości 1310, 1325 i 1370 metrów od wejścia, w odległości 1463 metrów zeszliśmy na dno studni o głębokości 365 cm, a w odległości 1622 metrów znaleźliśmy porzucony kołowrotek. Potem pokonaliśmy kolejnych 179 metrów, odkrywając następną studnię i dziwne formacje skalne, w tym olbrzymi wydrążony w środku gład przypominający słonia. Co równie istotne, opisaliśmy

dokładnie wszystkie nasze odkrycia oraz jaskinie zbadane przez Manora i Henkela i nanieśliśmy je na mapę, którą przygotowywałem dla personelu parku.

Podczas nurkowania korzystaliśmy z dodatkowych butli aż w pięciu miejscach, wcześniej trzeba było wykonać dwa nurkowania przygotowujące poszczególne etapy. Planując kolejne nurkowanie w ramach tej samej ekspedycji, zrozumieliśmy, że największym problemem będzie przetransportowanie butli potrzebnych do ostatniego etapu (położonych najdalej od wejścia). Aby uniknąć długich nurkowań przygotowawczych, zaczęliśmy zostawiać najdalsze pełne depozyty podczas zwykłych nurkowań, chyba że w sytuacji awaryjnej były nam potrzebne w drodze powrotnej. Ze względu na tę właśnie praktykę i silny nurt w Manatee częste przeglądy naszego sprzętu stały się koniecznością. Na szczęście Bill należy do tych nielicznych osób, które potrafią naprawić niemal wszystko i mają dość energii, by to robić.

Podczas następnego weekendu próbowaliśmy wykonać kolejne długie nurkowanie, lecz Bill czuł się wyjątkowo zmęczony już po 600 metrach i przerwał nurkowanie. Spróbowaliśmy ponownie 8 sierpnia, znów korzystając z sześciu dodatkowych butli rozłożonych na trasie nurkowania (oprócz tego mieliśmy na plecach swoje twinsety z 5600 litrami powietrza). Tym razem udało nam się dołożyć kolejnych 290 metrów i dotrzeć na odległość 293 metrów. Co dziwne, cała ta część jaskini zmierzała na południe, a nie jak pozostałe odcinki korytarza na południowy wschód. Zamocowaliśmy poręczówkę przy rozwidleniu tuneli. Czy ta jaskinia nie miała końca? Kolejne nurkowania robiły się wyjątkowo nużące, trwały ponad siedem godzin, z czego cztery zajmowała dekompresja. Nietypowe tabele dekompresyjne, których używaliśmy do obliczenia długości i głębokości przystanków dekompresyjnych, nie były należycie zbadane i tak wiarygodne jak tabele przeznaczone do krótszych nurkowań. Do tego dochodziło zimno. Podczas przystanku dekompresyjnego na głębokości trzech metrów, w ciasnej, mierzącej metr średnicy studni wejściowej we Friedman Sink praktycznie nie mogliśmy się poruszać. Choć żartowaliśmy sobie z Billem, że podczas dekompresji powinniśmy tulić się do siebie, w rzeczywistości po siedmiu godzinach pobytu w wodzie o temperaturze 23 stopni Celsjusza zarówno nasze ciała, jak i umysły były odrętwiałe. Czytaliśmy pod wodą tanie książki w miękkiej oprawie, by oderwać się od rzeczywistości i nie oszaleć z nudów podczas dekompresji.

Do tego dochodziły kwestie finansowe i problemy logistyczne. Podczas jednego nurkowania każdy z nas potrzebował ponad dwunastu butli i zaworów, więcej niż zwykle można dostać w jednym sklepie nurkowym. Obaj zainwestowaliśmy w sprzęt grube tysiące dolarów, a mimo to musieliśmy jeszcze pożyczać lub wynajmować dodatkowe elementy. Często trzeba było też

naprawiać automaty dodatkowych butli, które ulegały uszkodzeniu, gdy ciągnęliśmy je przez muł lub uderzaliśmy nimi o skały. Glony i bakterie niszczyły również gumowe części sprzętu.

Pewnego wieczoru zadzwonił do mnie Bill.

– Sheck... – zaczął – ...omówiłem to wszystko z Jane i stwierdziłem, że nie chcę brać udziału w następnym nurkowaniu.

Byłem zaskoczony, bo podczas naszego ostatniego nurkowania, na odległość 2093 metrów, to Bill rozwijał ostatni fragment poręczówki, a ja dałem sygnał do odwrotu. Uważam, że nie należy namawiać ludzi do nurkowania, ale ta sytuacja była wyjątkowa. Bill to jeden z naszych najlepszych nurków, a przy tym zainwestował dużo w projekt Manatee.

– Jesteś pewien? Jeśli brakuje ci butli albo automatów, może uda mi się coś wykombinować.

– Dzięki, ale nie – roześmiał się. Wszyscy wiedzieli, że moje zawory wyglądają zazwyczaj żałośnie, podczas gdy sprzęt Billa, urodzonego perfekcjonisty, zawsze był czysty i lśniący. – Może zanurkujesz z Clarkiem? Pomogę wam, jak tylko będę mógł.

Clark Pitcairn jest jednym z najlepszych nurków jaskiniowych, silnym i zdeterminowanym, a przy tym bardzo spokojnym i znającym się na rzeczy. Jego dodatkowym atutem jest młodość – jest o ponad 10 lat młodszy zarówno ode mnie, jak i od Billa. Gdyby mieszkał na Florydzie, a nie w Pensylwanii, pobiłby wszystkie rekordy odległości i głębokości. Clark wniósł już sporo do naszego projektu, pożyczając mi automaty i butle, które napełniał za darmo powietrzem w swoim sklepie nurkowym w Jacksonville.

W weekend 16 sierpnia zainstalowaliśmy dodatkowe butle, a 22 sierpnia wykonaliśmy nurkowanie o długości 1173 metrów, by wymienić butle położone w większej odległości od wejścia. Nurkowania przygotowawcze miały też na celu oswoić Clarka z jaskinią i naszą techniką czołgania na płetwach. Na szczęście podczas ostatniego nurkowania zabraliśmy z Billem pełne butle i zostawiliśmy je w odległości 1432 metrów, na początku ostatniego, najdalszego etapu, nie musieliśmy więc ich teraz wymieniać. Wieczór 22 sierpnia spędziliśmy nad mapą, starannie analizując nasze plany i wszystkie „a co, jeśli”. A co, jeśli szlam ograniczy widoczność w jaskini? A co, jeśli nie znajdziemy dodatkowych butli? A co, jeśli któryś z automatów się zepsuje? Manatee Springs to piękna jaskinia, nie dość jednak piękna, by w niej umierać. Musieliśmy opracować i zapamiętać niezawodne procedury, które pozwoliłyby nam poradzić sobie w każdej, najmniej nawet prawdopodobnej sytuacji.

Nazajutrz weszliśmy do wody wczesnym rankiem, by uniknąć palącego, południowego słońca i opuścić park przed wieczorem, zanim zostanie

zamknięty. Pod grube suche pianki włożyliśmy trzy warstwy wełny. Pot, który wsiąkał w wełnę, gdy szliśmy do wody, później stygnął, przez co podczas nurkowania traciliśmy sporo ciepła, należało więc zminimalizować ten efekt. Nie mogliśmy też pozwolić sobie na luksus będący udziałem nurków korzystających ze zwykłych pianek, którzy mogli sikać prosto w swój skafander. Clark skorzystał z zewnętrznego cewnika Paula DeLoacha, ze zbiornikiem przymocowanym do wewnętrznej części uda. Liczyłem na swój pojemny pęcherz i siłę woli.

Przed każdym dużym nurkowaniem nurek przeżywa mniejszy lub większy stres. Niektórzy nie mogą spać, inni próbują rozładować zdenerwowanie, dużo mówiąc, opowiadając żarty itp. Ja nigdy nie miałem problemów ze snem, ale znany jestem z tego, że robię się gadatliwy. Tym razem było jednak inaczej. Przygotowywaliśmy się w całkowitym spokoju, bez żartów i przekomarzań; głowy mieliśmy zaprzątnięte myślami o różnych szczegółach nadchodzącego nurkowania. Raz czy dwa oderwałem się od tych rozmyślań, gdy moje niezwykle czułe zmysły, wyostrome dodatkowo stresem, wychwyciły odległy śpiew ptaka lub piżmowy zapach lasu. Jeśli bycie żywym to stan, który można stopniować lub mierzyć, to ja osiągam najwyższy poziom tego stanu tuż przed dużym nurkowaniem.

Kiedy już znalazłem się pod wodą, mój nastrój się zmienił. Teraz byłem zwierzęciem jucznym, którego jedynym celem było przeniesienie określonej ilości sprzętu na odległość 2093 metrów, do końca liny. Mój umysł pracował teraz na luzie, a moje ręce i nogi automatycznie szukały najlepszego punktu podparcia, który pozwoliłby przesunąć moje obciążone ciało nad dnem. Dzięki poprzednim nurkowaniom instynktownie wyczuwałem już, którą częścią tunelu prowadzi najdogodniejsza droga. Inna część mojego umysłu rejestrowała podświadomie, gdzie jest Clark i co się z nim dzieje. Czułem się tak, jakby natura obdarzyła mnie nagle liną boczną, dzięki której wyczuwałem najmniejsze nawet drgania powodowane przez mego towarzysza.

Po każdym etapie automatycznie porzucaliśmy zużyte butle i zabieraliśmy świeże. Zaplanowaliśmy nurkowanie tak, że na każdym etapie mieliśmy w zapasie dwa razy więcej powietrza, niż zużyliśmy na dotarcie do tego miejsca. Gdyby któraś butla została uszkodzona, a zapas powietrza byłby mniejszy niż zakładany, natychmiast przerwalibyśmy nurkowanie.

W odległości 1622 metrów, gdzie kończyła się poręczówka Manora i Henkela, przygotowaliśmy się z Clarkiem do porzucenia ostatnich butli dodatkowych. Zostawiliśmy je na krawędzi studni o głębokości 4,5 metra, którą odkryliśmy wcześniej z Billem, po czym przełączyliśmy się na twinsety zamocowane na naszych plecach. Pozbawieni ciężaru dodatkowych butli posuwaliśmy się

teraz w świetnym tempie. Dwie godziny po rozpoczęciu nurkowania dotarliśmy do końca poręczówki Billa, 2093 metry od wejścia. W tym momencie mój umysł osiągnął najwyższy stopień skupienia i czujności. Przymocowałem swoją poręczówkę i ruszyłem w głąb korytarza po prawej stronie, którym płynął główny nurt wody. Trzydzieści metrów dalej zauważyłem kolejny otwór w lewej ścianie, co potwierdzało, że lewy korytarz stanowił tylko obejście biegnące równoległe do głównego tunelu, podobnie jak wiele innych, podobnych tuneli w całym systemie. Kierowaliśmy się teraz na wschód, a nie na południe, jak podczas naszego ostatniego nurkowania z Billem.

By nie ograniczać sobie widoczności podczas drogi powrotnej, przestaliśmy czołgać się po dnie, dotarłszy do końca starej poręczówki, i zaczęliśmy stosować mniej efektywne i bardziej męczące techniki, które jednak nie podnosiły z dna takiej ilości szlamu. Odetchnąłem z ulgą, gdy w odległości 2194 metrów wpłynęliśmy do większej jaskini. Tu prąd znacznie osłabł. Niestety, sufit tego obszernego korytarza, ciągnącego się niemal w linii prostej na długości 120 metrów, pokryty był miękkim, jasnym materiałem, który opadał za nami niczym śnieg, poruszony pęcherzykami powietrza z naszych automatów.

Kiedy dotarliśmy na 2225 metrów, skończyła mi się lina, Clark przywiązał więc swoją. Płynął tak szybko, że ledwie za nim nadążałem. W odległości 2316 metrów Snow Tunnel (Śnieżny Tunel) zamknął się wysoką stertą głazów i kamieni. Clark wcisnął się w wąski, błotnisty otwór, który natychmiast wypełnił się chmurą szlamu. Przez kilka następnych minut sprawdzaliśmy wszystkie szczeliny i otwory między głazami: z większości wypływała woda, wszystkie były jednak zbyt małe, by się przez nie przecisnąć. Clark przymocował linę w pierwszym z otworów, w odległości 2336 metrów, po czym obaj zaczęliśmy badać jaskinię. Ponieważ zaplanowaliśmy nurkowanie na 2438 metrów, mogliśmy w drodze powrotnej dokładnie obejrzeć wszystkie boczne korytarze Snow Tunnel. Żaden nie miał więcej niż kilka metrów długości. Powoli zaczęło do nas docierać, że przepłynęliśmy całe Manatee. Niezdobyte w końcu uległo.

Płynąc z prądem, dotarliśmy ze Snow Tunnel do Friedman Sink w ciągu półtorej godziny. Podczas czterogodzinnej podróży każdy z nas wykorzystał dziewięć butli. Później musieliśmy się poddać pięciogodzinnej dekompresji, do której każdy z nas potrzebował kolejnych pięciu butli. Kiedy w końcu wróciliśmy na powierzchnię, byliśmy bardzo zadowoleni z naszego osiągnięcia, ale mieliśmy też poczucie straty. Wiedzieliśmy, że nie będzie już następnych wypraw do Manatee Springs Cave System, że nie poczujemy już dziwnej, lecz serdecznej więzi łączącej nurków z ogromną, dziewiczą jaskinią.

¹⁸ Jeden z najsławniejszych, a zarazem najbardziej tajemniczych nurków jaskiniowych na świecie.

Nurkował od 14. roku życia (sam robił sobie kombinezony), zasłynął z wielu niezwykłych nurkowań, m.in. w Fontaine de Vaucluse we Francji w 1981 i 1983 roku (odpowiednio 143 metry i 205 metrów). Jest również niezwykle utalentowanym konstruktorem i wizjonerem. Dzięki ogromnemu doświadczeniu poznał doskonale fizjologię człowieka związaną z głębokim nurkowaniem, co pozwoliło mu stworzyć programy komputerowe obliczające dekompresję w złożonych nurkowaniach. Zbudował niezwykle zaawansowany technicznie aparat nurkowy Speleo Twin-Rebreather (podobne konstrukcje pojawiły się dopiero kilka lat później). Co ciekawe, całą swoją działalność prowadził samodzielnie, a większość szczegółów zachował dla siebie. Jego kariera nurkowa została przerwana w 1989 roku, kiedy w wyniku awarii głębościomierza wykonał przystanek dekompresyjny na głębokości 25 zamiast 40 metrów. Został natychmiast sparaliżowany od pasa w dół, zdołał jednak wypłynąć. Umieszczony w komorze dekompresyjnej odzyskał chwilowo władzę w nogach, jednak w wyniku błędów w leczeniu został ponownie sparaliżowany, tym razem na trwałe. Ma jednak nadzieję, że kiedyś wróci jeszcze do nurkowania.

¹⁹ Mieszanka tlenu i helu nazywana inaczej helioksem. Heliox pojawił się w nurkowaniu jaskiniowym w 1975 roku. Po pierwszym nurkowaniu na 80 metrów konwulsje wywołane zatruciem tlenowym podczas dekompresji na głębokości 12 metrów zabiły doświadczonego nurka jaskiniowego Lewisa Holtzina. Jego partner, Court Smith, przeżył. W 1980 roku Dale Sweet wykorzystał heliox do rekordowego nurkowania na głębokość 110 metrów w jaskini Die Polder #2. Choć pół roku później Sheck Exley wykonał takie samo nurkowanie na sprężonym powietrzu, społeczność nurkowa zaczęła dostrzegać i doceniać mieszanki gazowe. W 1981 roku Jochen Hasenmayer zszedł w Vaucluse na głębokość 143 metrów, używając właśnie helioksu. Był to nowy rekord świata w nurkowaniu z akwalungiem. Dwa lata później Hasenmayer wykonał kolejne rekordowe nurkowanie na helioksie, tym razem osiągając głębokość 205 metrów.

²⁰ Hernando de Soto (1496 lub 1500 – 21 maja 1542) – hiszpański, żeglarz, odkrywca i konkwistador, pierwszy Europejczyk, który zbadał Florydę. Prowadzona przez niego wyprawa, która bezskutecznie poszukiwała złota i bogatych cywilizacji podobnych do meksykańskich i południowoamerykańskich, zakończyła się fiaskiem, a sam de Soto zmarł na żółtą febrę i został pochowany nad brzegiem rzeki Missisipi, której był odkrywcą.

²¹ William Floyd Collins (1887–1925), sławny grotolaz, jeden z amerykańskich pionierów badań jaskiniowych. Trzydziestego stycznia 1925 roku, podczas eksploracji nowego wejścia do systemu jaskiń, który obecnie jest jedną z atrakcji turystycznych Kentucky, Collins utknął w wąskim zacisku, 17 metrów pod ziemią. Akcja ratunkowa była relacjonowana na bieżąco w mediach, stając się międzynarodową sensacją, pierwszą tego rodzaju w XX wieku. Po czterech dniach akcji, podczas których Collinsowi dostarczano jedzenie i picie, korytarz wejściowy zawalił się, a ratownicy mogli nawiązać z Collinsem tylko kontakt głosowy. Grotolaz umarł dziesięć dni później z wyziębienia i głodu, trzy dni przed tym, jak ponownie dotarli do niego ratownicy. Jego ciało wydobyto dwa miesiące później.

²² Piosenka zespołu „The Beatles”, skomponowana i śpiewana przez Paula McCartneya, nagrana w 1967 roku na albumie „Magical Mystery Tour”.

²³ Bill „Hogarth” Main był twórcą konfiguracji hogartiańskiej (nazwa od pseudonimu Maina nawiązującego do drugiego imienia malarza brytyjskiego Williama Hogarta Maina). Konfiguracja hogartiańska to inaczej konfiguracja sprzętu nurkowego, który choć ograniczony do minimum, spełnia wszystkie normy bezpieczeństwa i umożliwia długie nurkowania, zapewniając jednocześnie pełną swobodę ruchów.



Wybór zdjęć ślubnych oraz zdjęcie Katedry



Sheck i Mary Ellen



Sheck gotów do głębokiego zejścia

ROZDZIAŁ 11

Odwieczne wyzwanie

W

nętrze jaskini wypełniło się ogłuszającym hukiem. Trzęsienie ziemi! – krzyknęło coś w mojej głowie. Potężny łoskot, wzmocniony 42 metrami otaczającej nas wody, sprawiał wrażenie, że cała jaskinia rozpada się na drobne kawałki i za chwilę runie nam na głowy. Skuliłem się, oczekując lawiny setek ton wapienia, po czym instynktownie skierowałem skuter w miejsce odległe od centrum jaskini, gdzie prawdopodobieństwo trafienia byłoby największe. Później uświadomiłem sobie, że nie ma tu miejsca bezpiecznego, i zrezygnowany postanowiłem czekać w bezruchu na rozwój wypadków. Spodziewałem się, że w najlepszym razie za chwilę dosięgnie nas chmura szlamu wzniesiona przez kamienie osuwające się w innym miejscu tunelu, co i tak oznaczałoby, że zostalibyśmy na zawsze uwięzieni w wypełnionym wodą grobowcu. Odwróciłem się do mego towarzysza, Paula DeLoacha, a nasze spojrzenia skrzyżowały się na moment. Wydawał się spokojny, jak zawsze, marszczył jednak brwi, zaintrygowany dziwnym hałasem.

Po kilku minutach, które zdawały się godzinami, łoskot ucichł. Paul przywiązał naszą poręczówkę w odległości 755 metrów od wejścia do jaskini Suwanacoochee Spring na Florydzie. Entuzjazm towarzyszący nam przy wejściu do tego nowego, kuszącego korytarza zdecydowanie przygasł. Uradowani, że wciąż żyjemy, ruszyliśmy w drogę powrotną, nie napotykając żadnej chmury szlamu ani skalnego zwaliska, którego tak się obawiałem. Dopiero gdy wróciliśmy na przystanek dekompresyjny na głębokości sześciu metrów i rozgrywaliśmy tradycyjną partię podwodnych warcabów, uzmysłowiłem sobie, co właściwie mogło być źródłem ogłuszającego hałasu i napisałem na tabliczce: Pociąg?

Wróciwszy na powierzchnię, zasięgnęliśmy języka w pobliskiej stacji inspekcji rolniczej: „Tak, 8.05 był o czasie”. Analizując informacje zebrane podczas nurkowania, przekonaliśmy się, że płynęliśmy dokładnie pod torami linii kolejowej Seaboard Coast Line Railroad, od której dzieliła nas tylko 52-metrowa skała. Niestety, przekonaliśmy się również, że tunel zmierza na północny zachód, oddalając się od gigantycznego systemu jaskiń Cathedral-Falmouth, choć mieliśmy nadzieję, że właśnie tam nas zaprowadzi. Wraz z Clarkiem Pitcairnem połączyłem niedawno jedyny pozostały tunel Suwanacoochee z pobliskim Edward Spring, gdzie woda była znacznie cieplejsza niż w Cathedral (Katedra), mogliśmy już całkiem porzucić myśl o znalezieniu połączenia z tą wspaniałą jaskinią. Pozostał nam tylko mocno spleciony system korytarzy przechodzących pod dwiema dużymi rzekami

(Suwannee i Withlacoochee), trzema hrabstwami rolniczymi Florydy oraz linią kolejową Seaboard Coast Line Railroad.

* * *

Sylwestra 1970 roku spędziłem w taki sam sposób, jak 20 spośród dwudziestu jeden poprzednich: doczekawszy północy w podwodnej jaskini. Następnego ranka, po późnym śniadaniu w Live Oak na Florydzie, rozmawiałem z Carlem Fowlerem o planach nurkowych na resztę dnia.

– Może Devil’s Eye? – zaproponowałem.

Carl zerknął na zegarek.

– No nie wiem – mruknął. – To ponad godzinę drogi stąd, a zanim skończylibyśmy nurkowanie, zrobiłoby się późno i znów zarwalibyśmy noc.

– Hm, Madison Blue nie wchodzi w grę, bo nurkowaliśmy tam wczoraj. A co z Little River?

– Wszystko jedno. Mam już dość tego miejsca.

Wyjąłem z papierowej tuby dwie poplamione kawał mapy topograficzne i rozłożyłem je na stole.

– Słyszałeś kiedyś o Falmouth Springs?

Carl ugryzł kawałek tost z dżemem.

– Jasne. Na mojej mapie samochodowej wymieniają to jako atrakcję turystyczną, obok Silver Springs i Wakulla.

– Zgadza się. To jakieś pięć kilometrów od Suwannee, na zachód stąd.

– Pięć kilometrów od rzeki? – Carl zmarszczył brwi. – To chyba nic wielkiego, skoro jest tak daleko. Większość tutejszych jaskiń zwykle nie leży dalej niż osiemset metrów od rzeki.

Uśmiechnąłem się.

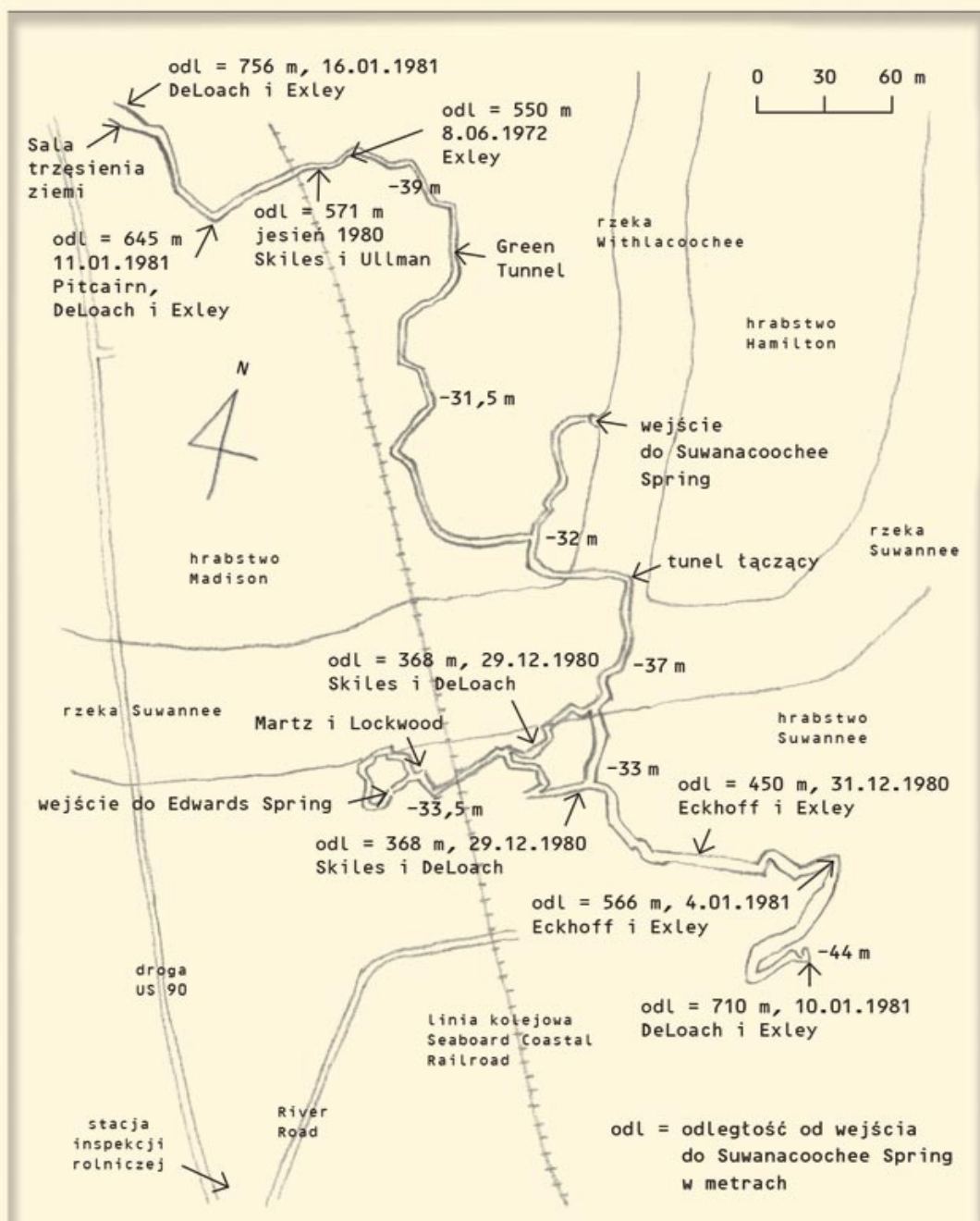
– To właśnie jest w tym najciekawsze. Falmouth płynie po powierzchni jakieś sto metrów i dopiero potem wraca pod ziemię, a z badań geologicznych wynika, że przepływ jest większy niż w jakimkolwiek innym źródłisku w północnej części Florydy. Ba, niektórzy nazywają Falmouth „najkrótszą rzeką świata”.

Carl odłożył tost i pochylił się do przodu.

– Więc musi tam być ogromna jaskinia. Co nas tu jeszcze trzyma?

– Psy i drut kolczasty. Falmouth zostało zamknięte w 1962 roku, kiedy utopiła się tam dwójka nastolatków. Ale spójrz na to. – Przesunąłem widelcem po linii łączącej Falmouth z najbliższym odcinkiem rzeki Suwannee. Mniej więcej w połowie drogi linia przecinała małe niebieskie kółko położone obok torów kolejowych. – Myślisz, że powinniśmy to sprawdzić?

– Bez dwóch zdań.



SUWANACOOCHEE SPRING CAVE SYSTEM FLORYDA, USA

Połączony po raz pierwszy przez Pitcairna i Exleya.
Długość połączenia = 594 metry.

Po krótkiej przejażdżce przeszliśmy przez tory, niosąc ze sobą cały sprzęt, a potem przekroczyliśmy pozostałości ogrodzenia z drutu kolczastego. W jednym miejscu ogrodzenie leżało na ziemi, zasadniczo więc wkroczyliśmy na ten teren całkiem legalnie, w pobliżu nie było bowiem żadnych znaków zakazujących wstępu. Mimo to staraliśmy się iść tak, by nie było nas widać z pobliskiej drogi US 90. Liczne wypadki nurków jaskiniowych oraz związane z nimi procesy sądowe z pewnością nie robiły nam dobrej reklamy, gdybyśmy więc stanęli nagle oko w oko z właścicielem posiadłości, nie skończyłoby się zapewne na prośbie o opuszczenie terenu.

– Całkiem duży ten lej – stwierdził Carl, podziwiając owalny staw o długości 45 metrów.

– Może nazwiemy go Fowler Sink (Lej Fowlera) – zaproponowałem.

Carl uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Jak dla mnie, brzmi całkiem nieźle.

Choć woda miała zielonkawo-niebieski odcień, widoczność wynosiła zaledwie półtora metra. Przywiązawszy poręczówkę do pnia leżącego tuż pod powierzchnią, opuściłem się powoli na głębokość kilku metrów, uważając, by nie nabić się na gałęzie licznych drzew leżących w wodzie. Wyglądało na to, że lej ma formę dwóch pionowych, wydrążonych w wapieniu studni o średnicy 20 metrów każda, połączonych ze sobą jedną ścianą. Woda była wyjątkowo zimna, co raczej wykluczało hipotezę o bezpośrednim połączeniu leja z Falmouth, w którym woda miała temperaturę 21 stopni Celsjusza. Przez pół godziny przeszukiwaliśmy ściany u podstawy studni, uchylając się jednocześnie przed gałęziami i pniakami, które spadały na nas z góry poruszone pęcherzykami powietrza z naszych automatów. W końcu dotarłem do najgłębszego punktu, położonego przy północno-zachodnim krańcu leja. Gdybym chciał zapuścić się dalej, musiałbym wpłynąć do małego otworu na głębokości 27 metrów zatkanego błotem i gałęziami. Wzdrygnąłem się, nie tylko z zimna. Nie sądzę, by ktokolwiek odważył się zapuścić w tę paskudną dziurę. Tyle zostało z naszych mrzonek o znalezieniu tylnego wejścia do Falmouth System.

Nieco później tego samego roku John Harper i Randy Hylton postanowili spróbować bardziej bezpośredniego podejścia. Stosunek Randy'ego do psów i drutów kolczastych jest jednoznaczny: „Prawdziwy mężczyzna nie pozwoli, by jakiś płot pokrzyżował mu szyki”. Nocą przejechali land-roverem Randy'ego przez las, zatrzymali się na tyłach Falmouth Springs, a potem prześliznęli przez dziurę w ogrodzeniu. Pokonawszy 800 metrów, zanurkowali w górnym wejściu do źródła. Za mierzącą 15 metrów paszczą źródła, gdzie 10 lat wcześniej utonąła dwójka nastolatków, znaleźli olbrzymi korytarz o szerokości 18–24 metrów i wysokości 3–4,5 metra. Począwszy od wejścia, położonego na

głębokości 15 metrów, dno pokryte grubą warstwą piasku i błota opadało do głębokości 36 metrów, a potem wracało do poziomu. Randy i John minęli 60 metrów wcześniej miejsce, do którego dotarli nurkowie NSS prowadzący badania jaskini w latach 1959–1962, 224 metry dalej ujrzeli srebrną poświatę księżyca wpadającą do jaskini przez szeroki otwór w suficie i przenikającą warstwę około 30 metrów wody. John nazwał to idealnie okrągłe wejście, o średnicy 15 metrów, Aquarius Sink (Lej Wodnika).

Podczas drugiego nocnego nurkowania John i Randy wyruszyli z tego właśnie miejsca i popłynęli dalej w górę źródłiska. Odkryli, że tunel zwęża się do szerokości 12–15 metrów i pnie w górę olbrzymiej hałdy piasku, by potem znów opaść do poziomu 36 metrów. Był to najszerszy podwodny korytarz, jaki odkryto kiedykolwiek w dolinie rzeki Suwannee. Zdumienie Johna i Randy’ego budził także fakt, że nie znaleźli dotychczas żadnych bocznych tuneli. Niemal wszystkie jaskinie na Florydzie są zbudowane na kształt drzewa – od krótkiego pnia w pobliżu źródłiska odchodzą coraz mniejsze gałęzki, tworzące złożony system korytarzy. W tym jednak przypadku, choć znajdowali się w odległości prawie sześciu kilometrów od najbliższego źródłiska, wciąż nie wypłynęli poza pień jaskini! Z każdym nurkowaniem byli coraz bardziej podekscytowani, w końcu jednak musieli przerwać badania w odległości 365 metrów od Aquarius Sink, obawiali się bowiem, że zabraknie im powietrza na powrót.

Przeczesywali gorączkowo lasy za Aquarius Sink, szukając innego wejścia. W końcu Randy znalazł na terenie należącym do starego kościoła owalny staw o długości około 18 metrów i dwukrotnie mniejszej szerokości, porośnięty rzęsą wodną. Położony u podstawy zagłębienia o głębokości 15 metrów i osłonięty od góry gałęziami olbrzymich orzeszników, eukaliptusów oraz starego dębu umknął uwadze geodetów i nie znalazł się na żadnej mapie. Mając świadomość, że kilka najciekawszych jaskiń na Florydzie kryje się pod podobnymi stawami, Randy zanurkował w nim na wstrzymanym oddechu. Pod warstwą rzęsy kryło się kilka pni okalających okrągły otwór o średnicy 5 metrów. Nieco dalej studnia otwierała się na olbrzymi kanion, gdzie wszystko niknęło w turkusowej otchłani.

Wróciwszy do tego miejsca z butlami, Randy i John popłynęli w dół kanionu olśnieni widokiem równoległych skalnych ścian rozstawionych w odległości 12 metrów i mierzących prawie 90 metrów długości. Kanion był równie wysoki jak dwunastopiętrowy budynek, co czyniło zeń największą jaskinię odkrytą w dolinie rzeki Suwannee. Wieńczył ją płaski sufit z najczystszej białego wapienia. Wnętrze kanionu rozświetlał szeroki strumień światła wpadający przez okrągły otwór o średnicy 5 metrów. Woda była tak czysta, że kiedy pęcherzyki powietrza z ich automatów wydrążyły otwór w warstwie rzęsy wodnej, widzieli z głębokości 40 metrów niebo i gałęzie dębu. Ze względu na

niezwykle piękno i rozmiary tego leja otrzymał on nazwę Cathedral Canyon (Katedra).

U podstawy przeciwległego krańca kanionu otwierał się tunel o szerokości 15 metrów, z silnym prądem odchodzącym od wejścia do Katedry. Sto pięćdziesiąt metrów dalej John i Randy dostrzegli koniec poręczówki, którą prowadzili od Aquarius Sink. Mierzący 521 metrów trawers między Cathedral Canyon a Aquarius Sink był drugim co do długości nurkowaniem pomiędzy wejściami dwóch różnych jaskiń.

Po raz pierwszy zanurkowałem w Cathedral Canyon 15 października 1971 roku. Jaskinia ta leży w bardzo dużej odległości od Suwannee, bardzo rzadko więc zdarza się, by ciemne wody rzeki docierały aż tutaj. Niestety, trafiłem właśnie na jedną z tych wyjątkowych okazji, kiedy to widoczność sięgająca zazwyczaj ponad 30 metrów została ograniczona do zaledwie 5 metrów. Ponieważ podczas zanurzenia widziałem tylko niewielki fragment jednej z olbrzymich ścian kanionu, sala wyjściowa wydawała mi się większa niż w rzeczywistości.

Wylądowałem na czystym dnie z piasku i kamieni, położonym na głębokości 40 metrów. Falmouth Springs wyrzucało wodę z maksymalną niemal prędkością 14 metrów sześciennych na sekundę. Ten ogromny strumień przepływa nad dnem Katedry, musiałem więc wyteńczyć wszystkie siły, by utrzymać się głazu wielkości samochodu. W dole strumienia znajdowała się trasa odkryta przez Johna i Randy'ego, łącząca Cathedral Canyon z Aquarius Sink. Chciałem koniecznie przepłynąć tym korytarzem, teraz jednak interesowało mnie co innego: niezbadany jeszcze korytarz prowadzący w górę strumienia od Cathedral Canyon. Kiedy odpoczywałem, ukryty za głazem, dostrzegłem jakieś wielkie czarne przedmioty wystające z białego piasku. Podpłynąłem bliżej i przekonałem się, że są to olbrzymie skamieniałe kości, szczątki wielkich zwierząt, które wpadały do tej jaskini przez kolejne tysiąclecia. Dno było zasłane tymi skamielinami.

Wypłynąłem zza głazu i, przytrzymując się występów skalnych na dnie, zacząłem płynąć pod prąd. Po pokonaniu dziewięciu metrów ujrzałem 4 metry nad sobą płaski sufit tunelu. Znajdowałem się w dziewiczym korytarzu Katedry. Przesunąłem się do prawej ściany, a potem ponownie do lewej. Olbrzymie przejście miało niemal 18 metrów; z pewnością był to największy podwodny korytarz, jaki kiedykolwiek widziałem.

Dwa tygodnie później widoczność sięgała już niemal 30 metrów, dzięki czemu mogłem w pełni docenić rozmiary odkrytego przeze mnie przejścia. Tunel miał 15–45 metrów szerokości, wystarczająco dużo, by zmieściła się w nim mała łódź podwodna. W suficie otwierały się stratosferyczne kopuły

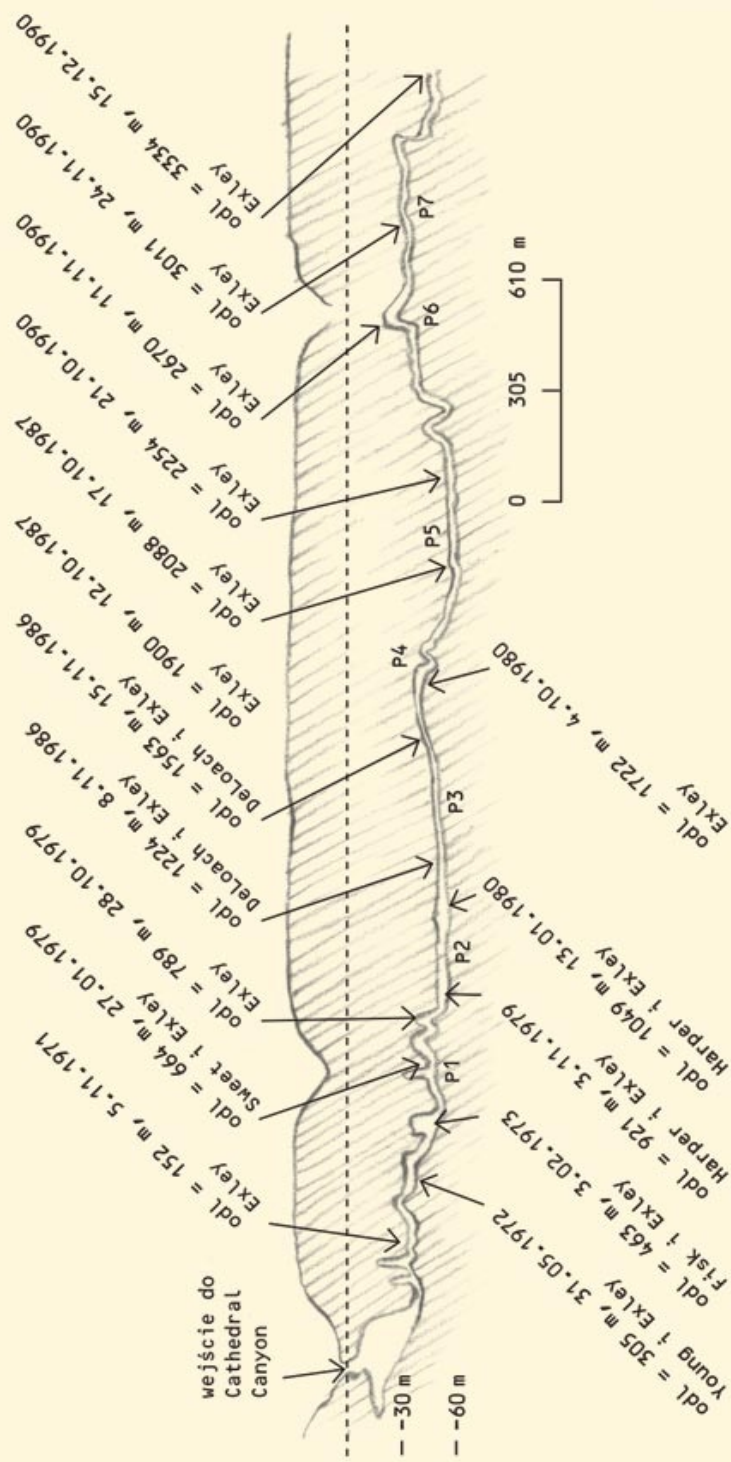
sięgające w górę na wysokość ponad 15 metrów. Pod drugą z kopuł dostrzegłem olbrzymią hałdę piasku tak pofałdowaną przez prąd wody, jakby została w całości przeniesiona z Sahary. W pobliżu szczytu znalazłem starą drewnianą balię, podobną do używanych niegdyś przez pierwszych osadników, zakopaną głęboko w piachu. Kiedy podpłynąłem ku wznoszącej się powyżej kopule, ujrzałem tylko solidny skalny sufit położony na głębokości 15 metrów, pozbawiony jakichkolwiek otworów lub korytarzy. Doszedłem do wniosku, że ciężka balia wpadła do Katedry i została przeniesiona na odległość 60 metrów przez silny wsteczny prąd powstały podczas wyjątkowo obfitego wylania rzeki Suwannee. Balia musiała przesunąć się nad sporą hałdą piasku, położoną pod pierwszą kopułą, było to więc nie lada osiągnięcie, a ja mogłem tylko kręcić z podziwem głową nad ogromną siłą prądu, który szalał wówczas w jaskini.

Wraz z Billym Youngiem przepłynąłem 31 maja 1972 roku kolejnych 150 metrów, docierając na odległość 300 metrów od Katedry. Okazało się, że jaskinia robi się coraz większa, a kopuły i głębokości sprawiają coraz bardziej oszałamiające wrażenie. W pewnym momencie zatrzymaliśmy się u podstawy gigantycznej góry białego piachu o pofałdowanym zboczu, które pięło się ku sufitowi i niknęło w mroku. Popłynęliśmy w górę i po chwili dotarliśmy do szczytu położonego 15 metrów wyżej. Nazwaliśmy to miejsce Mount Everest.

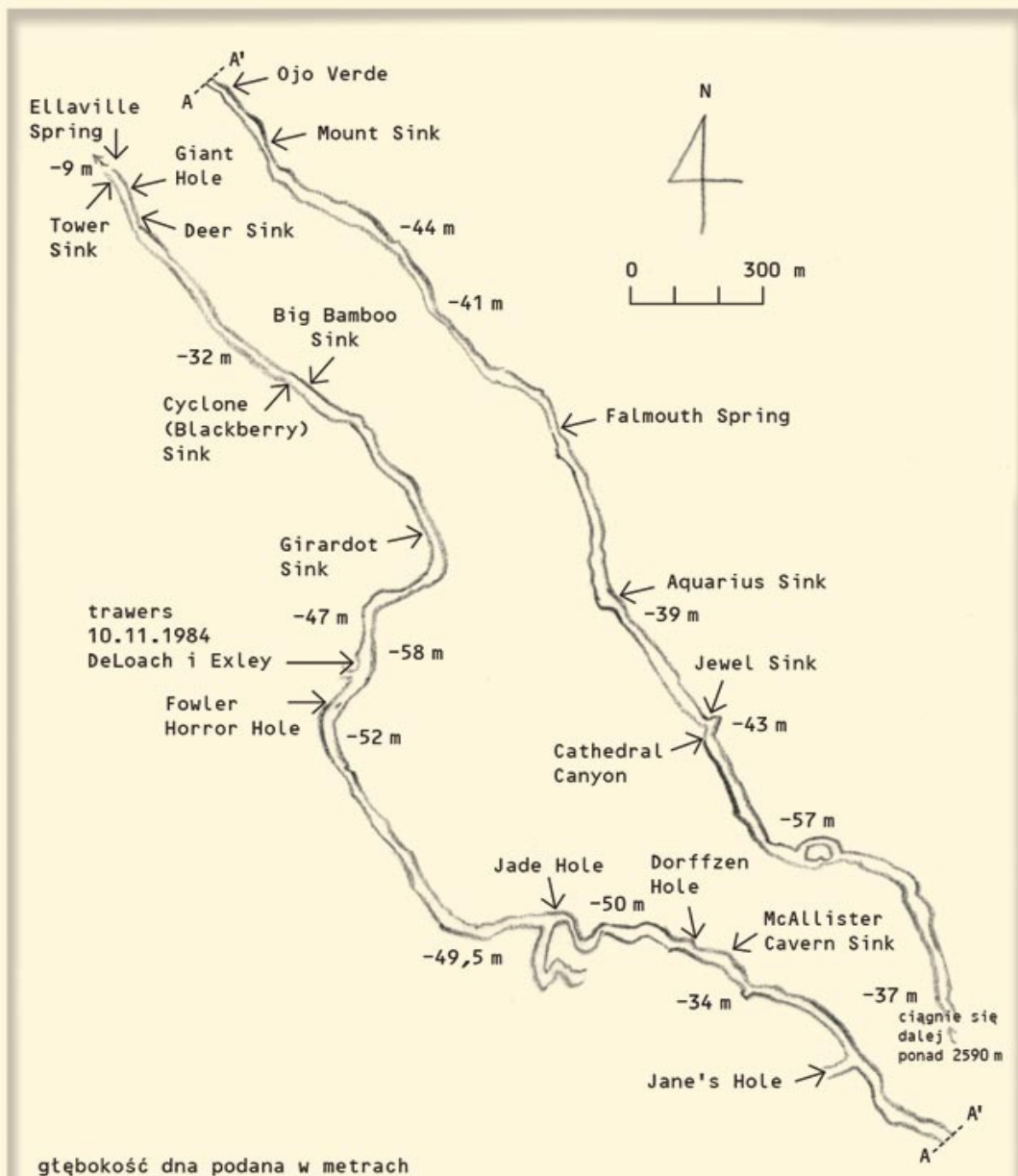
Tydzień później dołożyliśmy 137 metrów i wpłynęliśmy do olbrzymiego Grand Canyon (Wielki Kanion) o pionowych, idealnie prostych ścianach ułożonych równolegle do siebie i mierzących ponad 90 metrów długości oraz 15 metrów wysokości. W tym miejscu szerokość korytarza zmniejszała się do dziewięciu metrów, a dno pokryte hałdami o wysokości 4,5 metra wyglądało niczym tor roller-coastera. W połowie Wielkiego Kanionu odkryliśmy niski boczny korytarz o szerokości sześciu metrów, który nazwaliśmy China Route (Chiński Szlak). Czyżby jaskinia zaczęła się w końcu rozgałęziać?

CATHEDRAL CANYON CAVE SYSTEM FLORYDA, USA

Przekrój obszaru w górę źródłiska od Cathedral Canyon.



odl = odległość od wejścia w metrach
P = przystanek z butlami podczas nurkowania 16.12.1990



CATHEDRAL-FALMOUTH SYSTEM HRABSTWO SUWANNEE, FLORYDA USA

Badanie wykonane przez Sekcję Nurkowania Jaskiniowego NSS.

Jaskinia w całości wypełniona wodą.

Całkowita długość zbadanych korytarzy 10 229 metrów (13.12.1985 r.).

© 1986 Sheck Exley

Dwa dni później zanurkowaliśmy ponownie i płynęliśmy wzdłuż krętego China Route około 90 metrów, dopóki na drodze nie stanęła nam pionowa ściana błota torfowego. Popłynąłem w górę, zataczając ciasną spiralę oraz oświetlając latarką warstwę błota i pobliskie skalne ściany. Kiedy wzniosłem się na wysokość około 12 metrów, znalazłem korytarz prowadzący nad wielką stertą torfu, którą nazwaliśmy Great Wall of China (Wielki Chiński Mur). Obejrzelśmy dokładnie sufit nad torfem w poszukiwaniu otworów, znaleźliśmy jednak ponownie kopuły o gładkich ścianach, charakterystyczne dla Cathedral-Falmouth Cave System (System Jaskiń Cathedral Falmouth). Po drugiej stronie Wielkiego Muru popłynęliśmy w dół stromego zbocza, aż do dna leżącego na głębokości 40 metrów, gdzie ponownie znaleźliśmy olbrzymi korytarz rozciągający się na lewo i prawo poza zasięg naszego wzroku. Czy odkryliśmy całkowicie nowy tunel, czy też połączyliśmy się z nieznanym głównym przejściem wychodzącym z Wielkiego Kanionu? Niestety, byliśmy już 587 metrów od Katedry, a długie i męczące nurkowanie w zimnej wodzie zwiększało zużycie powietrza. Musieliśmy zawracać.

Szukając łatwiejszego obiektu badań, 26 października 1972 roku wraz Charliem Sturdevantem oczyściłem z kilku kłód drewna dziewicze wejście położone w dole strumienia od Falmouth Springs. Ponieważ otwór miał tylko półtora metra średnicy, pędząca woda wciągnęła nas pod ziemię niczym mydliny spływające z wanny. Chwilę później wpłynęliśmy do korytarza o szerokości 12 metrów, położonego na głębokości 9 metrów. Spojrzałem w górę, na wąski otwór, i podrapałem się po głowie, zastanawiając się, czy zdołamy jakoś wypłynąć ponownie na zewnątrz. Kątem oka dojrzałem, że Charlie robi to samo, a gdy odwróciłem się do niego, wzruszył ramionami i wydał z siebie głęboki, chrapliwy śmiech łudząco podobny do mojego. Płynęliśmy przez 150 metrów w głąb opadającego korytarza, po czym wróciliśmy do wyjścia. Nie było to łatwo, ale udało nam się wydostać.

Podczas następnego nurkowania dołożyliśmy 150 metrów, płynąc w dół strumienia, korytarzem o szerokości 12 metrów, położonym na głębokości 36 metrów. Ten sukces przypominał mi, że nieco wcześniej tego samego roku, po wspólnym nurkowaniu w Katedrze, Tom Mount zdradził mi, że dotarł na podobną głębokość w pobliskim leju krasowym. Lej ten był dość duży, a korytarz odchodzący w dół strumienia od Falmouth zmierzał prosto w jego kierunku, postanowiliśmy więc go sprawdzić.

Dwa dni później Lewis Holtzendorff, Court Smith, Dave Fisk, Dutch Vande Noord i ja zanurkowaliśmy w Mount Sink (Lej Mounta). W innych okolicznościach wyprawa do dziewiczej jaskini aż tak dużą grupą byłaby absurdem, byliśmy jednak przekonani, że znajdziemy inne wejście do Cathedral-

Falmouth System, a wiedzieliśmy dobrze, że w Falmouth spokojnie zmieści się zespół złożony nawet z tuzina nurków.

W Mount Sink trafiliśmy na kolejny obiecujący trop, olbrzymi tunel położony na głębokości 44 metrów i zmierzający prosto w stronę Falmouth. Podczas serii nurkowań wykonanych w ciągu następnych dwóch miesięcy Court, Lewis, Charlie i ja zbadaliśmy ów korytarz na długości prawie 600 metrów. Co ciekawe, znów odkryliśmy potężną górę piasku; tym razem na jej szczycie leżał styropianowy kubek, który musiał trafić tu całkiem niedawno. Oglądając sufit dokładnie nad wierzchołkiem tej góry, którą nazwaliśmy Vendo Hill, dostrzegliśmy otwór o średnicy metra. Kiedy oświetliłem go moją latarką, dojrzałem ukrytą w głębi, wielką i zamuloną salę ze stertą pni i kamieni leżących tuż nad krawędzią tunelu, którym właśnie płynęliśmy. Zacząłem płynąć w górę, potem jednak się zawahałem. Powyżej nie było otworu prowadzącego na powierzchnię, a z pewnością nie chciałem przypadkiem wybić go własnym ciałem. Wykazaliśmy się więc roztropnością i popłynęliśmy dalej, nie zaglądając do sali nad Vendo Hill.

Tymczasem Lewis znalazł kolejny lej krasowy pomiędzy Fowler Sink a Mount Sink. Wraz z Paulem DeLoachem i Billym Youngiem wpłynąłem tam 25 listopada 1972. Nazwaliśmy ów lej, będący lustrzanym odbiciem Mount Sink, Jade Hole (Nefrytowa Dziura) ze względu na charakterystyczny nefrytowy odcień wody. Potem wróciliśmy do Falmouth, gdzie 3 lutego znaleźliśmy z Davidem Fiskiem główny tunel wychodzący z drugiego końca Wielkiego Kanionu. Dokonywaliśmy w tej jaskini kolejnych odkryć w takim tempie, że trudno było za tym nadążyć.

Potem szyki pokrzyżowała nam powódź stulecia. Na początku 1973 roku rzeka Suwannee wylała z niespotykaną dotąd siłą, gorzej nawet niż po huraganach w połowie lat 60. Woda podniosła się tak wysoko, że groziła zerwaniem mostu kolejowego linii Seaboard Coast Line Railroad – do katastrofy nie doszło tylko dlatego, że na moście postawiono wyładowane po brzegi wagony towarowe, które utrzymały go w miejscu. Każdego roku prąd wody w zlewni Suwannee – z wyjątkiem Jugg Hole i Manatee – zmieniał kierunek; dziesiątki tysięcy metrów sześciennych błotnistej, rzecznej wody wlewało się do ziemi. Zjawisko to dotyczyło nawet Falmouth.

Przed nadejściem lata woda ustąpiła, a Dave Cameron i Rory Dickens²⁴ odkryli na nowo McAllister Cavern Sink, lej krasowy w tym obszarze, który został opisany w czasopiśmie „Skin Diver” w 1962 roku. Ciekawość Rory’ego, doświadczonego instruktora nurkowania jaskiniowego, który widział już niezliczoną liczbę jaskiń, została rozbudzona poprzedniego roku, gdy zanurkował wraz ze mną w Katedrze. Kiedy wypłynęliśmy na

powierzchnię, już po zachodzie słońca, oświadczył przytłumionym, pełnym nabożnej czci tonem, jakim przemawia większość badaczy Katedry: „To najlepsza jaskinia, w jakiej kiedykolwiek byłem”.

McAllister Cavern Sink położony pomiędzy Mount Sink a Jade Hole rozbudził ponownie nasze nadzieje na połączenie Jade z Mount. Wkrótce, podczas serii nurkowań, zbadałem wraz z Courtem i Lewisem 457 metrów McAllister, odkrywając kolejny wielki korytarz i wysokie kopuły. Pod jedną z nich znaleźliśmy szczątki starej bimbrowni. Popłynąłem 30 metrów w górę kopuły, na głębokość 18 metrów, nie dojrzałem jednak żadnego światła, które wskazywałoby na obecność otworu w suficie. Obawiając się niestabilnej sytuacji, podobnej do tej nad Vendo Hill, wycofaliśmy się z ociąganiem do korytarza.

Podobnie jak w przypadku wielu innych lejów krasowych z tego obszaru jedyne dojście do McAllister Sink prowadzi w dół wąskiej, błotnistej ścieżki używanej głównie przez dzikie zwierzęta schodzące do wodopoju. Po ostatnim nurkowaniu piąłem się w górę ścieżki, ubrany wciąż w kompletny skafander, z wyjątkiem płetw, które niosłem w ręku. Było już ciemno, gdy przystanąłem w pobliżu szczytu, by trochę odsapnąć. Pochyliłem się do przodu, dając odpocząć ramionom obciążonym twinsetami, gdy nagle tuż przede mną rozległ się głuchy odgłos, a potem złowieszczy grzechot. Natychmiast się wyprostowałem i włączyłem latarkę. Moim oczom ukazał się rozzłoszczony grzechotnik diamentowy długości niemal dwóch metrów.

Wycofałem się ostrożnie i przywołałem do siebie pozostałych, nie spuszczać jednocześnie wzroku z grzechotnika. Podczas gdy Lewis poszedł do mojej furgonetki po maczetę, ja zastanawiałem się, co mogło być źródłem tego głuchego odgłosu. Najwyraźniej wąż leżał na środku ścieżki i czekał na ofiarę, a ja wszedłbym wprost na niego, gdybym nie zatrzymał się na odpoczynek. Czy dźwięk był wywołany tylko ruchem węża zwijającego się w ciasną spiralę? A może, nim jeszcze włączyłem latarkę, zaatakował mnie z niezwykłą wręcz szybkością, z której słyną grzechotniki, i uderzył w moje płetwy?

Z rozmyślań wyrwał mnie powrót Lewisa, który zamierzył się na węża maczetą, lecz chybił. Rozzłoszczony grzechotnik dwukrotnie próbował go zaatakować, po czym zaczął się wycofywać w dół stromej ścieżki. Lewis pognął za nim jak szalony, ja zaś ruszyłem ostrożnie ich śladem, starając się przez cały czas oświetlać wielkiego gada. W końcu wąż znalazł się między korzeniami wielkiego dębu, skąd nie miał już dokąd uciec, a Lewis podniósł maczetę, by zadać mu decydujący cios. W tym momencie mój wzrok padł na fragment zbocza dzielący mnie od Lewisa. Dokładnie za nim, nad jego głową, znajdowała się opuszczona nora susła. Serce stanęło mi na moment w piersiach, gdy

zobaczyłem, co tam leży: kolejny olbrzymi grzechotnik, którego paskudny łeb znajdował się nie dalej niż metr od karku Lewisa.

– Lewis – powiedziałem cicho, lecz stanowczo. – Nie ruszaj się. Dokładnie za tobą jest drugi wąż.

Lewis odwrócił się powoli, by spojrzeć na drugiego gada, który z niewiadomych przyczyn nie grzechotał. Nagłym, szybkim cięciem rozprawił się z tym grzechotnikiem, a potem odwrócił się, by posiekać na kawałki drugiego.

Tym razem wracaliśmy do samochodów wyjątkowo długo i ostrożnie.

Incydent z grzechotnikami skutecznie ostudził nasz zapał i dopiero ponad dwa lata później zdecydowaliśmy się przeprowadzić badania w tym obszarze. Ponadto zniechęcił nas fakt, że przemierzyliśmy duże odległości w pięciu różnych, lecz bez wątpienia połączonych ze sobą jaskiniach i nie znaleźliśmy ani jednego łącznika. W końcu, jesienią 1975 roku, przepłynąłem wraz z Courtem i Lewisem 150 metrów w niezbadanej do tej pory części Jade Hole, położonej w dole strumienia, a nurkowanie to na nowo rozbudziło naszą ciekawość. Potem, płynąc w tym samym składzie, rozwinęliśmy 106 metrów poręczówki w górę strumienia od Jade, a jeszcze później wróciliśmy z Edem Hallem, by zbadać kolejnych 150 metrów w dole strumienia.

Cztery dni później cała społeczność nurków jaskiniowych przeżyła ogromny wstrząs, kiedy Lewis Holtzendorff zginął w dziwnym wypadku podczas eksperymentalnego nurkowania w głębokim jeziorze obok Tallahassee, gdzie wypróbowywał mieszankę gazów. Lewis był nie tylko członkiem NSS CDS oraz wiceprezesem i jednym z dyrektorów NACD, ale także jednym z naszych najlepszych nurków. Przed śmiertelnym wypadkiem wykonał nurkowanie na 80 metrów i przechodził rutynową dekompresję, oddychając czystym tlenem, kiedy nagle na głębokości 15 metrów dostał drgawek i umarł. Czysty tlen może stać się toksyczny i przyprawić płynących nurków o drgawki na głębokościach tak małych jak 9 metrów, jednak wypadki dotyczące nurków, którzy odpoczywają podczas dekompresji, są wyjątkowo rzadkie. Ironią losu było to, że Lewis zmarł podczas nurkowania, które miało wyjaśnić przyczynę tajemniczej śmierci innego doświadczanego nurka, a zarazem naszego przyjaciela, Dana Turnera, a także zapobiec na przyszłość podobnym wypadkom.

Miesiąc później znaleźliśmy z Courtem połączenie z nowym lejem krasowym i nazwaliśmy go na cześć Lewisa. Po wpłynięciu do korytarza położonego w dół strumienia od McAllister dodaliśmy zaledwie kilkanaście metrów do liczącej 120 metrów poręczówki, którą zamocowałem tam jakiś czas wcześniej, kiedy na drodze stanęła nam wielka sarta kłód drewna znacząca następny duży otwór. Wynurzyliśmy się na chwilę w chłodnym, nocnym powietrzu na powierzchni Dorffzen Hole, po czym ruszyliśmy ponownie w dół strumienia. Sto dwadzieścia

metrów dalej dotarliśmy do olbrzymiej sali o szerokości ponad 60 metrów, którą Court nazwał Gargantua.

Tydzień później jako pierwsi nurkowie w historii wpłynęliśmy do Ojo Verde (Zielone Oko), leja krasowego, który odkryliśmy jeszcze w 1973 roku, położonego na północny zachód od Mount Sink. Przepłynąwszy zaledwie 15 metrów pod krawędzią leja, odkryliśmy poręczówkę, którą Court i Lewis przymocowali podczas nurkowania w dół strumienia od Mount Sink. Zamiast przepłynąć 180 metrów dzielące nas od Mount Sink i dokonać w ten sposób pierwszego połączenia, ruszyliśmy pod prąd, w głąb dziewiczego terenu. Okazało się jednak, że już 120 metrów dalej zużyliśmy jedną trzecią zapasu powietrza i musieliśmy zawrócić.

Nieco później, 26 grudnia, zanurkowaliśmy ponownie z Courtem do Gargantui pod Dorffzen Hole i zdołaliśmy dołączyć do nieosiągalnej do tej pory poręczówki odchodzącej w górę strumienia od Jade Hole. Aby tego dokonać, musieliśmy rozwinąć 84 metry liny i przedostać się przez wielki zacisk na niższy poziom. Potem nastąpiła ponadtrzyletnia przerwa w badaniu Falmouth. Gdy znów zaczęliśmy się tym zajmować, odkryliśmy, że ta piękna jaskinia zjada linę. Zwykle nasze nylonowe poręczówki grubości trzech milimetrów trwają latami w nienaruszonym stanie (liny zamocowane przez Johna Harpera w Hornsby po ponad dwudziestu latach wciąż wydawały się nietknięte zębem czasu). Tymczasem liny w Cathedral Canyon, Mount Sink i innych jaskiniach systemu Falmouth już po czterech latach popękały w wielu miejscach, a czasami zniknęły na długości kilkuset metrów.

Wciąż nie wiemy, co jest tego przyczyną, choć istnieje kilka teorii. Jedna z nich głosi, że woda zawiera duże ilości kwasu, nie mamy jednak żadnych dowodów na potwierdzenie tej tezy. Inna z kolei wiąże to zjawisko z obecnością dużej liczby raków jaskiniowych, które w poszukiwaniu pożywienia często przecinają szczypcami bawełniane linki. Czy jednak chciałyby też jeść nylon?

Być może odpowiedzi dostarczą fragmenty liny, które udało nam się odnaleźć. Kiedy ponownie wpłynęliśmy do Katedry, w grudniu 1978 roku, odkryliśmy, że znaczna część poręczówki jest zagrzebana w piasku zalegającym na dnie. Bez wątplenia woda często podnosi piasek, szczególnie podczas rzadkich, lecz gwałtownych okresów powodzi, kiedy to Suwannee wpływa do jaskini. Ziarna piasku uderzają w nylonowe włókna, przecinając je niczym piła. Grotołazi czasami porzucają poręczówkę, na którą ktoś przez nieuwagę nastąpił zabłoconym butem. Może to właśnie przemieszczający się piasek niszczy linkę w Falmouth. Tak czy inaczej, musieliśmy wymienić niemal wszystkie poręczówki w jaskiniach tego systemu.

Podczas jednego z pierwszych nurkowań postanowiłem wraz z Johnem

Zumrickiem ponownie zbadać Fowler Sink. Do głębokości około 24 metrów widoczność była kiepska, później jednak zaczęła się poprawiać w pobliżu małej szczeliny na dnie zatłoczonej kamieniami i mułem. Wyczułem dość wyraźny prąd w tym miejscu, zacząłem więc odkopywać szczelinę, aż była na tyle szeroka, by zmieścić się w niej człowiek z butlami na plecach. Niestety, wzbiłem przy tym chmurę dymu, która znacznie ograniczyła widoczność, poprosiłem więc Johna, by czekał na mnie cierpliwie, podczas gdy ja wsunąłem się do zacisku stopami do przodu.

Wiedziałem, że mam mnóstwo powietrza, przesuwając się więc uparcie w dół zacisku, od czasu do czasu przystając na moment, by odszukać szersze i wygodniejsze przejście. Wydawało się, że zacisk jest coraz szerszy, a już z pewnością sięgał coraz głębiej, co rozbudziło moje nadzieje. W końcu wysunąłem się z niego prosto do wielkiego, poziomego tunelu wypełnionego turkusową przezroczystą wodą; bez wątpienia była to część Falmouth. Wróciłem po Johna. To wyjątkowo nieprzyjemne przejście przez ciasny zacisk skłoniło nas do przemianowania tego miejsca na Fowler Horror Hole (Dziura Grozy Fowlera). Po dziś dzień jest to zdecydowanie najmniej popularne spośród wszystkich wejść do Falmouth.

Jesienią 1980 roku dysponowaliśmy już podwodnymi skuterami w kształcie torped. Zachęceni sukcesami w rejonie Walkulla Springs postanowiliśmy ponownie poszukać połączeń między jaskiniami Falmouth. Najpierw, 19 października, Clark Pitcairn, Jamie Stone i ja połączyliśmy Ojo Verde z McAllister, a tydzień później zapuściliśmy się we trójkę – tym razem oprócz Clarka i mnie był tam Paul DeLoach – na odległość 1070 metrów w górę strumienia od Mount Sink, aż dostrzeżliśmy światło dobiegające z Falmouth Springs. Wreszcie, 18 listopada, wpłynęliśmy wraz z Clarkiem do Fowler Horror Hole, gdzie odkryliśmy poręczówkę, sięgającą na odległość 942 metrów w dół strumienia od Jade Hole, którą sami rozciągnęliśmy dwa dni wcześniej. Tym samym zbadaliśmy i nanieśliśmy na mapę jaskinie ciągnące się od Fowler Horror Hole do mrocznych kopuł nad Cathedral Canyon, pięć kilometrów tuneli w linii prostej, bezprecedensowy dystans w historii nurkowania jaskiniowego. Nadszedł czas, by odszukać połączenie między Cathedral/Falmouth a rzeką Suwannee.

Jak już wspominałem, system jaskiń Suwanacoochee, który łączy się z rzeką Suwannee w pobliżu Falmouth, nie ma żadnego połączenia z Falmouth. Następnym obiecującym tropem w tej kwestii był łańcuch mrocznych lejów krasowych i źródeł w Suwannee River State Park (Park Stanowy Rzeki Suwannee), położony nieco dalej na północ. Wejście do tego łańcucha prowadziło przez olbrzymi, mierzący 60 metrów szerokości, syfon wypełniony

wirującą nieustannie wodą (jako pierwsi wpłynęli do niego Court i Lewis, na początku lat 70.). Olbrzymi wir i brunatna woda były tak przerażające, że specjalnie wyszkoleni nurkowie z Florida Highway Patrol, choć niemal pewni, że seryjny zabójca Ted Bundy²⁵ wrzucił tam swoją broń, nie odważyli się nawet zanurzyć nóg w tym miejscu. Innym łącznikiem mógł być lej krasowy wypełniony wodą tak zimną, że Paul DeLoach chciał nazwać go M.F. Cold Sink (Cholernie Zimny Lej). Odstąpił od tego pomysłu dopiero wtedy, gdy powiedziałem mu, że jeśli nie nazwiemy tego leja nazwiskiem właściciela, czyli Girardeau Sink, ten nigdy nie pozwoli nam tam ponownie zanurkować. Została nam też, oczywiście, Fowler Horror Hole.

Do tego rodzaju nurkowania jaskiniowego – gdzie w grę wchodziły takie czynniki jak kiepska widoczność, niebezpieczne prądy, zimna woda i niestabilne zamulone wejścia – potrzebowałem naprawdę dobrych partnerów. Jednym z nich był John Zumrick, były prezes NSS CDS oraz lekarz wojskowy US Navy Experimental Diving Unit (Eksperymentalna Jednostka Nurkowa Amerykańskiej Marynarki Wojennej). Drugim była Mary Ellen Eckhoff, jedyna kobieta w historii, która wykonała ponad tysiąc nurkowań jaskiniowych, a także ustanowiła rekord w odległości nurkowania. Jednak najważniejszym uczestnikiem projektu zmierzającego do połączenia Falmouth z rzeką był Paul DeLoach. Paul, znany w społeczności nurkowej jako „wuj Paul”, to potężne chłopisko, były komandos z oddziałów specjalnych Navy Seals, który często skutecznie wykorzystuje do celów związanych z nurkowaniem swoje wykształcenie psychologiczne oraz doświadczenie zdobyte na stanowisku dyrektora public relations w Miller Brewing Company. Grając rolę Farmer Charmer (Zaklinacz Farmerów), skuteczniej niż ktokolwiek inny przekonuje co bardziej podejrzliwych i wrogo nastawionych właścicieli, by pozwolili nam nurkować na ich terenie – być może spory udział mają tu skrzynki darmowego piwa Miller... Jednak w przypadku naszego projektu znacznie bardziej istotne było jego ogromne doświadczenie. Paul jako drugi nurek na świecie zanotował ponad 2000 nurkowań i brał udział w biciu wielu rekordów. Zadzwoniłem do niego pewnego późnego wieczoru 1984 roku.

– Wujku – zacząłem – mam nurkowanie w sam raz dla ciebie.

– Co to takiego, Ex? – Paul zwraca się do każdego w skróconej formie; im krócej, tym lepiej, a czasami używa nawet inicjałów: Billy Young to B.Y., Mary Ellen to M.E., a John Zumrick to po prostu Z.

– Och, jak zwykle: zero widoczności, duże przewężenia, ogromne głębokości i zimno jak cholera.

– Hej, brzmi świetnie – roześmiał się Paul.

– Mówię poważnie.

- A jest tam w ogóle jakaś jaskinia?
- Oczywiście.
- Masz jeszcze tę skrzynkę millera?
- Większość.
- Więc do zobaczenia rano.

Paul, John i ja zaczęliśmy od wyprawy w dół Fowler, gdzie rozwinęliśmy ponad 300 metrów poręczówki, posuwając się w dół strumienia. Kiedy później przeanalizowałem nasze notatki, stwierdziłem z radością, że jaskinia skręca na północ, w stronę Girardeau Sink. Podczas naszego ostatniego nurkowania w Fowler Sink Paul i John przecisnęli się przez zacisk ze skuterami, strącając tyle szlamu i śmieci, że kiedy wrócili tam niemal godzinę później, woda wciąż była zamulona. Przez chwilę Paul myślał nawet, że będzie musiał porzucić swój skuter pod zaciskiem, nie mógł bowiem odnaleźć poluzowanej przypadkiem poręczówki prowadzącej do wyjścia.

Potem Mary Ellen i ja dołożyliśmy kolejnych 300 metrów liny do 120 metrów, które Mary zamocowała wcześniej z Paulem w korytarzu prowadzącym w górę strumienia od Girardeau. Przejście to, mierzące 12 metrów szerokości, było bardzo podobne do tunelu odchodzącego w dół strumienia od Fowler i biegło dokładnie w jego kierunku. Zniechęceni przerażającym wejściem w Fowler i zimną wodą w Girardeau postanowiliśmy jednak pracować od tej pory na krótszych odcinkach.

Aby prowadzić badania w korytarzach o rozmiarach typowych dla Falmouth, nawet najbardziej doświadczeni nurkowie jaskiniowi potrzebują widoczności rzędu co najmniej trzech metrów, a jeszcze większej, jeśli korzystają ze skuterów. Dzieje się tak dlatego, że w przypadku ograniczonej widoczności nurek potrzebuje mnóstwo czasu, by znaleźć właściwą drogę, a czas jego pobytu w jaskini jest przecież ograniczony. Widoczność w łańcuchu lejów w Suwannee River State Park, położonych na północny zachód od Girardeau, przekracza 3 metry tylko przez miesiąc i to raz na trzy lata albo jeszcze rzadziej. Taka wyjątkowa sytuacja ma miejsce tylko po długotrwałej powodzi spowodowanej wylaniem rzeki Suwannee, kiedy woda wracająca do miejscowej warstwy wodonośnej przez dłuższy czas przepływa przez leje. Jeśli jednak poziom wód gruntowych opada tak szybko, że przepływ ustaje, nim jeszcze zdąży usunąć wody wyrzucone przez Suwannee, wówczas leje są wypełnione bardzo zimną deszczówką o zerowej widoczności (ze względu na mulistą zawiesinę).

Jesienią 1984 roku warunki były jednak całkiem dobre. Zaczęliśmy z Paulem od nurkowań w Cyclone Sink. Paul zatrzymał się na brzegu i spojrzał spod zmarszczonych brwi na wirującą gwałtownie wodę, która niegdyś odstraszyła policjantów z Florida Highway Patrol.

– Taki wir nad wejściem do jaskini o głębokości 30 metrów oznacza, że jest tu cholernie mocny prąd wstępujący, Ex.

– Nie martw się. Court i Lewis wpłynęli tutaj dwanaście lat temu.

– Jasne, ale mogli nurkować przy kiepskiej widoczności i słabym prądzie.

– Cóż, gdyby to było łatwe, ktoś na pewno już by to zrobił.

Paul spojrzał wymownie na olbrzymi kołowrotek z poręczówką zawieszony u mego pasa. Słyszał już historię o tym, jak prąd wstępujący wessał mnie i Charliego Sturdevanta do Falmouth, sam też przeżył jeszcze gorszą przygodę w Spring Creek, groźnym syfonie na południe od Tallahassee.

– A może posłuchasz wuja Paula i odłożysz tę linę? Sprawdźmy najpierw, czy w ogóle możemy się wydostać z tego miejsca.

Okazało się, że prąd nie jest taki zły, jak się obawialiśmy, wybraliśmy się więc na kolejne nurkowania. Dziewiętnastego sierpnia 1984 roku połączyliśmy w końcu korytarz o głębokości 43 metrów z olbrzymim, położonym 600 metrów dalej lejem krasowym, który nazwaliśmy Giant Hole (Olbrzymia Dziura). Następnie szybko połączyliśmy Giant Hole ze źródłiskiem Ellaville Spring w parku stanowym; połączenia tego dokonał już podobno Howard Tower w latach 70. XX wieku. Ellaville Spring znajdowało się w miejscu, gdzie woda wpływała do Suwannee, musieliśmy więc pracować teraz w górę strumienia od Cyclone. Mary Ellen i Bill Stone połączyli wcześniej Cyclone z Big Bamboo, dużym lejem oddalonym zaledwie 60 metrów, ale dostęp do Big Bamboo był tak trudny, że postanowiliśmy wejść przez pionową szczelinę położoną w górę strumienia od Cyclone. Miała ona 30 metrów wysokości, była na tyle szeroka, że bez trudu mogliśmy przedostać się przez nią wraz ze skuterami. Dwudziestego szóstego sierpnia przepłynęliśmy 344 metry, docierając do długiej na 120 metrów poręczówki, którą Paul i Mary Ellen rozciągnęli wcześniej w dół strumienia od Girardeau.

Pozostało jedno brakujące ogniwo: połączenie Girardeau z Fowler. Wykonałem z Paulem dwa nurkowania na głębokość 53 metrów 2 i 3 września. Korzystając ze skuterów, podczas nurkowania z jednym przystankiem na zmianę butli, dotarliśmy na odległość 777 metrów od Girardeau. Po ostatnim nurkowaniu musieliśmy odbyć trzygodzinną dekompresję w lodowatej wodzie i wynurzyliśmy się cali zziębnięci mimo grubych suchych skafandrów. Paul wypowiedział głośno to, o czym myśleliśmy w tej chwili obaj:

– Może jednak Horror Hole nie jest wcale taka zła.

W domu przeanalizowałem notatki z ostatniego nurkowania i zadzwoniłem do Paula.

– Ile nam jeszcze zostało? – dopytywał się Paul.

– Nic.

– Co takiego?
– Na której ścianie kładliśmy poręczówkę, płynąc na południe od Girardeau?
– Na lewej. – Paul zaklął paskudnie. – Chcesz powiedzieć, że minęliśmy swoją poręczówkę na drugiej ścianie?

– Otóż to. – Z powodu kiepskiej widoczności nie widzieliśmy własnej liny przymocowanej po drugiej stronie szerokiego na 12 metrów korytarza.

Pierwsza próba połączenia jaskiń od strony Fowler zakończyła się niepowodzeniem. Prąd w prawej odnodze, w stronę Girardeau i Ellaville Spring, praktycznie ustał, widoczność spadła więc do półtora, maksymalnie dwóch i pół metra. Stara poręczówka Paula i Johna obluzowała się i musiałem wyciągnąć ją z mułu. Podpłynąłem z nią do prawej strony tunelu, nie znalazłem jednak liny z Girardeau. W tym momencie skończyło nam się powietrze i musieliśmy wracać.

Tydzień później, 10 listopada, spróbowaliśmy ponownie. Żaden z nas nie mówił o tym głośno, obaj jednak wiedzieliśmy, że będzie to ostatnia próba połączenia przed dłuższą, prawdopodobnie trzyletnią przerwą. Gwałtownie pogarszająca się widoczność i coraz niższa temperatura w Fowler bardzo utrudniały nurkowanie. Jako pierwszy zapuściłem się w dół ciasnego zacisku. Natychmiast poczułem nieprzyjemny ucisk w brzuchu, oznakę niepokoju, który zawsze ogarnia mnie w sytuacji, gdy tkwię w zacisku otoczony wodą o zerowej niemal przejrzystości. Wreszcie na głębokości 49 metrów wpłynąłem do czystej wody Cathedral/Falmouth i przystanąłem, by poczekać na Paula. Chwilę później w chmurze szlamu wypływającego z zacisku pojawił się żółtawy blask, a potem potężny snop białego światła, które przedarło się przez muł, odbiło od białych ścian jaskini i zniknęło w szmaragdowej oddali.

Paul pokazał mi sygnał „OK”, poprowadziłem więc nas obu w głąb szerokiego korytarza. Kilkaset metrów dalej minęliśmy najgłębszy punkt jaskini, położony na głębokości 58 metrów, a potem połączenie z dużym korytarzem po lewej, który Paul i John początkowo wzięli za główne przejście. Zastanawiałem się przez moment, dokąd właściwie prowadzi. Czy jednak sięgało do Suwanacoochee, czy też wychodziło w nieznanym źródłisku w korycie rzeki ukrytym pod ciemnymi wodami Suwannee?

Widoczność w prawej odnodze wydawała się jeszcze gorsza niż przed tygodniem. Na dnie zalegała gruba warstwa szlamu, płynęliśmy więc pod sufitem, by jej nie poruszyć. Pęcherzyki powietrza z naszych automatów zmętniły jednak muł, który zgromadził się na suficie. Korytarz miał prawie 30 metrów szerokości i był bardzo nieregularny. Próbowałem zamocować poręczówkę przy prawej ścianie i po drodze zabrnąłem w dwa ślepe zaułki. Musiałem związać linę i wracać do głównego korytarza, tracąc przy tym cenny czas i powietrze, którego na głębokości 53 metrów nigdy nie było za wiele.

Rozwinąwszy kolejne 55 metrów poręczówki, Paul poświecił na mnie latarką. Niskie ciśnienie, czas wracać. Poczułem ogromne rozczarowanie – znów nie udało nam się wykonać połączenia! – wiedziałem jednak, że Paul podjął jedyną słuszną decyzję. Kiedy zostaje ci dwie trzecie zapasu powietrza, kończysz nurkowanie bez względu na okoliczności.

Nie mogłem znaleźć żadnego punktu zaczepienia przy prawej ścianie, podpłynąłem więc do lewej. Podczas gdy Paul przyglądał mi się z coraz większą irytacją, znalazłem w końcu niewielki występ skalny w suficie obok prawej ściany. Zacząłem przywiązywać do niego poręczówkę, kiedy nagle zauważyłem cienką, poplamioną na brązowo linę kilka metrów dalej na lewo: to była nasza poręczówka z Girardeau! Podekscytowany poświeciłem na Paula, po czym ruszyłem wzdłuż starej poręczówki, a odszukawszy 4,5 metra dalej jej koniec, przywiązałem do niej nową linę. Stara lina znajdowała się w tunelu równoległym do tego, którym płynęliśmy z Fowler, oddzielonym cienką skalną ścianą. Jedyne otwory w powierzchni ściany znajdował się obok występu skalnego, do którego chciałem przywiązać nową linę. Mieliśmy ogromne szczęście.

W domu podsumowałem długość systemu jaskiń Cathedral Falmouth połączonego z Ellaville Spring i Suwannee River, gdy Paul tymczasem popijał nasze piwo. Spojrzałem na ostateczną sumę i aż zachłysnąłem się z wrażenia.

– Co się stało? – spytał Paul.

– Och, nic takiego – odparłem, starając się ukryć podniecenie. – Tyle że Katedra jest teraz najdłuższą na świecie podwodną jaskinią²⁶.

– Co? – Paul zerwał się z fotela, by spojrzeć na moje obliczenia: 10 363 metry, czyli ponad 305 metrów więcej niż Lucayan Caverns, a przecież obaj wiedzieliśmy, że Katedra jeszcze ciągnie się, i to z obu stron.

Najbardziej ekscytujący jest, oczywiście, kraniec jaskini położony w górę strumienia od Cathedral Canyon. Ponieważ sufit osłania tutaj nieprzepuszczalna warstwa piasku i gliny (formacja Hawthorne'a), powyżej tego miejsca z pewnością nie ma już żadnych wejść, co czyni tę część jaskini idealnym miejscem na próbę bicia rekordu odległości od bazy, który ustaliliśmy w Manatee Springs. Co najważniejsze, ten fantastyczny system jaskiń tworzy labirynt, o jakim marzy każdy grotołaz i nurek, labirynt, który nie ma końca, lecz coraz bardziej się rozrasta.

O tym, że choć raz to marzenie stało się rzeczywistością, mogliśmy się przekonać podczas serii nurkowań w 1979 roku. Wykonałem z Dale'em Sweetem nurkowanie w górę strumienia od Katedry 27 stycznia. Naprawiliśmy wówczas przerwana poręczówkę przy Chińskim Murze i dołożyliśmy 60 metrów liny do 588 metrów zamocowanych w 1972 roku. Udało nam się potwierdzić, że

gargantuiczny korytarz otwierający się tuż za Chińskim Murem to w istocie ciąg dalszy głównego przejścia prowadzącego od Wielkiego Kanionu. To właśnie Wieki Kanion, który zbadaliśmy na początku 1973 roku z Davidem Fiskiem, okazał się głównym korytarzem, gdyż jego powierzchnia w przekroju poprzecznym jest trzy razy większa od powierzchni China Route. Główny korytarz jest także krótszy, co może cieszyć badaczy jaskini, martwić zaś tych, którzy chcieliby ustanawiać w niej rekordy odległości. Koniec nowej, liczącej 60 metrów, liny, którą zamocowaliśmy z Dale'em, znajduje się w odległości „zaledwie” 634 metrów od Katedry.

Wróciłem tam z moim nowym skuterem Farallon 28 października 1979 roku i dołożyłem jeszcze 155 metrów, odkrywając wielkie Double Rooms (Podwójne Sale), gdzie olbrzymie skalne rumowiska niemal w całości pokryte są piaskiem i mułem.

Siedem lat wcześniej John Harper, najlepszy nurek jaskiniowy lat 60., zrezygnował z nurkowania, gdy jego najlepszy partner, Randy Hylton, dostał zawału i utonął w Eagle's Nest. W ostatnim czasie John znów zainteresował się nurkowaniem i, współpracując z Jamie Stonem, wprowadził modyfikacje umożliwiające bezpieczne nurkowanie jaskiniowe ze skuterami. Dzień przed Halloween nie mogłem się oprzeć pokusie i zadzwoniłem do człowieka, który był dla mnie największym wzorem, gdy 15 lat wcześniej zaczynałem nurkować w jaskiniach.

– Cześć John, tu twój oddany wielbiciel.

– Sheck?

– Zgadza się. Znów dołożyłem trochę poręczówki w jednej z twojej jaskiń – droczyłem się z nim.

– To chyba nic nowego, prawda? – John zawsze był bardzo skromny, choć miał na swoim koncie mnóstwo zdumiewających osiągnięć, zawsze też chętnie dzielił się informacjami z innymi nurkami. Dzięki jego bezinteresownej pomocy zaoszczędziłem mnóstwo czasu i pracy podczas licznych projektów badawczych. Mam nadzieję, że kiedy już skończę nurkować, stać mnie będzie na podobną wielkoduszność.

– Chciałem ci tylko powiedzieć, że jesteśmy już osiemset metrów w górę od Katedry, a korytarz robi się coraz większy.

– Dobre miejsce dla skuterów.

– Jak najbardziej – zgodziłem się. Zawahałem się na moment, a potem, starannie dobierając słowa, by oddać mojemu przyjacielowi szacunek, dodałem:
– Zabrałbyś mnie tam?

– Nie wyobrażam sobie lepszego sposobu na spędzenie Halloween – odparł.

Pożegnaliśmy się serdecznie i zakończyliśmy rozmowę, udało nam się jednak

zanurkować dopiero 3 listopada. John poprowadził nas kolejne 132 metry w głąb jaskini, odkrywając po drodze jednolity, prosty korytarz, który nazwał Subway (Metro), położony na głębokości około 50 metrów. Potem, 13 stycznia 1980 roku, znów dołożyliśmy poręczówkę w Subway, docierając do punktu położonego w odległości 1048 metrów od wejścia do Katedry. Wtedy było to najdalsze nurkowanie jaskiniowe wykonane na głębokości poniżej 45 metrów.

Niestety, radość wywołaną tym osiągnięciem przyćmiły złe wieści. Jeden z opiekunów Falmouth Springs (któremu zdarzało się nawet strzelać do nurków) przyjechał na nasz parking i poinformował nas, że Katedra stanowi część obszaru Falmouth i nie jesteśmy tu mile widziani. Co gorsza, John nabawił się choroby dekompresyjnej, choć używał dużych ilości czystego tlenu (ustępstwo na rzecz nurków liczących ponad 40 lat, narażonych w większym stopniu na chorobę dekompresyjną). John w pokorze znosił ból i zawroty głowy, postanowił bowiem nie korzystać z komory dekompresyjnej. Przyrzekł również, że więcej nie będzie wykonywał tak trudnych nurkowań, co bez wątpienia jest wielką stratą dla nurkowania jaskiniowego.

Przez lata nauczyłem się traktować z wielkim szacunkiem prawo własności – nie mówiąc już o respekcie dla strzelby opiekuna z Falmouth – nie zamierzałem więc zakradać się ponownie do Katedry. Przeprowadziwszy dyskretny wywiad w pobliskim biurze nieruchomości, dowiedziałem się, że mogę kupić Katedrę (wraz z całym obszarem Falmouth Springs) od St. Joe Paper Company (firmy, do której należało również Wakulla Springs) za „jedyne” pół miliona dolarów (później cena urosła do 750 000 dolarów). Nie interesował ich podział działki, dzięki któremu mógłbym kupić tylko Katedrę, zdecydowanie najważniejsze spośród wszystkich wejść.

Tymczasem wykonywaliśmy rekordowe nurkowania w Big Dismal Sink i w Manatee Springs, opisane w poprzednim rozdziale tej książki. Wiedzieliśmy już, że korytarz w Manatee jest zablokowany setkami ton skalnych odłamków, Katedra stanowiła więc bez wątpienia najbardziej obiecujące miejsce do bicia nowego rekordu odległości na całej zachodniej półkuli. Czułem się jak dziecko, któremu odebrano ulubioną zabawkę.

Wyobraźcie sobie moje zdumienie, kiedy pewnego dnia w 1983 roku, przejeżdżając obok Katedry, dostrzegłem nowy dom w odległości niecałych stu metrów od wejścia do jaskini! Zapukałem do drzwi i dowiedziałem się od nowego właściciela, że wbrew informacjom, jakie podało mi biuro nieruchomości i opiekun terenu, Katedra znajdowała się na oddzielnej, czteroakrowej działce otoczonej ziemią St. Joe Paper Company. Mój rozmówca kupił właśnie tę działkę po okazyjnej cenie od nieobecnego właściciela, który nie miał pojęcia, co znajduje się na jego terenie.

Teraz, dowiedziawszy się, że przegapiłem tak niezwykłą okazję, czułem się jak ostatni idiota. Potem jednak było jeszcze gorzej:

– Czy moglibyśmy nurkować na pańskiej posiadłości?

– Nie.

– A gdybyśmy płacili panu za ten przywilej?

– Nie.

– A nie zechciałby pan sprzedać tej działki?

– Nie.

Byłem zdesperowany.

– Gotów byłbym zapłacić panu sześć razy tyle, ile zapłacił pan dwa lata temu.

– Obliczyłem szybko w myślach, że tyle właśnie byłbym w stanie zebrać i pożyczyć.

– Nie.

Byłem tak przygnębiony tą rozmową, że zawróciłem i pojechałem prosto do domu, 150 kilometrów dalej, nie wykonawszy nawet nurkowania, które wcześniej planowałem. Podczas długiej drogi powrotnej próbowałem pocieszać się na różne sposoby i patrzeć na sprawy z jaśniejszej strony. „Do diabła”, mówiłem sobie, „ciesz się, że w ogóle żyjesz”. Ale czy jakikolwiek nurek jaskiniowy, któremu odmówiono dostępu do jego ulubionej jaskini, naprawdę w pełni żyje? Całkiem już przygnębiony włożyłem do odtwarza kasetę z moją ulubioną muzyką: pełnym uniesienia, ostatnim fragmentem IX Symfonii Beethovena. Potem przypomniałem sobie, że w testamencie poprosiłem, by właśnie tę muzykę zagrano na moim pogrzebie. W tym momencie wyjątkowo dobrze pasowała do mojego posępnego nastroju.

Mijały kolejne lata. Szwajcar Olivier Isler pobił nasz rekord z Friedman Sink, nurkując na nieprawdopodobną odległość 3099 metrów w Doux de Coly, we Francji. Wyglądało na to, że Amerykanie na dobre już wypadli z wyścigu po kolejne rekordy w nurkowaniu jaskiniowym, szczególnie gdy Hasenmayer wykonał zdumiewająco głębokie nurkowania w Vaocluse, we Francji (o tym w następnym rozdziale). Jakiś czas później, wieczorem zadzwonił telefon, a głos w słuchawce zapytał: „Panie Exley, czy nadal jest pan zainteresowany kupnem mojej posiadłości z Katedrą?”.

Wkrótce, po raz pierwszy od ponad dwudziestu lat mieliśmy pełnoprawny dostęp do jednego z dziewiętnastu wejść do najdłuższej i największej podwodnej jaskini na świecie. Co istotne, wejście należące do nas – Katedra – jest prawdopodobnie najbardziej malownicze i bez wątpienia najważniejsze, leży bowiem w górze strumienia i najbliżej niezbadanego na razie obszaru jaskini, a także terenu, na którym można zapewne pobić rekord odległości. Do jesieni 1986 roku doprowadziliśmy już elektryczność do brzegu wejścia i

zainstalowaliśmy pierwszy w USA system ogrzewania wody przydatny szczególnie podczas dekompresji. Wes Skiles, Tom Morris i Paul Smith umieścili nawet na głębokości 6 metrów prowizoryczny habitat – odwrócone koryto wypełnione powietrzem, w którym nurkowie mogli pić ciepłe napoje i rozgrzewać się podczas dekompresji. Zainwestowaliśmy również w drogie niemieckie skutery Aqua Zepp oraz mnóstwo innego sprzętu. W ciągu trzech nurkowań dopłynęliśmy z Paulem DeLoachem na odległość 1563 metrów.

Później nadeszły jesienne deszcze, a Suwannee wezbrała i wepchnęła swoje wody do jaskini, zmniejszając widoczność do zera. W październiku 1987 roku woda była już czysta, dzięki czemu podczas trzech samotnych nurkowań dotarłem na odległość 2088 metrów. Był to wówczas drugi wynik w Ameryce. Później jednak rozpoczął się projekt Wakulla, któremu musieliśmy poświęcić całą uwagę aż do końca roku, a jeszcze później znów zaczęło padać.

Następne dwa lata okazały się równie frustrujące. Widoczność w Katedrze była gorsza niż kiedykolwiek: zbyt mała, by można było poruszać się w niej bezpiecznie skuterem, choć lata były wyjątkowo suche (najsuchsze od 1981 roku). Winne tej sytuacji są prawdopodobnie wielkie koncerny rolnicze, które sprowadziły się do hrabstwa Suwannee (gdzie znajdują się Katedra, Peacock, Little River i wiele innych źródeł) i codziennie wypompowują z warstwy wodonośnej dziesiątki tysięcy metrów sześciennych wody. Ta nieograniczona eksploatacja warstwy nośnej wkrótce przyniosła łatwe do przewidzenia skutki: wiele źródeł przestało wylewać wodę, włącznie z największą w hrabstwie, wielką podziemną rzeką, która płynie przez Katedrę i Falmouth. Na początku maja 1989 roku wyszło całkowicie źródło w Falmouth, uważane za najważniejsze i największe w okolicy – przeciętnie wypływało z niego ponad 2,8 metrów sześciennych wody na sekundę. Czegoś podobnego nie pamiętał żaden z okolicznych mieszkańców, żaden z nich nie przypominał sobie też, by wspominali o tym ich rodzice, należało więc zakładać, że zdarzyło się to po raz pierwszy od co najmniej stu lat. Źródło było tylko w ciągu pięciu z następnych dwudziestu ośmiu miesięcy, odprowadzało jednak często miliony metrów sześciennych czarnej, zanieczyszczonej wody z rzeki, która wsiąkała w warstwę wodonośną i zatruchiwała studnie okolicznych mieszkańców. Niekontrolowana eksploatacja wód gruntowych oznacza również, że procentowa zawartość wód powierzchniowych w źródłach, które to wody wprowadzają do warstwy wodonośnej azotany z mleczarni, znacznie wzrasta, co z kolei drastycznie ogranicza widoczność w źródłach i zanieczyszcza ich własne zasoby wodne. Kiedy, na przykład, ustał przepływ wody w Katedrze i Falmouth, nieskazitelnie czyste, niemal białe ściany jaskini pokryły się grubą warstwą ciemnych glonów i taniny, a zawartość tlenu znacznie zmalała, doprowadzając do zagłady

największej, zdaniem biologa Toma Morrisa, kolonii *Procambarus pallidus*, rzadkiego i zagrożonego gatunku ślepych raków. Wielka jaskinia, która niegdyś obfitowała w tysiące raków jaskiniowych, wielkie ławice sumów oraz innych ryb, teraz jest niemal całkowicie pozbawiona fauny.

W ciągu dziesięcioleci nurkowanie jaskiniowe przetrwało brak dobrego sprzętu w latach 50. XX wieku, ostracyzm ze strony nurków pływających w otwartych wodach w latach 60., liczne wypadki śmiertelne w latach 70., a także nieustające wysiłki ustawodawców stanowych, którzy dla zyskania taniej popularności wydają mnóstwo bezsensownych przepisów godzących w nasz sport. Czy to możliwe, by amerykańskie nurkowanie jaskiniowe zniknęło wraz z florydzkimi źródłiskami zniszczonymi przez napływającą tu ludność oraz egoistyczną gospodarkę wielkich koncernów rolniczych?

Do jesieni 1990 roku, dzięki naszym projektom w Mante w Meksyku oraz Chips Hole na Florydzie rekordy głębokości oraz odległości w nurkowaniu jaskiniowym wróciły na Florydę, a specjalistyczne badania pozwoliły ustalić, że Katedra jest najdłuższą i największą podwodną jaskinią świata, jednak moje marzenie o pobiciu rekordu odległości w tej właśnie jaskini pozostawało niespełnione. A przecież lata płynęły. Dobrze pamiętałem, jak John Harper i Jochen Hasenmayer zapadali w moim wieku na chorobę dekompresyjną podczas łatwiejszych nurkowań. Kiedy w końcu miałem już dość wyczekiwania jedyne go lekarstwa na kiepską widoczność, czyli długotrwałych i obfitych opadów deszczu, postanowiłem przeprowadzić kolejne nurkowania w Katedrze bez względu na warunki.

Widoczność w sali wejściowej Cathedral Canyon jest zwykle całkiem przyzwoita ze względu na wysięki w ścianach kanionu. Jednakże widoczność w tunelu na dnie wynosiła zaledwie 5 metrów, ściany były pokryte ciemnobrązowym nalotem z zanieczyszczonej wody, a na dnie zalegała gruba warstwa lotnego szaro-brązowego szlamu, który odkładał się tam ze względu na brak jakiegokolwiek przepływu. Sytuację pogarszał szlam opadający z sufitu, poruszony pęcherzykami powietrza z mojego automatu. Najgorsze jednak czekało na mnie 460 metrów dalej, w miejscu, gdzie główny tunel oddziela się od Wielkiego Kanionu i wchodzi w obszar położony na głębokości 45–48 metrów. Ta część, zwana Black Lagoon (Czarna Laguna), była całkowicie wypełniona lodowatą wodą z rzeki, a widoczność na odcinku 60 metrów wynosiła zaledwie 120 centymetrów. Kolejny obszar o podobnych warunkach i długości (Brown Lagoon, Brązowa Laguna) znajdował się zaledwie 60 metrów za Black Lagoon. Na szczęście dobrze pamiętałem, jak w tych miejscach jest ułożona lina względem ścian i skalnych występów. Dzięki temu mogłem szybko pokonać te odcinki skuterem, trzymając nisko głowę i nie odrywając spojrzenia

od liny. Gdybym przy tej prędkości i w tak dużej jaskini pozwolił sobie choćby na moment nieuwagi, być może nigdy już nie zdołałbym odnaleźć cienkiej, ledwie widocznej poręczówki. Oczywiście w takich warunkach nurkowanie z partnerem nie wchodziło w grę, poza tym nurkowanie jaskiniowe z partnerem przy dużej głębokości lub odległości, nawet w czystej wodzie, rzadko jest praktyczne i bezpieczne.

Na odległość 2254 metrów dopłynąłem 21 października 1990 roku i stwierdziłem ze zdumieniem, że głęboki obszar jaskini, Thirty Fathom Freeway (Autostrada Trzydziestu Sążni), ciągnie się dalej. Choć mogłem korzystać z takich udogodnień jak ciepła woda i habitat, dekompresja i tak była już wyjątkowo żmudna i męcząca. Dłuższy pobyt na głębokości 55 metrów oznaczałby, że muszę zamienić harmonogram dekompresji odpowiadający głębokości 49 metrów (opracowany przez doktora Johna Zumricka) na znacznie dłuższy harmonogram dla 52, a nawet 55 metrów. Znacznie wzrosłaby liczba dodatkowych butli rozkładanych na poszczególnych etapach, gdyż na takiej głębokości zużywa się o wiele więcej powietrza, a i tak zabierałem już na jedno nurkowanie więcej butli, niż ma na stanie przeciętny sklep nurkowy. Najgorsze było jednak zagrożenie zatruciem tlenowym, wynikające z przedłużonego pobytu na dużej głębokości, szczególnie gdyby zawiódł skuter i musiałbym dopłynąć do wyjścia o własnych siłach. Konwulsje wywołane tym zatruciem prowadzą do pewnej śmierci. Zmniejszenie ilości tlenu – co mogłoby zapobiec zatruciu – oznaczałoby jednak znaczne wydłużenie przystanków dekompresyjnych, wyliczonych na podstawie nieprecyzyjnych tabel, oraz wzrost zagrożenia narkozą azotową. A skoro już mowa o narkozie, warto wspomnieć, że zdaniem niektórych fizjologów zagrożenie wzrasta wraz z czasem, dlatego efekty narkozy odczuwalne podczas krótkiego nurkowania na głębokość 60 metrów przybrałyby znacznie na sile podczas długiego nurkowania na dnie Katedry. Innymi słowy, mogło się skończyć tym, że będąc w stanie przypominającym pijackie zamroczenie, będę pędził z prędkością 60 centymetrów na sekundę przez jaskinię wypełnioną wodą o widoczności sięgającej co najwyżej 4,5 metra.

Na szczęście następne nurkowanie było niczym odpowiedź na moje ciche modły. Dodałem kolejnych 90 metrów poręczówki i zacząłem płynąć w górę zbocza, które wyprowadziło mnie na głębokość 36 metrów. Jaskinia nie schodziła głębiej przez następne 762 metry. Uradowany tym odkryciem zatrzymałem się dopiero w odległości 2670 metrów od Katedry, bijąc rekord z Friedman i ustalając ponownie drugie co długości nurkowanie jaskiniowe w Ameryce. Nurkowanie to było również ważne z tego względu, że po raz pierwszy w historii Amerykanie rozłożyli na poszczególnych etapach nie tylko

dodatkowe butle, ale także skutery (Isler zrobił to wcześniej w jaskini Coly we Francji).

Następne nurkowanie, tym razem na odległość 3011 metrów, przebiegało bardzo podobnie. Olbrzymi główny korytarz, mierzący ponad 18 metrów, nie zmniejszał się ani trochę, choć jego przeciwległy kraniec, czyli Ellaville Spring w Suwannee River State Park, znajdował się w odległości ponad 11 kilometrów. Żaden korytarz na świecie, nawet w bajecznej Mammoth Cave w Kentucky (zdecydowanie najdłuższej suchej jaskini świata), nie może równać się pod tym względem z Katedrą. Wydawało się, że rekord odległości jest niemal na wyciągnięcie ręki. Jednak aby wykonać to jedno, rekordowe nurkowanie, trzeba wcześniej nurkować kilkakrotnie ze sprzętem i umieścić w różnych punktach jaskini dodatkowe butle i skutery. Chcąc zapewnić sobie maksymalne bezpieczeństwo, postanowiłem zostawić po drodze taką ilość powietrza, która wystarczyłaby mi nawet w przypadku najgorszego scenariusza, to znaczy awarii skutera w najbardziej oddalonym punkcie i konieczności powrotu wpław. Przekonałem się już, że podczas zwykłego pływania zużywam trzy razy więcej powietrza, niż gdy przemieszczam się skuterem. Ponadto dodatkowy czas spędzony w głębinie po awarii skutera znacznie wydłużyłby późniejszą dekompresję, a tym samym zwiększyłaby się ilość nitroksu i czystego tlenu potrzebnego do dekompresji.

Zrządzeniem losu awaria skutera przydarzyła mi się podczas najdłuższego nurkowania przygotowawczego, w odległości ponad półtora kilometra od Katedry. Zdołałem dowlec się do wyjścia, korzystając z mniejszego napięcia o wartości 12 woltów, ale nie udało mi się wykonać planu i zostawić dodatkowych butli w odległości 2088 metrów. Kiedy później dokładnie obejrzałem całe urządzenie, stwierdziłem, że zerwał się kabel na jednym z dwóch kompletów akumulatorów. Zamiast zlutować to samodzielnie zleciłem tę pracę profesjonalistom z miejscowego zakładu naprawy telewizorów.

Co wydarzyło się następnego dnia? Właśnie ten sam kabel zrywa się ponownie, choć tym razem do awarii dochodzi w odległości 914 metrów od wejścia. Zirytowany wymieniłem kabel i zmieniłem nieco całe połączenie przy akumulatorach. Ale teraz rekord, który wydawał się już tak blisko, zaczął się coraz bardziej oddalać. Gdyby zimowe deszcze nadeszły nieco wcześniej niż zwykle, zerowa widoczność uniemożliwiłaby nurkowanie w tym roku – a może i na zawsze, biorąc pod uwagę rosnące zanieczyszczenie i mój zaawansowany wiek.

W końcu 12 grudnia wykonałem nurkowanie przygotowawcze na odległość 2088 metrów, a trzy dni później zostawiłem dodatkowy skuter na przystanku w punkcie 975 metrów. Wszystko jest już gotowe. Największą niewiadomą

pozostaje hipotermia. Choć temperatura wody gruntowej w Katedrze wynosi 18,3–20,5 stopnia Celsjusza, a w Czarnej i Brązowej Lagunie jest 2,8–5,5 stopnia niższa, niemal cztery godziny spędzone na dnie jaskini, za sterami skutera, to prawdziwa męka. W Chips Hole wytrzymałem pięć godzin pływania w temperaturze 20,5 stopnia Celsjusza, ale utrata ciepła spowodowana znacznie szybszym przemieszczaniem się skutera odgrywa tu ogromną rolę. Szkoda, że podczas tego nurkowania nie można korzystać z suchej pianki. Gdybym to jednak zrobił, zamarzyłbym podczas długiej dekompresji, nie mogąc skorzystać z systemu podgrzewania wody.

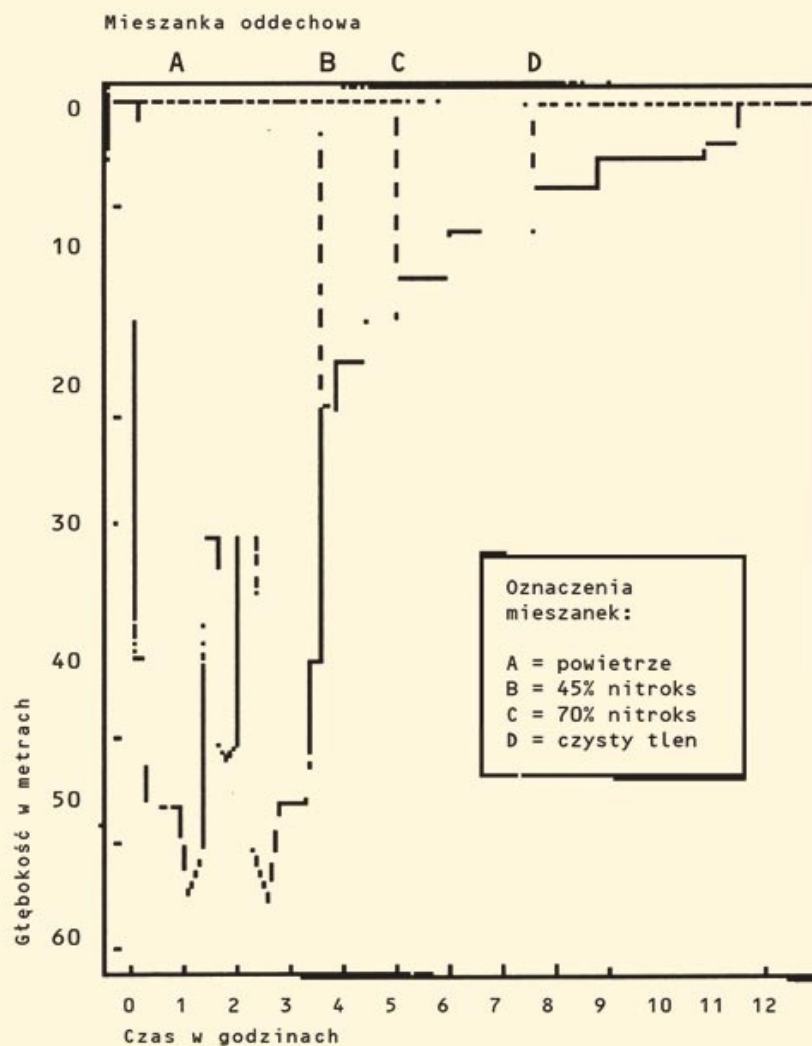
Oczywiście, pozostawało jeszcze pytanie, jak będzie dalej wyglądała jaskinia. Choć prawdopodobieństwo, że korytarz wkrótce się skończy, było niewielkie, mógł jednak sięgnąć na głębokość przekraczającą 60 metrów, co przy takiej odległości praktycznie uniemożliwiłoby dalszą eksplorację (choć prawdą jest, że wraz z Mary Ellen Eckhoff zbadaliśmy dwie jaskinie o głębokości niemal 90 metrów, położone niecałe 16 kilometrów dalej, a niektóre odcinki Thirty Fathom Freeway w samej Katedrze leżały na głębokości 60 metrów).

Wieczorem próbowałem przenieść wszystkie rzeczy potrzebne do nurkowania nad wodę, bym mógł wyruszyć z samego rana. Mimo to rankiem 16 grudnia 1990 roku musiałem załatwić jeszcze kilka spośród wielu spraw, które zawsze pojawiają się tuż przed takim nurkowaniem, jeśli ktoś chce zabezpieczyć się na wszelkie ewentualności: wygotowanie kilku grzałek chemicznych, które w razie potrzeby miały zastąpić układ podgrzewania wody podczas dekompresji, zszycie drobnego rozdarcia, które pojawiło się w kieszeni, wymiana regulatora, który wyglądał tak, jakby mógł sprawić mi problemy podczas nurkowania. Wreszcie, o godzinie 11.11 zszedłem pod wodę.

Podczas długich nurkowań we Friedman i Chips Hole mogłem zapaść w rodzaj przyjemnego transu, podróżując kilka godzin przez korytarze dobrze mi już znane z poprzednich wypraw. Jednak w Katedrze nie mogłem pozwolić sobie na taki luksus. Oprócz tego, że co chwila sprawdzałem wskazania wszystkich mierników oraz działanie niektórych elementów sprzętu, co miało mi zapewnić maksymalny poziom bezpieczeństwa i efektywności, musiałem też czujnie lustrować otoczenie, podróżowałem bowiem z dużą prędkością przez środowisko o znacznie ograniczonej widoczności. Nieraz żałowałem, że nie mogę przenieść się w lata 70., kiedy ta olbrzymia jaskinia był wypełniona krystalicznie czystą wodą o widoczności sięgającej 30 metrów.

Dziesięć minut po wejściu do wody odbiłem od głównej poręczówki i skręciłem w China Route. Choć nadkładałem w ten sposób 25 metrów, a odległości tej nie mogłem dodać do rekordu (zawsze bierze się pod uwagę najmniejszą możliwą odległość od najbliższego wejścia lub przestrzeni

powietrznej), płynąłem na nieco mniejszej głębokości, a dzięki temu unikałem odcinka o niemal zerowej widoczności w Black Lagoon. Nie mogłem jednak uniknąć Brown Lagoon: skrzywiłem się z bólu, gdy moje okryte pianką ciało wbiło się w zimną, brązową wodę tego obszaru. Starąłem się nie myśleć, co będę czuł w drodze powrotnej, niemal trzy godziny później, znacznie bardziej zziębnięty i zmęczony niż w tej chwili.



Schemat rekordowego nurkowania Shecka Exleya
w Cathedral Canyon, Floryda

Nurkowanie na odległość 3334 metrów wykonane 16.12.1990.

Po raz drugi skorzystałem z okrężnej drogi w odległości 1067 metrów od wejścia, gdy wybrałem o 36 metrów dłuższą West Loop (Zachodnia Pętla) zamiast krótszej, ale znacznie mniejszej East Loop (Wschodnia Pętla). W tym wąskim, krętym korytarzu musiałbym zwolnić, by nie uderzyć w ścianę. Płynąc w głąb jaskini, uważałem nie tylko na ściany. Jeszcze gorsze niż uderzenie w skalną ścianę lub występ mogło okazać się zetknięcie z poręczówką. Gdybym podpłynął zbyt blisko, ta nylonowa żyłka groziłaby rozerwaniem mojego skafandra i skaleczeniem mnie, a nawet zaplątaniem w śrubę skutera i zablokowaniem jej na dobre. Nie śmiałem jednak oddalić się od niej zbyt w obawie przed jeszcze gorszym losem, jakim byłoby zabłądzenie w wodzie o widoczności sięgającej co najwyżej pięciu metrów. Kilkakrotnie musiałem ostrożnie przepłynąć nad lub pod liną, by uniknąć zderzenia z sufitem lub ścianami. Plan nurkowania przewidywał siedem przystanków rozłożonych w odległości 300–600 metrów (w zależności od głębokości i warunków panujących w poszczególnych korytarzach), na których musiałem się zatrzymać, by wymienić i sprawdzić kolejne butle. Zmiana planów i zapotrzebowania na powietrze pozwoliła mi ominąć kilka przystanków, jednak każdy z pozostałych wymagał szybkich i precyzyjnych działań, gdyż najmniejsze nawet opóźnienie mogło zepsuć całe nurkowanie.

Półtorej godziny po rozpoczęciu nurkowania, na końcu liny mierzącej 3011 metrów, porzuciłem trzynastą i czternastą butlę, zaparkowałem skuter, przywiązałem nowy odcinek poręczówki i zacząłem płynąć. Podczas wcześniejszych nurkowań nauczyłem się już, że w warunkach ograniczonej widoczności lepiej dokładać poręczówkę, płynąc bez użycia skutera (widoczność w tej części jaskini była nieco lepsza, nadal jednak nie przekraczała 9 metrów). Poza tym w ten sposób mogłem się trochę rozgrzać, a skuter miał chwilę odpoczynku, podczas której silnik nieco się wychłodził, a akumulatory doładowały.

Jaskinia nadal miała ponad 18 metrów szerokości i 5–6 metrów wysokości, natomiast głębokość wynosiła nie więcej niż 30–33 metrów. Chwilę później, gdy pokonałem już 150 metrów, wypłynąłem zza rogu i zmarszczyłem brwi w grymasie zaniepokojenia na widok długiego otworu w dnie jaskini ciągnącego się wzdłuż lewej ściany. Przepłynąłem wzdłuż niego do przeciwległej ściany w nadziei, że uda mi się znaleźć płytszą drogę, lecz bez powodzenia. Na szczęście otwór zamieniał się w olbrzymią okrągłą studnię o szerokości 12 metrów i wysokości 6 metrów, położoną na głębokości sięgającej 45–50 metrów. Po pokonaniu kolejnych kilkuset metrów zauważyłem, że zostało mi już tylko dwie trzecie zapasu powietrza, umocowałem więc poręczówkę. Nowy rekord odległości w nurkowaniu jaskiniowym wynosił 3334 metry i jako pierwszy na

świecie przekroczyłem długość sześciu kilometrów (w obie strony). (Właściwie dystans mierzony w jednym kierunku wynosił 3395 metrów, nadkładałem bowiem drogi, płynąc przez China Route i West Loop, by uniknąć złej widoczności). Zanim jednak ruszyłem w drogę powrotną, wpatrywałem się przez kilka sekund w niezbadaną dal, próbując wyobrazić sobie ogrom i wspaniałość tej niezmierzonej jaskini.

Może po prostu ciągnie się w nieskończoność.

²⁴ Rory Dickens (1933–2000) jeden z pierwszych partnerów nurkowych Shecka Exleya, instruktor, członek zarządu NACD, współautor podręczników nurkowania, konstruktor, właściciel jednej z pierwszych firm wytwarzających profesjonalny sprzęt nurkowy DLS Enterprises (konstruował m.in. kołowrotki i latarki, później budował także skutery). Przez 37 lat uczył fizyki w Jacksonville i choć cieszył się ogromnym poważaniem wśród młodych ludzi, los sprawił, że został zamordowany właśnie przez dwójkę nastolatków.

²⁵ Ted Bundy, a właściwie Theodore Robert Bundy (1946–1989), amerykański seryjny morderca, który w latach 1974–1978 zabił wiele młodych kobiet. Przyznał się do 30 zabójstw, lecz całkowita liczba pozostaje nieznana. Zwykle zabijał swoje ofiary łomem (prawdopodobnie o takie właśnie narzędzie chodziło w opisywanym w tekście przypadku). Ted Bundy został zatrzymany w Pensacola, w stanie Floryda, a ciało jego ostatniej ofiary, pochodzącej z Lake City (również na Florydzie), znaleziono właśnie w Suwannee River State Park.

²⁶ Obecnie najdłuższą jaskinią podwodną na świecie jest Sistema Sac Actun w Meksyku, która ma łącznie 154 kilometry i 783 metry długości.



Sheck w parku stanowym rzeki Suwannee



Sheck Exley u wejścia jaskini Mante, Meksyk



Mante, Meksyk

ROZDZIAŁ 12

Mante

C

hciałbym kupić rajstopy. Rozejrzałem się nerwowo dokoła, sprawdzając, czy nikt mi się nie przygląda. Ekspedientka, która mnie obsługiwała, miała marsową minę i była zbudowana niczym instruktor musztry z amerykańskiej armii. Zmierzyła mnie groźnym spojrzeniem, po czym przywołała na usta bezpłciowy profesjonalny uśmiech. Przed minutą pomagała mi wybrać sweter na prezent gwiazdkowy dla mojej mamy, pomyślała więc być może, że rajstopy także są przeznaczone dla niej. Było to może nieco dziwne, nie na tyle jednak, bym został spalony na stosie przez baptystów z Lake City na Florydzie.

– Jaki rozmiar, proszę pana?

To nie był mój dzień.

Spojrzałem w dół, na swoje nogi i wymamrotałem:

– A jak pani sądzi, jaki rozmiar będzie na mnie pasował?

Podczas dłuższych nurkowań zdarzało się, że sztywna guma skafandra kaleczyła mi miękką skórę za kolanami. Otarcia były bolesne i rozpraszały mnie w czasie nurkowania. Czasami ból był tak dotkliwy, że nie mogłem prawidłowo poruszać płetwami. Co gorsza, rany te zwykle ulegały zakażeniu i bardzo powoli się goiły, przez co musiałem odkładać kolejne nurkowania. Nie wiedziałem, jak poradzić sobie z tym problemem, gdyż odkształceń skafandra nie dało się wyeliminować: był to normalny rezultat ściskania i rozciągania gumy podczas pływania. W końcu Mary Ellen znalazła rozwiązanie: szerokie pasy moleskinu²⁷ podtrzymywane rajstopami. Niestety, kiedy już zużyłem wszystkie jej stare nylonowe rajstopy, Mary Ellen nie chciała kupić mi kolejnych.

Skaleczenie za kolanami może się wydawać nieistotne, jednak podczas głębokich nurkowań nawet najdrobniejsze szczegóły decydują czasem o życiu i śmierci nurka. W tym przypadku nie chodzi już tylko o rozwiązanie kwestii wytrzymałości, napędu i logistyki, co wystarczyło w odniesieniu do rekordów długości we Friedman Sink i Cathedral Canyon. Podczas nurkowań głębinowych wkraczasz w nieznane obszary fizjologii i psychologii, gdzie wszystkie składniki powietrza stają się trujące, normalne problemy związane z nurkowaniem w jaskiniach nabierają o wiele większej wagi, a także dochodzi do przedziwnych zaburzeń chorobowych, o jakich nie śniło się naukowcom ani lekarzom.

Wykonując nurkowania na głębokości przekraczające 60 metrów, opisane w rozdziałach czwartym i szóstym, torowaliśmy drogę nowym technologiom nurkowania jaskiniowego. Nawet dziś takie nurkowania mogą być wykonywane tylko przez najbardziej doświadczonych i najostrożniejszych nurków jaskiniowych. Są one jednak dziecinną igraszką w porównaniu z rekordami

głębokości z lat 80. XX wieku.

Pierwsze z tych nurkowań wykonał Dale Sweet w leju krasowym Die Polder Sink #2 na Florydzie. Stało się to 8 czerwca 1980 roku. Dale próbował pobić rekord 104 metrów, który ustaliłem trzy lata wcześniej w Boiling Hole na Bahamach (patrz Rozdział 6). Choć „Deep Dale” jest odporny na narkozę w stopniu, jakim może poszczycić się tylko kilku najlepszych nurków na świecie, uznał, że najbezpieczniejszy sposób na zejście poniżej 104 metrów w jaskini to użycie helu w mieszance oddechowej. Zastępując azot helem, nurek może wyeliminować większość – jeśli nie wszystkie – spośród oszałamiających efektów narkozy.

Realizacja tego projektu wymagała od Dale’a ogromnej roztropności i odwagi zarazem. Dobrze wiedział, jak zakończyły się dwie poprzednie próby nurkowania z helem na Florydzie: podczas nurkowania na głębokość 108 metrów, które Hal Watts wykonał w otwartych wodach w 1970 roku, on sam nabawił się choroby dekompresyjnej, a jeden z jego nurków wsparcia utonął; w roku 1975, podczas dekompresji po nurkowaniu na 80 metrów, zmarł Lewis Holtzendorff. Dale nie wiedział natomiast o jedynym „udanym” nurkowaniu z mieszanką helu, które przeprowadzono przed 1980 rokiem. Wykonali je Frank Fogarty oraz Roger Miller w Blue Spring, w stanie Missouri, w 1978 roku. Choć Frank i Roger przeżyli zejście na 99 metrów, obaj ulegli niebezpiecznemu wyziębieniu, co wynikało z wysokiej przewodności helu zawartego w ich mieszance.

Dale musiał stawić czoło wielu poważnym przeszkodom. Po pierwsze, w jakich proporcjach miał dobrać gazy w mieszance, by mieć pewność, że ta nie zagrozi jego zdrowiu. Po drugie, jak miał zapobiec wyziębieniu, skoro hel bardzo szybko odprowadza ciepło z organizmu nurka, wychładzając je przy każdym oddechu. Po trzecie i najważniejsze, jak powinien zaplanować przystanki dekompresyjne, by uniknąć choroby dekompresyjnej. Dysponowaliśmy wówczas tylko tabelami dekompresyjnymi amerykańskiej marynarki wojennej, które okazywały się zawodne nawet wówczas, gdy stosowano je w idealnych warunkach, to znaczy w suchej komorze dekompresyjnej, pod czujnym okiem lekarza. Dale musiał przejść całą dekompresję w wodzie. Podobna próba, podjęta przez Courta Smitha i Lewisa Holtzendorffa, skończyła się tragicznie, choć ze względu na płytsze nurkowanie dekompresja była krótsza. Dale nie tylko zamierzał zanurkować 24 metry głębiej niż oni, ale też musiał przepłynąć około 300 metrów w poziomie, i to przez dwa muliste przewężenia.

Kiedy Dale poprosił mnie, bym towarzyszył mu podczas nurkowania w Die Polder Sink #2, niemal natychmiast odmówiłem. Kusilo mnie, by zanurkować ze

sprężonym powietrzem, bo w taki właśnie sposób w 1971 roku dotarłem w otwartym morzu na głębokość 142 metrów. Ostatnio jednak nie wykonywałem szczególnie głębokich nurkowań, a wiedziałem, że za sprawą nieznanego mechanizmu psychologicznego efekty działania narkozy azotowej nabierają w jaskini szczególnej mocy.

Pomimo wszystkich przeciwności Dale wykonał rekordowe nurkowanie na głębokość 110 metrów. Zaczęła się era nurkowania jaskiniowego z mieszkankami oddechowymi.

Sześć miesięcy później wyrównałem rekord Dale'a, nurkując ze sprężonym powietrzem. Mogłem jednak korzystać z ułatwienia, jakim była pozostawiona przez niego poręczówka. Wyszukiwanie drogi, szczególnie w zamulonym przewężeniu na głębokości 104 metrów, było zapewne możliwe tylko przy zastosowaniu tlenu. Jeśli miałem jeszcze jakieś wątpliwości co do wyższości helu nad azotem w nurkowaniu głębinowym, rozproszyło je rekordowe nurkowanie Niemca Jochena Hasenmayera w Fontaine de Vaucluse, we Francji. Korzystając z helu, w 1981 roku zanurkował na zdumiewającą głębokość 145 metrów, w 1983 roku zaś poprawił ten wynik, schodząc aż na 200 metrów. Używał przy tym tabel dekompresyjnych opartych na wartościach, które wysłałem mu nieco wcześniej. Teraz czułem już, że mogę rozpocząć w miarę bezpieczny program nurkowania z helem.

Pierwszym celem był, oczywiście, amerykański rekord Dale'a, czyli 110 metrów. Gdzie jednak mogłem wykonać takie nurkowanie? Podczas nurkowania na sprężonym powietrzu w Die Polder #2 przekonałem się, że ta jaskinia ma tylko 110 metrów głębokości. Jedynym miejscem na Florydzie, gdzie mógłbym zejść na większą głębokość, był Mystery Sink, który jednak od czasu wypadków w 1970 roku był zamknięty dla nurków. Jeszcze lepsza byłaby Devil's Hole w Nevadzie, ale i tu nie dało się nurkować, ponieważ biolodzy uważali, że mogłoby to doprowadzić do zagłady rzadkiego i zagrożonego gatunku ryb z rzędu karpieńcowatych żyjących w tym właśnie akwenie. Prawdopodobnie żadna inna jaskinia na Bahamach i Karaibach nie była głębsza niż Boiling Hole, w której zanurkowałem niegdyś na 104 metry. Na całej zachodniej półkuli znajdowało się tylko jedno miejsce, w którym mogłem pobić rekord Dale'a: olbrzymie źródłisko w mieście Mante, w północnym Meksyku.

W 1979 roku, przed rekordowym nurkowaniem Dale'a w Die Polder Sink #2, przewodziłem grupie dziewięciu nurków NSS podczas wyprawy do górzystego regionu w północno-wschodnim Meksyku, gdzie John Fish, Bill Russell, Bill Stone i inni członkowie Association for Mexican Cave Studies (Stowarzyszenie Badań Jaskiniowych Meksyku, AMCS) znaleźli niegdyś wiele dużych i czystych źródeł krasowych. W większości z nich nikt jeszcze nie nurkował. Zwykle

źródłiska te leżały u wschodniej podstawy Sierra Madre Oriental i opadały pionowo na głębokość 30–60 metrów. Nacimiento del Rio Mante wyglądało podobnie, tyle że było o wiele większe. Z jaskini u podnóża górskiego grzbietu o wysokości 600 metrów wypływało dziennie prawie milion metrów sześciennych wody – więcej niż z jakiegokolwiek pojedynczego źródłiska na wschodzie Stanów Zjednoczonych.

Podczas ekspedycji układałem plan nurkowań tak, by każdy z nurków mógł zejść jako pierwszy w co najmniej jednym miejscu. Dzięki temu każdy z nich miał okazję doświadczyć radości płynącej z pierwszego nurkowania w niezbadanej jeszcze, dziewiczej jaskini. W Mante jako pierwsi zanurkowali Terry More i Frank Fogarty. Popłynąwszy w górę strumienia, odkryli, że w odległości 30 metrów od wejścia do jaskini rzeka schodzi do syfonu. Sufit opadał ukośnie, prowadząc do wielkiego podwodnego korytarza o średnicy 6 metrów. Silny nurt przypominał warunki panujące w Manatee Springs i Friedman Sink. Terry i Frank zanurkowali w syfonie i przepłynęli nad opadającym dnem kolejnych 30 metrów, docierając do głębokości 12 metrów. Tam odkryli mierzącą 30 metrów długości szczelinę w dnie, z której wypływał rwący strumień.

Tymczasem Paul DeLoach i ja – następni w kolejce do nurkowania – czekaliśmy niecierpliwie na wieści od Terry’ego i Franka. Wiedzieliśmy, że im dłuższe nurkowanie, tym ciekawsza jaskinia. Byłem bardzo podekscytowany, gdy w końcu, niemal po trzech godzinach, wynurzyli się z wody.

– Jak poszło? – spytałem, pomagając Terry’emu wynieść sprzęt na brzeg.

Jego uśmiech mówił sam za siebie.

– Płynęliśmy zaciskiem prosto w dół do głębokości osiemdziesięciu metrów – odparł. – Potem po prostu zniknęła nam z oczu!

– Świetnie!

Tego dnia było już za późno na następne nurkowanie, weszliśmy więc z Paulem do wody nazajutrz, wczesnym rankiem. Ze względu na bardzo silny prąd postanowiłem wejść do jaskini, przytrzymując się gołymi rękami poszarpanych występow skalnych, a nie płynąc. Nagle oderwałem prawą rękę od skały przeszyty dotkliwym bólem. W bladym świetle docierającym od wejścia jaskini dostrzegłem zieloną chmurę wypływającą z ciemnego rozcięcia na mojej dłoni. Kiedy oświetliłem ją latarką, przybrała czerwoną barwę: z otwartej rany wylewał się strumień krwi. W innych okolicznościach zapewne odwołałbym nurkowanie, teraz jednak nie mogłem znieść myśli, że znów będę musiał czekać, by zobaczyć na własne oczy niezwykle odkrycie Terry’ego i Franka. Poza tym mogło być gorzej: przy wejściu do jaskini często pojawiały się groźne węże zwane kajsakami,

a „ukąszenie” skały nie było przynajmniej jadowite.

Powoli przesuwaliśmy się z Paulem wzdłuż ścian jaskini, a potem w głąb szczeliny, poniżej poziomu 12 metrów. Długi na 30 metrów, pionowy zacisk mierzył w najszerszym miejscu zaledwie półtora metra szerokości. Poniżej głębokości 24 metrów zwężał się do metra. W kilku miejscach musieliśmy przesuwąć się wzdłuż zacisku, by znaleźć miejsce, w którym mogliśmy zmieścić się wraz z butlami niesionymi na plecach.

Na głębokości 55 metrów zacisk robił się jeszcze węższy, pokazałem więc Paulowi, byśmy przystanęli. Zamiast przesuwąć się dalej wzdłuż poręczówki pozostawionej przez Terry’ego i Franka przywiązałem nową linę i zacząłem przemieszczać się poziomo, szukając łatwiejszej drogi. Trzydzieści metrów dalej zacisk rozszerzał się ponownie do 2,5 metra, odwróciłem się więc i pokazałem Paulowi kciuk skierowany w dół, co oznaczało, że znów zaczynamy się opuszczać.

W odróżnieniu od dotychczasowej, żmudnej i powolnej wędrówki teraz wszystko nabrało tempa. Siła prądu zdecydowanie zmaląła w szerszym korytarzu. Wydawało się, że już po kilku sekundach znaleźliśmy się na głębokości 88 metrów, gdzie skończyła nam się lina. Pod nami otwierała się ciemna otchłań, z której dobiegał pomruk pędzącego nurtu kuszący niczym śpiew syren.

Tego wieczoru zasiedliśmy całą grupą wokół ogniska i odbyliśmy naradę, do której przygrywał nam na gitarze Jamie Stone. Byli tam obecni niemal wszyscy spośród najlepszych głębinowych nurków jaskiniowych Ameryki. Oprócz wspomnianej już piątki w wyprawie uczestniczyli Dan Lenihan, Ken Fulghum, Steve Forman i Carol Vilece. Carol ustanowiła niedawno rekord głębokości wśród kobiet, schodząc na 85 metrów (poprzedni rekord liczył 79 metrów i został osiągnięty przez trzy kobiety: Indię Hendley, Karan Pribble i Zidi Goldstein Mount). Oczywiście nie brakowało też „Deep Dale’a”.

– Jak myślicie, dokąd sięga ta jaskinia? – spytał Dale.

– Do Chin – odparł Wujek Paul.

– Może być naprawdę bardzo głęboka – pokiwałem głową. – Woda ma tutaj temperaturę 25,5 stopnia Celsjusza, a więc jest o 7 stopni cieplejsza niż w najbliższych źródłiskach, w Frio i Sabinas. Możemy śmiało założyć, że podgrzewa ją roztopiona skała z wnętrza ziemi.

Dan Lenihan przesunął do tyłu swój znoszony, czarny kapelusz i pogładził się po długiej blond brodzie.

– Tak, „doktorze” Exley, ale to wcale nie znaczy, że jaskinia sięga aż tam.

W Warm Mineral hydrologicy powiedzieli nam, że woda pochodzi z głębokości 300 metrów, a jaskinia ma tylko 70.

– Poza tym – dorzucił Frank – najgłębsza podwodna jaskinia, jaką kiedykolwiek odkryto, to Boiling Hole. Sam ją znalazłeś i sam w niej nurkowałeś, więc wiesz, że ma 104 metrów głębokości.

– A co ze Snapper Sink w Atlantyku, przy wybrzeżu Florydy? Echosonda wykazała, że ta jaskinia ma 180 metrów głębokości.

– Cóż, wszyscy wiemy, jak nieprecyzyjne mogą być pomiary wykonane sonarem, szczególnie między skalnymi ścianami. Poza tym to pionowy lej w morskim dnie, a nie prawdziwa jaskinia, jak Mante.

– Więc spójrzcie na to z tej strony – odparłem, odchylając się do tyłu i wskazując obandażowaną ręką na ciemny kształt na tle rozgwieżdżonego nieba. – Te góry to klasyczny blok uskokowy. Przybrzeżna równina, na której właśnie siedzimy, podniosła się i utworzyła centralny płaskowyż Meksyku. Z tego wynika, że uskok przed tymi górami ma co najmniej 600 metrów głębokości, prawdopodobnie więcej.

– Dlatego też pozycja zacisku w jaskini, ustalona przez Shecka, wydaje się bardzo interesująca – dodał Paul.

– Tak? A czemuż to?

– Bo zmierza prosto w dół uskoku.

Pomimo licznych ataków wszystkich członków naszej grup najgłębsze nurkowanie w Mante w 1979 roku wyniosło 100 metrów, a zostało wykonane przeze mnie i Paula. Choć zabrakło nam czterech metrów do wyrównania mojego rekordu, nurkowanie było udane, gdyż w najgłębszym miejscu zobaczyliśmy położone 9 metrów niżej skalne półki. Próba dotarcia do nich podczas nurkowania z powietrzem, i to przy silnym przeciwnym prądzie, równałaby się samobójstwu. W 1987 roku, osiem lat po udanych nurkowaniach z helem Dale’a i Jochena, dotarcie do tych półek – i tego, co mogło kryć się pod nimi – było całkiem realne i ekscytujące.

W amerykańskim nurkowaniu jaskiniowym małe zespoły osiągają często więcej niż duże ekspedycje, zwykle jednak wolę pracować z nieco większym zespołem wsparcia niż ten, który miał towarzyszyć mi podczas próby bicia rekordu w Manta: zespół ten składał się z jednego nurka. Tym jedynym nurkiem była jednak Mary Ellen Eckhoff, osoba bardziej skuteczna i godna zaufania niż większość zespołów nurkowych, jakie mogłem sobie wyobrazić. Jako czwarty nurek na świecie (i pierwsza kobieta) wykonała ponad tysiąc nurkowań jaskiniowych, pobiła też rekord w jaskiniowym nurkowaniu głębinowym kobiet należący wcześniej do Carol (zeszła na głębokość 91 metrów) oraz rekord w nurkowaniu głębinowym kobiet na otwartym morzu (zeszła na 105 metrów).

Zastanawiałem się, czy nie poprosić Mary Ellen, Paula lub któregoś spośród pozostałych uczestników wyprawy z 1979 roku, by zeszli ze mną, bez wątpienia

jednak znacznie bezpieczniejsze było nurkowanie w pojedynkę. Aby zminimalizować zagrożenie chorobą dekompresyjną lub hipotermią, musiałem jak najszybciej się zanurzać. Nawet minuta opóźnienia mogła przełożyć się później na dodatkowe godziny dekompresji i konieczność realizacji ryzykowniejszego jej harmonogramu. Uważam, że partnerzy nurkowi powinni przez cały czas przebywać razem, by obserwować nawzajem swoje poczynania i w razie potrzeby udzielić szybkiej oraz skutecznej pomocy. W Mante nurek prowadzący musiałby co jakiś czas zwalniać, by zerkać w górę na swojego partnera, a tempo zanurzania zespołu musiałoby być, oczywiście, dostosowane przez cały czas do najwolniejszego nurka. Opóźnienia spowodowane sprawdzaniem sprzętu, przeciskaniem się przez węższe odcinki jaskini, wymianą butli itp. byłyby dwa razy większe. Co gorsza, pęcherzyki powietrza wydychane przez nurka prowadzącego oraz wzbijany przez niego szlam oślepiałyby nieustannie drugiego nurka. Trzeba też pamiętać, że przystanki dekompresyjne, które w przypadku mieszanek oddechowych z helem muszą być dłuższe i głębsze, znajdowałyby się także w zacisku, na głębokościach 24–55 metrów, gdzie po prostu nie było miejsca dla dwóch nurków, butli z powietrzem do dekompresji oraz innego sprzętu.

W ciągu kilku miesięcy poprzedzających nurkowanie byłem wyjątkowo niespokojny. Choć zaplanowałem wszystko w najdrobniejszych szczegółach i wykonałem nurkowania treningowe z mieszankami helu w Cathedral Canyon (40 metrów) i Holton Spring (79 metrów), wiedziałem, że wkraczam na całkiem nowe, nieznane terytorium, przynajmniej po tej stronie Atlantyku. Mój przyjaciel, Jochen Hasenmayer udzielił mi wprowadzie kilku cennych rad, musiałem jednak pamiętać o różnicach między Vaucluse, gdzie nurkował Jochen, a Mante. W Vaucluse było znacznie zimniej niż w Mante, co znacznie utrudniało dekompresję, ale silny prąd w Mante zmuszał nurka do nieustannego wysiłku, a to potęgowało ryzyko wystąpienia narkozy azotowej, zatrucia tlenowego, zatrucia dwutlenkiem węgla, hiperwentylacji, zespołu neurologicznego wysokich ciśnień (HPNS), a także choroby dekompresyjnej. Do tych oraz innych, niezbadanych jeszcze do końca, zagrożeń związanych z nurkowaniem z helem dochodziły opisane zarówno przez Jochena, jak i Gene'a Meltona przypadki przedśionkowej postaci choroby dekompresyjnej powodującej nagłą śmierć w chwili, gdy nurek podczas wynurzania przełącza się z mieszanki helowej na powietrzną (to konieczny element procesu dekompresji). A skoro mowa o dekompresji, to muszę przyznać, że jedynymi w miarę bezpiecznymi tabelami dekompresyjnymi, jakimi wówczas dysponowałem, były ściśle tajne komercyjne tabele przesłane przez Gene'a. Niestety, tabele te były przeznaczone do użytku w suchych komorach dekompresyjnych, jakimi

dysponowaliśmy podczas późniejszych badań w Cathedral Canyon i Wakulla Spring. Ze względu na nieregularny, niestabilny sufit i brak stałego podłoża nie mogłem jednak zastosować takiej komory w Mante. W końcu tabelę zostały zmodyfikowane przez pewnego sprzedawcę samochodów, który niedawno został nauczycielem matematyki. Szukając pozytywnych aspektów tej sytuacji, stwierdziłem, że jeśli padnę ofiarą choroby dekompresyjnej, będę mógł winić tylko siebie. Biorąc pod uwagę tę ostatnią okoliczność oraz inne czynniki, doszedłem do wniosku, że czeka mnie nurkowanie co najmniej dwa razy trudniejsze od wszystkich, które wykonywałem do tej pory.

Ranek 22 kwietnia 1987 roku w Mante był pochmurny i wilgotny, co stanowiło miłą odmianę, nie musiałem się bowiem obawiać przegrzania, gdy wkładałem grubą bieliznę i suchy skafander. Gdy nadszedł wreszcie czas działania, byłem spokojny i pewny siebie. Mógłbym właściwie powtórzyć słowa, które wypowiedział Robert Falcon Scott, ruszając w drogę do bieguna południowego: „Nie wydaje mi się, bym zaniedbał czegokolwiek, co może zapewnić nam sukces”. W rzeczywistości Scott nie dopilnował wielu rzeczy, co sprawiło, że przegrał z Amundsenem wyścig do bieguna i stracił życie (podobnie jak wszyscy jego towarzysze). Miałem nadzieję, że nasza ekspedycja będzie raczej przypominać wyprawę Amundsena: starannie zaplanowaną, opartą na sesjach treningowych, a w ostatecznym rozrachunku udaną i bezpieczną.

Kiedy weszliśmy do wody, miałem na sobie swój zwykły skafander i sprzęt nurkowy, łącznie z twinsetem (dwie butle po 2800 litrów każda) wypełnionym sprężonym powietrzem. Ponadto zabrałem zapasowy głębościomierz, specjalną latarkę zaprojektowaną przez Lamara Englisha, przeznaczoną do użytku w bardzo wysokim ciśnieniu oraz dwie butle o pojemności 2200 litrów wypełnione po połowie helem i powietrzem. Dwa dni wcześniej zostawiliśmy w jaskini dodatkowe butle ze specjalnymi mieszankami przeznaczonymi do dekompresji.

Mary Ellen towarzyszyła mi podczas długiej drogi w górę rzeki i w głąb jaskini. Starłem się płynąć jak najwolniej, by nie doprowadzić do przegrzania organizmu i nie wytworzyć zbyt dużej ilości dwutlenku węgla. We wnętrzu jaskini, w odległości 30 metrów od wejścia, zatrzymałem się na skalnej półce na dziesięciominutowy odpoczynek. Wykorzystałem ten czas, by oczyścić umysł i podnieść świadomość własnego ciała za pomocą technik medytacyjnych, których nauczyłem się dwie dekady wcześniej na treningach karate. Wiedziałem, że będę musiał szybko podejmować decyzje decydujące o moim życiu lub śmierci i czujnie wypatrywać najsłabszych nawet objawów choroby dekompresyjnej, zatrucia tlenowego itp., by w razie potrzeby podjąć natychmiastowe działania. Po medytacjach czułem się spokojny i opanowany, a

resztki niepokoju, który dręczył mnie przed nurkowaniem, zniknęły bez śladu.

Po upływie dziesięciu minut wyregulowałem zegarek, a potem zrobiłem coś, czego nie musiał wcześniej robić żaden Amerykanin przed nurkowaniem: włączyłem wszystkich pięć zapasowych latarek, gdyż na głębokości przekraczającej 110 metrów mogło się to okazać niemożliwe. Pożegnałem się z Mary Ellen i ruszyłem w dół, dokładnie w samo południe.

Decydującym elementem udanego zanurzenia była prędkość. Aby ustanowić nowy rekord USA, musiałem osiągnąć głębokość 111 metrów nie później niż 20 minut od opuszczenia powierzchni wody. Mogłem przesuwając się pod prąd, opróżniając kamizelkę wypornościową i w ten sposób zwiększając ciężar swojego ciała. Podciągałem się na skalnych wystęgach (tym razem miałem rękawice) i wykorzystywałem niewielkie zawirowania wody w miejscach, gdzie ściany zacisku były najmocniej pofałdowane. Tam, gdzie było to możliwe, odpychałem się płetwami od skalnych wystęgów. Tymczasem ta część mojego umysłu, która nie była pochłonięta wyszukiwaniem drogi, przesuwaniem się w dół i nieustannym sprawdzaniem sprzętu, monitorowała puls i oddychanie, sprawdzając, czy poziom dwutlenku węgla nie przekracza niebezpiecznych wartości.

Na głębokości 73 metrów przełączyłem się z powietrza na mieszanke helową. Zamierzałem używać tabel dekompresyjnych, według których zmiana ta powinna odbyć się na głębokości 55 metrów. Mogłem pozwolić sobie na przeniesienie tej operacji 18 metrów niżej tylko dlatego, że miałem naprawdę duże doświadczenie w nurkowaniu głębinowym ze sprężonym powietrzem; w rezultacie zachowałem więcej gazu na najgłębszą część nurkowania, co dawało mi znacznie większy margines bezpieczeństwa. Bezpieczniejsza była również dekompresja, ponieważ niektóre spośród głębszych przystanków wymaganych przy oddychaniu helem nie były już konieczne, a wiele innych mogło zostać skróconych. Trzecim spośród wielu powodów, które skłaniały mnie do oddychania sprężonym powietrzem do jak największej głębokości, był fakt, że ograniczałem w ten sposób ryzyko wyziębienia (hel bardzo szybko odprowadza ciepło z ciała nurka).

Na głębokości stu metrów przymocowałem nową poręczówkę do końca starej. Na szczęście nie czułem żadnych objawów narkozy azotowej, która dokuczała mi poprzedniego dnia. Póltorej minuty później miałem już nowy rekord i sporo czasu w zapasie, nie dotarłem jednak do końca studni, która powiększyła się do szerokości 7,5 metra i wyglądała naprawdę interesująco. Miałem ze sobą tabele z wartościami sięgającymi 120 metrów oraz ekstrapolacje na jeszcze większe głębokości, ruszyłem więc śmiało w dół.

Na głębokości 120 metrów studnia zwężyła się do około trzech metrów.

Zamierzałem przełączyć się na drugą butlę z helem przeznaczoną na wynurzenie, gdy ciśnienie w pierwszej spadnie do 103 barów. Manometr na pierwszej butli wskazywał 117 barów, płynąłem więc dalej w dół. Korytarz znów się rozszerzył, a potem ponownie zwęził. Czułem, że dopływałem już wystarczająco głęboko, i zacząłem mocować poręczówkę, płosząc przy tym raka jaskiniowego. Głębokościomierz wskazywał jednak 143 metry – wartość zbyt bliską ładnej, okrągłej liczby, bym miał się teraz zatrzymać, szczególnie że manometr na pierwszej butli wciąż wskazywał 110 barów. Wypatrzyłem w dole skalną półkę i szybko opuściłem się na nią, niemal dokładnie w chwili, gdy skończył mi się gaz w pierwszej butli. Przełączywszy się na drugą, sprawdziłem ciśnienie w pierwszej i odkryłem ze zdumieniem, że ciśnieniomierz wciąż wskazuje 110 barów zamiast zera. Najwyraźniej ogromne ciśnienie wody wygięło szkiełko wskaźnika do środka i przycisnęło wskazówkę, która nie mogła się teraz przesunąć.

Po przymocowaniu poręczówki zerknąłem na głębokościomierze. Oba wskazywały 152 metry, a ponieważ zostały skalibrowane na cięższą słoną wodę, w rzeczywistości znajdowałem się na głębokości 157 metrów. Moje stopy były około półtora metra niżej. Najłatwiejszą część nurkowania miałem już za sobą.

Teraz czekało mnie aż 26 przystanków dekompresyjnych – ponad dwa razy więcej niż musiał do tej pory wykonać podczas jednego nurkowania jakikolwiek Amerykanin. Na osiemdziesięciu ośmiu metrach zatrzymałem się, by sprawdzić godzinę, i odkryłem, że zniknął mój zegarek! Zerkąłem na niego przed chwilą, na głębokości 104 metrów, musiałem więc zgubić go gdzieś w pobliżu. Sprawa była poważna, bo teraz nie mogłem zmierzyć czasu poszczególnych 26 przystanków dekompresyjnych. Każdy z nich miał inną długość i każdy należało starannie odmierzyć, by uniknąć choroby dekompresyjnej. Zbyt krótki pobyt na określonej głębokości mógł spowodować tworzenie się w moim ciele groźnych dla życia pęcherzyków gazu, pobyt zaś zbyt długi zmieniał cały profil dekompresji i powodował konieczność wydłużenia kilku płytszych przystanków. Ale których? I o ile? Nawet naukowiec dysponujący komputerem miałby kłopoty z obliczeniem tych wartości. Wykonałem do tej pory ponad 3000 nurkowań jaskiniowych i tylko raz zdarzyło mi się zgubić podczas nich zegarek: dlaczego ten drugi raz musiał przytrafić mi się właśnie teraz?

Czując się coraz bardziej jak nieostrożny, porywczy (i martwy) Scott, kilka następnych minut spędziłem na gorączkowych poszukiwaniach zegarka. Miałem nadzieję, że zatrzymał się na pobliskiej półce, a nie poleciał w głąb studni. Miałem wrażenie, że naga skalna ściana szczerzy się do mnie w uśmiechu. Niemał słyszałem, jak szydzi: „Myślałeś, że nurkowanie w Mante to łatwizna, koleżko?”.

Nie mogłem sobie pozwolić na dłuższy pobyt w tym miejscu, wymagałoby to bowiem przeprowadzenia jeszcze dłuższej i bardziej niebezpiecznej dekompresji, ruszyłem więc z rezygnacją w górę. Na głębokości 79 i 76 metrów zatrzymałem się i odliczyłem po sześćdziesiąt sekund. Potem zacząłem się martwić następnym problemem: przedsionkową postacią choroby dekompresyjnej opisaną przez Jochena i Gene'a. Na głębokości 73 metrów musiałem przełączyć się z mieszanki helowej (50 procent helu i 40 procent azotu) na zwykłe powietrze, które zawiera 79 procent azotu. Jak wynikało z informacji Jochena i Gene'a, nagły wzrost zawartości azotu mógł spowodować natychmiastową śmierć nurka. Co więcej, wszystkie autorytety medyczne przewidywały, że w tym momencie nastąpi nagły atak narkozy azotowej.

Starając się przeprowadzać tę zmianę łagodnie i stopniowo, wziąłem tylko jeden oddech powietrza z butli, którą zostawiliśmy wcześniej 73 metry pod powierzchnią, a dwa kolejne oddechy z butli z helem. Potem nastąpiły dwa oddechy powietrza i jeden mieszanki helowej. W końcu przełączyłem się całkowicie na powietrze, przygotowując się w duchu na atak narkozy i przedsionkową postać choroby dekompresyjnej, a jednocześnie odliczając kolejne sekundy. Nic się nie wydarzyło, nie czułem żadnych objawów narkozy, nie straciłem przytomności. Zrobiło mi się tylko cieplej, dzięki temu, że nie oddychałem już helem. Najwyraźniej moja strategia, polegająca na zachowaniu w mieszance helowej jak największej ilości azotu, przyniosła pożądany skutek.

Kiedy przesuwałem się w górę, a kolejne przystanki dekompresyjne robiły się coraz dłuższe, dziękowałem swojej szczęśliwej gwiazdzie, że od lat uczę, jak wykonywać resuscytację krążeniowo-oddechową. Wciąż pamiętałem dobrze starą metodę resuscytacji przeprowadzaną przez dwie osoby, podczas której wykorzystywało się rytm skurczów klatki piersiowej wynoszący w przypadku dorosłych sześćdziesiąt skurczów na minutę. Po odliczeniu każdej sześćdziesiątki stawiałem znaczek na tabliczce do pisania, by nie stracić rachuby kolejnych minut. Podczas trzyminutowego przystanku na głębokości 52 metrów, poczułem niepokojące mrowienie i falę gorąca w prawej nodze, które to odczucie nie opuszczało mnie przez większość wynurzenia. Choć może być to jeden z typowych wczesnych symptomów choroby dekompresyjnej rdzenia kręgowego (która może doprowadzić do paraliżu lub śmierci), często doświadczam również podobnych objawów z powodu kontuzji pleców z 1982 roku, podczas wyprawy Caye Cawler do Giant Cave (Rozdział 1). Kolejny symptom choroby dekompresyjnej pojawił się w czasie pięciominutowego przystanku na głębokości czterdziestu pięciu metrów: ból w prawym ramieniu. Jednak i ta dolegliwość wcale nie musiała być związana z dekompresją, gdyż trzy miesiące wcześniej, podczas wyprawy kajakowej, odniosłem kontuzję

objawiającą się w taki właśnie sposób. Ból ustąpił, nim dotarłem na 42 metry, po czym wróciłem na głębokości 33 metrów.

Na głębokości 40 metrów chciało mi się już ogromnie pić. Moje zapasy czekały w siatce na głębokości 9 metrów, gdzie miałem dotrzeć dopiero za kilka godzin. Odwodnienie to jedna z głównych przyczyn choroby dekompresyjnej. Z kolei picie meksykańskiej wody to główna przyczyna zemsty Montezumy (biegunki). Rozwolnienie jednak rzadko prowadzi do śmierci, poczęstowałem się więc jasnoniebieską wodą z Mante, zastanawiając się zarazem mimowolnie, czym są maleńkie drobiny unoszące się w tej wodzie i czy wielka ławica drobnych rybek, zwabionych światłem mojej latarki, nie załatwiała się niedawno w pobliżu...

Kiedy zatrzymałem się na piętnastominutowy odpoczynek na głębokości 24 metrów (próbowaliście kiedyś odliczyć 900 sekund?), przypłynęła do mnie Mary Ellen, by sprawdzić, czy czegoś nie potrzebuję, i złożyć gratulacyjny pocałunek. Po raz pierwszy w życiu bardziej zależało mi na jej zegarku niż pocałunku. Oddała mi swój zegarek i popłynęła na 18 metrów, gdzie znajdował się mój zapasowy czasomierz przyczepiony do jednej z butli dekompresyjnych. (Nie zabrałem obu zegarków na dół, bo według producenta działały należycie tylko do głębokości 100 metrów. Oczywiście, gdyby Amundsen był nurkiem jaskiniowym, zostawiłby zapasowy zegarek na pierwszym przystanku dekompresyjnym).

Na głębokości 15 metrów zacząłem oddychać mieszką złożoną w połowie z tlenu i azotu. Im więcej tlenu wdycha nurek, tym szybciej i bezpieczniej przebiega dekompresja. Jeśli jednak wchłonie go zbyt dużo – a odpowiednia ilość zależy od głębokości, czasu i różnicy indywidualnych – może nagle utracić zdolność oddychania albo dostać gwałtownych konwulsji, podczas których zwykle wypuszcza ustnik i tonie. Ofiary zatrucia tlenowego, które utrzymały się przy życiu, gdyż dostały drgawek w komorze dekompresyjnej, twierdzą, że często tego rodzaju ataki zdarzają się bez żadnych wcześniejszych epizodów ostrzegawczych. Zatrucie tlenowe zabiło Lewisa Holtzendorffa, a całkiem niedawno Xaviera Goyet, jednego z najlepszych nurków jaskiniowych we Francji. Zwykle podczas takiej czterdziestominutowej przerwy pozwoliłbym sobie na drzemkę, teraz jednak nie wchodziło to w grę, musiałem bowiem wczuwać się we własne ciało i wypatrywać wszelkich objawów świadczących o zagrożeniu zatruciem tlenowym.

I rzeczywiście, już po pięciu minutach poczułem zawroty głowy, szybko więc przełączyłem się z powrotem na powietrze (21 procent tlenu zamiast 50 procent). Zawroty szybko minęły. Po trzech minutach oddychania powietrzem wróciłem do pięćdziesięcioprocentowej mieszanki. Pięć minut później znów

zaczęło kręcić mi się w głowie. Ten schemat powtarzał się jeszcze kilkakrotnie, a ja za każdym razem przełączałem się z mieszanki na powietrze i z powrotem. Raz czy dwa poczułem skurcz mięśni w lewej łydce, co mogło być poważniejszym objawem problemów z tlenem, ale także moich chronicznych kłopotów z kręgosłupem. Na wszelki wypadek przez dłuższy czas oddychałem powietrzem.

Mniej więcej w połowie półtoragodzinnego przystanku na głębokości 12 metrów zaczęły dokuczać mi gwałtowne skurcze jelit, którym towarzyszyły dreszcze. Zemsta Montezumy chyba nie uderzała aż tak szybko? Przed nurkowaniem przestrzegałem surowej diety, nie piłem meksykańskiej wody, nie spożywałem też produktów mlecznych, a nawet warzyw i owoców. Alternatywne wyjaśnienie tego zjawiska było niewesołe: choroba dekompresyjna i, być może, zatrucie tlenowe, jedno i drugie bardzo niebezpieczne. Bez względu na przyczynę miałem poważny dylemat, tkwiłem bowiem w suchym skafandrze, którego nie mogłem zdjąć pod wodą, i do tego 210 minut od wynurzenia. Kiedy jednak kolejne ataki coraz bardziej przybierały na sile, wiedziałem już, że nie mam wyjścia. Po 40 lub 50 minutach walki mruknąłem w swój automat: „Do diabła, astronauta też to robią” i się poddałem. Kolejny pierwszy raz w nurkowej karierze Shecka Exleya. Ech!

Na głębokości dziewięciu metrów miałem przełączyć się na czysty tlen, na całe 85 minut. Wkrótce zaczęły drżeć mięśnie twarzy, co było niechybnym znakiem zbliżających się konwulsji. Szybko wróciłem do powietrza i zacząłem hiperwentylację, środek zapobiegawczy polecany przez NOAA (Krajowa Służba Oceaniczna i Meteorologiczna), dla której pracowałem w 1973 roku jako nurek saturowany (Rozdział 7). Drżenie ustało, a po kilku minutach znów spróbowałem przez chwilę oddychać czystym tlenem. Do końca tego przystanku oraz krótkich przystanków, które dodałem na głębokości 60 i 3 metrów, wykorzystywałem ten sam schemat, oddychając na przemian czystym tlenem i powietrzem.

W końcu, siedem i pół godziny po zanurzeniu, wypłynąłem na powierzchnię, trafiając na piękny zachód słońca na Sierra Madre. Widok przesłaniał mi jednak automat, który wciąż trzymałem w ustach. Oddychałem jeszcze przez chwilę tlenem, by zapobiec chorobie dekompresyjnej. I dobrze, że to zrobiłem. Kiedy zdjąłem pobrudzony skafander i bieliznę, odkryłem plamistą wysypkę na ramionach, piersi i brzuchu podobną do objawów skórnych choroby dekompresyjnej, które później mogą zamienić się w groźniejsze rodzaje tej choroby. Ale mam niewielkie uczulenie na wełnę, skóra mogła więc tak zareagować na długi kontakt z tym materiałem. Tak czy inaczej, ze względów bezpieczeństwa musiałem zakładać najgorszy scenariusz. Znów oddychałem

czystym tlenem, piłem mnóstwo wody mineralnej i zażywałem aspirynę, by rozrzedzić krew i zmniejszyć prawdopodobieństwo połączenia płytek krwi z pęcherzykami gazu, które mogły znajdować się w moim krwiobiegu. Wysypka zniknęła godzinę później, po dobrej zimnej kąpieli. Nazajutrz nie zauważyłem żadnych objawów wysypki, prawdopodobnie nie była więc ona związana z dekompresją.

Popełniłem pewne błędy, a większość nurkowania stanowiła prawdziwą walkę z przeciwnościami, dowiedziałem się jednak sporo o samej jaskini i o nurkowaniu głębinowym. Ustaliłem też nowy amerykański rekord głębokości, zarówno w nurkowaniu jaskiniowym, jak i wszelkich innych rodzajach nurkowania z akwalungiem. Należało sobie teraz odpowiedzieć na jedno oczywiste pytanie. Mary Ellen wypowiedziała je jako pierwsza, gdy następnego dnia robiliśmy zakupy w miejscowym sklepie.

– Zamierzasz tu wrócić?

Byłem tak zmęczony, że ledwie powłóczyłem nogami. Jedyne, o czym teraz myślałem, to powrót do własnego łóżka i kanapka Whopper z Burger Kinga z podwójną sałatą, pomidorem i cebulą.

– Chyba żartujesz! – odparłem.

Zmrużyłem oczy, spoglądając na światła nadjeżdżającego samochodu. Nie mogłem uwierzyć, że o tej porze ktoś jeszcze włóczy się po tej pustej drodze w Teksasie, tym bardziej że od Brownsville dzieliła nas jeszcze godzina drogi. Spojrzałem na tani zegarek Casio, który tak dobrze służył mi w Mantel. Tak, wróciliśmy już dwa miesiące później. Mary Ellen znalazła ten cholerny zegarek na skale na głębokości 97 metrów, dokładnie tam, gdzie go upuściłem. Wracała wtedy z 120 metrów, jako drugi w historii obywatel Ameryki, który zszedł na taką głębokość, i oczywiście jako pierwsza kobieta. Następnego dnia próbowałem zgubić go ponownie podczas nurkowania na 201 metrów, ale nie chciał się odczepić. Może był taki jak ja, miał obsesję na punkcie odnalezienia dna tej wielkiej dziury, i nie chciał mnie opuszczać, dopóki tego nie zrobimy. Nie do końca zadowolony z tego nurkowania – prawdę mówiąc marny metr przewagi nad rekordem świata Jochena, wynoszącym 200 metrów, wydawał mi się niewystarczający – wróciłem wraz z zegarkiem do Mante podczas następnej Wielkanocy i zanurkowałem na 238 metrów. Po raz kolejny korzystałem z pomocy doskonałego zespołu wsparcia (należeli do niego dwaj najlepsi nurkowie meksykańscy, Sergio Zambrano i Angel Soto oraz mój stary przyjaciel Ned DeLoach).

Aż trudno uwierzyć, że ten maleńki zegarek za 29,95 dolarów, który nie był nawet wodoszczelny (a tylko „wodoodporny”, i to do głębokości 100 metrów) wciąż tykał albo obliczał czy też co tam robią te japońskie cyfrowe cudenka. I

czy nigdy nie wyczerpują się w nich baterie? Na to wyglądało, bo wciąż działał i pokazywał właśnie, że jest 23.30, 25 marca 1989 roku.

Ned DeLoach pochylił się ku mnie z sąsiedniego fotela i wyrwał mnie z tych rozmyślań.

– Mamy teraz wreszcie ciszę i spokój. Może byśmy wrócili do tego artykułu, który mam napisać?

Byłem wykończony i w tej chwili artykuł Neda ani trochę mnie nie obchodził, ale Ned był moim wieloletnim przyjacielem, a do tego służył mi nieocenioną pomocą podczas liczących 4800 kilometrów podróży do Mante i z powrotem.

– Wal – mruknąłem z rezygnacją.

– No dobrze. Swój pierwszy rekord świata w odległości i głębokości ustaliłeś w 1970 roku. Dwie dekady później wciąż bijesz rekordy i wykonujesz więcej nurkowań niż ktokolwiek inny. Jak to robisz?

– To proste – uśmiechnąłem się. – Kontrolowana paranoja.

– Co takiego? – Ned spojrzał na mnie ze zdumieniem.

– Kontrolowana paranoja – powtórzyłem. – To taki rodzaj gry umysłowej, którą toczę z samym sobą. Udamę, że jaskinia chce mnie dopaść, w każdy możliwy sposób.

– Och, daj spokój...

– Mówię poważnie. Widzisz, to zmusza mnie do tego, żebym przed każdym nurkowaniem przewidział starannie wszelkie możliwe zagrożenia i wymyślił, jak sobie z nimi poradzić. A potem opracował jeszcze procedury zastępcze na wypadek, gdyby ten pierwszy plan nie zadziałał.

– Coś w rodzaju „planuj nurkowanie i nurkuj zgodnie z planem”?

– To coś więcej – odparłem. – Wielu nurków ma dość samodyscypliny, by przejść przez ten proces, potrafi przewidywać zagrożenia i szacować ryzyko, by ostatecznie zdecydować, czy może w miarę bezpiecznie wykonać nurkowanie, czy też nie. Żeby jednak poszczycić się długą karierą nurkową i przetrwać wiele niebezpiecznych nurkowań, nie możesz ograniczać się tylko do tego. Musisz przekonać samego siebie, że jaskinia jest kapryśnym przyjacielem, któremu roją się różne złowrogie myśli. Jeśli nie przygotujesz się na jakieś zagrożenie, choćby najmniej prawdopodobne, jaskinia z radością cię zabije.

– Postrzegasz więc podwodne jaskinie jako wrogów, których trzeba pokonać?

– Wcale nie. Jaskinia jest zarówno moim przyjacielem, jak i wrogiem. W jaskiniach przeżyłem najwspanialsze i najgorsze chwile mojego życia. Oczywiście, w rzeczywistości jaskini wcale nie obchodzi twoja osoba. Nawet gdyby jaskinie były rozumnymi istotami, trwają tak długo, że twoje nurkowanie jest dla nich krótsze niż mgnienie oka. Twierdząc, na przykład, że jestem właścicielem Cathedral Canyon, byłbym niczym pchła mówiąca, że jest

właścicielem psa. Jednak przed nurkowaniem i podczas niego udaję, że jaskinia jest do mnie wrogo nastawiona, bo to pozwala mi przeżyć, i udaję też, że jest moim przyjacielem, bo dzięki temu panuję nad strachem – podsumowałem.

– Hej, to już Brownsville.

Pod wieloma względami ta podróż była dla mnie spokojniejsza i bardziej odprężająca niż poprzednie wyprawy do Mante. Wtedy musiałem myśleć o liczbach, bić stare rekordy i ustanawiać nowe. Teraz już wszystkie rekordy należały do mnie, nie zaprzątałem więc sobie tym głowy. To nurkowanie miało służyć poznaniu jaskini i zaspokojeniu mojej ciekawości. Jak daleko może sięgać ten podwodny korytarz? Czy przypuszczenia, które snuliśmy dziesięć lat wcześniej, mogły okazać się prawdziwe?

Siła naszego zespołu tkwiła także w jego wielkości. Miała to być najliczniejsza do tej pory wyprawa do Mante. Oprócz trzech niezrównanych nurków wsparcia, którzy towarzyszyli mi poprzedniego roku – Sergia, Angela i Neda – z pomocą pospieszyło kilku innych świetnych nurków jaskiniowych: Paul Heinerth, Tom Bussell, Randy Bohrer, Dave Hodgetts, Paul Smith oraz nowożeńcy Tom i Nancy Morrisowie, dla których nurkowanie w Mante miało być miesiącem miodowym. Wsparcia w postaci sprzętu i pomocy logistycznej udzielili mi również tacy nurkowie jak John Harper, Paul DeLoach, Mary Ellen Eckhoff, Bill Stone, Clark Pitcairn, Wes Skiles, John Troutner, Dale Sweet, Jochen Hasenmayer, John Zumrick, Rob Anderson i Kelly Brady. Wyprawa miała też sześciu oficjalnych sponsorów: Air Products, Batso Products, Dive Rite Manufacturing, English Engineering, Scuba West i Spring Systems Dive Resort. Moje tablice dekompresyjne bazowały głównie na tablicach przygotowanych przez Billa Hamiltona do nurkowania na 238 metrów, choć wprowadziłem do nich modyfikacje, które zaczerpnąłem z tablic Gene’a Meltona oraz obliczeń Angela Soto i Randy’ego Bohrera.

Wszystkie te przygotowania miały ogromne znaczenie, gdyż zbliżające się nurkowanie miało być znacznie bardziej skomplikowane niż nurkowanie na 158 metrów. Na przykład wraz ze wzrostem głębokości nurkowań wzrastała też ilość helu w mieszance, od początkowej wartości 5600 litrów aż do 34 000 l. Podczas nurkowania na 201 i 238 metrów rozwiązałem ten problem, zostawiając dodatkowe butle o pojemności 2200 litrów na głębokości 82 metrów oraz 100 metrów, a do tego napełniłem mieszkanką helową twinset (5600 litrów), który nosiłem na plecach. Ze względu na małą ilość tlenu w tej mieszance nie mogłem nią oddychać w pobliżu powierzchni, co oznaczało, że musiałem polegać na dodatkowej butli z powietrzem, która pozwoliła mi opuścić się na głębokość 82 metrów, gdzie mogłem już przełączyć się na hel. (Podczas nurkowania na 201 metrów awaria automatu zmusiła mnie do oddychania powietrzem aż do

głębokości stu metrów).

Dodatkowym utrudnieniem był fakt, że moje główne butle – twinset, który nosiłem na plecach – nie zawierały już mieszanki, z którą mógłbym od razu wypłynąć na powierzchnię w razie zagrożenia. Jednak te problemy bledły w porównaniu z sytuacją, której musiałem stawić czoło podczas tego nurkowania. Żeby zejść niżej i wciąż dysponować bezpiecznym zapasem gazu, potrzebowałem znacznie więcej niż 14 000 litrów mieszanki, które niosłem ze sobą na głębokość 238 metrów (była to ilość niepokojąco mała). Potrzebowałem też gazu do dekompresji, czekało mnie bowiem 20 przystanków poniżej poziomu 100 metrów, najgłębszego miejsca, w których mogliśmy zostawić depozyty podczas nurkowań przygotowawczych. Jedynym rozwiązaniem była radykalna zmiana układu butli, które zabierałem ze sobą.

Po kilku miesiącach badań i prób postanowiłem wykorzystać układ pięciu butli oplatających moje plecy, które po napełnieniu do ciśnienia 275 barów zawierały 17 000 litrów gazu. W połączeniu z dwiema dodatkowymi butlami przypiętymi do piersi oraz czterema butlami zostawionymi wcześniej na głębokości 82 i 100 metrów dysponowałbym potrzebną mi ilością 34 000 litrów gazu.

Wykonałem kilka próbnych nurkowań z pięcioma butlami (nazwałem je „pięciopakiem”), które ważyły w sumie ponad 90 kilogramów. Środki ciężkości i pływalności zostały ustawione dokładnie tak, by ułatwić nurkowanie głową w dół, co osiągnięto za pomocą przesuwne balastu oraz kamizelki wypornościowej dostarczonej przez Dive Rite Manufacturing. Co zadziwiające, niezwykle siła wyporu oraz inne właściwości tej kamizelki, dostępnej przecież w zwykłych sklepach nurkowych, sprawiały, że idealnie spełniała moje potrzeby.

Tymczasem Lamar English z Gestalt Engineering pracował niestrudzenie nad projektem latarki, która działałaby na głębokości 243 metrów i niżej. Używałem jego latarek podczas wszystkich moich nurkowań w Mante i nie miałem żadnych problemów z ich głowicami uważanymi za najdelikatniejszą część całego sprzętu oświetleniowego. Aby docenić to niezwykle osiągnięcie, trzeba sobie uświadomić, że najlepsze głowice lamp dostępne w sklepach nurkowych zazwyczaj pękają pod wpływem ciśnienia na głębokości 70–90 metrów. Jedynym problemem, jaki wiązał się z tym elementem wyposażenia, było zalanie komory z bateriami, co zmniejszało nieco wyporność. Ale latarki świeciły nadal! Ostatni produkt Lamara wytrzymał aż do głębokości 238 metrów, potem jednak komora baterii implodowała i wypełniła się wodą. Ponieważ tego rodzaju usterka nie wpływała na wydajność latarki, a wstrząs wywołany implozją mógł mnie ogłuszyć, zaproponowałem, by jeszcze przed zanurzeniem wypełnić komorę baterii destylowaną wodą. Podobnie

postępowałem już od jakiegoś czasu z manometrami na moich butlach, by zapobiec problemom, jakich doświadczyłem podczas nurkowania na 158 metrów (wskazówka manometru została unieruchomiona przez szkło wgniezione ciśnieniem wody).

Różne automaty okazały się podczas poprzednich nurkowań niewystarczające, aż w końcu został tylko jeden, który mógł dostarczyć olbrzymie ilości gazu potrzebne na głębokości 244 metrów: Poseidon Odin. Podobną drogą eliminacji wybrałem też jedyną latarkę zapasową, która nie implodowała poniżej 120 metrów – Pelican. Ciśnienie wynoszące niemal 27 barów, które musiałem znieść podczas tego nurkowania, dosłownie zmiażdżyłoby drogie i delikatne zegarki nurkowe, którymi lubią się popisywać bogacze w luksusowych ośrodkach nurkowych. Moje trzy Casio po 29,95 dolarów za sztukę spisywały się bez zarzutu.

Tym, co budziło moje obawy podczas poprzednich nurkowań, była również czystość helu w mieszance oddechowej. Nawet najdrobniejsze zanieczyszczenia mogą wywołać poważne problemy na dużych głębokościach. Tragicznym przykładem może być śmiertelny wypadek sekretarza i zarazem jednego z dyrektorów NACD (National Association for Cave Diving, Krajowe Stowarzyszenie Nurkowania Jaskiniowego) Dana Turnera w 1974 roku. Podczas nurkowania na głębokość 90 metrów stracił nagle orientację i opadł z sił, potem miał coraz większe trudności z oddychaniem, aż w końcu utonął, choć zostało mu w zapasie jeszcze ponad dwie trzecie zawartości butli. Kiedy już wydobyliśmy jego ciało, Lewis Holtzendorff przeprowadził analizę powietrza w butlach i odkrył, że zawierało ono sporą ilość trującego tlenku węgla. Na powierzchni ilość taka zaczęłaby stanowić zagrożenie dopiero po upływie kilku godzin, jednak na głębokości 90 metrów jej działanie zostaje wzmocnione aż dziesięciokrotnie. Dwadzieścia pięć minut oddychania tą mieszkanką wystarczyło, by zabić jednego z najlepszych amerykańskich nurków jaskiniowych z początku lat 70. Na głębokości, którą zamierzałem osiągnąć, działanie wszelkiego rodzaju zanieczyszczeń było 28 razy mocniejsze niż na powierzchni.

Na szczęście Bruce Watson z Air Products, główny sponsor naszej niedawnej wyprawy do Wakulla Springs, zgodził się podarować potrzebny nam hel. Doświadczenia z Wakulla dowiodły, że jego firma dostarcza gaz najwyższej jakości. Ze względu na zagrożenia, jakie niosło ze sobą korzystanie z zanieczyszczonych gazów, napełnianie butli helem i sprężonym powietrzem nie mogło odbywać się w przypadkowym sklepie nurkowym. Paul Heinerth ze Scuba West napompował butle helem za pomocą swego ultraczystego systemu, a Arwyn Carr ze Springs System dołożył tlen i azot, wykorzystując starannie

utrzymany sprzęt do sprężonego powietrza.

Rozłożenie w jaskini 23 dodatkowych butli koniecznych do przeprowadzenia nurkowania samo w sobie było bardzo skomplikowanym zadaniem. Każdy depozyt, dokładnie opisany i dwukrotnie sprawdzony, musiał znaleźć się w ściśle określonym miejscu. W wielu przypadkach trzeba było wymienić pętle przytrzymujące butle, które wcześniej zamontowali Sergio, Angel i inni, albo też dodać całkiem nowe i to w miejscach, gdzie brakowało występow skalnych zdolnych utrzymać ciężar butli. Zwykle występy lub półki, które mogły utrzymać taki ciężar, były też dość ostre, by przeciąć linę, trzeba było więc sporej dozy pomysłowości, by odpowiednio zamocować nową pętlę. Jak zauważył kiedyś Tom Morris, wpatrując się w zamyśleniu w zacisk: „To nie jest miejsce, do którego chciałbyś wrzucić swój sprzęt”.

Ze względu na jego ogromne doświadczenie oraz pomoc, jakiej udzielił mi podczas poprzednich nurkowań, poprosiłem Sergio, by to właśnie on kierował tym trudnym projektem. Wielu nurków miałoby problemy z przenoszeniem moich dwóch tuzinów butli, gdyż wszystkie paski i sprzączki były dopasowane do mnie. Żaden z nowych członków zespołu nie nurkował jeszcze w Mante ani w żadnej jaskini, która łączyłaby wszystkie jej cechy, takie jak silny prąd, głębokość, zamulenie i ostre półki. W takich okolicznościach łatwo o pomyłkę. Butle mogły zostać zamocowane na niewłaściwej głębokości, automaty wraz z węzami i delikatnymi częściami mogły ulec uszkodzeniu i, co najgorsze, butle mogły wpaść do zacisku i polecieć aż do Chin, jak to określił dekadę wcześniej Paul DeLoach. To właśnie dzięki świetnemu kierownictwu Sergio oraz ogromnej pomocy pozostałych nurków butle zostały zamocowane bez większych problemów. Paul Heinerth i Tom Bussell, nasi dwaj najbardziej doświadczeni nurkowie głębinowi, zainstalowali butle na głębokości 73–55 metrów, Sergio i Angel między poziomami 49 i 30 metrów, Radny i Dave między 15 i 24, a Paul Smith pomógł mi przenieść butle na mniejszych głębokościach. (Z powodu strajku linii lotniczych Tom i Nancy dotarli do nas później i nie brali udziału w tej części ekspedycji).

Jak zwykle ostatnie nurkowanie przygotowawcze wykonałem sam, instalując cztery butle oraz kilka zapasowych obciążników na najgłębszych przystankach dekompresyjnych. To nurkowanie, podobnie jak inne nurkowania przygotowawcze, wykonałem przy użyciu sprężonego powietrza, dzięki czemu mogłem korzystać z tabel dekompresyjnych znacznie bezpieczniejszych niż te, których musiałbym używać przy nurkowaniu z mieszkanką helową. Nie trzeba chyba wspominać, że gdyby ktokolwiek z nas zapadł na chorobę dekompresyjną – co wiązałoby się z potrzebą natychmiastowego transportu do najbliższej komory dekompresyjnej, położonej prawie tysiąc kilometrów dalej, w San

Antonio, w stanie Teksas – musielibyśmy zakończyć całą ekspedycję.

Sprawdziłem pozycję wszystkich butli, po czym przymocowałem cztery ostatnie na głębokości 82 i 100 metrów. Na głębokości 100 metrów czułem się wyjątkowo dobrze, być może dzięki doskonałej widoczności, jaką zapewniała mi stuwatowa lampa kwarcowo-halogenowa zbudowana przez Lamara Englisha, szybko więc popłynąłem w dół, by sprawdzić, czy są tam miejsca, do których można by przymocować butle podczas przyszłych nurkowań. Kiedy się zatrzymałem, oszołomiony nieco narkozą azotową, stwierdziłem ze zdumieniem, że dotarłem na głębokość 116 metrów, co było nowym rekordem świata w nurkowaniu jaskiniowym na sprężonym powietrzu.

Tego samego wieczoru, w motelu, kiedy dokonywałem ostatnich poprawek w planie nurkowania i sprawdzałem sprzęt, nagle oblał mnie zimny pot i dostałem dreszczy. Okazało się, że mam gorączkę. Byłem tak słaby, że musiałem natychmiast się położyć. Poinformowałem pozostałych uczestników ekspedycji, że być może trzeba będzie przełożyć jutrzejsze nurkowanie. Było to dla nich ogromne rozczarowanie, bo wszyscy chcieli sami ponurkować trochę w Mante i Sabinas przed powrotem do Stanów.

Pamiętałem, jak w 1971 roku tego rodzaju presja skłoniła Archiego Forfara, Anne Gunderson i Jima Lockwooda do podjęcia próby bicia rekordu pomimo niesprzyjających okoliczności, co skończyło się dla nich tragicznie (patrz Rozdział 5). Udańskie nurkowania treningowe na głębokość 134, a nawet 137 metrów utwierdziły ich w przekonaniu, że pobicie rekordu nurkowania głębinowego na sprężonym powietrzu w morzu (rekord ten wynosił 133 metry i należał do Gruenera i Watsona) będzie łatwe. Niestety, „oficjalna” próba musiała zostać wykonana przy użyciu odmierzonej liny, która dotarła na miejsce dopiero w przeddzień nurkowania, kiedy było już za późno na dodatkowe treningi. Tymczasem nurkowanie mieli obserwować umówieni już wcześniej przedstawiciel mediów oraz bahamscy oficjele. Choć lina była za gruba w stosunku do znaczników, które musieli po niej przesuwac, by rekord został oficjalnie uznany, postanowili jednak wykonać nurkowanie. Na głębokości 107 metrów przesuwanie znaczników było już tak trudne, że aby kontynuować nurkowanie, musieliby pozbyć się systemów bezpieczeństwa złożonych z odpinanych obciążników, opróżnić kamizelki wypornościowe i popłynąć w dół wraz ze znacznikami. Przełożenie nurkowania wiązałoby się z ponownym umawianiem wszystkich ludzi, którzy czekali na nich w łodziach. Postanowili zaryzykować.

Jako jeden z wynajętych przez nich nurków wsparcia czekałem na głębokości 90 metrów na ich powrót, gdy zobaczyłem wypływającego z głębi, nieprzytomnego Jima Lockwooda, który z powodu zwiększonego wysiłku

zemdlał na głębokości 120 metrów. Ponieważ nie chcieli narażać na niebezpieczeństwo nurków wsparcia (Randy Hylton i Bill Wiggins byli jednymi z najlepszych nurków głębinowych na świecie, ale tylko ja zszedłem wcześniej poniżej 120 metrów), a także dlatego że byli absolutnie pewni sukcesu, Archie, Anne i Jim nie przygotowali nas do nurkowania poniżej 90 metrów, a nawet prosili nas, byśmy tego nie robili bez względu na okoliczności. Mimo to, gdy Archie i Anne nadal się nie pokazywali, próbowałem podjąć akcję ratunkową bez przygotowania wymaganego w takiej sytuacji. Dotarłem na głębokość 140 metrów, gdzie sam zacząłem tracić przytomność i musiałem wykonać awaryjne wynurzenie.

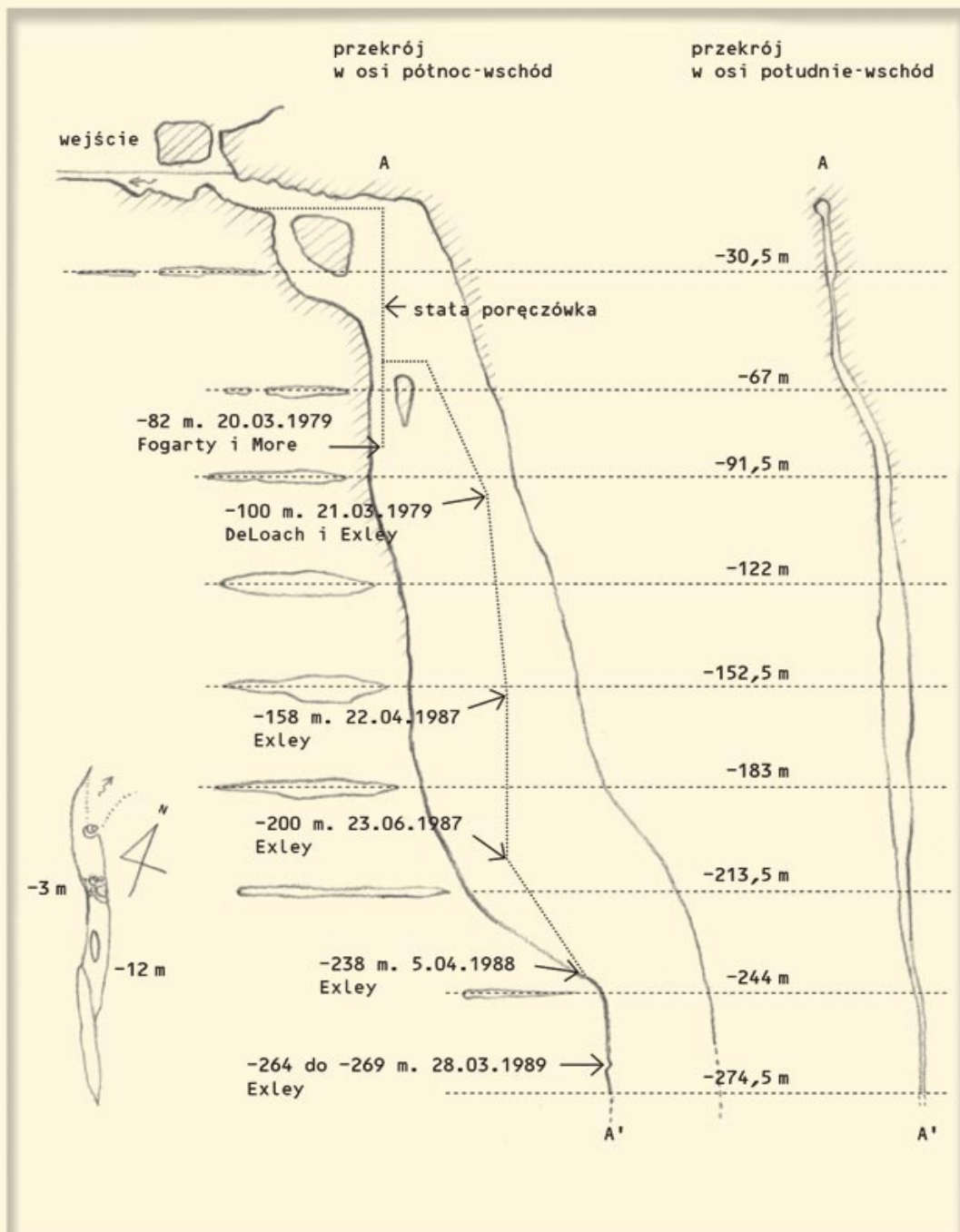
Archie i Anne zginęli na głębokości 146 metrów, a ich ciała nigdy nie wydobyto. Od tego czasu minęło niemal 20 lat, ja jednak nie zapominałem tej lekcji. Nie miałem najmniejszego zamiaru podejmować niepotrzebnego ryzyka i nurkować w osłabieniu wywołanym chorobą.

Następnego ranka gorączka minęła, a ja czułem się całkiem dobrze. Ze względu na problemy trawienne, z którymi musiałem borykać się podczas nurkowania na 158 metrów, przed poprzednimi nurkowaniami, na 201 i 238 metrów, stosowałem dietę złożoną wyłącznie z płynów. Podczas rekordowych nurkowań w Chips Hole, które trwały aż 14 godzin, nie zastosowałem diety i nie miałem potem żadnych kłopotów, teraz więc także zjadłem normalne śniadanie złożone z muesli i płatków pszennych.

Pierwsza część nurkowania wyglądała podobnie, jak podczas nurkowania na 158 metrów, kiedy to wpływałem przez dłuższy czas do jaskini, a potem przez dziesięć minut odpoczywałem i medytowałem. Następnie zanurzyłem się i zacząłem powolne zmagania z prądem. Początkowo posuwałem się wolniej niż zwykle z powodu zwiększonego ciężaru, czyli trzech dodatkowych butli na plecach. Zgodnie z planem na głębokości 82 metrów przełączyłem się na mieszanę helową. Poniżej 90 metrów, gdy zacisk rozszerzył się do pięciu metrów, mogłem skorzystać z doświadczenia, jakiego nabyłem podczas próbnych nurkowań z pięcioma butlami. Opuszczałem się teraz szybciej niż podczas poprzednich nurkowań, z mniejszą liczbą butli. Podwiązka pozostawiona przez Mary Ellen na głębokości 120 metrów tylko mignęła mi przed oczami, kiedy pędziłem w dół. Szybko dotarłem do końca starej poręczówki na 157 metrach, gdzie przymocowałem głębokościomierz, zapasowy zegarek i tabele dekompresyjne, a także przełączyłem się z butli dodatkowych na mój „pięciopak”. Zejście na 201 metrów było równie spokojne, tak jak późniejszy odcinek do końca poręczówki na 238 metrach.

Podczas poprzedniego nurkowania, przy widoczności 10 metrów i w takim stanie oszołomienia narkozą azotową, jaki odczuwałem, nurkując ze

sprężonym powietrzem na głębokości 80 metrów, stwierdziłem, że pionowa studnia – której w 1979 roku nadaliśmy żartobliwą nazwę „Macho Pit” (Studnia Macho) – poniżej głębokości 201 metrów układa się ukośnie, pod kątem 60–75 stopni, a poniżej 238 metrów – pod kątem 45 stopni. To mogłoby oznaczać, że dno studni jest już niedaleko i zbliżam się do maksymalnej głębokości źródłiska. Teraz, gdy mogłem przyjrzeć się temu dokładniej, a mniejsza ilość azotu w mieszance sprawiała, że byłem mniej oszołomiony, przekonałem się, że te wcześniejsze szacunki były błędne. Poniżej 201 metrów korytarz opada niemal pionowo, pod kątem większym niż 80 stopni. Widziałem też, że pod wielkim występem skalnym na 238 metrach, do którego przywiązałem teraz poręczówkę, studnia nadal ciągnie się pionowo w dół.



NACIMIENTO DEL RIO MANTE MEXSYK

Badanie wykonane przez Sekcję Nurkowania Jaskiniowego NSS
oraz Asociacion Mexicana de Buceo en Cuevas a.c.

Spojrzałem na manometr mojego „pięciopaku”, sięgnąłem po specjalny kołowrotek Dive Rite z odmierzoną poręczówką, przymocowałem linę i ruszyłem ponownie w głąb. Nie istniały głębokościomierze przystosowane do głębokości większej niż 150 metrów, aby więc oszacować poziom, jaki osiągnąłem, musiałem polegać na długości liny i obliczeniach uwzględniających kąt pochylenia korytarza. Metoda taka miała tę dobrą stronę, że nie znałem głębokości zanurzenia podczas samego nurkowania, nie kusiło mnie więc, żeby zejść niżej, niż planowałem, i osiągnąć „ładną okrągłą liczbę”, jak zrobiłem to podczas nurkowania na 158 metrów. Zgodnie z planem miałem zawrócić w chwili, gdy uznam to za konieczne ze względów bezpieczeństwa albo gdy 22 minuty po rozpoczęciu zanurzenia włączy się alarm w moim zegarku. W tym drugim przypadku miałem jeszcze minutę na przecięcie i przywiązanie poręczówki. Gdybym zatrzymał się na dłużej, musiałbym zastosować znacznie dłuższy harmonogram dekompresji niż ten, to którego się przygotowałem. Dekompresja trwająca ponad dwanaście godzin zwiększałaby prawdopodobieństwo wystąpienia toksyczności płucnej, choroby, która może wywoływać ból i krwawienie w płucach, trwałe obrażenia, a nawet śmierć spowodowaną tym, że pęcherzyki płucne tracą zdolność wymiany tlenu i dwutlenku węgla.

Tymczasem oddychanie sprawiało mi coraz większą trudność, gdyż gaz w automacie gęstniał wraz ze wzrostem głębokości. Czułem się tak, jakbym próbował oddychać przez słomkę. W dodatku potrzebowałem teraz więcej tlenu, zmagając się bowiem z prądem, który przybrał na sile, gdy korytarz zmniejszył się do rozmiarów 9 na 5 metrów. W końcu stało się to na tyle trudne, że postanowiłem zakończyć nurkowanie, choć widziałem, że 9 metrów niżej ściany korytarza rozchodzą się na boki, odsłaniając mglistą, niebieskawą głębię.

Kiedy zamierzałem już przywiązać poręczówkę do wielkiego występu skalnego, zabrzączał alarm ustawiony w moim zegarku. W tym samym momencie ściany jaskini zatrzęsły się, gdy implodowała komora baterii w mojej lampie, której nie udało mi się dokładnie zalać przed nurkowaniem. Choć siła implozji nie była na tyle duża, by mnie ogłuszyć, zniszczyła komorę; baterie wypadły, a moja główna czterdziestodwuwatowa latarka zgasła. Nie miało to jednak większego znaczenia. Gdy przysunąłem się do ściany, poruszyłem nieumyślnie olbrzymią ilość czerwono-brązowego szlamu. Pędząca w górę woda podniosła szlam i zamieniła go w wielką chmurę, która ograniczyła widoczność niemal do zera. Musiałem przywiązywać linę po omacku, na głębokości, która z pewnością znacznie przekraczała 244 metry. W ciągu każdej minuty spędzonej na tej głębokości pochłaniałem jedną trzecią zawartości butli z gazem, nie mogłem więc pozwolić sobie na dłuższy pobyt, nawet gdybym chciał

zastosować dłuższy harmonogram dekompresji. Na szczęście już tysiące razy przecinałem pod wodą linę i robiłem węzły, szybko więc uporałem się z tym zadaniem.

Nic nie widziałem i w związku z tym zacząłem wynurzenie, przesuwając poręczówkę między palcami. Wkrótce woda stała się bardziej przejrzysta, a pięć zapasowych latarek Pelicana rozpraszało ciemności na tyle skutecznie, że mogłem przesuwąć się w górę z zakładaną wcześniej prędkością 36 metrów na minutę. Nagle zobaczyłem coś, co wprowało mnie w doskonały nastrój: wielki, czerwony pasek, który umocowałem na linie w miejscu odpowiadającym głębokości 250 metrów. Tyle miała wynosić głębokość w przypadku, gdyby korytarz opadał nadal niemal pionowo, a tak właśnie było.

Wynurzenie było dość niewygodne, bo ułożenie balastu i butli w pozycji ułatwiającej płynięcie w dół utrudniało przesuwanie się w górę, a nawet w poziomie. Na głębokości 164 metrów zatrzymałem się na pierwszy z 54 przystanków dekompresyjnych. Ta liczba uświadomiła mi ogromną skalę naszego wspólnego przedsięwzięcia: przechodziłem dekompresję 30 metrów poniżej największej głębokości, jaką osiągnął jakikolwiek nurek na świecie, z wyjątkiem Jochena i mnie. Kiedy przechodziłem przez całą serię krótkich przystanków poniżej głębokości 100 metrów, uzmysłowiłem sobie również, że maksymalna głębokość tego nurkowania była ponad dwa razy większa od głębokości osiągniętej przez obywatela USA (Mary Ellen).

Powyżej 100 metrów problemem stał się nadmiar butli z gazem. Spędziłem kilka minut ponad czas wynikający z harmonogramu dekompresji, by przenieść niewykorzystane butle na mniejszą głębokość. Choć kilku spośród członków naszego zespołu chciało następnego dnia nurkować na helu, żaden z nich nie schodził wcześniej poniżej 90 metrów i z pewnością nawet bez wynoszenia moich butli miałby dość własnych kłopotów. Doświadczenie nauczyło mnie, że sam również nie będę w stanie zanurkować później po butle pozostawione na dużej głębokości, nawet gdybym korzystał z powietrza. Po poprzednich nurkowaniach byłem tak zmęczony, że przez kilka następnych dni ledwie trzymałem się na nogach. Z tych też powodów chciałem teraz sam wynieść wszystkie butle na głębokość co najmniej 60 metrów.

Sergio, Angel, Paul i pozostali zaczęli mnie odwiedzać, kiedy dotarłem do 43 metrów. Zabrali na górę większość butli, których już nie potrzebowałem. W końcu, 13 godzin i 30 minut po rozpoczęciu nurkowania, wynurzyłem się z wody prosto w blask reflektorów i fleszy dziennikarzy z meksykańskich mediów. Czułem się silniejszy niż po poprzednich nurkowaniach w Mante, co mnie ucieszyło. Reporterzy z różnych gazet, dziennikarze radiowi i politycy przez następne dwie godziny zasypywali mnie pytaniami po hiszpańsku.

Cieszyłem się, że mam okazję opisać zasługi naszego nieocenionego zespołu wsparcia i podziękować wszystkim jego członkom.

Kiedy następnego dnia zmierzaliśmy linę, która została na moim kołowrotku, okazało się, że zszedłem na głębokość 264–268 metrów, przy czym wartość ta zależała od kąta ułożenia tunelu poniżej 238 metrów. Jak zawsze uznałem za właściwą tę mniejszą wartość.

A co z Macho Pit w Mante? Obok Cathedral Canyon to kolejna jaskinia, której otchłań pozostaje niezmierzona...

²⁷ Moleskin – tkanina bawełniana (100%) imitująca skórę, gęsta, gruba, ale miękka, przyjemna w dotyku, mocna, ze splotem atłasowym, z wierzchu drapana i strzyżona, przez co podobna do aksamitu, trudno przemakalna.

Zastosowania:

- wersja cieńsza, tzw. *skóra angielska* – odzież chłopięca, sportowa, spodnie i kombinezony robocze,
- wersja grubsza, tzw. *skóra niemiecka* – obicia siedzeń samochodowych,
- wierzchnie części butów,
- płótno introligatorskie – przy ręcznym oprawianiu książek często używanych, stosowane głównie na grzbiety (tkanina z wierzchu o splotie satynowym, gładka, od spodu zmechacona).

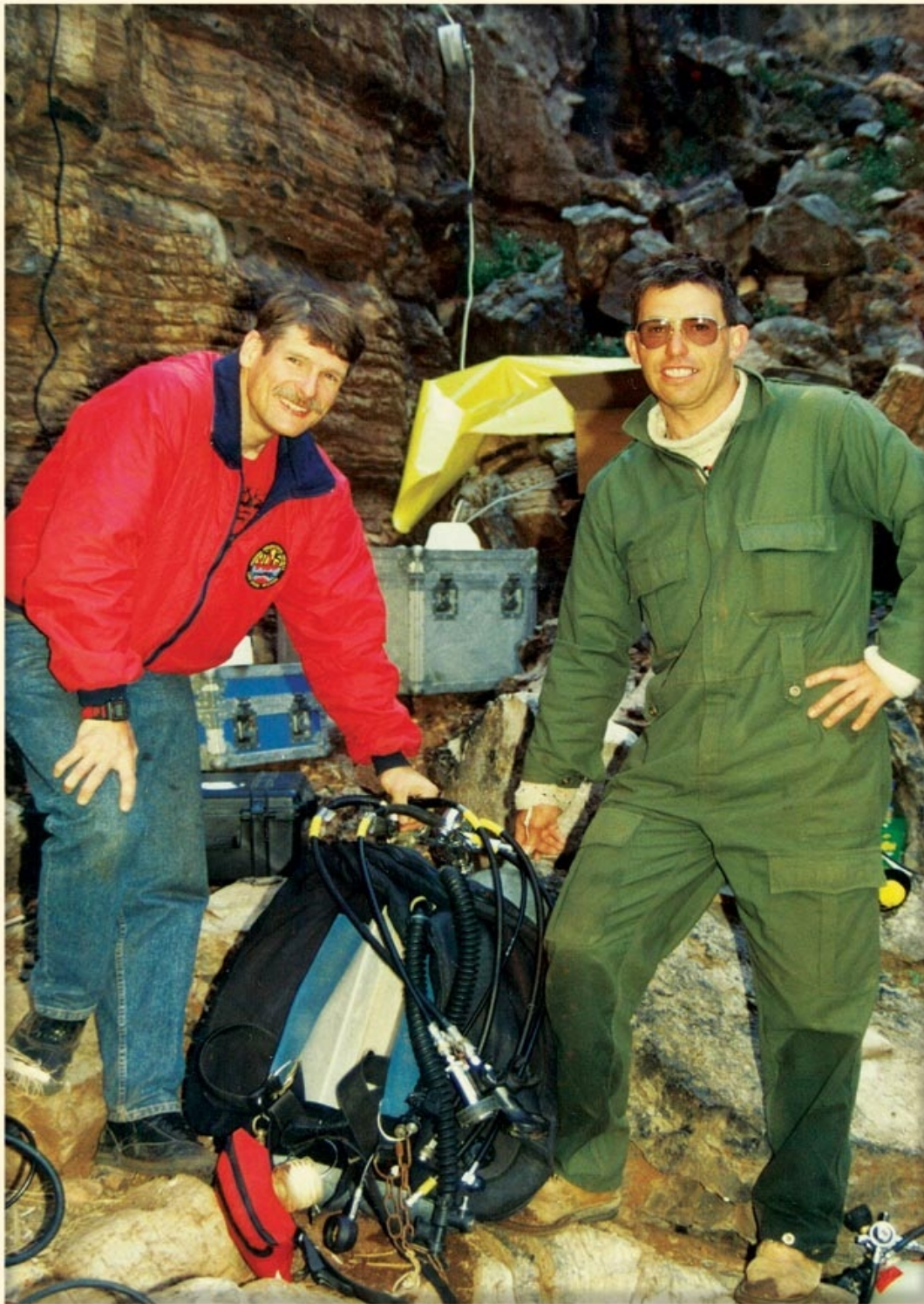
A'



Sheck Exley nad Boesmansgat, RPA



Sheck Exley i Nuno Gomes nad Boesmangat, RPA



Sheck Exley i Nuno Gomes nad Boesmangat, RPA

Sheck Exley

urodził się 1 kwietnia 1949 roku.

Zmarł 6 kwietnia 1994 roku,

nurkując na głębokość ponad 275 metrów

w Zacaton, w Meksyku



Wędkowanie nad Ghou! Sink, który Exley przemianował
później na Katedrę



Sheck przy swoim minibusie,
przygotowujący się do nurkowania



Sheck ubierający się na nurkowanie



Sheck ubierający się na nurkowanie

ANEKS 1

Ann Kristovich: Zacaton. Historia

w przekładzie DOROTY KONOWROCKIEJ

Z

acaton jest najgłębszym z pięciu cenotów znajdujących się na terenie ogromnego rancza Asufrosa położonego w północno-wschodnim Meksyku. Jaskinia ta została odkryta w 1989 roku w trakcie wypadu rekonesansowego pod koniec dwutygodniowej wyprawy badawczej prowadzonej w Nacimiento Santa Clara, systemie jaskiń znajdujących się u podnóża El Abra w pobliżu Nacimiento Mante. Zespół eksploracyjny prowadzony przez Jima Bowdena rozpiął w Nacimiento Santa Clara ponad 420 metrów poręczówek, przerwał jednak prace, napotkawszy znaczne głębokości w odległych częściach jaskini – w odległości 335 metrów od wejścia głębokość przekroczyła 75 metrów. W tamtych latach zespół badawczy nie wykorzystywał rutynowo w Meksyku mieszanin gazów oddechowych. Wejście do jaskini okazało się zatem tymczasowo „zamknięte”. Jim przestudiował badania geologiczne i mapy topograficzne, z których wynikało, że możliwe jest występowanie cenotów w głębi lądu, w warstwie skał krasowych odkrytych na południowych krańcach pasma górskiego Sierra de Tamaulipas.

Pięć cenotów o zróżnicowanej wielkości i charakterze odkryto na ranczu w pobliżu niewielkiej miejscowości Aldama. Właściciel posiadłości udzielił członkom wyprawy wyłącznego zezwolenia na wjazd i nurkowanie, pod koniec kwietnia 1990 roku rozpoczęły się więc prace badawcze. Cenoty, połączone ze sobą w linii wschód–zachód w promieniu nieco ponad trzech kilometrów, okazały się niezwykle. Wydzielają intensywny zapach siarki; w jednym z nich noszącym nazwę Poza Asufrosa siarka wytrąca się i unosi na wodzie w postaci formacji przypominających tratwy. Woda odbarwia i matowi wszystkie metale, co przypomina korodowanie powierzchni ocynkowanych butli. W jaskiniach panuje zaskakująco wysoka temperatura: 34°C w Poza La Pilita, 31°C w Zacaton, 30°C w Poza Caracol, 31°C w Poza Asufrosa i nieco niższa 28°C w ogromnej, przypominającej oazę Poza Verde. Odmienne niż w pozostałych jaskiniach wody w Poza Verde układają się w warstwy o zróżnicowanej temperaturze; w czasie powodzi i suszy zachowują się raczej jak wody jeziora, a zmiany poziomu lustra wydają się mieć na nie stosunkowo niewielki wpływ.

Zespół badawczy rozpoczął systematyczną eksplorację cenotów. Pierwsze prace przeprowadzono w Poza La Pilita. Ten mierzący 20 na 37 metrów cenot jest najcieplejszym z pięciu. Na otaczających go ścianach można odkryć formacje tufów wapiennych, występujących często w gorących źródłach. Ściany boczne pokryte są gęstymi algami, które zwieszają się niczym dziwaczne stalaktyty. Pomiarzy wykonane za pomocą sonaru ScubaPro ujawniły, że jaskinia

znacznie zwiększa swoje rozmiary wraz z głębokością. Na głębokości 46 metrów La Pilita mierzy 121 metrów z południa na północ i 73 metry z zachodu na wschód. Zespół zapoczątkował poszukiwanie połączenia z cenotami sąsiadującymi bezpośrednio po stronie wschodniej lub zachodniej, jednak w czasie wczesnych prac badawczych nie odnaleziono żadnego korytarza, który łączyłby dwa cenoty.

Głębokość La Pility określono za pomocą sondy na 110 metrów, nurkowie zaś dotarli na głębokość 76 metrów. Jim Bowden i Gary Walten weszli do Nacimiento na zachodnim krańcu rancza 2 maja 1990 roku. Rzeka rozpoczyna swój bieg od wód wypływających z Zacaton. Typowy „kocioł” zauważono na powierzchni wody w pobliżu wapiennej wychodni. Płynąc pod prąd, nurkowie odkryli niewielką jaskinię i popłynęli w kierunku północno-wschodnim do całkowitego rozwinięcia liny z kołowrotka. Korytarz najwyraźniej ciągnął się dalej, zawrócili więc, wzięli dodatkowy kołowrotek, wrócili do punktu, w którym została zamocowana końcówka poręczówki, i podjęli mocowanie jej dalszych fragmentów.

Będący na prowadzeniu Gary wkrótce zauważył z przodu zielonkawą poświatę. Zakrył swoją latarkę, by upewnić się, że źródło światła jest naturalne. Mogło to oznaczać tylko jedno: odkryli korytarz prowadzący na powierzchnię. Pałający entuzjazmem nurkowie wpłynęli do Zacaton na głębokości 8 metrów i wynurzyli się w przepięknym cenocie, któremu nadano nazwę od wysp wysokiej trawy, zacate, unoszących się na jego powierzchni. Następne dni upłynęły na badaniu niemal 180 metrów korytarza (nazwanego El Pasaje de Tortuga Muerte z powodu masowo napotykanych szkieletów żółwi) łączącego Nacimiento i Zacaton oraz spisywaniu podstawowych danych dotyczących tego imponującego systemu. Lustro wody w Zacaton jest położone mniej więcej 21 metrów poniżej poziomu otaczającego terenu. Jezioro ma kształt zbliżony do okręgu o średnicy 116 metrów. Powierzchnia pionowych skarp jest pofałdowana, a rozmiary jaskini zwiększają się wraz z głębokością.

Orientacyjne badania przeprowadzone z centrum cenotu z wykorzystaniem sonaru ScubaPro sięgnęły głębokości 53 metrów. Badacze mają jednak nadzieję, że technika skanowania ścian za pomocą sonaru będzie mogła zostać zastosowana w przyszłości do zbadania tego cenotu w całości. Dziś wiadomo, że jego dno znajduje się na głębokości ponad 329 metrów. Głębokość Zacaton oszacowana w 1990 roku na 76 metrów została błędnie zmierzona: nurkowie Gary Walten i Ann Kristovich opuścili obciążoną sondę na wystającą półkę skalną wcinającą się wyraźnie w obszar cenotu na głębokości 70–76 metrów.

Karen Hohle i Ann Kristovich nurkujące w Poza Verde kontynuowały badania na ranczu w sierpniu 1990 roku. Ta tropikalna oaza ma średnicę ponad 180

metrów, jest nieco chłodniejsza niż pozostałe cenoty i zaskakująco płytka: jej głębokość sięga zaledwie 43 metrów, co potwierdzają nasze badania przeprowadzone w czterech kwadrantach. Jim i Gary poszukiwali korytarza w Poza Asufrosa, posługując się konfiguracją boczną, ale zrezygnowali z przepychania się ciasnym przesmykiem po pokonaniu około 10 metrów.

Caracol, podobnie jak znajdujący się w bezpośrednim sąsiedztwie Zacaton, leży u podnóża klifu. Dotychczas w tej jaskini wykonano tylko jedno nurkowanie. Dokonał tego Jim Bowden, który zauważył obszerny korytarz prowadzący w kierunku Zacaton. Maksymalna głębokość tego fragmentu systemu jaskiń jest nieznana, ponieważ korytarz prowadzi poniżej klifu i nie mógł zostać odpowiednio zmierzony za pomocą obciążonej liny. Jim dotarł na głębokość 22 metrów.

Po tych ekscytujących początkach członkowie Proyecto de Buceo Espeleologico Mexico y America Central (Projektu nurkowania jaskiniowego w Meksyku i Ameryce Środkowej) spędzili dwa i pół roku, badając systemy jaskiń związane ze znajdującym się w głębi lądu Blue Hole w Belize. Jim, nurkujący samotnie w 1987 i 1988 roku, odkrył połączenia między jaskiniami St. Hermann's Cave i Petroglyph Cave oraz Blue Hole. Nurkowania przeprowadzone przez zespół w 1990 i 1991 roku pozwoliły objąć badaniem kolejnych 460 metrów zalanych wodą korytarzy i odkryć wyjątkowe, nieznane wcześniej zapadlisko w dżungli. Nurkowania w ponorze Boiling Hole zostały przeprowadzone w kierunku, który zapewne doprowadzi do odkrycia połączenia z systemem Actun Tah. Prace w Belize zostały przerwane w 1992 roku.

Uczestnicy Proyecto podjęli badanie pięciu cenotów znajdujących się na ranczu w kwietniu 1993 roku, zaopatrzeni w mieszanki gazów pozwalające na bezpieczniejszą eksplorację głębszych fragmentów jaskiń. Sheck Exley przyłączył się do zespołu na siedem dni i razem z Jimem zszedł na niezbadane wcześniej głębokości. W La Pilita na głębokości przekraczającej 110 metrów odkryli korytarz prowadzący na południowy zachód. Największą niespodziankę krył jednak Zacaton. Schodzący na powietrze na 79 metrów Jim i na 124 metry Sheck nie dostrzegli dna. Głębokość oszacowana wcześniej za pomocą obciążonej liny na 76 metrów okazała się nieprawdziwa! W pogoni za nieuchwytnym dnem nurkowie zeszli poniżej półki skalnej, na której zatrzymała się sonda. Następnego dnia Jim, Sheck i Ann wrócili do Zacaton, by podjąć próbę przeprowadzenia bardziej dokładnego pomiaru za pomocą liny z obciążnikami. Z kołowrotka odkręcało się stopniowo 150, 250, 300 metrów liny! Ciężarek zatrzymał się ostatecznie na głębokości około 330 metrów. Lina została umocowana na północnej ścianie cenotu, a nurkowie ustalili plany przeprowadzenia głębokiego nurkowania na mieszaninach gazów oddechowych

następnego dnia.

W kwietniu 1993 roku Jim zanurkował na 154 metry, Sheck – na 220. Harmonogramy dekompresji w przypadku obu nurkowań zostały opracowane z wykorzystaniem programu komputerowego Dr. X. Żaden z nurków nie doświadczył problemów czy komplikacji fizjologicznych podczas nurkowania lub po jego zakończeniu. Te dwa nurkowania miały być pierwszymi z siedmiu przekraczających głębokość 150 metrów wykonanych w Zacaton w ciągu 12 miesięcy. Kiedy tydzień nurkowania dobiegł końca, Sheck i Jim uzgodnili, że wrócą do Zacaton i, podobnie jak Edmund Hillary oraz Tenzing Norgay, zbadają głębiny tego odwróconego Everestu. W końcu odnaleziono najwyraźniej idealne miejsce do nurkowania na obiegu otwartym na głębokość przekraczającą 300 metrów. Woda była ciepła, prąd prawie nieodczuwalny, tubylcy przyjaźni, a dostęp do jaskini mało skomplikowany.

Ogłoszono zatem, że w ciągu najbliższego roku Jim i Sheck podejmą próbę dotarcia do dna Zacaton. Członkowie Proyecto wyprawiali się do Meksyku sześć razy w ciągu kolejnych 12 miesięcy. Za każdym razem Jim schodził coraz głębiej, by przygotować się na próbę pokonania 300 metrów. Sheck tymczasem badał ogromną podwodną jaskinię Boesmansgat leżącą w Republice Południowej Afryki, nurkując na 263 metry. Podczas tego nurkowania doświadczył problemów ze wzrokiem oraz somatycznych i neurologicznych objawów zespołu neurologicznego wysokich ciśnień (HPNS). Objawy ustąpiły podczas wynurzenia do poziomu pierwszego przystanku dekompresyjnego wyznaczonego na głębokości 122 metrów, nie pozostawiając trwałego śladu.

We wrześniu Jim zanurkował na 227 metrów. Członkini zespołu, Ann Kristovich, zeszła na 169 metrów, ustanawiając rekord głębokości kobiet. Jim przeprowadził nurkowanie 2 grudnia 1993 roku na głębokość przekraczającą 244 metry. Dokładna głębokość nie została udokumentowana, ponieważ wszystkie trzy głębokościomierze cyfrowe, które miał ze sobą, przestały działać na różnych poziomach (208–230 metrów). Jim zauważył jednak znacznik 250 metrów na linii opustowej, zanim rozpoczął wynurzenie. Efektem nurkowania były liczne urazy dekompresyjne stawów, które Jim odczuł po zakończeniu dekompresji. Objawy te ustąpiły w wyniku intensywnego nawadniania, terapii tlenowej i rekompresji w wodzie, nie pozostawiając trwałych śladów.

Data próby nurkowania na 300 metrów została ustalona na 25 grudnia, mimo że zespół uznał na początku grudnia, iż warunki spowodowane niezwykle mokrą porą deszczową nie sprzyjały podjęciu takiej próby. Prąd w El Pasaje de Tortuga Muerte był silny i zmuszał do niepożądanego wysiłkowego nurkowania, które musiało poprzedzić podjęcie jakiegokolwiek próby osiągnięcia dużej głębokości. Dokonanie trawersu tego 180-metrowego korytarza było konieczne przed

każdym nurkowaniem w Zacaton, w związku z tym nurkowanie głębokie musiało być drugim z kolei zejściem. Dla bezpieczeństwa nurków nurkowanie przełożono ostatecznie na kwiecień 1994 roku.

W kwietniu 1994 roku członkowie Proyecto, włącznie z Shekiem i Mary Ellen Eckhoff, zgromadzili się na ranczu Asufrosa. Dwa dni spędzono na rozstawianiu wymaganych butli depozytowych na określonych głębokościach w Zacaton i El Nacimiento. Równoległe nurkowanie zaplanowano przy dwóch niezależnych linach opustowych: taka konfiguracja była preferowana przez obu nurków, którzy woleli unikać kontaktu i przeszkadzania sobie podczas szybkiego zejścia. Oba nurkowania miały być w tej sytuacji zejściami solowymi. Sheck korzystał z Heliar 6.4. Ich harmonogramy dekompresji były podobne, określone z wykorzystaniem programu Dr. X. Obaj dysponowali różnymi planami dekompresji, ponieważ dokładny czas zejścia, czas denny i maksymalna głębokość nurkowania były nieznane. Zarówno Jim, jak i Sheck wykonali kilka głębokich zejść na powietrzu, by przygotować się do próby pokonania 300 metrów. Wczesnym rankiem 6 kwietnia 1994 roku wydawało się, że wszystko jest gotowe, i nurkowie oraz ich zespół zabezpieczający zgromadzili się na brzegu El Nacimiento. Jim i Sheck założyli sprzęt i popłynęli razem przez El Pasaje do Zacaton. W zespole panował optymizm.

Mężczyźni zanurzyli się około godziny 9.50. Jim zanurkował na 282 metry i spędził ponad 9 godzin na dekompresji. Sheck – z powodów, których prawdopodobnie nigdy nie poznamy – nie wynurzył się; osiągnął maksymalną głębokość 276 metrów.

W trakcie 12 miesięcy przygotowań do podjęcia tej próby członkowie Proyecto de Buceo Espeleologico Mexico y America Central wykonali następujące zejścia:

0015–30 metrów 197
0030–60 metrów 022
0060–90 metrów 039
090–120 metrów 048
120–150 metrów 003
ponad 150 metrów 007

Na uwagę zasługuje fakt, że tych 316 nurkowań zostało przeprowadzonych w ciągu zaledwie 51 dni nurkowych. Jim wykonał ponad 100 zejść, włącznie z czterema na głębokość ponad 150 metrów oraz nurkowaniem na 125 metrów na powietrzu.

Zespół Proyecto zamierza kontynuować prace w Meksyku po krótkiej

przerwie przypadającej w porze deszczowej. Jim po nurkowaniu na 282 metry wierzy, że zejście na 300 metrów jest możliwe, i będzie próbował urzeczywistnić plany dotarcia na dno Zacaton. Z wykorzystaniem Heliiru badania odległych korytarzy Nacimiento Santa Clara zostaną podjęte ponownie. Zespół badawczy planuje również agresywną eksplorację wspaniałych głębokich jaskiń Sierra Madre Oriental, włącznie z Rio Choy, Rio Frio, Rio Sabinos, Nacimiento Mante, Nacimiento Huichihuayan i innymi.

ANEKS 2

Krótką historia
zorganizowanego nurkowania
jaskiniowego w USA



organizowane nurkowanie jaskiniowe w Stanach Zjednoczonych rozpoczęło się pod auspicjami National Speleological Society (Krajowe Towarzystwo Speleologiczne, NSS), jedynej ogólnokrajowej organizacji zrzeszającej grotolarów USA, założonej w 1941 roku. W 1947 roku NSS opublikowało w „NSS Bulletin” pierwszy w tym kraju artykuł o nurkowaniu jaskiniowym, a w 1952 roku członkowie FSS, florydzkiego oddziału NSS, jako pierwsi w Ameryce wykonali nurkowanie jaskiniowe z użyciem akwalungu. W 1953 roku FSS stworzył pierwszy w USA program szkoleniowy nurkowania jaskiniowego, obejmujący spisane oficjalnie normy. Nurkowanie jaskiniowe stało się tak popularne wśród członków FSS, że 1955 roku organizacja ta dołączyła do Florida Skin Divers Association (Florydzkie Stowarzyszenie Płetwonurków, FSDA), sekcji Uderwater Society of America (Podwodne Towarzystwo Ameryki), jako klub płetwonurkowy.

Potrzeba stworzenia organizacji zajmującej się wyłącznie nurkowaniem jaskiniowym, a nie tylko będącej oddziałem organizacji grotolarów lub nurków skłoniła nurków z NSS do założenia na początku lat 60. XX wieku, w Georgii, grupy o nazwie Descenders Cave Diving Group. Wkrótce potem Dave Desautels z FSS założył grupę Florida Cave Dwellers. W 1968 roku Sheck Exley stworzył Dixie Cavern Kings, pierwszą międzystanową organizację nurków jaskiniowych. Rok później Exley napisał pierwszą w Ameryce książkę poświęconą nurkowaniu jaskiniowemu *Dixie Cavern Kings Cave Diving Manual* (Podręcznik nurkowania jaskiniowego Dixie Cavern Kings).

W 1968 roku grupa Florida Cave Dwellers zorganizowała na Florydzie seminarium poświęcone nurkowaniu jaskiniowemu. Zachęceni ogromnym zainteresowaniem David Desautels, Larry Briel oraz sześciu innych członków założyli w 1969 roku National Association for Cave Diving (Krajowe Stowarzyszenie Nurkowania Jaskiniowego, NACD). Była to pierwsza z trzech organizacji powstałych na Florydzie, które nosiły tę nazwę.

W 1971 roku Exley oraz kilku innych instruktorów nurkowania jaskiniowego zajęli miejsce niektórych, mniej aktywnych dyrektorów NACD. Powstała wówczas nowa organizacja, która jednak oficjalnie została zarejestrowana dopiero w 1973 roku. Tom Mount, Bob Friedman, Rory Dickens i Exley byli prawdopodobnie najaktywniejszymi spośród nowych dyrektorów. Wszyscy kolejno sprawowali funkcję prezesa organizacji i napisali większość tekstu pięciu książek o nurkowaniu jaskiniowym, wydanych w tym okresie: *Cave Diving Manual* (Mount, 1972), *Mapping Underwater Caves* (Exley i Friedman,

1972), *Proceedings of the Fifth Annual Seminar On Cave Diving* (1972), *Safe Cave Diving* (1972), *Proceedings of the Sixth and Seventh Annual NACD Seminars* (1975). Exley był autorem lub współautorem wszystkich spośród tych książek, z wyjątkiem *Cave Diving Manual* Mounta.

W roku 1975, gdy Exley był prezesem NACD, organizacja ta liczyła najwięcej członków w całej swej historii (87). Niestety, szeregowi członkowie NACD mieli mały wpływ na działalność stowarzyszenia, wybierali bowiem tylko pięciu spośród piętnastu dyrektorów. (Dziesięciu pozostałych to dyrektorzy statutowi będący „stałymi” członkami zarządu).

Trzecie wcielenie NACD powstało w 1978 roku, z inicjatywy Paula Menga. Zrezygnowano z koncepcji stałych członków zarządu na rzecz nowego, demokratycznego kształtu organizacji, wzorowanego na niezwykle skutecznej Sekcji Nurkowania Jaskiniowego (Cave Diving Section) NSS. NACD, kierowana obecnie przez Steve’a Gerrarda¹, stale się rozrasta i ponownie zajmuje należne jej miejsce na mapie amerykańskiego nurkowania jaskiniowego².

W 1973 roku Exley przewodniczył zebraniom w Missouri i Indianie, podczas których powstała NSS Cave Diving Section (Sekcja Nurkowania Jaskiniowego NSS, NSS CDS). W odróżnieniu od NACD, które działało głównie na terenie Florydy, NSS CDS jest organizacją demokratyczną i zrzesza członków z całego kraju. Pierwszy komitet wykonawczy NSS CDS miał następujący skład: Exley (prezes), Jim Storey (Georgia, wiceprezes), Glen Thompson (Arkansas, sekretarz, skarbnik). Dwaj inni członkowie statutowi, którzy wnieśli ogromny wkład w rozwój amerykańskiego nurkowania jaskiniowego, to Rick Rigg (Idaho), autor działu nurkowania jaskiniowego w „NSS Caver’s Information Series”, oraz Stephen Maegerlein (Indiana), który przez wiele lat pełnił funkcję skarbnika NSS CDS.

Oprócz Exleya i Storeya prezesami NSS CDS byli Tom Cook, John Zumrick, India Fuller, Dennis Williams, Bill Fehring, Steve Ormeroid, Joe Prosser, Jeff Bozanic i Mark Leonard. W 1976 roku NSS CDS była już największą organizacją nurkowania jaskiniowego na świecie i jest nią do dziś. Obecnie zrzesza około 500 aktywnych członków. Wszystkie ważniejsze teksty o nurkowaniu jaskiniowym zostały napisane przez członków NSS CDS: *Basic Cave Diving* (Exley, 1979), *NSS Cave Diving Manual* (pod redakcją Exleya i Fuller, 1982), *NSS CDS Instructors Training Manual* (pod redakcją Joego Prossera, 1985), *Basic Underwater Cave Surveying* (John Burge, 1987) oraz *NSS Cavern Diving Manual* (Zumrick, Prosser i H.V. Grey, 1988).

Nie sposób wymienić wszystkich spośród licznych członków NSS CDS,

którzy wnieśli istotny wkład w rozwój nurkowania jaskiniowego. Oprócz osób, których nazwiska znalazły się powyżej, należy jednak wspomnieć o trzech nurkach, którzy znacząco przyczynili się do zwiększenia bezpieczeństwa w nurkowaniu jaskiniowym. Instruktorzy NSS CDS Forrest Wilson, Wes Skiles i Joe Prosser opracowali program certyfikowanych szkoleń nurkowania jaskiniowego. Program ten nie tylko posłużył do wyszkolenia większej liczby nurków niż we wszystkich innych organizacjach razem wziętych, ale ma też najlepsze wyniki w zakresie bezpieczeństwa. Należy też wspomnieć o Henrym Nicholsonie, który wniósł ogromny wkład w efektywne zarządzanie poszukiwaniami i akcjami ratowniczymi.

Więcej informacji o National Speleological Society można uzyskać, kierując korespondencję pod adres: NSS, Cave Avenue, Huntsville, AL 35810.

Więcej informacji o NSS Cave Diving Section można uzyskać, kierując korespondencję pod adres: NSS CDS, P. O Box 950, Branford, FL 32008-0950.

¹ Obecnie prezesem NACD jest Jeff Bauer.

² Jedyńm Polakiem wśród instruktorów NACD w 2009 r. był Robert Klein.

ANEKS 3

Najdłuższe zalane jaskinie

NAJDŁUŻSZE ZALANE JASKINIE

lp.	nazwa jaskini	kraj	głębokość (m)	długość (m)
1.	Sistema Ox Bel Ha	Meksyk	34,7	233 086
2.	Sistema Sac Actun (Nohoch Nah Chich)	Meksyk	101,2	215 378
3.	Sistema Dos Ojos	Meksyk	119,1	81 900
4.	Sistema K'oox Baal- Sistema Tux Kupaxa	Meksyk	26,2	56 500
5.	Wakulla-Leon Sinks Cave System	USA	106,7	51 483
6.	Cenote Xunaan Ha	Meksyk	27,1	51 439
7.	Sistema Toh Ha	Meksyk	12,8	30 258
8.	Sistema Caracol	Meksyk	16,6	26 972
9.	Sistema Naranjal (Najaron-Maya Blue)	Meksyk	34,7	24 432
10.	Beacon Woods - Waynes World System	USA	48,8	18 288
11.	Sistema Ponderosa	Meksyk	20,4	15 019
12.	Cathedral-Falmouth System	USA	57,9	14 386
13.	Sistema Dos Pisos	Meksyk	24,4	13 905
14.	Cova de sa Gleda - Camp des Pou.	Hiszpania	25	13 500
15.	Old Bellamy (Derekson) (Santa Fe River Rise) Cave Sys.	USA	48,8	12 657
16.	Sistema Camilo	Meksyk	25	12 402
17.	Cova des Pas de Vallgornera	Hiszpania	B/D	10 200
18.	Sistema Muul 3	Meksyk	19,2	9 629
19.	Sistema Ek Be	Meksyk	18,3	9 408
20.	Sisema Chac Mol	Meksyk	28,3	9 193
21.	Lucayan Caverns	Bahamy	B/D	9 181
22.	Cueva Quebrada	Meksyk	9,4	8 921
23.	Tank Cave	Australia	20	8 035
24.	Cenote Zapote	Meksyk	27,4	7 869
25.	Madison Blue Spring	USA	36,6	7 775
26.	Telford Springs	USA	21,9	7 620
27.	Cenote Doggi	Meksyk	14,6	7 532
28.	Peacock Cave I-II System	USA	64	7 408
29.	School Sink	USA	B/D	7 400
30.	Devils Eye Cave System	USA	48,8	7 174
31.	Sistema Minotauro	Meksyk	16,8	7 140
32.	Manatee Springs Cave System	USA	29	7 125
33.	Hart Springs System	USA	24,4	6 925
34.	Entrada Boca Paila	Meksyk	26,8	6 890
35.	Chip's Hole/Cals System (Pipeline)	USA	93,3	6 795
36.	Sistema Xel-Ha Norte	Meksyk	13,4	6 652
37.	Grotta della Utopia	Włochy	B/D	6 625
38.	Three Island Cave	Kanada	11,6	6 563
39.	Cocklebiddy Cave	Australia	B/D	6 500
40.	Bananeira Cave	Brazyl	B/D	6 400
41.	Hole in the (Rock Spring) Cave	USA	31,1	6 133
42.	Cueva Aerolito	Meksyk	27,4	6 101
43.	Dan's Cave	Bahamy	B/D	6 098
44.	Blue Spring-Green Sink Cave System (Yana)	USA	18,3	6 096
45.	Bonnet Spring	USA	40,2	6 096
46.	Doux de Coly	Francja	B/D	6 050
47.	Entrada Caapechen(Cenote Manatee)	Meksyk	28	5 937
48.	Sistema Joolis	Meksyk	20,1	5 908
49.	Hornsby Spring Cave System	USA	45,7	5 876
50.	Sistema Balum Actun	Meksyk	15,2	5 742
51.	Spring Cave, Jackson Blue	USA	48,8	5 576

52.	Cova des Coll	Hiszpania	B/D	5 529
53.	Sistema Taj Mahal	Meksyk	24,4	5 463
54.	Sistema Regina	Meksyk	35,7	5 455
55.	Sistema Actun Chen	Meksyk	25	5 435
56.	Sistema Actun Koh	Meksyk	16,5	5 156
57.	Sistema Cangrejo	Meksyk	21,3	5 131
58.	Cenote Tortuga	Meksyk	27,4	4 899
59.	Sistema Dzonot Took	Meksyk	16,5	4 878
60.	Sistema Crustacea	Meksyk	18,9	4 525
61.	Sistema Ah Kax Ha (Chicken Ranch)	Meksyk	26,5	4 336
62.	Cenote Chan Ayim	Meksyk	29,6	4 214
63.	Sistema Mundo Escondido	Meksyk	26,2	4 187
64.	Sistema Tatch (Nuhuch Actum)	Meksyk	7,3	4 156
65.	Moinar Janos Cave	Węgry	72	4 000
66.	Cenote Burrodrog	Meksyk	14,3	3 962
67.	Sistema X'acel Pequefia	Meksyk	8,2	3 924
68.	Gervais Cave	Kanada	9,1	3 907
69.	Natural Bridge System, St Marks	USA	33,5	3 690
70.	Sistem Ich Tunich	Meksyk	16,5	3 666
71.	Indian Spring (Creek) Cave	USA	48,8	3 626
72.	Cenote Herradura	Meksyk	16,5	3 558
73.	Sistema Dos Pies	Meksyk	13,1	3 516
74.	M2 Blue	USA	44,8	3 224
75.	Ordinskaya Cave(Gypsum)	Russia	50	3 200
76.	Giant Cave	Belize	B/D	3 116
77.	King Pot - Keld Head	Wielka Brytania	B/D	3 050
78.	Lake Tarpon-Tarpon Springs System	USA	51,8	3 048
79.	Weeki Wachee Spring	USA	124,1	3 048
80.	Sistema Nohoch Kai	Meksyk	18	2 838
81.	Sistema Miguel	Meksyk	18,3	2 832
82.	Sistema Ox Pe Pool	Meksyk	25,9	2 783
83.	Burnabbie Cave	Australia	B/D	2 750
84.	Sistema Luna Azui	Meksyk	21	2 737
85.	Cenote Muk K'in	Meksyk	11,6	2 714
86.	Cenote K'oxul	Meksyk	17,7	2 511
87.	Cenote Crocodrilo	Meksyk	17,4	2 493
88.	Cenote Maya (Junea)	Meksyk	16,5	2 465
89.	Source de Bestouan	Francja	B/D	2 461
90.	Peacock III Cave Syphon	USA	64	2 359
91.	Covol del Veci	Włochy	B/D	2 342
92.	Laguna Lagarto	Meksyk	11	2 303
93.	Cenote Chi Chan K'uk'um	Meksyk	13,4	2 232
94.	Sistema Ak Tulum	Meksyk	15,5	2 231
95.	Cenote Sole (Sunscape)	Meksyk	10,1	2 223
96.	Sistema Rudy Sanchez	Meksyk	18,6	2 204
97.	Lineeater (Stevenson Spring)	USA	18,3	2 195
98.	Sally Ward Cave	USA	106,7	2 195
99.	Sistema Chakalal	Meksyk	6,7	2 170
100.	Sistema Carrillo	Meksyk	7,9	2 144
101.	Sistema Kachkalak	Meksyk	13,4	2 119
102.	Mirial	Libya	B/D	2 117
103.	Cueva Aak Kimin (Yai-ku Lagoon)	Meksyk	68,6	2 001
104.	Laguna Nonec	Meksyk	10,7	2 000
105.	Emergence du Ressel	Francja	80,8	2 000
106.	Sistema Yang kai	Meksyk	21	1 970
107.	Leopard Frog Cave	Kanada	B/D	1 966

108.	Sistema Ixchel	Meksyk	67	1 887
109.	Sistema Chico Upstream (Spring)	Meksyk	18	1 861
110.	Sistema Zebra	Meksyk	17,1	1 837
111.	Washington Blue Spring	USA	B/D	1 828
112.	Ellaville-Suwannacoochee System	USA	47,2	1 828
113.	Eagles Nest	USA	96	1 828
114.	Sistema Pierre's Hole	Meksyk	12,2	1 807
115.	Sistema Muuch	Meksyk	5,5	1 772
116.	Guy James Cave	USA	B/D	1 736
117.	Cueva de La Atlantida (Lava Tube)	Hiszpania	52,1	1 726
118.	Sistema Heder	Meksyk	24,4	1 714
119.	Sistema Yax Tun	Meksyk	18	1 699
120.	Sistema Alomo	Meksyk	9,1	1 689
121.	Sistema Templo	Meksyk	21	1 680
122.	Twin Spring Cave	USA	31,1	1 679
123.	Roubidoux Spring	USA	B/D	1 674
124.	Source de Port Miou	Francja	B/D	1 670
125.	Blue Hole Spring	USA	B/D	1 609
126.	Goodenough Spring	USA	157	182
Źródło: www.caverbob.com, Bob Gulden/Jim Coke (QRSS), ostatnia aktualizacja 16.10.2013 r.				

ANEKS 4

Run-time nurkowania
Shecka Exleya
w Nacimiento del Rio Mante

28.03.1989 r.

RUN-TIME NURKOWANIA SHECKA EXLEYA W NACIMIENTO DEL RIO MANTE, 28.03.1989 R.

depth (m)	time	run	gas
0	0	0	AIR
82	0	7:32	TMX 10
152	0	13	TMX 7
256-261 ²⁹	1	23	TMX 7
159	1	23:33	TMX 7
155	1	30	TMX 7
152	1	31	TMX 7
149	1	32	TMX 7
146	1	33	TMX 7
143	1	34	TMX 7
140	1	35	TMX 7
137	1	36	TMX 7
134	1	37	TMX 7
131	1	28	TMX 7
128	2	40	TMX 7
125	3	43	TMX 7
122	2	45	TMX 10
119	2	47	TMX 10
116	3	50	TMX 10
113	3	53	TMX 10
110	3	56	TMX 10
107	3	59	TMX 10
104	4	63	TMX 10
101	3	66	TMX 12
98	3	69	TMX 12
95	3	72	TMX 12
91	3	75	TMX 12
88	7	82	TMX 12
85	7	89	TMX 12
82	7	96	TMX 12
79,248 ²⁹	9	105	TMX 12
76,2 ³⁰	10	115	TMX 12
73,152 ³¹	8	123	AIR
70	4	127	AIR
67	4	131	AIR
64	4	135	AIR
61	6	141	AIR
58	6	147	AIR
55	8	155	AIR
52	8	163	AIR
49	9	172	AIR
46	9	181	AIR
43	10	191	EAN 30
40	9	200	EAN 30
37	14	214	EAN 30
34	117	231	EAN 30
31	18	249	EAN 30
27	21	270	EAN 30
24	23	293	EAN 40

21	29	322	EAN 40
18	40	362	EAN 40
15	43	405	EAN 50
12	58	463	EAN 60
9	74	537	EAN 70
6	113	650	EAN 80
3	152	802	OXY
0	30	832	OXY (30 min na powierzchni)
28 Faktyczna głębokość nurkowania 264–268,5.			
29 30 31 Nieplanowany 2-minutowy przystanek.			
32 Zanurzenie z prędkością 12 m/min.			
33 Wynurzenie z prędkością 26 m/min.			

ANEKS 5

Najgłębsze studnie krasowe świata

NAJGŁĘBSZE STUDNIE KRASOWE ŚWIATA

1.

lp.	głębokość (m)	nazwa jaskini	miejsce
1.	392	Pozzo del Merro (Merlo)	Włochy
2.	373	Hranicka Propast	Republika Czeska
3.	330	Vrelo	Macedonia
4.	319	Zacaton	Meksyk
5.	315	Fontaine de Vaucluse	Francja
6.	282	Boesmansgat	Afryka Płd.
7.	281	Crveno Jezero	Chorwacja
8.	274	Lago Azul	Brazylia
9.	329	Nacimiento del Rio Mante	Meksyk
10.	258	Goluboe Ozero	Rosja
11.	248	Kauhako Crater	USA
12.	240	Sra Keow Cave	Tajlandia
13.	220	Lagoa Misteriosa	Brazylia
14.	209	Goul de la Tannerie	Francja
15.	205	Vrelo Une (Izvor Une, Unsko Vrelo)	Chorwacja
16.	202	Dean's Bluehole	USA
17.	195	Font d'Estramar	Francja
18.	186	Sorgente Elefante Bianco	Włochy
Źródła: 360stopni.org.			

ANEKS 6

Najgłębsze nurkowania jaskiniowe

NAJGŁĘBSZE NURKOWANIA JASKINIOWE

lp.	głębokość (m)	rok	nurek	miejsce
1.	282,6	1996	Nuno Gomes	Boesmansgat/Afryka Płd.
2.	281,9	1994	Jim Bowden	Zacaton/Meksyk
3.	274,0	2002	Gilberto Menezes de Oliveira	Lago Azul/Brazylia
4.	270,0	2004	Dave Shaw	Boesmansgat/Afryka Płd.
5.	264,0	1989	Sheck Exley	Nacimiento del Mante/Meksyk
6.	263,0	1993	Sheck Exley	Boesmansgat/Afryka Płd.
7.	252,0	1994	Nuno Gomes	Boesmansgat/Afryka Płd.
8.	251,0	1993	Jim Bowden	Zacaton/Meksyk
9.	241,5	2005	Don Shirley	Boesmansgat/Afryka Płd.
10.	240,0	2007	Cedric Verdier, Ben Reymanants	Sra Keow/Tajlandia
11.	240,0	1997	Pascal Bernabe	Fontain de Vaucluse/Francja
12.	237,7	1988	Sheck Exley	Nacimiento del Mante/Meksyk
13.	230,0	1994	Nuno Gomes	Boesmansgat/Afryka Płd.
14.	227,0	1993	Jim Bowden	Zacaton/Meksyk
15.	223,0	2012	Krzysztof Starnawski	Hranicka Propast/Republika Czeska
16.	221,0	2004	Verna van Schaik	Boesmansgat/Afryka Płd.
17.	220,0	1998	Gilberto Menezes de Oliveira	Mysterious Lagoon/Brazylia
18.	220,0	1993	Sheck Exley	Zacaton/Meksyk
19.	219,0	2004	Dave Shaw	Boesmansgat/Afryka Płd.
20.	217,0	2012	Krzysztof Starnawski	Hranicka Propast/Republika Czeska
21.	212,0	2010	Luigi Casati	Matka Vrelo/Macedonia
22.	209,0	2004	Sylvain Redoutey	Goul de la Tannerie/Francja
23.	205,0	1983	Jochem Hasenmayer	Fontaine de Vaucluse/Francja
24.	205,0	2007	Luigi Casati	Vrelo Une (Izvor Une, Unsko Vrelo)/Chorwacja
25.	202,1	B/D	Jim King	Dean's Bluehole/USA
26.	201,2	1987	Sheck Exley	Nacimiento del Mante/Meksyk
27.	199,2	1981	Jochem Hasenmayer	Fontain de Vaucluse/Francja
28.	196,0	2012	Krzysztof Starnawski	Hranicka Propast/Republika Czeska
29.	193,0	2003	Leszek Czamecki	Boesmansgat/Afryka Płd.
30.	192,0	2013	Krzysztof Starnawski	Goul du Pont/Francja
31.	190,0	2007	Jerome Meynie	Font D'Estramar/Francja
32.	190,0	2010	Luigi Casati	Matka Vrelo/Macedonia
33.	186,0	2004	Verna van Shaik	Boesmansgat/Afryka Płd.
34.	186,0	2004	Luigi Casati	Sorgente Elefante Bianco/Włochy
35.	185,0	2006	Xavier Meniscus	Goul du Pont/Francja
36.	184,0	2003	Jerome Meynie	Grand Souci/Francja
37.	182,0	B/D	Gilberto Menezes de Oliveira	Aguailagrosa/Brazylia
38.	182,0	2005	Jerome Meynie	Source de Saint-Sauveur/Francja
39.	181,0	2000	Krzysztof Starnawski	Hranicka Propast/Republika Czeska
40.	180,0	B/D	Jerome Meynie	Font de Lussac/Francja
41.	177,0	B/D	Rick Stanton	Pearse Resurgence/Nowa Zelandia
42.	175,0	2007	Luigi Casati	Vrelo Une (Izvor Une, Unsko Vrelo)/Chorwacja
43.	172,0	B/D	Jerome Meynie	Portiou/Francja
44.	165,0	B/D	Bradley Craven	Sinoia Caves (Chinoi, Chinhoyi)/Zimbabwe
45.	164,0	1996	Pascal Bernabe	Foux du Mas de Banal/Francja
46.	163,0	2007	Luigi Casati	Vrelo Une (Izvor Une, Unsko Vrelo)/Chorwacja
47.	160,0	2001	Luigi Casati	Divie Jezero/Słowenia
48.	160,0	2006	Michael Walz	Source de la Chaudanne/Szwajcaria
49.	155,0	2006	Luigi Casati	Sinjac/Chorwacja
50.	154,0	B/D	G.Maude	Komati Springs/Afryka Płd.
51.	152,0	B/D	Gilberto Menezes de Oliveira	Ceito Core Cave/Brazylia
52.	152,0	2004	Verna van Shaik	Badgat/Afryka Płd.

53.	152,0	B/D	Jerome Meynie	Le Bouillant/Francja
54.	150,0	B/D	Jean-Jacques Bolanz	Resurgence de Lili/Grecja
55.	147,8	B/D	Andreas W.Matthes	The Abyss/Belize
56.	147,2	B/D	Andreas W.Matthes	Cenote Sabak Ha/Meksyk
57.	146,9	B/D	Jim King	Red Snapper Sink/SA
58.	145,0	2001	Verna van Shaik	Badgat/Afryka Pld.
59.	143,0	1988	Cyrille Brandt	Chaudanne Spring/Szwajcaria
60.	143,0	1981	Jochem Hasenmayer	Fontaine de Vaucluse/Francja
61.	140,0	1987	Josef Schneider	Goul du Pont/Francja
62.	140,0	B/D	Michael Gadd	Song Hong Sink/Tajlandia
63.	138,0	B/D	Ludovic Giordano, Benoit Poinard	Fontaine des Chartreux/Francja
64.	138,0	2005	Luigi Casati	Grava di San Giovanni/Włochy
65.	137,0	1989	Claude Touloumdjian	Fontaine des Chartreux/Francja
66.	137,0	1995	Luigi Casati	Source du Diable/Francja
67.	136,0	B/D	Xavier Meniscus	Source de la Marnade/Francja
68.	135,0	2006	Martin Burgui	Fuente Azul/Hiszpania
69.	134	2013	Krzysztof Starnawski	Goul de Pont/Francja
70.	132,9	B/D	Sheck Exley, Paul DeLoach, Alan Riggs	Devils Hole/USA
71.	132,0	B/D	Boetie Scheun	Lake Guinas/Namibia
72.	131,0	1992	Jean-Jacques Bolanz	Sorgente Gorgazzo/Włochy
73.	130,0	B/D	Ludovic Giordano	Trou des Fees/Belgia
74.	128,9	B/D	Sheck Exley, Paul DeLoach	Devils Hole 2/USA
75.	128,3	B/D	Curt Bowen, Frank Richardson	Green Banana Sink/USA
76.	128,0	B/D	Paul DeLoach, Sheck Exley	Cenote Xkolak/Meksyk
77.	127,0	B/D	Frank Vasseur, Mehdi Dighouth	Source aux Fees/Francja
78.	126,0	1999	Benoit Poinard	Trou des Fées/Belgia
79.	126,0	B/D	Giorgos Tzavelas	Sintzi/Grecja
80.	125,0	B/D	André Laban, Albert Falco	Great Blue Hole/Belize
81.	125,0	B/D	Ludovic Giordano	Olhos de Agua de Alviela/Portugalia
82.	125,0	B/D	Luigi Casati	Sorgente Pollaccia/Włochy
83.	125,0	B/D	Wiktor Bolek, Grzegorz Dominik	Vrulja/Chorwacja
84.	124,0	B/D	Chris Brown, David Doolette, Tim Payne	The Shaft/Australia
85.	123,0	2013	Krzysztof Starnawski	Saint-Sauveur/Francja
86.	123,0	2007	Luigi Casati	Vrelo Une (Izvor Une, Unsko Vrelo)/Chorwacja
87.	122,8	B/D	Brett Hemphill, Paul Heinerth, Corey Mearns	Weeki Wachee/USA
88.	122,0	1995	Jarrold Jablonski	Suluin/Turcja
89.	121,0	B/D	Alberto Cavedon	Grotta dei Fontanazzi/Włochy
90.	121,0	2000	Verna van Shaik	Badgat/Afryka Pld.
91.	121,0	B/D	Uros Ilic, Matej Mihailovski	Izvir Doblice/Slowenia
92.	120,0	2002	Martin Burgui	Fuente Azul/Hiszpania
93.	120,0	1989	Luigi Casati	Fontaine de Vaucluse/Francja
94.	119,0	B/D	D.Lins, Steve Bogaerts	The Pit/Meksyk
95.	119,0	2005	John Volanthen	Grotte de la Mescla/Francja
96.	119,0	B/D	Robert Palmer	Lucas Breath/USA
97.	118,0	1989	Jean-Jacques Bolanz	Le Ragas/Francja
98.	118,0	B/D	Xavier Meniscus	Source du Durzon/Francja
99.	117,9	B/D	Andreas W.Matthes	Cenote Ucil/Meksyk
100.	117,0	1995	Jarrold Jablonski, Todd Kincaid	Gök /Turcja
101.	117,0	2004	Luigi Casati	Castelcivita/Włochy
102.	115,0	B/D	Jozef Gliviak	Izvor Cetina (Izvor Glavas, Ilasevo Jezero)/Chorwacja
103.	115,0	1988	Claude Touloumdjian	Font d'estramar/Francja
104.	115,0	B/D	Luigi Casati	Vouliagmeni/Grecja
105.	112,0	B/D	Igor Vrhovec	Izvir Mrzlek/Slowenia
106.	112,0	B/D	Jean-Jacques Bolanz	Source de St.Antoine/Francja
107.	111,0	B/D	Dustin Clesi, Larry Green, Jim King, G.Watkins	Diepolder 2/USA
108.	111,0	B/D	Josi Olave	Cueva de la Mora/Hiszpania

109.	111,0	B/D	Marc Douchet	Source de la Bueges/Francja
110.	111,0	B/D	Richard Harris	Kija Blue/Australia
111.	110,9	B/D	Dustin Clesi, Sheck Exley	Amberjackhole/USA
112.	110,0	B/D	Guillaume Tixier	Source des Exals/Francja
113.	109,8	B/D	Dale Sweet	Die Polder Sink no 2/USA
114.	109,8	B/D	Sheck Exley	Die Polder Sink no 2/USA
115.	109,0	2004	Luigi Casati	Cetina/Chorwacja
116.	108,0	B/D	Bjarte Vestoel	Plura/Norwegia
117.	108,0	B/D	Michael Waldbrenner, Reinhard Buchaly	Resurgence de Gourieroux/Francja
118.	108,0	B/D	Olivier Isler	Su Cologone/Włochy
119.	106,0	B/D	Philippe Bertocchio	Puits des Bans/Francja
120.	106,0	1992	Beaurir Pauwels	Trou des Fées/Belgia
121.	105,0	2001	Luigi Casati	Vouliagmeni/Grecja
122.	105,0	B/D	Alexander Braun, Sandro Madeo	Majerovo Vrelo/Chorwacja
123.	105,0	B/D	Marcin Chochorowski	Rasamlakh/Egipt
124.	105,0	2001	Michael Waldbrenner, Reinhard Buchaly	Source de Gourneyras/Francja
125.	105,0	1992	Nuno Gomes, Rehan Bower	Harasib/Namibia
126.	105,0	B/D	Reinhard Buchaly, Schieritz	Foux de la Vis/Francja
127.	103,6	B/D	Sheck Exley	Boiling Hole/USA
128.	103,0	2007	Luigi Casati	Vrelo Une (Izvor Une, Unsko Vrelo)/Chorwacja
129.	102,1	1969	Roly Nyman, Ian Robertson, John Van der Walt and Danny van der Walt	Sinoia/Rodezja
130.	102,0	1985	Jean-Jacques Bolanz	Grotte de Motiers/Szwajcaria
131.	101,0	2013	Krzysztof Starnawski	Goul Tennerie/Francja
132.	101,0	2003	Sylvain Redoutey	Notre Dame des Anges/Francja
133.	100,0	B/D	Angel Ortego, Miguel Romans	Fuentona de Muriel/Hiszpania
134.	100,0	B/D	Igor Vrhovec	Govic/Słowenia
135.	100,0	1985	Claude Touloumdjian	Cents Fons/Francja
136.	100,0	B/D	Mark Vandermeulen	Makta Vrelo/Macedonia
137.	100,0	B/D	Stuart Clough, Robert Palmer	Great North Road/USA
Niezależnie potwierdzone nurkowania. Źródła: Nuno Gomes, Scubarecords.com, 360stopni.org.				

ANEKS 7

Nurkowania poniżej 200 m

NURKOWANIA PONIŻEJ 200 M

lp.	głębokość (m)	rok	nurek	kraj pochodzenia	zbiornik/kraj	rodzaj zbiornika	obieg
1.	318,25	2005	Nuno Gomes	Afryka Płd.	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	otwarty
2.	308,00	2001	John Bennett	Wlk.Brytania	Filipiny	otwarty	otwarty
3.	283,00	2011	Krzysztof Starnawski	Polska	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	zamknięty
4.	282,60	1996	Nuno Gomes	Afryka Płd.	Boesmangat/Afryka Płd.	jaskinia	otwarty
5.	281,90	1994	Jim Bowden	USA	Zacaton/Meksyk	studnia krasowa	otwarty
6.	274,00	2002	Gilberto Menezes de Oliveira	Brazylia	Lagoa Azul/Brazylia	studnia krasowa	otwarty
7.	271,00	2004	Nuno Gomes	Afryka Płd.	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	otwarty
8.	270,00	2004	David Shaw	Australia	Boesmangat/Afryka Płd.	jaskinia	zamknięty
9.	266,00	2005	Pascal Bernabe	Francja	Morze Śródziemne	otwarty	otwarty/zamknięty
10.	264,00	2009	Dariusz Wilamowski	Polska	Garda/Włochy	jezioro	otwarty
11.	264,00	1989	Sheck Exley	USA	Mante/Meksyk	jaskinia	otwarty
12.	263,00	1993	Sheck Exley	USA	Boesmangat/Afryka Płd.	jaskinia	otwarty
13.	254,00	2001	John Bennett	Wlk.Brytania	Filipiny	otwarty	otwarty
14.	252,00	1994	Nuno Gomes	Afryka Płd.	Boesmangat/Afryka Płd.	jaskinia	otwarty
15.	251,00	1993	Jim Bowden	USA	Zacaton/Meksyk	studnia krasowa	otwarty
16.	245,00	2009	Dariusz Wilamowski	Polska	Garda/Włochy	jezioro	otwarty
17.	243,00	2012	Dariusz Wilamowski	Polska	Garda/Włochy	jezioro	otwarty
18.	242,00	2006	Andrei Chistyakov	Rosja	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	otwarty
19.	241,50	2005	Don Shirley	Wlk.Brytania	Boesmangat/Afryka Płd.	jaskinia	zamknięty
20.	240,00	2003	Lee Cunningham	Wlk.Brytania	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	otwarty
21.	240,00	2001	Jens Hilbert	Niemcy	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	otwarty
22.	240,00	1997	Pascal Bernabe	Francja	Fontain de Vaucluse/Francja	jaskinia	otwarty
23.	239,00	2007	Ben Reymenants	Belgia	Sra Keow/Tajlandia	jaskinia	otwarty
24.	238,00	1988	Sheck Exley	USA	Mante/Meksyk	jaskinia	otwarty
25.	236,00	2008	Alessandro Scuto, Pim van der Horst, Mario Marconi	Włochy/Holandia/Włochy	Maggiore/Włochy	jezioro/wrak	otwarty/zamknięty/habitat
26.	235,00	2008	Jacek Musiał	Polska	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	otwarty
27.	231,00	2007	Jerzy Blaszczyk	Polska	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	otwarty
28.	230,00	1994	Nuno Gomes	Afryka Płd.	Boesmangat/Afryka Płd.	jaskinia	otwarty
29.	227,00	1993	Jim Bowden	USA	Zacaton/Meksyk	studnia krasowa	otwarty
30.	224,50	2003	Volker Clausen, Manfred Fuehrmann, Chris Ullmann	Niemcy	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	zamknięty
31.	223,00	2012	Krzysztof Starnawski	Polska	Hranicka Propast/Republika Czeska	studnia krasowa	zamknięty
32.	222,00	2011	Krzysztof Starnawski	Polska	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	zamknięty
33.	222,00	2006	Andrei Chistyakov	Rosja	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	otwarty
34.	221,89	1961	Hannes Keller	Szwajcaria	jezioro Maggiore/Włochy	jezioro	otwarty
35.	221,00	2004	Verna van Schaik	Afryka Płd.	Boesmangat/Afryka Płd.	jaskinia	otwarty
36.	220,00	2006	Mohammad Khatam	Libia	Morze Śródziemne	otwarty	otwarty
37.	220,00	2011	Dariusz Wilamowski	Polska	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	otwarty
38.	220,00	2002	Lee Cunningham	Wlk.Brytania	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	otwarty
39.	220,00	1998	Gilberto Menezes de Oliveira	Brazylia	Mysterious Lagoon/Brazylia	studnia krasowa	otwarty
40.	220,00	1993	Sheck Exley	USA	Zacaton/Meksyk	studnia krasowa	otwarty
41.	219,00	2003	David Shaw	Australia	Boesmangat/Afryka Płd.	jaskinia	zamknięty
42.	217,00	2012	Krzysztof Starnawski	Polska	Hranicka Propast/Republika Czeska	studnia krasowa	zamknięty
43.	216,00	2009	Dariusz Wilamowski	Polska	Garda/Włochy	jezioro	otwarty
44.	212,00	2005	Grzegorz Dominik	Polska	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	zamknięty
45.	212,00	2005	Andrei Chistyakov	Rosja	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	otwarty
46.	212,00	1994	Kostas Thoctarides	Grecja	Morze Śródziemne	otwarty	otwarty
47.	211,00	2000	Claudia Serpieri	Włochy	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	otwarty
48.	211,00	2010	Dariusz Wilamowski	Polska	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	otwarty
49.	210,00	2006	Grzegorz Dominik	Polska	Morze Czerwone/Egipt	otwarty/wrak	zamknięty
50.	209,00	2005	Tarek Omar	Egipt	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	otwarty
51.	208,00	2002	Grzegorz Dominik	Polska	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	otwarty

52.	205,00	2006	Mark Andrews, Lee Cunningham	Wlk.Brytania	Morze Czerwone/Egipt	otwarty/wrak	otwarty
53.	205,00	1982	Jochen Hasenmayer	Szwajcaria	Fontain de Vaulcuse/Francja	jaskinia	otwarty
54.	202,50	2000	Ben Reymenants	Belgia	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	otwarty
55.	202,00	1994	Jim King	USA	Deans Blue Hole/Bahamas	otwarty	otwarty
56.	201,00	1987	Sheck Exley	USA	Mante/Meksyk	jaskinia	otwarty
57.	200,00	2011	Dariusz Wilamowski	Polska	Morze Czerwone/Egipt	otwarty	otwarty
Niezależnie potwierdzone nurkowania. Źródła: Nuno Gomes, Scubarecords.com, 360stopni.org							



Sheck Exley przed nurkowaniem w Boesmangat, 1993 r.



Zespół, wspierający nurkowanie Shecka Exley'a w Boesmansgat, 1993 r.

Sheck Exley urodził się w prima aprilis 1949 roku. Umarł sześć dni po swoich 45. urodzinach, podczas nurkowania w Zatacon, podwodnej studni w Meksyku mierzącej prawdopodobnie około 335 metrów głębokości. Sheck chciał osiągnąć „ładną, okrągłą liczbę”, 300 metrów. Jego głębokościomierz zatrzymał się na wartości 276 metrów.

Niektóre istoty ludzkie żyją i umierają, kierując się emocjami tak silnymi, że większość ludzi nie jest w stanie nawet ich zrozumieć. Sheck Exley był jednym z tych, którzy cieszyli się życiem, choć stale balansowali na granicy śmierci. Ta książka może przerazić, ale z pewnością i zafascynować, a Sheck Exley przekona, że śmierć przyszła do niego w chwili ogromnej radości, którą czerpał z nurkowania do wnętrza Ziemi.

ISBN 978-83-929483-1-5



9 788392 948315

Autobiografia legendy nurkowania jaskiniowego Shecka Exley'a, który od 16. roku życia związał się z wodą na tyle silnie, że większość podwodnych eksploracji wykonał jako pierwszy człowiek na ziemi. Trzykrotnie bił rekord świata w głębokich nurkowaniach sportowych, pierwszy na świecie przekroczył granicę 1000 nurkowań jaskiniowych, był odkrywcą przynajmniej kilkunastu podwodnych jaskiń na Florydzie, przez szereg lat poszerzając ich poznane granice. Zginął mając 45 lat w jaskini Meksyku, na 10 m przed osiągnięciem dna, położonego na głębokości 278 m. Jego ciało znaleziono na powierzchni oplątane liną opustową.

„Sheck Exley odkrywa świat podwodnych jaskiń, jak kiedyś podbijano Dzikie Zachód. Z kowbojskim sprytem radzi sobie z problemami, z kamienną twarzą szeryfa mierzy się z niebezpieczeństwem, z odwagą wyznacza nowe granice”.

MAŁGORZATA POPIENIA
Wielki Błękit

„Sheck opisuje sytuacje, które większość zwykłych zjadaczy chleba przyprawiby o śmiertelne przerażenie, z uśmiechem i pewnością siebie, ale i z wielkim szacunkiem dla sił przyrody”.

KRZYSZTOF RAPAŁA
Onet Podróże

„Tu nie trzeba «dopalaczy». Adrenalina sama skacze do poziomu graniczącego z niedozwolonym dopingiem. Ta książka «powinna być zabroniona», ale dopóki jeszcze nie jest, to koniecznie trzeba ją przeczytać i choć przez chwilę poczuć się jak zdobywcy głębin, balansujący na granicy życia i śmierci”.

DAREK MATYJA
Polskie Radio Euro



„Tylko nieliczni przeżyli nurkowanie poniżej 240 metrów. Jest ich tyłu, ilu kosmonautów, którzy stanęli na Księżycu. Sheck Exley pozostaje jednym z tych wybrańców, nawet dziś, piętnaście lat po dniu, kiedy zginął w wieku zaledwie 45 lat”.

NUNO GOMES
rekordzista świata
w nurkowaniu głębokim



„Nurkowanie w jaskiniach to najbardziej ryzykowny rodzaj nurkowania, potrafi jednak dostarczyć wrażeń, jakich nie da się porównać z niczym innym”.

LESZEK CZARNECKI
rekordzista świata
w nurkowaniu jaskiniowym



„Sheck Exley wie, że eksploracja to cel, dla którego można poświęcić bardzo dużo, zyskując satysfakcję wspólną wszystkim zdobywcom”.

KRZYSZTOF STARNAWSKI
odkrywca MS Goi, rekordzista
Polski w nurkowaniu jaskiniowym